

Meagan McKinney
Niegodziwa czarodziejka

Dla tej, która mogłaby nią być. Dla Jo.

Chociaż niegdyś istniała plantacja
o nazwie Belle Chasse,
moja plantacja Belle Chasse
jest wytworem czystej fantazji...

*Pragnę ci służyć tak godnym sposobem,
O jakim zgoła nie słyszano wszędzie.
Liście wawrzynu dam ci za ozdobę,
A miłość moja coraz większa będzie.*

James Graham of Montrose

Prolog

Znów była sobą, Kayleigh.

We śnie powróciła do zamku Mhor. Był rok 1745, pod Culloden nie rozegrała się jeszcze żadna bitwa, a wiejące w jej rodzinnych stronach wiatry szumiały łagodnie.

Pokoje, które dzieliła z siostrą bliźniaczką, znajdowały się we wschodnim skrzydle zamku, a ona sama stała właśnie w gotowalni i przyglądała się, jak Morna przymierza jedną suknię po drugiej.

– Nie, nie! – parsknęła śmiechem. – Ten zielony brokat zanadto rzuca się w oczy. Co sobie pomyśli pani MacKinnon? Gotowa zabronić nam wyjścia! – Roześmiała się znowu, rozczesując pasma lśniących, czarnych włosów, spływających jej na ramiona.

– Och, Kayleigh, mam już po uszy tego pilnowania mnie, więc nie dbam, co sobie pomyśli pani MacKinnon! – Morna z figlarnym uśmiechem spojrzała na odbicie siostry w lustrze. Zaskoczona Kayleigh patrzyła, jak Morna zuchwale obciąga już i tak mocno wydekoltowaną, zieloną suknię.

– No cóż, to z pewnością zrobi niemałe wrażenie na Duncanie – rzekła z przekąsem. – Ale co sobie pomyśli o młodej pannie, która wybiera się na piknik w stroju balowym? Morno, on może dojść do wniosku, że straciłaś rozum!

– O, wcale nie. Mogłabym pójść o zakład, że bardzo mu się spodoba.

– A wszyscy pomyślą, że to moja wina! – Kayleigh potrząsnęła głową, stając za siostrą. – Załóż suknię z niebieskiego atlasu, jest o wiele stosowniejsza na piknik. Musisz wiedzieć, że pani MacKinnon zgodziła się, żebym tym razem ci towarzyszyła. Jeśli usłyszysz, że ubrałaś się w tę zieloną, nigdy już nie pozwoli ci wyjść bez całej armii przyzwoitek!

– Czy uważasz może, że jesteś moją matką, a nie siostrą? – Morna spojrzała na nią z jawną niechęcią, lecz w jej oczach wciąż jeszcze tliło się tłumione rozbawienie.

– Czasami... no nie, sama już nie wiem. – Kayleigh lekko uszczypnęła Mornę, po czym pomogła jej zasznurować gorset. Zielona suknia wylądowała z powrotem w szafie.

Błękitna, w odcieniu leśnych dzwonek, była o wiele stosowniejsza. Morna wyglądała w niej jak aniołek. Kayleigh wiedziała, że ona sama nigdy nie będzie tak wyglądać. Chociaż siostra miała tak jak ona ciemnobłękitne oczy, podobne brwi, równie zadarty nos i pełne wargi w kolorze płatków róży, była jasną blondynką. Włosy Kayleigh były natomiast kruczoczarne. Kiedy jako dzieci coś spocily, anielska uroda Morny sprawiała, że to zawsze jej okazywano wyrozumiałość.

– Pomożesz mi upiąć włosy, siostrzyczko? – Morna usiadła przy toalecie, spoglądając w stare, zabytkowe lustro. Kayleigh ujęła srebrną szczotkę i zaczęła rozczesywać jasne włosy siostry.

– Kayleigh – odezwała się po chwili Morna – czemu nie założyłaś czegoś ładniejszego? W tej wełnianej szarej sukience trudno ci chyba będzie znaleźć jakiegokolwiek konkurenta.

– Zamierzałam po południu rysować. W cóż miałabym się więc ubrać? W moją najlepszą jedwabną suknię?

– Nie, ale mogłabyś bardziej zadbać o strój. Duncan ma dzisiaj przyprowadzić na piknik kogoś ze swoich braci, a ty wyglądasz jak obdarty tus!

– Doprawdy, aż tak fatalnie się prezentuję?

– Ależ nie, jesteś najśliczniejszą z sióstr! – Morna zaśmiała się i wzięła od Kayleigh szczotkę. – Pozwól, że cię ładnie uczeszę. Upnę ci włosy tak jak moje. Będiesz wyglądała o wiele wytworniej.

– Jeśli masz ochotę, proszę bardzo. Tylko się nie gorsz, jeżeli Duncan powie, gdy wrócę z gotowymi rysunkami, że wyglądam jak straszdyło, bo wypadły mi wszystkie szpilki! – Kayleigh usiadła przy toalecie, a Morna zaczęła rozczesywać czarne sploty siostry.

– Nie masz więcej szpilek? – Morna wytrząsnęła zawartość inkrustowanego drogimi kamieniami puzderka na blat toaletki. Wypadły z niego dwie szpilki.

– Nie. Zwiąż mi włosy wstążką.
– Daj mi swoje pudzderko, Kayleigh. Przecież musisz mieć więcej szpilek.
– Nie mam. – Kayleigh nagle zamilkła. Patrzyła bezradnie, jak Morna podchodzi do jej toaletki i otwiera drugie inkrustowane pudzderko.
– Na Boga, Kayleigh! Pełno w nim węgla!
– Tak, rysuję węglem. – Kayleigh wstała, szybko przewiązując swoje lśniące, czarne włosy błękitną aksamitną wstążką.
– No wiesz, jesteś niemożliwa. Mama podarowała nam te pudzderka na szczęście. A ty trzymasz w swoim węgiel!
– Ależ bardzo je cenię i nie rozstaję się z nim.
– Sadzę, że dostałyśmy je od mamy nie po to, by czynić z nich tak pospolity użytek. – Morna postawiła obydwa pudzderka obok siebie na toalecie. Spojrzała na nie i wzięła się pod boki. – No, popatrz tylko, węgiel zabrudził twój portrecik. – Wzięła ze stołu chustkę i wytarła wieczko.

Obydwa emaliowane pudełka w kolorze kobaltowego błękitu, z małymi diamencikami i szafirami wzdłuż ozdobionych filigranem ścianek, były identyczne. Na wieczku, powyżej imienia każdej z siostr, wypisano dwa słowa. Zdaniem starej czarownicy, która sprzedała te cacka ich przesądnej szkockiej matce, doskonale pasowały one do dziewcząt.

Na pudzderku Morny wypisano słowo „Ukochana”. Nikt nie dziwił się temu napisowi, gdyż słowo to oznaczało po angielsku to samo, co jej imię po szkocku. Jednakże na pudzderku Kayleigh widniało słowo „Urzeczona”. Ku wielkiej konsternacji jej ojca, Anglika, niemało szkockich służących czmychało w popłochu z zamku Mhor, gdy tylko ujrzało ów napis.

– Wybacz mi mój świętokradczy postępek, przynajmniej dziś. – Kayleigh schowała wypełnione węglem pudzderko w fałdach swojej szarej sukni. – Jesteśmy bardzo spóźnione, a Duncan pewnie już dawno wyruszył z Nairn na piknik bez uciążliwego balastu w postaci nas dwóch!

– Masz rację, Kayleigh, ale już nie mam do ciebie siły! – Morna usiadła, kończąc upinać fryzurę. – Złożę się, że zostaniesz starą panną, albo, co jeszcze gorsze, nie będziesz miała innego wyjścia, jak poślubić kuzyna Straughta!

– Nie musisz się tym więcej trapić. Zapomniałam ci powiedzieć przy śniadaniu, że już mi się więcej nie będzie narzucał. – Kayleigh wpięła szpilekę w złocisty węzeł na czubku głowy Morny.

– Niemożliwe! Myślałam, że nigdy nie da za wygraną. Zawsze wydawał mi się taki... desperacko uparty. – Morna wzdrygnęła się i podała

siostrze ostatnią szpilkę. – Żałuję, że ojciec podarował mu ten zameczek myśliwski. Odkąd zmarli rodzice, wydaje mi się, że on wciąż się tu snuje, wypatrując ciebie. Byłby nawet niezłym konkurentem, jest całkiem przystojny, ale ma takie dziwne oczy! No i jest stary, ma przecież co najmniej trzydzieści pięć lat.

– W przeciwieństwie do Duncana, który liczy sobie zaledwie dwadzieścia osiem wiosen – odcięła się Kayleigh.

Morna wsparła brodę na dłoniach i zamyślona patrzyła w lustro.

– Owszem, Duncan jest taki... taki...

– Zły.

– Co?

– Założę się, że jest na nas zły. – Kayleigh potrząsnęła głową. – Czy wiesz, która godzina?

– Och, oczywiście! – Morna zerwała się od toaletki, wrzucając pośpiesznie do swego pudzera różne kobiece drobiazgi: małe nożyczki, nici, ostatnią szpilkę do włosów. – Twój obrąbek! – krzyknęła z desperacją.

– Co, odpruł się?! – Kayleigh spojrzała w dół. – No, oczywiście! – Z jednej strony jej spódnica opadała nierówno na kamienne płyty posadzki.

– Przebiorę się najszybciej, jak mogę! Obiecuje ci! Nie chcę, żeby...

– Nie, Kayleigh. Ja pojedę przodem i spotkamy się z Duncanem na Forsyth Knoll, bo właśnie tam urządzamy piknik.

– Pojedziesz sama? Co powie pani MacKinnon? Skrzyczy nas okropnie za takie zuchwalstwo.

– Pani MacKinnon nigdy się o tym nie dowie. Pojechała w odwiedziny do chorej siostry i jeśli tylko ty jej nie powiesz... – Oczy Morny się zwęziły.

– Nie powiem, ale...

– Zobaczymy się na Forsyth Knoll. – Morna wypadła z pokoju.

Kayleigh pobiegła za nią, wołając:

– Oj, Morno, chyba mogłabyś na mnie poczekać! – Na próżno. Po jej siostrze nie było już ani śladu.

Przebranie się nie zajęło Kayleigh zbyt wiele czasu. Najszybciej, jak mogła, podążyła ku Forsyth Knoll, śledząc wzrokiem powóz Morny toczący się po Moray Firth Road. Z początku zamierzała zbiec ze wzgórza i dogonić ją, lecz dzień był zbyt ciepły, została więc tam, gdzie stała.

Wokół niej kwitły liliowe wrzosy. Stok pokrywały wonne krzewy janowca. Pachniało jałowcem, owczą wełną i morzem. Życie było cudowne.

Kayleigh zebrała spódnice i usiadła wśród miękkich paproci. Postanowiła narysować powóz Morny, sunący powoli stromą drogą. Zanim

jednak zdążyła wyjąć węgiel z puzderka, spostrzegła, że stało się coś złego.

Stała nieruchomo na zboczu panicznie przerażona, patrząc, jak powóz wywraca się tuż przy jeziorze. Po krótkiej chwili na drodze pojawiło się kilkunastu jeźdźców. Nie mogła pojąć, skąd się tam wzięli i dlaczego puszczają mimo uszu krzyki jej siostry, a potem zsiadają z koni, obserwując przewrócony pojazd.

Myśląc ze zgrozą, że Morna może być ranna, a nikt nawet nie zamierza jej pomóc, Kayleigh puściła się pędem w dół. Musi biec siostrze na ratunek! W połowie drogi dojrzała, jak jeden z mężczyzn – nierozpoznawalny z tej odległości – otwiera drzwiczki powozu. Poczowała ulgę, sądząc, że ktoś wreszcie dopomoże Mornie. Nim jednak zdążyła do niej dotrzeć, usłyszała jej przeraźliwy krzyk.

Kayleigh stanęła jak wryta, zdumiona i pełna niedowierzania. Mężczyzna wynurzył się z powozu i tym razem poznała, że to wzgardzony przez nią konkurent, przystojny kuzyn Straught. Za nim dostrzegła osunięte bezwładnie ciało siostry. Z niewyobrażalną zgrozą ujrzała, jak na błękitnej sukni Morny wykwita plama – czerwona niby jagody ostrokrzewu. Nie mogła powstrzymać krzyku. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że był to ostatni krzyk w jej życiu.

Gdy bowiem posłyszeli go kompani Straughta, poczęli krzyczeć i wskazywali jej postać na zboczu. Cofnęła się instynktownie, jednak wiedziała, iż została dostrzeżona.

Nigdy nie przypuszczała, że odmawiając ręki temu człowiekowi spowoduje tak obłąkańczy akt przemocy. Widziała jednak wszystko na własne oczy. W jednej chwili cały świat Kayleigh legł w gruzach, a jej życie zdawał się czekać brutalny, nieunikniony kres.

– Jazda, zróbcie z nią to samo, co z tamtą! – rozkazał Straught swoim towarzyszom. – A potem przynieście mi ją i połóżcie koło siostry!

Kayleigh spojrzała w dół. Ludzie Straughta zaczęli się już ku niej wspinać. Rzuciła się do ucieczki, choć łyż przesłaniały oczy i ciężka suknia utrudniała jej bieg. Próbowwała schronić się w lesie nad jeziorem, lecz wszędzie dookoła słyszała głosy prześladowców. Stłumiła łkanie i zaczęła zbiegać w dół, ku wodzie, żywiąc wbrew wszystkiemu nadzieję, że znajdzie się tam jakaś życzliwa dusza, która przyjdzie jej z pomocą.

Nadaremnie jednak. Gdy tylko wynurzyła się z lasu, wyrósł przed nią jakiś przerażający człowiek, schwycił ją za ręce i zamknął w potężnym uścisku. Obydwoje stoczyli się ze wzgórza. Gdy tylko zatrzymali się na brzegu jeziora, mężczyzna zamachnął się nożem, jakby miał zatopić ostrze w jej sercu.

Część pierwsza

Nowy Orlean

*Jak słodki rozkaz! Postuszeństwo skore.
Na rozkaz, pani, i daję, i biorę.*

William Szekspir, *Kupiec wenecki*, akt III, scena 02
(przekład Leon Ulrich)

Maj 1746

Zbudziła się bez tchu. Znów dręczyły ją koszmary.

Uniosła ręce ku twarzy. Kiedy je opuściła, były wilgotne. Łzy zdołały jednak zmyć z jej policzków przynajmniej trochę brudu. Serce wciąż jeszcze biło jej gwałtownie, ramiona miała zeszywniałe. Czuła, że niemal dławi się w ciężkim zaduchu, który otaczał ją zewsząd.

Długo leżała w ciemności, rozmyślając o Mornie. Jej duch zdawał się nad nią krążyć. Tak bardzo pragnęła, by siostra ukazała się jej, by towarzyszyła podczas długich nocy w Luizjanie, żeby wspierała ją w trudnym, samotnym życiu, jakie teraz wiodła.

Morna jednak nie żyła i jedyną pociechę przyniosło Kayleigh westchnienie rozczarowania. Potem zaś zrobiła to, co wielokrotnie czyniła już wcześniej: uleciała myślą ku szczęśliwemu życiu w Szkocji, za którym wciąż tęskniła. Dzisiejszej nocy nie dane jej było zaznać nawet tak żalosalnej pociechy. Mimo że bardzo się starała, nie mogła już przywołać w pamięci pieszczoty francuskiego atlasu na skórze ani przyjaznego ciepła brzoźowych polan, płonących w chłodną noc na kominku. Dziś nie mogła już nawet wyobrazić sobie zamku Mhor pokrytego delikatną koronką płatków pierwszego śniegu. Nie pamiętała już takich szczegółów. Rok spędzony z dala od domu powoli zacierał wspomnienia. Zacisnęła mocno powieki i zmusiła się do odtworzenia w myśli wszelkich detali, jakie tylko mogła sobie przypomnieć, nie chcąc utracić ani jednego z nich.

– Znowu o czymś roisz, Kastrel? – Słowa te padły z jeszcze mroczniejszej części domostwa. W dodatku nazwano ją nie Kayleigh, imieniem młodej Szkotki z jej marzeń, lecz Kastrel – pustułka. Jak mały, drapieżny ptak ze Starego Świata, zawsze lecący pod wiatr.

– Wcale nie – zaprzeczyła słabo, usiłując przywołać w pamięci herby wygrawerowane na srebrnej zastawie stołowej w Mhor.

– Ejże, dziewczyno, mnie nie oszukasz – zapewnił ją łagodny głos rozlegający się w porannym półmroku. Potem posłyszała odgłos człapania i czyjś kościsty palec szturchnął ją w żebra. – Możesz zaprzeczać, ile tylko chcesz, ale tamtego przekłętego dnia w Mhor nie sposób zapomnieć!

– Nie pamiętam Mhor. Mhor był i przepadł. – W tych słowach kryło się więcej prawdy, niż skłonna była przyznać. Z niechęcią usiadła na posłaniu.

– Jakże to, dziewczyno? Gdzie, u licha, podział się ten duch, co nie pozwolił mi podnieść na ciebie ręki tego dnia na wzgórzu? I tak się na mnie zawziął, że w żaden sposób nie potrafiłem tego zrobić, no a potem obydwójce musieliśmy czmychnąć aż tutaj!

– Może już gdzieś odleciał, Bardolfie. Pewnie ten upał Luizjany go przepędził. – Poklepała twardy siennik, na którym spała. – Nie mogę złapać tchu! Och, czy tu nigdy nie wieje chłodny wiatr!

– Nie rozkażę wiatrowi, żeby dał, ale dostaniesz dziś ode mnie coś, czego pewnie bardzo pragniesz.

Czarny Bardolf zapalił nędzny kaganek i Kestrel mogła dostrzec, jak wlepia w nią uparcie swoje ciemne, zapadnięte oczy. Wstała z posłania, otrzepując nędzną, zniszczoną do cna halkę. Mała, rozespana czarna kotka uczepliła się jej spódnicy, lecz szybko zaczęła rozgrzebywać pazurami klepisko w poszukiwaniu robaków na śniadanie.

– Cóż to za niespodzianka, Bardie? Do licha, czyżbyś zerwał się tak wcześniej, żeby mi ją zrobić? A może nie było cię tu przez całą noc? – Uniosła brew i spojrzała na swego towarzysza. Bardolf z pewnością miał więcej wspólnego z nocą niż z dniem. Jego sękaty członki i długie, posiwiałe włosy stanowczo lepiej pasowały do mroku niż do dziennego światła. Nie wyglądał pięknie, wcale nie jak ktoś, kogo można by pokochać, a jednak kochała go z całego serca. Uratował jej życie, a w ciągu ostatniego roku starał się, jak mógł, by uczynić je lepszym.

– Popatrz no na to! Znalazłem ją na parapecie, gdzie się suszyła zeszłego wieczoru. Przyniosłbym ci ją wcześniej, ale stara jędza, co ją przed tobą miała, zawzięła się na mnie niczym pies. – Bardolf sięgnął do niewielkiego woreczka i wyciągnął stamtąd zmiętą spódnicę w odcieniu

lawendowego błękitu. Kestrel podeszła bliżej i z przyjemnością pogładziła jedwab.

– Och, Bardie, ależ z ciebie szelma – szepnęła.

– Ano, nie przeczę, ale chciałem dać ją tobie. Na co by mi się przydał taki łasek? Przymierz go zaraz, dziewczyno! Głowę bym dał, że dawno zapomniałaś, jak się nosi piękne stroje.

– Czy ta baba nie obdarła cię ze skóry?

– Podobno ma spódnice we wszystkich kolorach, jakie tylko są na świecie. No, wdziewaj to!

Wzięła spódnice i odwracając się do niego tyłem, wciągnęła ją na swoją zniszczoną bieliznę. W talii pasowała doskonale, choć na dole była przynajmniej o dziesięć centymetrów za krótka.

– Doprawdy, psujesz mnie. – I Kestrel z wdzięcznością cmoknęła Bardolfa w kościste czoło.

– Ano psuję, nie mogę inaczej – przytaknął z rozbawieniem. – A teraz oporządź się, jak należy. Już prawie dnieje.

– Co znowu uknułeś?

Zamiast odpowiedzi, Bardolf pchnął ją ku misce z wodą.

Jej poranna toaleta polegała jedynie na przetarciu twarzy rąbkim zwilżonej szmatki i przeczesaniu włosów palcami. Nie miała tu przecież pachnącej bzem wanny, ani służebnej do pomocy przy układaniu fryzury, lecz mimo że Bardolf kpił sobie z niej czasami, czyniła wszystko, co mogła, by wyglądać schludnie. Nie chciała by myślano o niej, że jest nieokrzesaną prostytutką.

Uniosła głowę i pochwyliła spojrzenie Bardolfa, ale na widok jego szpetnej twarzy wcale nie wstrząsnął nią taki dreszcz, jaki wzbudziły w niej obrazy, które widziała we śnie. Była szczęśliwa, że przebudziła się z tego koszmaru. Zasznurowała stanik możliwie najciaśniej, lecz mimo że starała się za wszelką cenę odegnąć wspomnienia nocy, nie mogła wymazać ich z pamięci. Ściągnęła sznurówkę stanika jeszcze mocniej.

– Na Boga! – wykrzyknęła. – Urwałam ją! – Spojrzała na pękniętą tasiemkę, po czym spieszenie postarała się zasznurować gorset najlepiej, jak umiała. Zbiedniała tak bardzo, że już dawno temu sprzedała podtrzymujące go fiszbiny z kości słoniowej, żeby mieli za co przeżyć.

– Teraz, kiedy masz nową spódnice, zachce ci się pewnie nowej sznurówki, a może nawet i całego stanika – zakpił Bardolf.

– A skąd, jak myślisz, weźmiemy na to pieniądze? – Kestrel pokiwała głową.

– Dzisiaj wpływa do portu „Bonawentura”. Słyszałem, że pełno na nim bogatych pasażerów, nawet córka starego Thionville’a wraca tym statkiem z Paryża.

– A ty chcesz, żebym tam poszła i okradła parę kieszeni?

– Oj, dziewczyno, mógłbym to zrobić sam, ale wiesz przecie, jak mnie bolą kości! A trudno mi gmerać ludziom po kieszeniach, kiedy moje łapska się trzęsą.

– Ej, wszystko od tego rumu. Zapijesz się nim na śmierć, Bardie.

– Ano, cóż, pasuję się ja z pragnieniem, i to mocno, ale jak mnie ono za gardziel ucapi, nie daję rady. Jakbyś tak obrobiła jednego czy dwóch podróżnych, starczyłoby nam na długo. Kupiłabyś sobie wtedy parę nowych łaszków, a ja rumu, tylko tyle, żeby mi się łapy tak bardzo nie trzęsły, pojmujesz? No, co ty na to? Obłowilibyśmy się niezgorzej dzięki temu „Bonawenturze”.

– Czy nie dlatego dałeś mi tę spódnicę, Bardie?

– Nie! Nie! Toż mogłem ją sprzedać... ale nie sprzedałem!

– Wiem, kiedy chce się mnie przekupić. – Kestrel skrzyżowała ręce na piersi i syknęła: – Jesteś bez czci i sumienia, Bardolfie Ogilvie! Całej Bożej łaski nie starczy, żeby cię zbawić. – Patrzyła, jak Bardolf skręca się z zażenowania pod jej oskarżycielskim spojrzeniem, lecz kiedy jedną z drżących dłoni niezdarnie przejechał po włosach, ogarnęła ją litość. Tak, pijaństwo go zabije, ale jest zarazem jedyną rzeczą utrzymującą starego nieszczęśnika przy życiu. Niczego lepszego bowiem nie zna.

– Pójdę tam, Bardie. Jeśli ci podróżni są tacy bogaci, jak mówisz, to pewnie strata jednego czy dwu mieszków nie zrobi im większej różnicy.

– Ach, prawdziwy z ciebie anioł, moja miła. – Bardolf złożył razem obydwie dłonie, usiłując powstrzymać ich drżenie. – Tylko nie siedź tam za długo, dobrze? – spytał niczym wylęknione dziecko.

– Nie, nie zabawię w porcie zbyt długo. – Uniosła spódnicę i zza jednej z podwiązek wyciągnęła nóż. Spojrzała na czarny szkocki sztylet, połyskujący w jej dłoni. Był najlepszą rzeczą, jaką miała. Podarowano go jej rok temu, na statku płynącym z Glasgow. Jego poprzedni właściciel, umierający młodzieniec, wyjaśnił jej, nie przebierając w słowach, że może go potrzebować w Nowym Świecie. I Kestrel, pomna tej przestrogi, nauczyła się nim posługiwać. Zabierała go wszędzie ze sobą, wetknięty za podwiązkę, skądinąd bezużyteczną, bo nie miała już pończoch.

– Dobrze cię przyuczyłem! – Bardolf zaśmiał się, ukazując zepsute zęby. – Bystra z ciebie sztuka. Spodziewam się, że nie trafisz na kogoś bystrzejszego od siebie!

Kestrel uśmiechnęła się szyderczo.

– Prędej piekło zamarznie, nim się to stanie. – Z powrotem zatknęła nóż za podwiązkę. – Pójdę, przyjrzę się temu statkowi.

– Słusznie. Obyś tylko wróciła z groszem, bo jeżeli Straught nas tutaj wypatrzy, to koniec! – Zatarł ręce, jakby chciał w ten sposób zapobiec złu. – Zabije nas i już!

Na samą wzmiankę o Straughtcie Kestrel zdrętwiała. Niewiele rzeczy mogło odebrać jej odwagę, lecz nazwisko kuzyna było jedną z nich. Zamordował przecież jej siostrę i byłby zamordował i ją, gdyby Bardolf nie postąpił jak ów myśliwy z baśni, niezdolny do wykonania rozkazu okrutnego pana.

– On chyba nigdy nie myślał, że mogę dożyć dziewiętnastu lat – szepnęła do siebie.

Straciła nagle całą zuchwałość i rozejrzała się po ciasnej ruderze. Zapomniała już dawno o swoim pochodzeniu i dobrych manierach, wciąż jednak czuła ból na wspomnienie tego, że niegdyś była damą.

– Jeszcze mu zdołasz odpłacić pięknym za nadobne, dziewczyno. – Bardolf zdawał się czytać w jej myślach.

– My mu kiedyś zdołamy odpłacić.

– O, nie. Ze mnie już tylko stary pijaczyna. Nigdy więcej nie ujrzę Edynburga. Nie mam dość sił, żeby się mścić. – Roześmiał się, lecz zaraz sposepniał, a wyżłobione przez zgryzotę, głębokie bruzdy na jego twarzy jeszcze bardziej się pogłębiły.

– Wrócę jak najprędzej, Bardie. A kiedy znowu będziemy w Mhor, Erath Straught zawiśnie na szubienicy, tak jak na to zasłużył.

– Prawda, dziewczyno, tylko że wszyscy w mieście myślą pewnie, że nie żyjesz. A rozumieją, co się naprawdę z tobą stało, dopiero kiedy tam wrócisz. Wtedy nareszcie się połapią, że twoja siostra nie zginęła w wypadku, tylko ją zamordowano. Pomyśl sobie, co potem się stanie! Pomyśl sobie! Zakłócasz, niby upiór, wszystkie myśli Straughta i poszedłbym o zakład, że spać po nocach nie może, dumając, co też się z tobą dzieje! Bo przecie nie ma żadnej pewności, żeś zginęła jak twoja...

– Dość! Nie wymawiaj jej imienia! – jęknęła Kestrel, przygryzając dolną wargę. Wizja dwóch barw, żywej czerwieni i delikatnego błękitu, sprawiała, że poczuła ucisk w skroniach. Wspomnienia o Mornie były tak bolesne.

Żal po siostrze nie pomoże jej jednak przeżyć. Nie nakarmi jej też ani nie ochroni przed złoczyńcami. Mogła tego dokonać tylko kradzież – nie łzy, pobożne życzenia i marzenia.

Musiała wykrzesać z siebie całą młodzieńczą energię i ani na chwilę nie zapominać o swoich planach. Planach powrotu do Szkocji. Wprawdzie trudno było ukryć pieniądze przed lepkiemi palcami Bardolfa, lecz

zdołała już coś niecoś uciulać. Gdyby dzisiaj trafiła się jej jakaś dobrze nabita sakiewka, mogłaby się stąd wyrwać już następnego dnia i szybko wrócić do Mhor. Rozpogodziła się na myśl o podobnej możliwości. Warto było wiele dla niej zaryzykować.

– „Bonawentura” na mnie czeka! – I Kestrel uśmiechnęła się przebiegle, opuszczając swoją nędzną siedzibę tuż przy porcie. Połatana spódnica zafalowała przy tym wokół jej kostek zupełnie tak, jakby była z najcieńszego chińskiego atlasu.



Droga do portu nigdy nie była przyjemna. Kestrel mieszkała na nędznym przedmieściu pełnym pijaków, gorszych jeszcze od Bardolfa. Stali teraz w drzwiach swoich żalonych lepierek, a kiedy przechodziła obok, jeden z nich uklonił się jej z wielką atencją. Gdy zaś nie odpowiedziała na tak uprzejme powitanie, inni zaczęli złośliwie rechotać.

– Proszę, proszę, *mademoiselle* zanadto zadziera swoją głowa! – bełkotał za nią któryś łamaną angielszczyzną. Inni, tłocząc się na progach, ryknęli śmiechem, lecz Kestrel minęła ich bez słowa.

Nagle zastąpiła jej drogę uliczna dziewczka, jazgocząc coś po niemiecku. Jasne było, że obdarta kobieta domaga się pieniędzy, ale Kestrel nie mogła jej nic dać. Zniecierpliwiona jej powściągliwą postawą ulicznica, szarpnęła ją za spódnicę, jak to czynią żebraczki. W końcu przyparta do ściany Kestrel wyciągnęła sztylet i zaraz zrobiło się wokół niej pusto.

Dobrze wiedziała, że mieszkający nad rzeką nędzny ludek nigdy nie uzna jej za swoją. Ladacznice uprawiające swój proceder przy nabrzeżu nie cierpiały jej bardziej niż inni z racji jej spokojnego zachowania, a może po prostu dlatego, że nie była jedną z nich.

Najbardziej jednak bała się mężczyzn, których jeszcze nie obezwładniło do cna pijaństwo. Krążyli oni wokół Bardolfa niczym krewni czyhający na chwilę otwarcia testamentu. Kestrel wiedziała, że czekają tylko na jego śmierć, bo wtedy znajdzie się całkowicie na ich łasce, zupełnie bezbronna. Nieraz dawali jej to do zrozumienia!

Snując ponure rozmyślenia, dotarła do portu. Odpędziła jednak od siebie przykre myśli, bo oto „Bonawentura” zarzucił właśnie kotwicę. A że przybył z Francji wczesnym rankiem, robotnicy portowi zaraz przystąpili do wyładunku. Kestrel obserwowała uważnie tę scenę, zastanawiając się nad najlepszym sposobem zdobycia łupu.

Po deskach pomostu schodziła właśnie chuda krowa. Jej obwisła skóra kołysała się pod brzuchem za każdym krokiem. Portowi gapie uważnie śledzili każdy ruch obolałego zwierzęcia, najwyraźniej znajdując w tym

dużą przyjemność. Przełękali łąkowie ślinę i bez wątpienia każdy z nich wracał myślami do swego kraju, obojętne, czy była to Francja, Niemcy, Szkocja czy nawet terytorium Illinois. Wołowina stanowiła w Nowym Orleanie rzadkość i na bezcenną krowę spoglądano niby na świętego idącego na mękę.

Kestrel spostrzegła jednak, że jednego z widzów nie zainteresował ów widok. Wysunęła się zza sterty baryłek rumu z Barbados i uważnie przyjrzała się obcemu. Stojąc na półpokładzie obserwował orszak zwierząt z wyrazem lekkiego znużenia, tak jakby uwłaczało mu kroczenie na końcu krowiej parady. Podobną niechęć zdawał się w nim wzbudzać widok Nowego Orleanu – błotnistego kolonialnego miasta, które rozposcierało się przed nim w łagodnym świetle poranka.

Kestrel czujnie śledziła go z ukrycia. Był przystojny, barczysty i górował znacznie wzrostem nad włoskimi towarzyszami podróży, krzątającymi się przy swoich wypchanych tobołach. Mógł mieć najwyżej trzydzieści pięć lat. Nie tylko jednak uroda nieznanomego przyciągnęła jej uwagę, lecz coś znacznie bardziej zniewalającego. Pośród pienistych koronek białego żabotu błyszczał wielki szafir niezwyklej urody. Na pewno wart był majątek.

Gdy ujrzała błyski rzucane przez klejnot w porannym słońcu, poczuła, że przyciąga ją niby płomień ćmę. Ofiarowany wybranemu kapitanowi mógł opłacić jej podróż dokądkolwiek pragnęłaby pojechać. Zwłaszcza zaś tam, gdzie były błękitne jeziora, urwiste wzgórza i szkockie pledy.

Westchnęła głęboko, a na jej twarzy zagościł wyraz lekkiego niesmaku. Właściciel tego skarbu był potężnym mężczyzną. By zdobyć klejnot, musiałaby posłużyć się swoim nożem, a to było szalenie ryzykowne. Spojrzała jeszcze raz na dżentelmena z szafirem i nie uszedł jej uwagi mocno zarysowany podbródek ani błysk w oczach, błękitnych, a może zielonych. Klejnot mógł się zaś okazać mniej wartościowy, niż sądziła. Mężczyzna robił natomiast wrażenie kogoś, kto byłby w stanie zwrócić sztylet ku jej sercu z taką łatwością, jakby odpędzał dokuczliwą muchę.

Mogła jednak równie dobrze ukraść jego sakiewkę, rzecz najważniejszą. Wystarczyło odciąć ją nożem, trącając właściciela mocno z prawej strony. I to byłoby wszystko, co należało zrobić, aby zdobyć jego pieniądze. Kestrel ostrożnie zerknęła na cel swoich zabiegów. Na pewno mnie nie złapie, zapewniała siebie samą w duchu.

– A więc sakiewka – wyszeptęła i podkrađła się po cichu do mężczyzny.

Pasażerowie „Bonawentury” schodzili jeden za drugim po trapie. Bardzo gruba francuska dama, wystrojona w wiśniowe jedwabie tak

manewrowała spódnicą swojej krynoliny, jakby to był rudel statku. Młoda kobieta idąca obok niej miała na sobie strój ze wspaniałego brokatu w odcieniu zielonej cytryny. Kestrel spojrzała na nią i sama aż pozieleniała z zazdrości. Z całej siły zapragnęła wyciągnąć rękę ku wytwornej tkaninie i przypomnieć sobie, jaka może być w dotyku. Miała ledwie dziesięć lat, kiedy jej rodzice zmarli na zakaźną chorobę, lecz wciąż jeszcze potrafiła przywołać w pamięci szelest sukien matki na kamiennych płytach posadzki w holu i nadal czuła na ramionach ałasowy surdut ojca, ciężki i budzący poczucie bezpieczeństwa niczym zbroja.

Jej uwaga skupiła się na nabrzeżu, gdzie młoda Francuzka rzekła, nieco nerwowo, do dżentelmena z szafirem, który schodził z kładki razem z nią:

– St. Bride, chyba odwiedzi pan *maman* i mnie, prawda? Bez pańskiego towarzystwa będziemy się doprawdy czuć osamotnione w naszej żalostnej dziurze. Przywykłyśmy do Paryża z całym jego splendorem i trudno nam będzie wytrzymać w tak prymitywnym mieście. – Młoda kobieta odeła wargi, gdy jej obuta w delikatny pantofelek stópka dotknęła wilgotnego gruntu portu.

– Ależ, lady Katarzyno – odparł mężczyzna nazwany przez nią St. Bride’em – zapewne *maman* szybko wyda panią za jakiegoś arystokratę! Jakąż przyjemność może pani czerpać z mego towarzystwa? Pewnie wydam się pani równie prostacki i nieciekawym, jak to miasto. – Uśmiechnął się i Kestrel mogła wreszcie wyraźnie dostrzec, że jego oczy miały odcień turkusowy. Błyszczały zaś żywiej niż szafir wpięty w jego koszulę. Przypominały morze: zmienne i zdolne albo niszczyć, albo łagodnie kołysać, zależnie od kaprysu. Wstrząsnął nią dreszcz.

– Doprawdy, St. Bride – policzki Francuzki poróżwiały pod warstwą pudru – wołę pańskie towarzystwo od asysty każdego innego mężczyzny.

– Nie narzucaj się panu, Katarzyno! – Kestrel usłyszała wypowiedziane cierpkim tonem słowa matki młodej panny. – Żeby złowić mężczyznę, trzeba być potulną trusią! Chodźmy stąd wreszcie! – Hrabina zaczęła przepychać się przez tłum, po czym łaskawie pozwoliła posadzić się w złocistej karecie, czekającej nieopodal. – Twój ojciec na nas czeka – powiedziała w końcu, kiedy już usadowiła się wygodnie na brokatowych poduszkach powozu.

Pstrokaty tłumek miejskich obdartusów, portowych nierządnic i marynarzy otoczył karete. Kestrel wiedziała, że nie samo tylko pretensjonalne popisywanie się bogactwem sprawiało, iż gapie z nabożeństwem podziwiali splendor zagranicznego pojazdu. W karecie bez trudu dało się

rozpoznać własność Thionville'a i Kestrel gratulowała sobie, że nie skorzystała jeszcze z okazji do kradzieży. Wcale nie zamierzała zawierać bliższej znajomości z Janem Klaudiuszem de Thionville, hrabią de Cassell. Za nic! – pomyślała hardo. Uciekając się do przekupstwa, miał w garści cały złodziejski światek Nowego Orleanu. Dzięki królewskim faworom, ale też i swemu własnemu, bajecznemu bogactwu, hrabia trzymał miasto za gardło. Od Bardolfa i jemu podobnych odróżniał go tylko wspaniały ubiór. Nie, była najzupełniej pewna, że nie doceniłby jej współzawodnictwa.

– Musimy już jechać, St. Bride. Czy prześle nam pan choćby słówko? Niczego nie będę oczekiwać z większą niecierpliwością niż pańskich odwiedzin. – Kiedy lady Katarzyna odezwała się ponownie, Kestrel zrozumiała, że to córka wszechpotężnego i zarazem osławionego hrabiego. Skrzywiła się z pogardą, widząc, jak St. Bride pochyla się nad dłonią lady Katarzyny i muska ją wargami.

– Do zobaczenia, lady. Niewykluczone, że znów się zobaczymy. – Uśmiechnął się szeroko, a w jego oczach wyraźnie widać było cynizm i Kestrel poczuła, że temu człowiekowi nie można zaufać.

Kiedy pożegnania dobiegły końca, lady Katarzyna i hrabina odjechały pospiesznie z pompą godną królewskiej koronacji.

Po chwili Kestrel zaczęła ponownie śledzić upatrzonego cel. Tłum rozstał się, żeby przepuścić karetę. St. Bride stał teraz w towarzystwie kilku podróżnych ze statku. Wszyscy prócz niego byli odwróceny do niej plecami. Gdy spojrzał w jej kierunku, zauważyła bezwzględność bijącą z jego twarzy. Z niechęcią stwierdziła, że omal nie cofnęła się o krok. Walcząc ze strachem, ruszyła do przodu, dostrzegając w jego związanych z tyłu włosach i na skroniach siwe pasma. Nie złagodziło to jednak jego rysów. Srebrne kosmyki wzmogły jedynie ich ostrość i drapieżność. Znów poczuła pokusę, by się wycofać.

Zazwyczaj była nieustraszona. Koniec końców trudniła się kradzieżą sakiewek już prawie od roku. Przeżywała ją Kestrel, bo niby pustulka rzucała się odważnie w każdą nową sytuację. Nie miała nic do stracenia. Tym razem jednak musiała chwilę odczekać, by ponownie nabrać odwagi. St. Bride nie wyglądał na łatwą zdobycz. Gorzej nawet, nie wyglądał nawet na kogoś miłego.

Z wahaniem, prawie dla niej niezrozumiałym, Kestrel posunęła się o krok ku niemu.

Poczekaj, póki na chwilę nie odwrócił głowy w bok, a wtedy szybko zbliżyła się ze sztyletem w ręce, uniosła nieco jego kosztowny, wełniany surdut i przecięła rzemyk przytrzymujący kieskę pełną złota. Poczowała ciężar woreczka w dłoni i w ciągu sekundy wycofała się. Oczywiście

bez szafiru. Zrozumiała, że byłoby rzeczą niemądrą zamierzanie się na tego mężczyznę sztyletem, nawet dla takiego klejnotu.

– Tam do licha, ty mała nędzniczo, ukradłaś mi sakiewkę! – Duża, mocna dłoń schwyciła ją znienacka za kark. Gdy drapała i wrywała się jak przerażona kotka, poczuła jego ciepło na swojej skórze i to zdumiało ją znacznie bardziej niż żelazny uścisk. Osłabła ze strachu. Niby zaskoczone zwierzątko, które udaje, że zdechło, Kestrel gorączkowo usiłowała odwrócić uwagę swego przeciwnika.

– Nie, ona upadła. Chciałam ją podnieść i zwrócić. – Wciąż jeszcze nie odzyskała sił. Przerażona spojrzała na postawnego mężczyznę, który zdawał się górować nad nią niby wieża. St. Bride wyglądał na nieco tym ubawionego, lecz – niestety – nieskłonny do wybaczenia.

– Zwrócić, mówisz? To czemu biegłaś w przeciwnym kierunku? – Wyjął sakiewkę z jej delikatnej dłoni i zatknął za pas. Nadal ściskając jej kark, rzekł do jednego ze swych towarzyszy, niskiego człowieka o popolitym wyglądzie: – Co za piekielne miejsce! W czymże mamy tu lokować nasze pieniądze? W żebraków i złodziei?

Kestrel nie zważała na jego słowa. Upragniona wolność objawiła się jej nagle tuż przy twarzy. Szkocja, w postaci wspartego na tylnych łapach lwa, widniała przed nią wyrzeźbiona na klejnocie tak błękitnym, jak niebo jej ojczyzny. Nie potrafiła się temu oprzeć. Gdy tylko coś odwróciło uwagę St. Bride’a, ścisnęła sztylet, który wciąż jeszcze trzymała w ręce, i gwałtownie wbiła go w chustkę na szyi mężczyzny. Ku jej zaskoczeniu St. Bride zwolnił uścisk, mogła więc umknąć.

Ponownie jednak nie doceniła jego możliwości. St. Bride dwoma potężnymi susami pokonał dzielącą ich odległość, którą oceniała na dobre dwadzieścia kroków. Gdy zbliżała się już do beczulek, położył kres jej ucieczce, chwytając ją wpół. Obydwoje nie wzięli wszakże pod uwagę śliskiego gruntu Luizjany i nagle znaleźli się na błotnistej ziemi poniżej chodnika. St. Bride począł się gwałtownie śmiać, jakby rozbawił go widok zabłoconych butów i spodni. Kestrel nie miała jednak pewności, czy to dobry znak. Jego śmiech nie był wesoły, brzmiał gniewnie. Nie wiedziała, czy St. Bride ma zamiar ją puścić, czy też złamać jej kark. Wydarł klejnot spomiędzy jej palców i wsunął go do kieszeni spodni.

– A teraz chciałaś mi zrabować także mój szafir, ty nędzniczo. Tym razem nie daruję! – Ich oczy spotkały się. Kestrel dostrzegła, że zdawał się z góry radować odwetem i zirytowało ją to bardziej, niż chciałaby przyznać. Tym razem walczyła o wolność z jeszcze większą zajadłością, lecz gdy wila się w rękach St. Bride’a, ten objął ją w pasie, a później mocno do siebie przycisnął. Uśmiechnął się szeroko, lecz złośliwie.

– Puść mnie! – krzyczała, odpychając go. Kiedy jednak przekonała się, że nie da rady uciec, spróbowała odwołać się do lepszej strony jego natury, chociaż wcale nie miała pewności, czy coś takiego miał. – Jestem tylko biedną dziewczyną w potrzebie! Ulituj się nad sierotą, a dobry Bóg da ci za to szczęście do końca życia!

Spojrzała na niego, żywiąc mimo wszystko nadzieję, że nie znajdzie się z jego przyczyny w przycmentarnym więzieniu. Jeszcze do niego co prawda nie trafiła, ale Bardolf owszem, a w dodatku mówił, iż jest tam jeszcze gorzej niż w samym porcie: robactwo łożące po ścianach i ludzkie szczątki wyłaniające się z trumien, które tylko silne obciążenie może utrzymać w rozmiękłym, wilgotnym gruncie.

– Sierotą? – przedrzeźniał ją z sarkazmem, ściągając koszulę z jej ramienia i odsłaniając górną część piersi – żadne tam dziecko z ciebie! A jednak – tu ujął ją pod brodę, tak że musiała spojrzeć mu w oczy – a jednak zupełnie nie pasujesz do tego procederu! Co ty na to, łobuzico?

– Puść mnie – prosiła, nie dbając o to, co mówi mężczyzna. – Proszę puść! – krzyknęła głośno, mając nadzieję, że spojrzenie ciemnobłękitnych oczu rozbroi prześladowcę.

– Odkąd to rzezimieszki znają słowo „proszę”? – spytał spokojnie, po czym przez dłuższą chwilę przyglądał jej się uważnie, bez słowa. Zarumieniła się pod tym baczny spojrzeniem, któremu zdawało się nic nie umykać: ani jej delikatna cera, ani miękkie rysy twarzy, ani szramy na rękach, świadectwo życia, które teraz wiodła.

Pojeła, że się udało. Widać było, że nie miał już chęci tracić czasu na oddawanie złodziejki w ręce policji. Zanim ją jednak wypuścił, usłyszała głos kogoś stojącego za ich plecami.

– Ferringer, niechże pan każe Malcolmowi odesłać ją do aresztu. Goniąc za nędzną złodziejką, zniszczył pan sobie ubranie!

Niższy mężczyzna, którego Kestrel widziała jedynie od tyłu, uniósł nogę, wymierzając jej kopniaka. Dostrzegła tylko jego elegancki but ze srebrną sprzączką, nim zdołała zręcznie uchylić się przed kolejnym kopnięciem. Nadal jednak tkwiła w uścisku St. Bride’a.

– Złodziejka, owszem, ale też i słabsza płeć! – St. Bride podniósł się z ziemi i spojrzał na mężczyznę, który chciał kopnąć ją raz jeszcze.

– Nie zamierzam zrobić jej krzywdy, Ferringer, ale przestępców należy karać. To miasto nie jest tak cywilizowane jak Savannah. – Gdy się odezwał, Kestrel mogła wreszcie spojrzeć mu w twarz i oczy rozszerzyły jej się ze zgrozy. Patrzyła na niego jak zahipnotyzowana. Przywykła do gniewu okradanych przez nią ludzi, ale na widok tego człowieka serce jej zamarło.

Mimo niewysokiego wzrostu był mężczyzną przystojnym, mocno zbudowanym. Płoworude włosy nosił związane z tyłu, twarz miał dobroduszną, choć nie bez charakteru, usta cienkie, może nawet nieco okrutne. Poczerwieniały, arystokratyczny nos wydawał się nieco za długi, nozdrza były gwałtownie rozdęte. Oczy miał szare jak północne wybrzeże Atlantyku, lecz w tęczęwkach migotały drobne, czerwone ogniki, niby diabelskie piętno. Kestrel, patrząc w te oczy pojęła, iż zna je doskonale...

Mężczyzna otworzył usta i lodowate ciarki przebiegły jej po plecach. To był Straught. Modliła się, by jej nie rozpoznał. Nie, nie, to niemożliwe. W końcu ani trochę nie przypominała teraz wychowanej w zbytku szkockiej dziedziczki. Nie, Straught jej nie pozna!

Myśli pewnie, że Kayleigh w tajemniczy sposób zniknęła. Nie wie, że Czarny Bardolf Ogilvie uciekając, zabrał ją ze sobą. Ogilvie, jeden z jego giermków, jak Straught zwał swoich ludzi. Bardolf, o czym Straught nie ma pojęcia, lękał się, że jako chory niedołęga szybko przestanie być dla herszta użyteczny, a zatem trzeba się go będzie pozbyć. Nie wie, że Bardolfowi potrzebny był ktoś, kto kradłby dla niego rum i pomagał mu przeżyć w Nowym Świecie.

Nie, on na pewno nie wie, co się stało z Kayleigh. Może nawet myśli, że umarła.

Kestrel wiedziała jednak, że nie chce wcale narazić się na śmierć po raz drugi. Mimo że wyższy z mężczyzn wciąż ją przytrzymywał, powoli zaczęła odsuwać się możliwie daleko od Straughta.

– Puść mnie – powiedziała miękko, usiłując ukryć swój strach.

– Jak przyjdzie na to czas. – St. Bride spojrział nieco serdeczniej na dziwną, piękną istotę w jego ramionach.

– Puść mnie! – krzyknęła w panice, sięgając po sztylet, który zwiisał tuż nad samym błotem.

– Jeśli naprawdę jesteś tylko biedną dziewczyną, dam ci trochę pieniędzy, ale przestań mi się wreszcie wrywać! – zawołał z irytacją St. Bride.

Nie mogła tego zrobić. Szaro-czerwone oczy tego diabła, Eratha Straughta, wciąż się w nią wwiercały i widziała już niemal, jak się nachyla nad nią anioł śmierci. Na Boga, poznał ją, poznał z całą pewnością!

– Puść mnie, powiadam! – wrzasnęła desperacko. Zdołała wreszcie dosięgnąć noża i cięła nieświadomego niczego St. Bride'a po prawej dłoni, raniąc go pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym.

– Ty mała szelmo! – krzyknął z wściekłością, gdy krew trysnęła na jej spódnicę. Ból zmusił go do rozluźnienia chwytu, a Kestrel nie traciła czasu. Uciekła w okamgnieniu, pozostawiając mężczyźnie tylko wspomnienie zabłoconych tydek i ciemnobłękitnych oczu.

To był z pewnością Straught – upierała się Kestrel. Wciąż jeszcze dyssała ciężko po ucieczce z portu.

– W jaki sposób? Jakżeby nas znalazł? – Bardolf pociągnął potężny łyk z butelki. Z trudem powstrzymał drżenie rąk na tyle, by zdjąć z niej woskowaną zatyczkę. – Och, te jego ślepie! Kiedy człek w nie spojrzy, gotów uwierzyć w samego diabła! Skoro takie właśnie oczyska widziałś, musiał to być on.

– Owszem, widziałam – potwierdziła cicho. – Wiele już zapomniałam, ale tych oczu zapomnieć nie potrafię.

– Tylko, że bez tej przeklętej sakiewki nie możemy się stąd ruszyć! – zaklął Bardolf. – Niech piekło pochłonie twojego Anglika z jego klejnotem! Ładną sobie znalazł kompanię!

– Miałam już w ręku jego sakiewkę, ale to inna sprawa. – Kestrel spojrzała na swoją zakrwawioną spódnicę i rzekła z roztargnieniem: – Pozwól, niech tylko spiorę tę krew.

– Kestrel – Bardolf wyciągnął ku niej rękę – niedługo może być po tobie! Ocaliłem ci życie, ale nie dam rady zrobić tego jeszcze raz! – Kestrel pojęła wreszcie, że Bardolf boi się tak samo, jak i ona. Cały aż się trząśł. Stary pijak raz jeden w życiu spełnił dobry uczynek, ale mógł za to ciężko zapłacić, gdyby Straught kiedykolwiek go dopadł.

– Tym razem ja to zrobię, Bardie. Uratuję nas obydwójce. Zwędzę w końcu jakąś sakiewkę i uciekniemy stąd. Obiecuję ci. – Nerwowo chlusnęła wodą z wiaderka na brudny łach, którym stała się teraz jej spódnica. Kiedy krwawej plamy nie można już było odróżnić od innych, wyjęła wodę i wyszła z lepianki.



Dzień był długi i gorący, a w dodatku Kestrel nie mogła już pokazać się w porcie. Po jej zmaganiach z St. Bride'em każdy bez wątplenia rozpoznałby krwiożerczą złodziejkę, która zraniła go w rękę. Kręciła się więc w pobliżu niedbale skleconych koszar, mając nadzieję, że będzie mogła świsnąć złoty zegarek czy medal jakiemuś strażnikowi, który przypadkiem zbyt oddalił się od kolegów.

Tego dnia nie miała jednak szczęścia. Pogardzała koszarami, gdyż były jeszcze gorsze od portu. Mężczyźni w trójgraniastych kapeluszach i długich granatowych kurtkach wykrzykiwali na jej widok sprośności i tak wymachiwali bagnetami, że poczuła obrzydzenie.

W koszarach pełno było nowych francuskich strażników. Młodzieńcy owi nie wiedzieli, kim jest piękna dziewczyna włócząca się w tej okolicy, bo jej dom stał z dala od wybrzeża. W swojej naiwności chcieli ją pochwycić, ona zaś miała szczerą chęć, by poderżnąć któremuś gardło. Dopiero gdy zobaczyli, że umie się posługiwać hebanowoczarным sztyletem, zostawili ją w spokoju. Zbliżała się noc. Kestrel, z pustką w kieszeni, zrozumiała, że musi zrezygnować. Nocą nie należało wdać się w utarczki ze strażnikami. Nad wznoszącymi się na palach budynkami koszar zapadał wczesny zmierzch. Choć wieczór był parny, wstrząsnął nią dreszcz. Nagle zdała sobie sprawę, że jest zupełnie sama.

– *Jeune fille! Jeune fille!*

Kestrel odwróciła się gwałtownie. Chociaż miała pewność, że kuzyn Straught nie zna ani słowa po francusku, ogarnął ją nagle strach, iż to właśnie on może ją wołać. Roześmiała się z ulgą, gdy dostrzegła, że to tylko pijany strażnik kiwa na nią z okna koszar. Jego kompani dodawali mu otuchy, lecz Kestrel szybko znikła im z oczu.

Oby dach runął im na te głupie łby! – wypowiedziała w myśli słowa przekleństwa, gdy dostrzegła wyjątkowo zmurszały, zżarty przez robactwo pal. Chociaż złe życzenia i nienawistne myśli przyniosły jej nieco ulgi, nie mogły ochronić jej w ciemnościach. Czy miała przy sobie swój wspaniały nóż, czy też nie, musiała wrócić do Bardolfa. W Nowym Orleanie, w którym wszystko trzeba było za bajońskie sumy sprowadzać z Francji, nie patyczkowano się ze złodziejami. Miała nadzieję, że następnego dnia pójdzie jej lepiej. Ominęła z daleka port i przeszła wzdłuż nadbrzeża, a potem przystanąła, patrząc na szeregi lepianek tuż nad samą Missisipi. Ich ściany wzniesiono z pali głęboko wbitych w piaszczysty grunt, a dachy, sklecone z wysuszonych liści palmy karłowatej, mało się różniły od zwykłych strzech. Unosiły się nad nimi smużki dymu, gdyż mieszkańcy tych domostw przyrządzali sobie strawę na nędznych paleńskach, podobnie jak Indianie Czaktaui.

Jakież żalosne życie wiodą ci ludzie, myślała, spoglądając na migoczące między ścianami z pali mdłe światełka. Domy tak nietrwale, jak pale wbite w podmokły grunt. Gdy rzeka wylewała, zmuszało to mieszkańców do przenoszenia się coraz wyżej. Tam budowali swoje siedziby od nowa. Był to nieprzerwany cykl burzenia i odbudowy. Cóż za kontrast z małymi, kamiennymi domkami rozszanymi po górskich dolinach Szkocji! Tamte robiły wrażenie jakby istniały od początku świata. Wyglądały na niezniszczalne, tak zresztą jak i całe Highlands.

Kestrel uśmiechnęła się lekko, przypominając sobie jedno z takich domostw. Robertsonowie, którzy mieszkali nieopodal zamku Mhor,

trudnili się wypasem owiec należących do dziedzica zamku. Ich trzech synowie chodzili odziani tylko w czerwone pledy, póki śnieg nie zapędził ich do wnętrza chaty. Gdy nadciągała zima, obydwie z Morną udawały się tam, zanosząc chłopcom buty i ubrania.

Patrząc na leżące przed nią nędzne chatynki, Kestrel rozmyślała, co też mogło się stać z synami Robertsonów. Doszły ją bowiem słuchy o wielkiej bitwie w Szkocji. Wiedziała, że było to gdzieś koło Inverness. Opowiadano też, że Szkoci znaleźli się w ciężkim położeniu.

Nie może być aż tak źle, medytowała, marszcząc brwi. W Highlands nie było przecież wielkiej rzeki o szeroko rozlanych wodach, która stopniowo pochłaniałaby wszelki ludzki dobytek, nie było woni rozkładu i zgnilizny. Usiłowała zaczerpnąć tchu w ciężkim, dusznym powietrzu, które ją otaczało. Nie, Szkocja na pewno się nie zmieniła, pomyślała po raz wtóry. Pewnego dnia powróci i zastanie swój kraj tak trwały i dumny, jak domki wzniesione ze szkockich kamieni i dziejów Highlands.

Kestrel biegła wzdłuż nabrzeży, nie zwracając nawet uwagi na całe hałdy skorup z langust pod stopami. Zwolniła kroku, zbliżając się do swojej rudery. Musi trzymać się jak najdalej od Straughta. Muszą uciekać. Do ucieczki potrzebna jest jednak sakiewka. Przeklinała w myśl St. Bride'a. Przeklinała jego bystrość. Pamiętała, jak wspaniale zaciążyła jej w dłoni, choć na krótko, jego kieska. Wszystkie ich kłopoty skończyłyby się raz na zawsze, gdyby nie on. Razem z Bardolfem porzuciłaby wreszcie tę wilgotną, piekielną krainę.

– Nie miałam szczęścia – rzekła do Bardolfa, gdy tylko znalazła się w domu. Było zbyt ciemno, by mogła go dojrzeć. Nie odpowiedział jej. Kestrel mówiła nadal, sądząc, że upił się tak bardzo, że zapomniał zapalić świecy. – Ale jutro będzie lepiej. Zdobędę jakąś sakiewkę. Dobrze chociaż, że Straught nie wie, gdzie mieszkamy.

Poczuła, że coś miękkiego ociera się jej o nogi.

– Mo Chridhe, och, musisz być głodna! – Wzięła czarną kotkę na rękę i wtuliła nos w jej futerko. Poruszając się w mroku po omacku, odnalazła byle jaki stół, gdzie trzymali świece, i poszukała krzesiwa, żeby zapalić jedną z nich. Kiedy woń smoły i terpentyny rozeszła się po chacie, przemówiła ponownie do kotki.

– Nie dostałaś ryby na wieczrę? – Minęła rozciągniętego na podłodze Bardolfa, szukając suszonej ryby, którą trzymała specjalnie dla kotki w glinianym garnku, kiedy jakiś bulgot sprawił, że przystanąła i spojrzała uważniej w kąt.

– Kestrel – wystękał Bardolf. Spozobiegła ze zgrozą, że przez całą długość jego brzucha biegnie wielka rana.

– Boże! Boże! Co ci się stało? – Kestrel przyłożyła dłoń do ust i podbiegła ku niemu.

– Kestrel ... to był Straught.

– Nie. Nieprawda. Nie wie przecież, gdzie mieszkamy – wyszeptała. Stała jak sparaliżowana na widok takiego mnóstwa krwi. Przyciskała Chridhe do piersi tak mocno, aż kotka zaczęła miauczeć, usiłując się wyrwać.

– Znalazł nas... znalazł. Kestrel... wody. Daj mi trochę wody. Bądź dobrą dziewczyną... – wyszeptał Bardolf zamierającym głosem.

Wolna ręka trzęsła jej się tak bardzo, że ledwie zdołała zanurzyć czerpak w wiaderku. Wciąż trzymając kurczowo Chridhe, przyniosła go Bardolfowi i pomogła mu się napić. Natychmiast rozległ się po raz drugi ów głuchy bulgot. Obydwoje pojęli aż za dobrze, że Bardolf umiera.

– Nie pozwól im pochować mnie tutaj. Nie znam w tej ziemi spokoju przez całą wieczność. Przyobiecay mi to, Kestrel. – Wyciągnął ku niej błagalnie ręce.

– Nie ruszaj się. Jesteś... jesteś zbyt ciężko ranny – rzekła głuchym szeptem. Głos jej się trząsał.

– Ocaliłem cię, dziewczyno. Nie zapomnij o tym. Kiedy już nie było dla ciebie ani śladowej nadziei, dałem ci ją. – Pociągnął za jej spódnicę i próbował jeszcze coś wyszeptać: – Może dasz sobie z nim radę, co? Może ci się uda... Kayleigh. – Bardolf, nadal czepiając się jej ubrania, zamknął oczy i najwyraźniej miał niezadługo stanąć przed swoim Stwórcą.

– Bardolfie! – Kestrel potrząsnęła jego znieruchomiałym ciałem. – Nie zostawiaj mnie! Nie możesz tak umrzeć! – Przerazona, przycisnęła jego bezwładną rękę do piersi. Chridhe miauczała rozpaczliwie, żeby ją puścić, Kestrel jednak nie zamierzała wcale tego zrobić. O nie, tylko nie teraz, kiedy kotka stała się wszystkim, co jej zostało. Łzy spływały jej po policzkach. Zapragnęła rzucić się na śmiertelne łóżko Bardolfa i szukać pociechy w żalu, lecz głos rozsądku nie pozwolił jej na to.

W końcu uspokoiła się jakoś i spróbowała stawić czoło przerażającemu położeniu, w jakim się znalazła. Jakże byli niemądrzy, sądząc, że Straught, ze swoim zimnym, wypranym z uczuć spojrzeniem mógł jej nie rozpoznać. Przybył tu w ślad za nimi, a teraz odnalazł ich. Całe miasto okazało się za małe, żeby się w nim ukryć. Wytarła wilgotne od łez policzki i usiadła. Głaskała jedwabiste futerko Chridhe, co dawało pewne ukojenie, ale nie mogła opanować popłochu.

– Co robić? – szepnęła. Serce biło jej jak oszalałe. – Co mam teraz robić?

– Ani słowa, Kayleigh. Nie ruszaj się! – Męski szept, dobrze jej znany, dokładnie odmierzający słowa, rozległ się gdzieś za jej plecami. Od jego fałszywej słodyczy zjeżyły jej się włoski na karku. W swoim przerażeniu nie spostrzegła, kto wślizgnął się do środka. Teraz zaś ciepła, miękka dłoń objęła jej szyję.

– Jeśli rzucisz nóż, Kayleigh, pozwolę ci się odwrócić.

W jednej chwili zdała sobie sprawę, skąd dochodzi głos. Potem obudził się w niej instynkt walki, jej dłoń sięgnęła do podwiązki i namacała sztylet. Była jednak zdruzgotana śmiercią Bardolfa i nie mogła już liczyć na pomoc dodatkowej pary męskich rąk. Zza pierwszego z mężczyzn wysunął się potężnie zbudowany brutal i stanął przed nią. Została obezwładniona, a nóż ciśnięto na siennik. Ten drugi, ciężko dysząc przycisnął ją do siebie, chwytając za ramiona, i obrócił twarzą do pierwszego, bardziej „dystygowanego” z napastników.

Był nim oczywiście Straught. Jego przerażające oczy spoglądały na nią zimno. Zadrzała.

– Przyszedłeś tu, żeby mnie zabić, kuzynku Erath? – rzekła cicho. Potrząsnęła głową. – Ty i szajka twoich zbójów. Dobrze pamiętam, jak nagle wyroili się tamtego dnia koło zamku Mhor. Ty tchórze! Ruszyć z całą bandą na dwie dziewczyny!

– Trzeba mi było całej bandy, bo jednak uciekłaś.

– I ucieknę znowu!

– Ach, ale tym razem bez trudu cię złapię! Przepraszam najmocniej, że tak długo cię szukałem. Gdybym jednak wiedział, że czekasz na mnie w tym porcie, bezzwłocznie poniechałbym moich interesów w Mhor i w Londynie. – Straught przeciągnął ciepłym palcem po jej delikatnej szyi, a potem odstaąpił o krok, wycierając go w chusteczkę.

Kestrel drgnęła pod tym dotknięciem, choć pierś trzymającego ją brutala bynajmniej nie stanowiła bezpiecznej opoki. W Chridhe wszystko to budziło jeszcze większą niechęć niż w niej samej. Kotka, którą wciąż trzymała w ramionach, zasyczała gniewnie.

– Cóż mam z tobą począć, Kayleigh? A może Kestrel? Tak cię przecież nazwały te małe ulicznice, kiedy im ciebie opisałem i dałem nieco złota. – Straught śmiał się. – Nie lubią cię, ale jakże trafnie wybrały ci przezwisko! Zwłaszcza po tym, co między nami zaszło. Gdyby nie twój upór, być może ty, ja – i Morna – żylibyśmy sobie teraz całkiem miło w Mhor.

Zmusiła się, żeby na niego nie patrzeć. Nie była w stanie myśleć o Mornie. Nie mogła o niej myśleć, za nic! Nękało ją poczucie winy. Och, jak bardzo pragnęła cofnąć czas! Wszystko zrobiłaby zupełnie inaczej.

Straught obserwował jej reakcję. Zamyślił się i poskrobał w rudawą głowę.

– Mimo wszystko, co się zdarzyło, muszę przyznać, że mam wobec ciebie pewne... rodzinne zobowiązania. W końcu zamierzałem cię kiedyś uczynić... moją żoną. – Zawiesił głos i spojrzał na nią, sprawiając, że zamarła w napięciu.

– Gdybym wiedziała... – zaczęła, lecz on uciął z miejsca:

– Co? Gdybyś wiedziała, że chcę zamordować ciebie i siostrę, to wyszłabyś za mnie?! Ha! Cóż za szlachetność z twojej strony, Kayleigh! Musi cię strasznie martwić, że ci wcześniej tego nie zdradziłem. Wszystko potoczyłoby się inaczej!

– Tak, wszystko! – krzyknęła. – Nie oceniłam należycie, do czego jesteś zdolny, a dziś czuję się winna śmierci siostry. Mogłabym ją przecież ocalić, gdybym wiedziała, co zamýślasz!

Słowa, które Straught teraz wypowiedział, brzmiały łagodnie, wręcz pieszczotliwie:

– Nie mogłabyś, moja miła. Gdybyś się dowiedziała, co zamierzam uczynić, zrobiłabyś to, czego spodziewałbym się po tobie: plunęłabyś mi w oczy, a potem wtrąciła mnie do więzienia. – Uśmiechnął się pośępnie i dodał: – Ale bywa, że wszystko się zmienia. Jakież uczucia żywisz teraz względem swego kuzyna? – Zbliżył się do niej, ona zaś cofnęła się odruchowo. – Tak właśnie myślałem – stwierdził sucho. A potem ze złością ujął ją mocno za podbródek, żeby musiała spojrzeć mu w oczy. – Czy w tym brudzie i smrodzie potrafisz jeszcze zachować wyniosłość?

Nie odpowiedziała. Strach odebrał jej głos.

– Mógłbym zabrać cię ze sobą do Highlands, Kayleigh. Chciałabyś tego? – Puścił jej podbródek, a potem zaczął przechadzać się po izbie, obracając w palcach guziki swego wytworzonego, haftowanego złotem surduta. Jego bogaty ubiór jaskrawo kontrastował z nędznymi domowymi statkami, na tle których stanął. Obrócił się twarzą ku niej i zajrzał jej w oczy. Zdrętwiała.

On zaś ciągnął z uśmiechem:

– Ale, rzecz jasna, wpierw musiałbym uciąć ci język, żebyś nie mogła mówić o tym, o czym mówić nie należy. Mogłabyś jednak wrócić w rodzinne strony. Nie byłoby to takie złe. O zamku Mhor nie krążyłyby wówczas różne dziwne wieści. Pomyśl, jakie by to było wspaniałe! Nikt by cię tam nie przezywał, Kayleigh!

Znowu nic nie powiedziała. Chridhe trącała pyszczkiem pukiel ciemnych włosów. Nieświadoma ludzkiego cierpienia kotka dawała do

zrozumienia swojej pani, że jest głodna. Raptem Straught uznał, że ta sytuacja go bawi.

– Cóż znowu, czy kot zjadł ci język, moja miła? – spytał i zaczął się śmiać. Jego zęby połyskiwały bielą. Kiedy się uspokoił, ciągnął dalej: – No, może ucięcie języka nie wystarczy, bo przypomniałem sobie, że przecież od dziecka potrafisz pisać. Trzeba ci zarazem obciąć i ręce. Chwyć! gwałtownie jej brudną dłoń, ona zaś rzuciła się w tył, uderzając o pierś trzymającego ją brutalą.

– Zostaw mnie! Zostaw, powiadam! – krzyknęła, czując nienawiść do samej siebie za nutę strachu i słabości, jaką usłyszała we własnym głosie.

– Zastanów się, Kayleigh. Dam ci jeszcze jedną szansę. Wolałbym cię nie zabijać. To grzech, pozbawić życia istotę tak uroczą, jak ty. – Zbliżył się do niej, a ona jeszcze raz odskoczyła w tył. Rzekł z kamiennym spokojem: – Moja miła, czemuż to nie pomyślałaś o swoim ojcu? Byłby temu rad. W końcu jestem jego kuzynem. Lubił mnie bardzo i z pewnością wolałby, żebym to ja się tobą zajął, niż żebyś bujała gdzieś po świecie.

– Jak możesz tak łąć! Mój ojciec litował się nad tobą. Byłeś tylko jego ubogim krewnym! Współczuł ci, bo wiecznie brakowało ci pieniędzy i wchodziłeś w komitywę z byle kim! Zostawił ci myśliwski zameczek, bo chciał ci pomóc! Nigdy jednak nie powinien był obdarowywać cię czymkolwiek, skoro odpłaciłeś mu się najgorszą zdradą. Był twoim krewnym, a ty zabiłeś jego córkę, wstrętne bestio! – Ucieszyło ją, że znów czuje gniew. Zrobiła krok w przód, lecz mężczyzna trzymający ją za ramiona, raz jeszcze mocno przycisnął ją do siebie.

– Ty mała nędznico, to ja jestem i zawsze byłem prawowitym dziedzicem Mhor, a nie chłoptas Morny, który aż się palił, żeby przed tą głupią gąską ściągnąć portki!

– To był szlachetny młodzieniec. Uczyniłby ją szczęśliwą... jak zresztą każdą inną – wystąpiła w obronie Duncana.

– Ale ja chciałem uczynić szczęśliwą ciebie! – Straught usiłował powściągnąć swój gniew. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią uważnie. – Z Morną poszłoby mi chyba za łatwo. Kiedy już powziąłem swój zamiar, wiedziałem, z kim musiałbym sobie zadać więcej trudu. Z ciemnowłosą Kayleigh, rzecz jasna! Kiedy widziałem cię ostatni raz, jak biegłaś po zboczach, z suknią w nieładzie i włosami rozwianymi na wietrze, pewien byłem, że jeszcze się kiedyś spotkamy!

Po długiej ciszy zadała mu pytanie, które nękało ją przez cały ten rok:

– Czy ludzie w Mhor wiedzą, co się ze mną stało? Nie położyłeś przecież mego ciała koło powozu, jak zamierzałeś. – Wargi jej zadrżały.

– Kiedy zniknęłaś razem z Bardolfem, rozgłosiliśmy, że wpadłaś do jeziora. Tamtejsi ludzie spodziewają się, że jeszcze wypłyniesz i będziesz straszyć gdzieś na brzegu. Są równie przesądni, jak ja.

– Czegóż się obawiasz? Masz wszystko, czego chciałaś. Knuliś swoje plany, nie bojąc się chyba piekła!

– Nie. Nie wszystko. Nie dostałam ciebie. A ty zawróciłaś mi w głowie, nie przeczę. Gdy teraz na ciebie patrzę, Kayleigh, wiem, że to prawda. – Próbował dotknąć jej policzka, lecz natychmiast strząsnęła z siebie jego dłoń.

– Nigdy mnie nie dostaniesz – wyszeptała.

– Wiem – odparł ze smutkiem. – Chyba zawsze wiedziałem. – Powiódł wzrokiem po nędznej izdebce. – Skoro jednak nie będziesz moja, to nie będziesz należała do nikogo. A skoro należy z tobą skończyć, sam to uczynię. – Straught sięgnął po sztylet i otarł go o swoje atlasowe pludry w kolorze bursztynu. Podszedł do niej.

– Potrafisz każdemu zawrócić w głowie, moja miła. Zawsze taka byłaś i taka pozostaniesz. Od dnia, kiedy się narodziłaś, kiedy po raz pierwszy trzymałem cię w ramionach – ciebie, Kayleigh, bezcenną córeczkę Kerra – przyciągałaś mnie z nieodpartą siłą, rzuciłaś na mnie urok. Zawsze byłaś jedyną rzeczą, jaką nie mogłem zawładnąć, i nawet teraz dałbym nie wiem co, żeby cię posiadać, nawet tak brudną, tak obdartą. Tylko że – tu przerwał i spojrzał na ostrze, pozwalając, by jego koronkowe mankiety opadły wzdłuż dłoni – ja nie zwykłem sypiać z trupami. A coś mi się zdaje, moja miła, że od dawna powinnaś być trupem. – Znów się uśmiechnął, choć tym razem ze smutkiem. To już był koniec.

Mimo całego strachu zdołała dostrzec, że jego uśmiech wyglądał sympatycznie. Tylko że widniał wyłącznie na wargach, bo oczy wyprane były z jakichkolwiek uczuć. Mogła je chyba wzbudzić jedynie śmierć.

– Nie, nie! – krzyknęła, gdy podał nóż swemu kompanowi, który długim, potężnie umięśnionym ramieniem trzymał jej ręce. Choć Chridhe fuknęła z wściekłością, Kestrel zdołała się obrócić. Znalazła się twarzą w twarz z ciemnowłosym osiłkiem o potężnej piersi, który uśmiechał się tępawo. Ostrze noża błysnęło w słabym świetle i zbliżało się ku niej, aż wreszcie niemal werznęło się jej w gardło. Osilek jednak znieruchomiał nagle, a jego zaskoczenie dorównywało zdumieniu Kestrel. Spojrzała w tym samym kierunku, co on. U ich stóp Bardolf wyciągnął rękę ku górze i z całej siły złapał brutala za kostkę. Jakimś zagadkowym sposobem zdołał zebrać resztki uciekających sił, by raz jeszcze ocalić jej życie.

– Przecież on już wyzionął ducha! – ryknął jej przeciwnik i w popłochu cofnął się o krok.

Kestrel, mimo zdumienia, nie zamierzała tracić czasu na rozważania. Śmiercionośne ostrze zachwiało się w dłoni oprawcy. Wystarczył jej jeden mocny szturchaniec, by odepchnąć go i przewrócić. Upadł na plecy i głośno krzyknął. Sztylet wbił mu się prosto w brzuch.

– Erath... jestem ranny! – zawołał, wijąc się z bólu. Rana wyglądała na głęboką, lecz Kestrel sądziła, że nóż raczej utkwiał w grubej warstwie tłuszczu na jego potężnym brzuszysku, niż naruszył jelita.

– Stul głębę, Malcolm, ty tępy głupcze! – Straught błyskawicznie sięgnął po nóż, ale Kestrel okazała się szybsza. Malcolm zawył boleśnie, gdy wyszarpywała dłoń z jego ciała, lecz ona nie zważała na ten ohydny dźwięk. Nim Straught zdążył uchwycić zakrwawioną rękojęść, Kestrel dzierżyła już swój nóż mocno w ręce.

– Kestrel, zmykaj... – Bardolf ostatkiem sił naglił ją do ucieczki. Nie mogła jednak zmusić się, by go porzucić, mimo że tym razem było jasne, iż nie wyżyje. Z jego gardła wydobył się ostry charkot, potem bulgot w piersiach ucichł, a oczy nieruchomo spojrzały w sufit z palmowego listowia. Kestrel pojęła, że Czarny Bardolf Ogilvie zakończył swoją ziemską wędrówkę.

Skoczyła ku Straughtowi, ściskając z całej siły ciepły, lepki sztylet. Zastąpił jej drogę, lecz zdołała mimo to dopaść drzwi i czmychnąć. Kurczowo tuląc do siebie Chridhe, popędziła prosto w mrok.

Wszystko na próżno, rzekła w duchu, gdy usłyszała, że ktoś brnie za nią przez błoto. Biegła coraz szybciej, lecz jej bose stopy z trudnością zdołały wyprzedzać tamte, w wytwornych, skórzanych butach. Miała wszakże jedną przewagę nad kuzynem: znała to miasto.

Przebiegła wzdłuż nabrzeży i rynsztoka rue de Bienville. Leciąły za nią wyzwiska ulicznic, którym obryzgiwała błotem farbowane w indygo spódnice. Mężczyźni rechotali i żartem usiłowali ją złapać. Ona jednak nie chciała dać się schwytać. Przechodniów było jednak coraz mniej i Kestrel rozumiała, że zbliża się do krańców miasta. W oddali dostrzegła wiatrak. Wciąż jeszcze mełł mąkę, a jego skrzydła obracały się powoli w księżycowym świetle.

Pędząc błotnistą ulicą na skraju miasta, skierowała się na zachód, ku niedokończonej jeszcze fosie kopanej przez niewolników. Miała ona stanowić obronę przed atakiem z zewnątrz, obojętnie, indiańskim czy też angielskim. Długi rów pełen wody pokrytej zielonym nalotem był teraz jedyną przeszkodą oddzielającą ją od wolności.

Gdybym tylko mogła znaleźć schronienie na okolicznych mokradłach, pomyślała, nigdy by mnie nie znalazł. Brnęła, skulona, przez zimną i mulistą wodę, mimo że – jak stwierdziła – fosa cuchnęła znacznie

gorzej niż Bayou St. John w czasie lata. Weszła w nią jednak bez wahania, bo wciąż słyszała za sobą tupot butów ścigającego ją zaciekle kuzy-
na, Eratha Straughta.

– Nie masz dokąd pójść, Kayleigh! – Straught zatrzymał się na pochyłym brzegu. Zgodnie z jej przypuszczeniami, nie ośmielił się zanurzyć w wodzie z lęku przed zniszczeniem odzienia. Wołał za nią jedynie:

– Musisz wrócić do miasta, bo zginiesz na tych moczarach, moja miła! Nie potrafisz na nich przeżyć! Mówili mi, że nikt nie potrafi! A jak tylko wrócisz, capnę cię na dobre! Mój przyjaciel, Thionville hrabia de Cassell, roześle za tobą list gończy z wieścią, że to ty zabiłaś starego Bardie! Ot, co! Złapią cię wtedy i wydadzą w moje ręce! Thionville każe cię powiesić! Dostanę cię w końcu! Ani chybi! – Zaśmiał się ironicznie.

– Mijże to na uwadze, piękna Kestrel! Tak czy owak, ja wygram!

Kestrel, przeklinając w myślach jego duszę i posyłając ją do piekła, dotarła do drugiego mulistego brzegu fosy. Wydostała się z niej i tuląc do siebie Chridhe, popędziła triumfalnie ku tonącym w mroku mokradłom.

3

Cały gmach jarzył się od świec. Wzniesiony w modnym stylu Ludwika XV, był jednak nieco bardziej prowincjonalny niż imponujące budowle w dolinie Loary. W Nowym Orleanie uchodził wszakże za wielki pałac, porównywalny jedynie z konwentem Urszulanek. Jego projektant, Pauger, miał powody do dumy. Pałac liczył sobie już trzydzieści lat i tylko raz wzmocniono go od zewnątrz, żeby zapobiec zniszczeniu fasady.

Tego wieczoru żaden ze skwaszonych alzackich dostawców nie podpierał jego ścian ani żaden architekt nie przyglądał mu się uważnie, podziwiając długowieczność budynku. Wydawano tam bowiem przyjęcie. Ciepły blask tysięcy świec bił z okien.

– Skądże pan do nas przybywa, St. Bride? Katarzyna mówiła mi, że przyplłynął pan z Londynu wraz z Erathem. – Hrabia de Cassell uniósł do ust kieliszek szampana, obserwując spod oka tłum gości.

– Tak, udałem się do Londynu, żeby sprzedać bawełnę z plantacji. Mieszkam jednak w Georgii, a ściślej w Sea Islands – odparł St. Bride, rozglądając się, jakby kogoś szukał.

– Nie powiem, by wyglądał pan na... człowieka ze wsi, raczej robi pan wrażenie kogoś z bardziej cywilizowanych okolic. – Hrabia

z uznaniem przyglądał się krojowi stalowoszarego surduta St. Bride'a. Niewątpliwie ten doskonale dopasowany i wspaniale haftowany srebrną nicią strój wyszedł spod ręki londyńskiego krawca. Jego barwa i blask świec nadały oczom gościa szarobłękitny odcień, podkreślając srebrzyste pasma siwizny na skroniach. Jednakże St. Bride nie wyglądał w tym kosztownym ubiorze tak oficjalnie i sztywno, jak inni. Przeciwnie, wydawał się zarazem i odprężony, i w zagadkowy sposób dumny. Był postawny, co budziło szacunek, a jego wysoki wzrost sprawiał, że wszyscy mężczyźni prostowali się odruchowo, mimo że i tak nad nimi górował. Tylko hrabia, człowiek przebiegły, zdawał się odczuwać większy respekt względem inteligencji przybysza niż jego imponującej prezencji.

St. Bride spostrzegł zainteresowanie, jakie w Thionville'u wzbudziło jego odzienie, i wyjaśnił:

– Dostałem niezłe pieniądze za bawełnę... milordzie. – Z sardoniczną emfazą położył nacisk na tytule hrabiego, potem zaś nieznacznie się uśmiechnął, co wyraźnie zmieszało jego niższego wzrostem rozmówcę.

– Proszę, niech pan mówi dalej. Lubię słuchać moich gości. – Tęgi hrabia wyciągnął zza mankietu obszytą lionскими koronkami chustkę i z namaszczeniem wytarł czoło. St. Bride nadal wpatrywał się w niego przenikliwie. – Czy zawsze mieszkał pan w Georgii?

– Tak. Zawsze.

Hrabia uniósł brwi.

– Przecież człowiek pańskiego pokroju...

– Savannah to piękne miasto. Nie widzę powodu, by je opuszczać.

– No, ale tak czy owak przybył pan tutaj. – Stwierdzenie hrabiego było właściwie pytaniem.

– Kiedy już załatwię tu moje interesy, pragnę zostać plantatorem zarządzającym z dala swoją plantacją. Georgia nadal pozostanie moim miejscem stałego pobytu. – St. Bride zmienił nagle temat: – Nie dostrzegł pan Eratha? Powiedział mi, że się tu zjawi, ale wciąż go nie widać.

– Zdaje się, że przyplłynęliście razem na „Bonawenturze”? Od towarzysza podróży można się sporo dowiedzieć, nieprawdaż?

– Owszem. – St. Bride nadal wpatrywał się w tłum. Po chwili zwrócił się do hrabiego:

– Proszę mi wyjaśnić, milordzie... Erath wydaje się kimś dobrze znanym w Nowym Orleanie, a jednak powiedział mi, że przybywa tu po raz pierwszy. Jak mam to rozumieć?

– Monsieur Straught i ja robiliśmy wspólnie pewne interesy. Cenię jego zdanie; jest bystry, rozumny, a właśnie z takim człowiekiem pragnąłbym działać ręką w rękę. Nasza współpraca, niestety, skończyła

się; stanęły temu na przeszkodzie pewne okoliczności. – Uśmiechnął się nieprzyjemnie. – Erath opowiadał mi co nieco o panu. Może jednak dowiem się z pańskich własnych ust, co sprowadza pana do naszej uroczymiejszemu prymitywnej miejsciny?

– Nabyłem plantację leżącą na zachód od Nowego Orleanu. Nazywa się Belle Chasse. Słyszał pan może o niej?

– Belle Chasse? Owszem! Tamtejsze indygo zmarniało. Powiadają, że pchnęło to poprzedniego właściciela do samobójstwa, bo stracił mnóstwo pieniędzy. Odcięto go ponoć od stryczka w jego własnej sypialni. A budowy domostwa wciąż jeszcze nie ukończono! – Hrabia zachichotał. – Obawiam się, *monsieur*, że wystrychnięto pana na dudka. Mam tylko nadzieję, że kupił ją pan za grosze.

– Wręcz przeciwnie, Belle Chasse wraz z niewolnikami kosztowała mnie niemało. – St. Bride obojętnie sączył trunek ze srebrnego pucharka. – Zamierzam dowieść, że warta jest dziesięć razy tyle. Kiedy przelotnie bawiłem w Paryżu, prawnik Launiera rzekł mi, że ten ogromnie się na niej wzbogacił, a samobójstwo, jak się zdaje, było rezultatem melancholii – nie miał bowiem rodziny – ale z pewnością nie braku funduszków!

– Nie wierzę w to! Czyżby tak przedstawiała się prawda? Sam kupiłbym Belle Chasse, gdyby nie te pogłoski...

– Wzbogacę się zatem – przerwał mu St. Bride – właśnie dzięki pogłoskom. Zamierzam tam zasiać bajecznie zyskowną roślinę i szukam paru majątnych ludzi na współdziałalców. Daję słowo, że pod koniec roku dojdą do wielkich pieniędzy.

– A cóż to za bajeczna roślina, *mon ami*? Bardzo jestem ciekaw!

– Maki – wyjaśnił zwięźle St. Bride.

– Maki? – powtórzył zaskoczony hrabia.

– Tak, słyszałem, że przynoszą krociowe zyski. – St. Bride znów pociągnął łyk z pucharka. – Straughta niezwykle frapują moje plany co do Belle Chasse. Mówiłem z nim o tym niejednokrotnie na „Bonawenturze”.

– Co za szczęśliwy zbieg okoliczności! Mnie również one frapują. Lubię lokować moje złoto tam, gdzie może się pomnożyć. – Zielone oczy hrabiego zabłyśły. – Rzecz jasna, wie pan, że ja i Erath jesteśmy przyjaciółmi. Często działaliśmy wspólnie. Czy nie mógłbym się do was przyłączyć? Prawdę mówiąc, *monsieur* Ferringer, miałem już co nieco do czynienia z laudanum. Jeśli zamierza pan zasiać maki, z pewnością chodzi o szczególną odmianę!

– O tak, bardzo szczególną. – St. Bride uśmiechnął się. – Nie mam jednak zamiaru wchodzić z panem w spółkę, milordzie. Być może z czasem zrozumie pan, dlaczego.

– Nonsens! Mam nadzieję, że pana przekonam. Mógłbym pomówić o tym z Erathem. Gdybyśmy doszli do porozumienia, z pewnością doceniłby mnie pan jako współnika.

– Jeśli to panu nie przeszkadza, wolałbym się z tym wstrzymać, póki nie poznam zdania pana Straughta.

– Znakomicie! A tymczasem proszę, by podczas swego pobytu zechciał pan skorzystać z mojej gościnności.

– Dziękuję, milordzie, lecz wraz z Labanem, moim towarzyszem, wyruszamy dziś w nocy do Belle Chasse.

– Ach, *mais non!* Katarzyna będzie niezmiernie rozczarowana. – Hrabia rozejrzał się za córką, którą otaczał krąg wielbicieli. Na jego skienienie wstała z połączanego krzeselka i podeszła ku nim.

W atlasowej sukni kanarkowego koloru, której krynolina była szersza niż każde drzwi pałacu, prezentowała się wspaniale. St. Bride zdawał się jednak tego nie zauważać. Jego wzrok jeszcze raz powędrował ku drzwiom.

– Czekasz pan na kogoś? – St. Bride odwrócił się zaskoczony. Erath Straught wszedł do salonu bocznymi drzwiami, a teraz stanął przy nim, przedtem zdążył jednak złożyć ukłon zbliżającej się do nich Katarzynie.

– *Mon cher* St. Bride, jakże się panu podoba ta nasza wysepka cywilizacji w krainie dzikusów? – Lady Katarzyna z uśmiechem wskazała na wytworne urządzenie sali. Rogi obfitości z miśnieńskiej porcelany wieńczyły parapet kominka, a wyściełane zielonym aksamitem krzeselka stały wokół stołów zdobionych markieterią Boule’a. Rozczarowała ją jednak reakcja St. Bride’a, który najwyraźniej nie podziwiał wystroju tak bardzo, jakby tego chciała.

– Zgadzasz się, że to wyspa. A co do dzikusów... – St. Bride z udaną nonszalancją pociągnął łyk szampana, wpatrując się w Straughta tak uważnie, jakby chciał zapamiętać każdy szczegół jego wyglądu. Buty i pończochy nowego gościa pochłapane były błotem, a u dołu pludrów o barwie bursztynu widniała niewielka, ciemna plama. – Co do dzikusów – ciągnął – zetknąłem się dzisiaj z jednym, choć wcale nie był to Indianin. – Dotknął zabandażowanego nadgarstka, myśląc o ciemnoookiej szkockiej dziewczynie, która go zraniła.

– Owszem, ta mała diabliska z portu okazała się prawdziwą dzikuską. – Straught ze spokojem sięgnął po kieliszek. – Ci ludzie znad rzeki to zgraja wyrzutków, hałastra rodem ze szkockich i irlandzkich więzień. Mogę pana tylko pocieszyć, Ferringer, że nędznicę czeka wkrótce żalosny koniec.

– Nawet w Londynie nie spotkałem nędzarki tak oberwanej. Smutna to rzecz, widzieć młodą kobietę w podobnym położeniu. – Oczy St. Bride’a

błyszczą. Z trudem pohamował rozdrażnienie. Chcąc zmienić temat, spytał Straughta: – Zatrzymał pana jakiś pilny interes?

– Skąd pan wie? – Szare oczy Straughta zwięzły się.

– To po prostu domysł. Cóż innego mogło sprawić, że przybywa pan z opóźnieniem na tak wspaniałe przyjęcie? – Tu St. Bride powiódł ręką po salonie, wskazując na otaczających ich gości w jedwabnych strojach mieniących się wszystkimi kolorami tęczy i obwieszonych klejnotami. Damy gawędziły ze sobą, kołysząc wachlarzami, a mężczyźni wybuchali salwami śmiechu. Była to wspaniała scena, jaskrawo kontrastująca z nędzą ulic poza ścianami pałacu.

– Nie mogłem tego uniknąć. – Straught obojętnie zażył szczyptę tabaki. – Czasem trzeba się poświęcić, żeby osiągnąć cel. Nie uważa pan?

– Całkowicie się zgadzam. – Usta St. Bride’a wykrzywił ironiczny uśmiezek. – Chyba jednak poświęcenie posłużyło panu. Wygląda pan pogodniej niż tam, na statku.

– Nie mogłem się doczekać wpłynięcia do portu. Nie najlepiej znoszę morskie podróże.

Kobieca dłoń spoczęła na rękawie St. Bride’a. Nim zdążył ponownie nawiązać rozmowę ze Straughtem, usłyszał jak ktoś szepcze mu do ucha:

– Niech mi pan pozwoli oprowadzić się po moim uroczym domku! W całej Luizjanie nie ma piękniejszego. – Lady Katarzyna dotknęła pięknie wypolerowanym paznokietkiem szafiru wpiętego w jego koszulę.

– Lękam się, że nic z tego, milady. Laban i ja wyruszamy na plantację dziś w nocy. Najmocniej przepraszam. – St. Bride skłonił się przed nią z uśmiechem. Lady Katarzyna nadała się, co jednak nie zrobiło na nim większego wrażenia, gdyż nagle zaczął się zęgnąć.

– Kiedy będziemy mogli zobaczyć pańską Belle Chasse? – spytał Straught. – Chciałbym jak najprędzej pana odwiedzić. Pamięta pan chyba nasze rozmowy na pokładzie „Bonawentury”? – Wyciągnął rękę, lecz St. Bride odsunął ją, wskazując swoją zabandażowaną prawą dłoń.

– Myślę, że wkrótce. Zawsze będzie pan tam mile widziany, czy to jako gość, czy jako wspólnik. – St. Bride wpatrywał się w posadzkę. – Panie hrabio, proszę się dobrze zastanowić nad swoją propozycją – rzekł dość zagadkowo.

– Cóż za zachłanność! – Hrabia parsknął śmiechem i poklepał go po plecach. – Mam jednak nadzieję, że nakłonię pana do włączenia mnie w swoje plany, bo ja jestem równie chciwy!

– Niechże więc tak będzie – uciał St. Bride.

– A więc nalegam, byśmy szybko ubili interes. – Hrabia obrócił się z szelmowskim uśmiechem ku Straughtowi: – Erath, jak myślisz, jak

skłonić naszego gościa, by wtajemniczył nas w swoje przedsięwzięcie?

– Za odpowiednią cenę, milordzie, każdego można kupić – rzekł Straught z ujmującym uśmiechem. Oczy St. Bride’a zwięzły się.

– Albo sprzedać. – St. Bride pożegnał zebranych sztywnym ukłonem. – Dobrej nocy, milordzie, dobranoc, lady Katarzyno!



– Ten przeklęty hrabia ma chrapkę na Belle Chasse – parsknął St. Bride, zwracając się w stronę Labana. Nim opuścili Nowy Orlean, by wyruszyć w długą drogę do plantacji, przebrał się w strój do konnej jazdy, polecając, by wytworny ubiór przywieziono mu tam później. Obydwaj jechali teraz wąską ścieżką przez mokradła otaczające Missisipi. Poruszali się bardzo powoli, a mizerny kawałek drogi, który zdołali ujechać, przebyli wyłącznie dzięki temu, że księżyc w pełni oświetlał im ją jaśniej niż pochodnia.

– Niech to lichy! Cóż ty zrobił? – Głęboki baryton Labana, pochodzącego z Jamajki, kontrastował z przenikliwymi dźwiękami cykad na bagnach. Jego koń kłusował, mimo że mokradło wsysało z miejsca ślady kopyt.

Jadący obok na znacznie lżejszym wierzchowcu St. Bride odparł:

– Musiałem sobie z nim jakoś poradzić. Co miałem począć? Odmówić mu i wzbudzić tym samym podejrzenia Straughta? On zresztą wciąż mi nie dowierza.

– Nie! Nie! Ale cały ten plan staje się niezmiernie powikłany!

– Tak, wiem.

– Ale to się nie liczy, przyjacielu. Liczy się rezultat. Będiesz go w końcu miał w garści. No bo jeśli wielkiemu księciu Lansdowne się nie powiedzie, któż inny temu podoła?

– O, tak. Jeżeli potęga Lansdowne’a nie spędza, niczym upiór, Straughtowi snu z oczu, to nie ma innego sposobu.

– Tylko że w końcu będzie się miał z pyszna, czyż nie?

– Jeszcze jak! – rzucił sucho St. Bride, najwyraźniej rozdrażniony wspomnieniami z przyjęcia. – Połknął haczyk. Na pokładzie „Bonawentury” nie wydawał się przekonany. Odkąd jednak musiał opuścić Szkocję tylko w tym, co miał na grzbiecie, ogromnie chce zbić majątek. Może gorliwość hrabiego osłabiła nieco jego podejrzenia?

– Masz go w garści, przyjacielu. A że posiadasz wszystko, co sobie ceni Erath Straught, będzie to lepsze od zwykłego poderżnięcia mu gardła.

– Czy zrobiłem, co należało, żeby wpaść w moje ręce? – St. Bride zaśmiał się gorzko.

– Zrobiłeś więcej. Mało kto bardziej zasłużył sobie na wymierzenie mu sprawiedliwości.

– Cóż innego mogłem uczynić? Siedzieć tam, w Scion House, patrzeć na krzeselko przy oknie, gdzie Mary wyczekiwała „swego najmilszego”? Wyglądać spoza aksamitnych kotar, jak ona kiedyś, myśląc cały czas o tym, co mogłem zrobić, żeby wszystkiemu zapobiec? – St. Bride przymknął oczy, jakby nagle targnął nim jakiś wewnętrzny ból. Gdy je znowu otworzył, były zimne i pozbawione wszelkich emocji. – Należało zostać przy niej. Nie powinienem był nigdy wyjeżdżać do Georgii, pozostawiając ją bez opieki.

– Nie mogłeś przecież przewidzieć, co się stanie, przyjacielu.

– Zapewne nie. Tym niemniej Straught to zły duch własnego kraju. Roztrwonił swoje dobra, w tym rodzinny zamek, a Brytyjczycy musieli położyć kres jego handlowi opium. Nadszedł już czas, by zapłacił za swoje sprawki. Nie tylko za to, co uczynił Mary, nie tylko za szafiry, które mi ukradł. Żerował na swoich rodakach, wysyłając tym nieszczęsnym, porażonym klęską góralom z Highlands tyle opium, że można by nim wytruć całą armię. Należy go usunąć, jak złośliwy wrzód. I ja tego dokonam – oświadczył. – Jak diabeł grzechami, tak Erath Kerr Straught tuczy się złotem i ludzką słabością. Jedno wiem o nim na pewno: jego zachłanność jest nienasycona!

Po tej przemowie zapadło długie milczenie. Obydwaj mężczyźni brnęli niegościnnym traktem, póki St. Bride nie spytał:

– Co to za dziwny dźwięk?

Obaj przystanęli.

– Pewnie jakiś duch mokradeł. Doprawdy, to brzmi jak kocie miauczenie. Ale tu przecież nie może być żadnych kotów! – Laban wytarł pot ze swojej gładko wygolonej twarzy. – Chyba nam się zdawało.

Zapadła głucha cisza. Przez chwilę nic nie było słychać i wydawało się, że Laban ma rację. Gdy jednak ruszyli powoli, cichy dźwięk rozległ się ponownie. Dolatywał od strony wierzb na lewym brzegu rzeki.

– Co to może być, do licha? Miauczenie? Może zabłąkane dziecko? Stop, Canis! – Pełnokrwisty wierzchowiec stanął dęba. St. Bride usiłował uspokoić rozdrażnione zwierzę, klepiąc je po lśniącej, czarnej szyi. Kiedy koń stanął w końcu wszystkim czterema nogami na ziemi, St. Bride spytał Labana: – Cóż to przebiegło nam drogę?

– Czarny kot, czy uwierzysz? Ach, to zły znak! I jeszcze to przeklęte błoto! – Z kolei Laban poklepał swojego konia po jego masywnej szyi i spojrział w las. Księżyc przeświecał przez gałęzie magnolii. Z niewielkiej polanki niosło się nieustanne miauczenie siedzącego pośrodku niej kota.

– Z pewnością na tej zaniedbanej plantacji roi się od myszy – St. Bride spojrzął na swego towarzysza.

– A jakże. Kot dałby im nauczkę. – Laban odwzajemnił mu spojrzenie.

– No to do dzieła. Kot na pewno przyda nam się w tym przeklętym kraju. – St. Bride zsiadł z konia. Laban zrobił to samo, przywiązując rumaka do wysmukłego cyprysa.

Podążyli ku polance, w stronę, skąd niosła się żalosna skarga przerażonego zwierzęcia. St. Bride wszedł w kępę woskownicy i nagle przystanął.

– Widzisz ją? – szepnął do niego Laban.

– Boże, to dziewczyna! – rzekł cicho St. Bride. Wzdrygnął się, dotykając drobnego, wilgotnego ciała leżącego pośród gałązek woskownicy.

– Dziewczyna? Martwa? – Laban podszedł bliżej, chcąc lepiej widzieć.

– Nie, czuję, jak drży. – St. Bride odwrócił dziewczynę ku sobie. W świetle księżycy ujrzał jej twarz. St. Bride gwałtownie zaczerpnął tchu.

– To ona! Ta przeklęta mała diablica, która mnie skaleczyła!

– Jesteś pewien?

– Widzisz, jakie ma pięknie zarysowane brwi? I jak jest ubrana? To ona, z całą pewnością. – St. Bride uniósł jej spódnicę, odsłaniając smukłe nogi. Przesiąknięta wodą podwiązka na jednej z nich przytrzymała sztylet. Powtórzył gniewnie: – Mówię ci, że to ona. – Wyciągnął sztylet tkwiący tuż przy jej gładkiej łydce.

– Co mamy z nią zrobić?

– Tylko tego nam brakowało! – St. Bride opuścił spódnicę. Gwałtownie odrzucił morderczą broń daleko na bagna.

– Zostawmy ją.

– Co tu robisz, jak sądzisz? Przecież nie mieszka chyba na moczarach! Erath mówił, że należała do tych ludzi mieszkających w budach nad rzeką. – St. Bride, z rękami skrzyżowanymi na piersi, stał nad dziewczyną, przyglądając się nieruchomemu ciału.

– Nie mam pojęcia, jak się tu znalazła, ale wiem, co jej się stało. Widzisz to? – Laban nachylił się i ujął jej dłoń. Widniały na niej wyraźnie dwa czarne ślady po jadowitych kłach.

– Waż, bez wątpienia.

– Tak. A więc już po niej. – Laban opuścił ręce z rezygnacją. – Chyba nikomu nie będzie jej brakować, jak myślisz?

St. Bride nie odpowiedział. Nie odrywał oczu od dziewczyny. Schylił się po raz ostatni i ujął w palce pasmo wilgotnych, czarnych włosów. Wtedy, jakby czując jego dotknięcie, dziewczyna jęknęła boleśnie.

– Co ona mówi? – spytał Laban.

– Coś o ranku albo może o ranie. – St. Bride pokiwał głową. – Niech to licho! Co za kłopot!

– Chcesz ją zabrać? – spytał Laban zaskoczony.

– Czy możemy ją tak zostawić, niby Straught, który wymierzył jej kopniaka?

– Nie ufałbym jej, przyjacielu. Wygląda jak ta pomarszczona wiedźma z Edynburga, co rzucała uroki! Pamiętasz ją?

– Mówiono, że ma złe oko i potrafi zaszkodzić. Tak, pamiętam. Ale ona była starą jędzą, czarownicą, niepodobną do tej tutaj. – St. Bride wpatrywał się w dziewczynę. Patrzył na delikatną szyję, subtelne obojczyki, bujne piersi. Przyglądał się pięknie rzeźbionym rysom, uwodzieleńskiemu łukowi brwi, drobnemu noskowi, łagodnemu zarysowi warg.

– Tak, ale czarować może tak samo, jak tamta. – Zabobonny Laban cofnął się gwałtownie. – Zraniła cię w rękę, zapomniałeś już?

– Nie – mruknął pośepnie St. Bride, zaciskając zabandażowaną dłoń.

– Skoro ma umrzeć, niech umiera. Ale jeśli wyżyje, odpłacę jej za to!

Laban patrzył z niechęcią, jak St. Bride podnosi nieprzytomną dziewczynę i kieruje się ku koniowi. W końcu podążył za nim, niosąc czarną kotkę, od której wszystko się zaczęło.

– Dobrze zrobiłeś. – St. Bride z uznaniem spojrział na zwierzę. – Może będziemy mieć z niej jakiś pożytek.

– Łatwo ci mówić! – Laban trzymał wprawdzie syczącą kotkę za kark, lecz jej drobne pazurki raz po raz wpijały się w jego potężne ciało.

St. Bride wsiadł na konia, trzymając omdlałą dziewczynę przed sobą. Obrócił się ku Labanowi i rzekł z rozbawieniem:

– Wrzuć tego przekłętego kota do juków, jeśli już musisz. Pomyśl lepiej o mnie! W każdej chwili ona może się ocknąć i spróbować podeźnać mi gardło. Czy chciałbyś się ze mną zamienić?

– Nie. Za nic! – Laban bezceremonialnie wepchnął drapiącą kotkę do skórzanego worka przy siodle. Wskoczył na konia i obydwaj ruszyli ponownie ku Belle Chasse, każdy ze swoim balastem i z własnymi myślami.

4

Co to za nędzne miejsce – orzekł St. Bride, kiedy późną nocą rozglądali się wraz z Labanem po sypialni. Po długiej jeździe przez mokradła dotarli w końcu do Belle Chasse. Obeszli dom wokoło i stwierdzili, że

zbudowano go w typowym francuskim kolonialnym stylu. Miał trzy wielkie pokoje od frontu i trzy od tyłu, gdzie rozciągała się też loggia pokryta tynkiem imitującym marmur. Znajdowały się tam również dwa niewielkie pomieszczenia służące jako miejsce do kąpieli i *nécessaire*, czyli toaleta.

Wokół całego budynku biegła galeria, a pod spodem głęboka, ceglana podmurówka utrzymywała wino w chłodzie, służbę zaś w należytej odległości od państwa. Nie było żadnych korytarzy, wszystkie pokoje bezpośrednio łączyły się ze sobą, a każdy z nich wychodził na galerię. Dlatego też nawet podczas sierpniowej kanikuly najślabszy choćby wietrzyk mógł wiać na przestrzał przez całe wnętrze.

St. Bride nie doceniał jednak, jak się wydawało, pomysłowej prostoty rozplanowania. Na cyprysowych posadzkach, których nie pokryto pokostem, osiadł kurz. Sporo dachówek wymagało wymiany. Gdy wszedł do swojej sypialni, położonej na prawo od salonu, *bousillage*, czyli mieszanina hiszpańskiego mchu i szlamu wypełniająca przerwy między palami, z których wzniesiono ściany, w wielu miejscach prześwitywała spod tynku, tak że pachniało stęchlizną i surowym drewnem. Najgorsze wrażenie robił zaś potężny hak, który Launier, poprzedni właściciel, kazał wbić w belkę wystającą z sufitu nad łóżkiem. Hak był dostatecznie mocny, by utrzymać sznur z ludzkim ciałem.

Prócz tej osobliwości największą uwagę obydwu mężczyzn przyciągało w sypialni łóżko – prowincjonalne łoże z baldachimem zrobione z orzechowego drewna. Stało na samym środku. Z pewnością było francuskiej roboty i nie miało żadnego wezgłowia. Jednakże jego gładkie, zżarte przez robactwo słupki lśniły od wosku, a kotary z jaskrawozielonego ałasu również nie utraciły połysku. Brokatowa kapa w czerwono-złote wzory okrywała pościel. Nad całością zaś zwieszała się zasłona z cieniutkiej, przejrzystej jedwabnej gazy. Mimo delikatnego wyglądu całkiem nieźle mogła chronić śpiącego przed krwiożerczymi moskitami Luizjany.

– Poprzedni właściciel miał niezłego fioła. Nic dziwnego, że odebrał sobie życie. Dach mu się sypał na głowę, a popatrz tylko, jak sypiał! Doprawdy, ci ludzie z Luizjany są stuknięci! – Osobliwy charakter pokoju pobudził St. Bride’a do śmiechu. – Sprowadzają sobie ałasy, a nie potrafią sporządzić najędzniejszego barchanu na własny użytek. W co my wdepnęliśmy, przyjacielu?

– Nie mam pojęcia – mruknął Laban. – Ale dzieją się dziwne rzeczy! Czarne koty na bagnisku, przebogate łoże w ruderze. – Potem dodał, jakby lękał się. – No, może pozory mylą.

St. Bride skinął jedynie głową i wolnym krokiem wyszedł z sypialni, a potem nalał sobie i Labanowi brandy. Obydwaj pili w milczeniu. Chwilę później St. Bride rzekł w zadumie:

– Nie pojmuję, czemu Straught tak się palił do przyjazdu tutaj. Z powodu hrabiego? A może z jakiejś innej przyczyny? Ich handel laudanum spalił na panewce, odkąd Anglicy zajęli statki Eratha w Kantonie.

Laban nic na to nie odrzekł, jakby przewidując, że St. Bride będzie kontynuował swoje rozważania.

– No, sam powiedz, cóż to za ważny interes zatrzymał Straughta dzisiejszego wieczoru? Przysięgłbym, że przyszedł w spodniach poplamionych krwią. Inni mogą sobie myśleć, że to błoto. Ja wiem swoje.

– Myślisz, że wdał się z kimś w bójkę? – Laban wyciągnął skrzyżowane nogi przed siebie i z zadowoleniem sącył brandy.

– Nie mam pojęcia – mruknął St. Bride.

– Moim zdaniem należało mu wpakować kulkę w łeb już wtedy, kiedy odkryliśmy, że jest w Londynie. Byłoby wówczas mniej nieszcześćcia na tym padole.

– Musisz się nauczyć cierpliwości, tak jak ja. Powolna zemsta daje więcej satysfakcji. – St. Bride obrócił w palcach kieliszek ze złocistym trunkiem.

– Pomyśl, ile cię to będzie kosztowało – rzekł przygnębiony Laban.

– Oh, wiem. Spójrz na mnie i bierz ze mnie przykład. – W głosie St. Bride’a zabrzmiał sarkazm. – Z wiekiem jestem coraz bardziej cierpliwy! Gdybym przedtem nie był popędliwym wyrostkiem, nie wykupiłbym cię jak głupiec spod szubienicy dziesięć lat temu. Cóżeś ty właściwie chciał zrobić swemu poprzedniemu właścicielowi tam, na Jamajce? Obciąć mu jaja? – Zagwizdał z cicha.

– Bridlington był okrutnym i podłym tyranem. Świadczą o tym bliźny po chłóście na moich plecach. – Laban spojrzał na St. Bride’a spoде łba, a jego głos przeszedł niemal w falset. – Tylko że był zanadto sflaczały, żeby mu się dało cokolwiek uciąć!

Obydwaj wybuchnęli śmiechem.

– Może to i prawda – przyznał St. Bride, łapiąc w końcu oddech – ale musisz przyznać, że postąpiłem jak wariat, kupując taką nędzną, szkodliwą i niebezpieczną kreaturę, jak ty! Trzeba to złożyć na karb mego młodzińskiego niedoświadczenia.

– Dowiodłem swojej wartości.

– Owszem – odparł sucho St. Bride. – Tylko że każdego ranka musiałem podnosić głos o całą oktawę, żeby zapobiec jakiemuś niedopatrzeniu, no i w ten sposób ubliżałem ci mimo woli.

Znów się roześmieli i śmiali się nadal, póki nie usłyszeli nagłego trzasku.

– Oho, już zaczyna przysparzać kłopotów – rzekł Laban. – St. Bride zeszytniał w fotelu. Gwałtowny, pełen przerażenia okrzyk sprawił, że obydwaj mężczyźni zerwali się i wpadli do sypialni, gdzie położyli dziewczynę. Mała, niedbale odziana niewolnica imieniem Colette, jedna z wielu, które kupiono wraz z domem, usiłowała obezwładnić chorą. Od przewróconej świecy w każdej sekundzie mogła zająć się pościel.

Laban bez trudu zdeptał płomień butami, a St. Bride podbiegł do łóżka, by pomóc borykającej się z dziewczyną półnagiej służącej. Energicznie schwycił majaczącą za ręce i przycisnął je do materaca. Wyrwała mu się, lecz zdołał przynajmniej zapobiec przypadkowemu wzniesieniu przez nią pożaru.

– Kiedy to się zaczęło? – zapytał niewolnicę.

– Właśnie teraz. Ma wysoką gorączkę – odparła drżącym głosem. St. Bride ponownie spojrzął na drobne, skulone w pościeli ciało.

Ciemne sploty okalające twarz były mokre od potu, a policzki pałały żywą czerwienią, odbijając od niezdrowej bledkości czoła. Oczy miała otwarte i nienaturalnie błyszczące, lecz wpatrywała się nimi tępo w odległą ścianę, jakby nic nie widziała. Dotknął jej rozpalonego policzka. Z zakłopotaniem przesunął dłonią po własnych, związanych z tyłu włosach.

– Jak sądzisz, co można dla niej zrobić? – zwrócił się do służącej.

– Jestem tylko kucharką, nie wiem – odparła cicho. Bardziej przypominała wystraszonego królika niż francuską niewolnicę z Gwadelupy.

Druga świeczka migotała słabo na komodzie. St. Bride spojrzął na bladą, ściągniętą twarz dziewczyny, połyskującą w jej świetle. Uspokoiła się nieco, lecz nieustannie poruszała wargami: jad węża i gorączka spowodowały halucynacje. Czarna kotka, wygodnie usadowiona tuż koło swej pani, najpierw syczała ze złością na obydwu mężczyzn, lecz potem jeszcze mocniej wtuliła się w wypchany mchem materac. St. Bride skinął na Colette, która przyniosła właśnie szmaty i dzbanek chłodnej wody z piwniczki.

– Skoro jesteś kucharką, znasz pewnie jakieś zioła, które mogłyby złagodzić jej cierpienia? – I przytknął obandażowaną dłoń do zabrudzonego czoła dziewczyny.

– Mam coś, co powinno jej pomóc. – Colette odstawiła dzbanek i wyciągnęła jakiś lek z wewnętrznej kieszeni przy samym pasie. St. Bride zauważył, że dziewczyna, podchodząc do komody, lekko utyka. Jego wzrok złagodniał, gdy wreszcie spostrzegł, że ma szpotawą stopę.

– Colette, zrób dla niej, co tylko możesz. Wiem, że potrafisz – zachęcał ją dobrotliwie.

Mulatka przytaknęła nerwowo. Wrzuciła jakieś żółte zioła do kubka i pottrzymała go przez chwilę nad świecą.

Wydawało się, że już nic więcej nie można zrobić dla chorej, i St. Bride ruszył ku drzwiom. Nagły, przeraźliwy krzyk sprawił, że zawrócił. Miska z wodą, której Colette chciała użyć do złagodzenia gorączki, upadła na ziemię, gdyż dziewczyna znowu zaczęła się miotać.

– Dość tego... dość! – St. Bride ponownie mocno schwycił jej ude-
rzające o materac ręce. Potem zaś – gdyż wydawało się, że nie ma innej
rady – wskazał ruchem głowy na bandaże, którymi Colette obłożyła czo-
ło chorej, i Laban związał ją tak, by nie mogła się rzucać.

– Wystarczy – szepnął St. Bride, kiedy dziewczyna uspokoiła się
wreszcie. Patrzyła wprost na niego, nie poznając go jednak, lecz gdy się
poruszył, jęknęła:

– Proszę... proszę...

– O co? – spytał zaskoczony.

– Proszę... o ratunek... – Usiłowała poruszyć rękami, lecz więzy trzy-
mały mocno. Wydała wtedy przeraźliwy jęk i zaczęła błagać: – Och,
pomóżcie mi! Ja nie chcę umierać! Nie teraz, kiedy już jestem Kayleigh!
Nie teraz! – Zaczęła głucho szlochać.

Twarz St. Bride'a sposepniała, gdy obserwował jej walkę z banda-
żami. Usiłował ją uspokoić, lecz dopiero po dłuższym czasie popadła
w spowodowane gorączką odurzenie.

– Ja bym się nią zanadto nie przejmował, St. Bride – przerwał wresz-
cie ciszę Laban.

St. Bride odwrócił gwałtownie głowę i zmierzył go spojrzeniem.

– Możesz się nie obawiać! – odburknął gniewnie. Odstąpił od jej
łóżka i pospiesznie wyszedł.

5

Kayleigh otworzyła oczy.

Nie znajdowała się co prawda w Mhor, jej ukochanym zamku, ale
też i nie w nędznej chacie, którą dzieliła z Bardolfem. Wszystko naokoło
było obce. Białe lniane prześcieradła otulały ją miękko, a orzeźwiający,
poranny wietrzyk dolatywał od podwójnych drzwi wychodzących na
galerię. Przez ich szyby mogła dostrzec dwa rzędy wysmukłych drzew.
Nawykła już do tego, żeby cały czas zachowywać czujność, rozejrzała

się bacznie po sypialni, ale stwierdziła, że jest sama. Po drugiej stronie pokoju znajdowały się kolejne drzwi.

Powoli dźwignęła się na łóżku. Spojrzała na swoją opuchniętą dłoń i zobaczyła dwa znaki po wewnętrznej stronie. Zmarszczyła brwi. Przypomniała sobie moczary, węża i kuzyna Straughta, lecz nic poza tym. Raz jeszcze rozejrzała się po pokoju. Gdzie była? Kto ją tutaj przyniósł i zatroszczył się o nią? Nic nie mogła sobie przypomnieć, jakby między nocą, kiedy ukąsił ją wąż, a teraźniejszością ziała mroczna pustka.

Coś otarło się o jej palce u nóg. Dostrzegła u swoich stóp rozciągniętą leniwie Chridhe. Uśmiechnęła się słabo i wyciągnęła rękę, żeby dosięgnąć czarnego futerka kotki.

– Gdzie my jesteśmy, Mo Chridhe? Kto nas tutaj przywiózł? – szepnęła. Ze zdziwieniem dotknęła miękkiej, bawełnianej nocnej koszuli, potem odrzuciła lekką kołdrę i kolejny raz rozejrzała się dookoła, szukając swojego ubrania.

Nawet najprostsze czynności sprawiały jej jednak trudność. Zmusiła się, żeby nie patrzeć na deski podłogi, które najwyraźniej zaczęły falować. Musiała przycisnąć rękami obie skronie, by powstrzymać zawrót głowy. Koniecznie jednak chciała wstać, co w końcu się jej udało, lecz Chridhe nadal wylegiwała się na pościeli.

Kayleigh narzuciła na nią prześcieradło, szepcząc:

– Ty zdradzieckie stworzenie, powinnaś była zejść z łóżka razem ze mną!

Kotka wypełzła spod przykrycia, przewróciła się na grzbiet i przymknęła oczy.

Kayleigh pomału stanęła na nogi. Spojrzała na swoje stopy. Były co prawda nadal chropowate i podrapane, lecz wyszorowano je do różowości. Bez wątplenia ktoś się o nią zatroszczył. Nie mogła oderwać od nich oczu. Od ponad roku nie były takie czyste. Potrząsnęła głową z niedowierzaniem i znów zaczęła rozglądać się za ubraniami. Między oknami stała co prawda szafa z drewna dzikiej wiśni, ale jej otwarte drzwi ukazywały tylko zakurzone, puste wnętrza. Koło łóżka ujrzała orzechowy fotel, lecz na jego wyplatany siedzeniu wisiały jedynie ręczniki.

Gdzie jest moje ubranie? – zastanawiała się. Spojrzała na swoją koszulę. Chociaż piękny zapach i delikatność płótna sprawiały jej przyjemność, wiedziała, że nie może w niej stąd wyjść. W końcu zdała sobie sprawę, że odzienie, które ma na sobie to zwykła męska koszula, i to tak długa, że sięgała jej za kolana. Rękawy zawinięto aż do łokci, ale nie zawiązano tasemek przy szyi, więc koszula była nieprzyzwoicie wydekoltowana.

Przytrzymała ją z przodu drżącymi palcami. Marzyła o tym, by wrócić do miękkiego łóżka z chłodną, czystą pościelą. Wiedziała jednak, że musi się zorientować, gdzie jest i kto się nią zajął. O miejscu jej pobytu mógł w każdej chwili dowiedzieć się Straught, nie powinna więc nigdzie pozostawać zbyt długo. Otworzyła drugie drzwi i rozejrzała się po salonie, lecz i tam nie było nikogo. Unosiła się w nim woń oleju lnianego i terpentyny. Zrozumiała, że podłogę właśnie pociągnięto pokostem, bo stapała po jedwabście gładkich klepkach.

Całe to piękne otoczenie coś jej zaczęło przypominać. Idąc chwiejnie przez salon, próbowała przywołać wspomnienia. Popatrzyła wokoło i powróciła myślami do życia, jakie kiedyś wiodła. Pozlacane konsole z marmurowymi blatami były zupełnie nowe, o czym świadczyły widniejące tu i ówdzie resztki końskiego włosia, w które je zapakowano. Dwie bliźniacze szafy z czerwonego drewna królowały po obydwu stronach pokoju. Na ich gzymsach stały płaskie patery, każda z gołębioszkiej porcelany. Drzwi jednego z tych masywnych mebli stały otworem; miedziane naczynia rozbłysły w ich mrocznej głębi niby pomarańczowe gwiazdy.

Z ciężkim sercem pomyślała o potężnej szafie stojącej w wielkim holu na zamku Mhor. Kiedy obie z Morną były jeszcze małe, mówiła siostrze, że w środku żyje zły duński troll. Kayleigh z początku rozbawiło to wspomnienie, lecz po chwili poczuła ukłucie żalu. Każdego dnia przyrzekała sobie, że nie będzie myśleć o siostrze, lecz wszystkie jej wysiłki okazywały się daremne i bolesne wspomnienia wciąż raniły jej duszę.

Pomyślała, że może znajdzie coś do ubrania w jednej z szaf. Z trudem opanowując zawroty głowy, ruszyła przez salon. Było cicho, a świeży wiatr docierający przez żaluzje z przyległej loggii, niósł z ogrodu zapach magnolii. Nie traciła jednak czasu na napawanie się atmosferą pokoju. Całą swoją uwagę skupiła na tym, by dotrzeć do szafy.

Wreszcie dosięgła jej drzwi. Gdy jednak rozległo się skrzypienie długich, żelaznych zawiasów, nie mogła ukryć rozczarowania. W szafie znalazła jedynie stopy stęchłej bielizny pościelowej i kilka obrusów. Żadnych ubrań. Zgnębiona Kayleigh oparła się o jej drzwi i rozejrzała znów po salonie, zastanawiając się, gdzie mogłaby znaleźć jakąś odzież.

– Patrzysz, co by tu ukraść? – rozległ się za jej plecami głęboki i dźwięczny męski głos, który mógł należeć tylko do dżentelmena. Kayleigh, mimo swego oszołomienia miała wrażenie, że już go wcześniej słyszała. Nagle dreszcz przebiegł jej po plecach. Uderzyła się boleśnie o szafę i odwróciła głowę ku mężczyźnie, który do niej przemówił. Gdy na niego spojrzała, zabrakło jej tchu.

Tak, widziała go już przedtem, tamtego dnia w porcie, a jego krew splamiła jej spódnicę. To było zbyt straszne, by mogło być prawdziwe! W przejściu wiodącym na loggię stał przyjaciel i towarzysz podróży Eratha Straughta, St. Bride.

Patrzyła na niego oniemiała z przerażenia. Przez krótką chwilę sądziła, że się myli, lecz nie mogło być żadnych wątpliwości. Człowiek, który stał przed nią, miał te same, bezwzględne turkusowe oczy, żądające bezwarunkowego podporządkowania i tę sama przystojną twarz, która nawet w portowej ladacznicy mogłaby wzbudzić tęsknotę za romanssem. Jego osobliwe, przyprószone siwizną czarne włosy związane były na karku skórzanym rzemieniem, a wyraz twarzy świadczył o jawnej niechęci. Zdrętwiała.

– To pan! – wyszeptała.

– Ach, więc mnie sobie przypominasz – rzekł sucho, podchodząc ku niej. – Ja ciebie z pewnością nie zdołam zapomnieć. Ile razy spojrzę na moją rękę, prawie łkam z tęsknoty za tobą. – Uśmiechnął się.

– Ja... ja... bardzo tego żałuję. – Spojrzała, czy ktoś nie stoi za nim, pewna, że zobaczy tam swego kuzyna. Loggia była jednak pusta.

– Doprawdy, żałujesz? Na pewno już przedtem napadałaś na ludzi, prawda? – Podszedł jeszcze bliżej.

– Gdzie... gdzie jest mój kuzyn? – spytała, niezdolna dłużej wytrzymać strachu.

– Twój kuzyn? – St. Bride wydawał się zaskoczony. – A któż to taki?

Kayleigh urwała. Ten mężczyzna najwyraźniej nie wiedział, kim była. Nagle z całą jasnością zdała sobie sprawę, że zdołała przeżyć, bo stojący przed nią mężczyzna nie wiedział o jej pokrewieństwie z Erathem Straughtem. Poczowała ulgę, zawroty głowy stały się jednak jeszcze silniejsze. Musiała się o coś oprzeć i niemal zawisła na drzwiach od szafy.

St. Bride, jakby dopiero teraz zauważając jej stan, chciał ją podtrzymać, lecz Kayleigh odstąpiła w tył.

– Nie! Proszę się nie zbliżać! – krzyknęła, z trudem chwytając oddech. Nie chciała, żeby dotykał jej ktokolwiek, kto miał coś wspólnego z kuzynem.

– Powinnaś wrócić do łóżka. Mam sporo do roboty i nie mogę tracić czasu, czekając, aż łaskawie zechcesz zemdleć. – Stał z ramionami skrzyżowanymi na masywnej piersi.

– Chciałam tylko z powrotem dostać moje ubranie. Potem sobie pójde – zapewniła go.

– W łóżku nie potrzebujesz żadnej odzieży. – Podszedł o krok bliżej.

– Nie, nie! Ja chcę stąd pójść! – usiłowała wyslizgnąć się z salonu za jego plecami, lecz schwycił ją łagodnie i zmusił do odejścia od szafy.

– Nie rób głupstw. Czeka na mnie praca. Możemy porozmawiać później. Wracaj do łóżka, Kayleigh.

– Kayleigh? Kayleigh...? – wyszeptała z niedowierzaniem. Spojrzała na niego pociemniałymi ze strachu oczami i zrozumiała, że mógł się dowiedzieć jej prawdziwego imienia tylko od Straughta albo Bardolfa, a Bardolf nie żył. Pozostawała więc tylko jedna możliwość.

Musiała uciekać i była pewna, że gdyby miała choć trochę więcej sił, udałoby się jej to z pewnością. W swoim obecnym stanie potrafiła się zdobyć jednak zaledwie na dwa chwiejne kroki, nim St. Bride złapał ją w pól.

Objął ją tak mocno, że aż rzuciła się w tył, a wtedy jej głowa eksplodowała bólem. Próbowwała przycisnąć dłonie do pulsujących skroni, lecz wtedy od razu straciła równowagę. Przez sekundę widziała, jak ostry kant stołu błyskawicznie zbliża się ku jej głowie.

Nic się jej jednak nie stało, bo dwoje silnych rąk uchroniło ją od upadku. Gdzieś z dala doleciało ją wymamrotane przekleństwo:

– Ty przeklęty głuptasie! – Potem dwoje mocnych ramion podniosło ją i opierając się na nich zdołała dotrzeć do swego pokoju.

– Proszę pozwolić mi odejść... – Czuli, jak kładzie ją na miękkim łóżku, lecz nie mogła mimo wszystko zapomnieć o strachu.

– Ach, znowu „proszę”. – Potrząsnął nią lekko, jakby mógł w ten sposób wydobyć z niej prawdę. – Gdzie się nauczyłaś takich manier, Kayleigh?

– Nazywam się Kestrel! – zawołała, daremnie próbując wyswobodzić się z jego uścisku. Jednak, słaba i zadyszana, mogła co najwyżej spoglądać w jego nieprzejednane oczy. Zdobyła się na odwagę i spytała:

– Kto panu powiedział, że mam na imię Kayleigh?

– Ty sama, kiedy leżałaś tu i majaczyłaś po ukąszeniu przez węża, a sądzę, że bredzisz i teraz. – Odsunął jej ręce. – Leż w łóżku, ty dzikusko, póki nie pozwolę ci z niego wstać.

– Chcę stąd pójść. Proszę mnie puścić!

– Nie masz dokąd iść. Jesteś na plantacji, a między tobą i cywilizowanym światem rozciągają się bagniska. – I, jakby uznał, że to oświadczenie ją uspokoiło, zamierzał wyjść z pokoju.

– Nie! Tak czy owak, chcę stąd pójść! – Uczepiła się kurczowo jego lnianej koszuli.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w jej twarz, a potem przeniósł wzrok niżej, na wycięcie jej zmiętej podczas szarpaniny koszuli. Spod przejrystego batystu prześwitywały różowo jej piersi. Popatrzyła po sobie przerażona. On zaś zdawał się przyglądać jej z uwagą.

Upokorzona, puściła jego ramię, obawiając się, że każdy następny ruch narazi na szwank jej skromność. Spojrzał jej w oczy. Jego wzrok na chwilę złagodniał.

– Kto jak kto, ale ty powinnaś dobrze wiedzieć, że to nie nakłoni mnie wcale do puszczenia cię wolno – błysnął zębami w uśmiechu. Nie chciał jednak dłużej słuchać jej próśb. Z niechęcią strząsnął z siebie jej drobne ręce i wyszedł z sypialni. Ostatnią rzeczą, którą usłyszała, był chrobot rygła w drzwiach.

Co się ze mną stanie? – myślała przygnębiona. Znalazła się w jakimś dziwnym domu na plantacji i zależała od człowieka, który był kompanem kuzyna Straughta. Ile jeszcze zostało jej czasu, nim Erath dowie się, że tu jest? I kim właściwie jest St. Bride? Nie mogła jednak myśleć jasno przy tak przeraźliwym bólu głowy? Zaczęła płakać. Zginie, jeśli zostanie na tej przeklętej plantacji. Była pewna, że Straught w końcu ją znajdzie i że wszystko, co dotąd wycierpiała, pójdzie na marne.

Spoglądając na zaryglowane drzwi, wiedziała, że nie ma już po co wstawać z łóżka. Płakała rozpaczliwie, aż poczuła się zupełnie wyczerpana. Jak to się mogło stać? Bardolf umarł ledwie parę dni temu, a już jakiś inny mężczyzna miał ją w swojej mocy.

6

Czy dzisiaj pozwolimy jej odejść? – rzekł kilka dni później Laban, wchodząc do salonu i rzucając na sofę kapelusz z zawadiacko zagiętym rondem. Na zewnątrz słońce wprost paliło swoim żarem.

– Myślałem o tych klejnotach – odezwał się St. Bride, jakby wcale go nie słuchał. Podeszedł do balustrady galerii i przystanął zamyślony, w głębi chłodnego pokoju.

– Czy dziewczyna ma wrócić do portu? Colette musi zrobić zakupy. Powiedziałem jej, że pojedę z nią do miasta. Mógłbym zabrać tę czarnowłosą diablicę. Mielibyśmy ją z głowy.

– Laban, czy wyznajesz zasadę „oko za oko, ząb za ząb”?

– Czasami, przyjacielu. Co masz na myśli?

St. Bride wskazał cienką, czerwoną linię między kciukiem a palcem wskazującym. Potem jego wzrok powędrował ku drzwiom sypialni, gdzie znajdowała się winowajczyni.

– Myślę, że mógłbym mieć jakiś pożytek z Kayleigh. Chciałbym, żeby coś dla mnie zrobiła, nim pozwolę jej stąd pójść.

– Cóż takiego?

– Chodzi mi o klejnoty. Straught mógł się posunąć nawet do tego, żeby sprzedać je jeszcze na pokładzie „Bonawentury”. Pamiętasz bogatego Amerykanina, który zszedł ze statku na Bermudach? Doszły mnie słuchy, że chciał za nie dać niemało grosza. Wolę się upewnić, czy Straught nadal je ma, nim zaczniemy wciągać go w to na dobre.

– Znakomity pomysł, ale co ma z nim wspólnego dziewczyna? Przecież nie zmusisz jej, żeby go dla ciebie szpiegowała. Nie można jej ufać.

– Nie, nie chodzi mi o szpiegowanie. Tylko o jeden jedyny wieczór. Spilibyśmy Straughta, podsunęli piękną dziewczynę i – tak przynajmniej sądzę – wydobylibyśmy wtedy z niego odpowiedź, o którą nam chodzi. Potem bez trudu moglibyśmy posuwać się dalej.

– Czemu jednak uważasz, że akurat Kayleigh powinna to dla nas zrobić?

– Straught pragnie pięknej kobiety – odparł w zadumie St. Bride. – O niczym innym nie mówił na „Bonawenturze”. Raz wspomniał, dość zagadkowo, że potrzeba mu najbardziej urzekającej niewiasty Nowego Orleanu. A bez wątpienia ta, która siedzi obok w sypialni, jest właśnie taka! – Oczy pociemniały mu, jakby wciąż wspominał utarczkę z poprzedniego dnia. – Nigdy w życiu nie spotkałem powabniejszej kobiety.

– Czy jednak lady Katarzyna nie byłaby lepsza? Tamta nic dla ciebie nie zechce zrobić, przyjacielu. – Laban spojrział z ironią na St. Bride’a. – Niczego – powtórzył.

– Nie chciałbym wchodzić w żadne układy z lady Katarzyną – St. Bride uniósł brew. – Zbyt prędko ożenek nie wyszedłby mi na dobre! – Obydwaj zaczęli śmiać się do rozpuku. Kiedy w końcu ochłonęli, St. Bride ciągnął dalej: – A więc załatwione. Dziewczyna spadła nam jak z nieba. Powinna czuć się zobowiązana względem mnie: nie wydałem jej przecież władzom. No i w dodatku zawdzięcza mi życie!

– A przynajmniej dach nad głową. – Laban przypomniał sobie o czymś. – Tylko że z tego, co mi wiadomo, Straught jest raczej wybredny. Nie wyobrażam sobie, żeby od razu złapał się na byle dziwkę.

– Kayleigh nie wyraża się wcale jak ktoś z rynsztoka. Jeśli jej wszystko wyjaśnimy, jak należy, potrafi go chyba pociągnąć za język. Zważ, że Straught może w końcu tęsknić za Mhor, a ona niewątpliwie pochodzi ze Szkocji, sądząc po jej akcencie. Nie, stanowczo ona jest tym kąskiem, o którym marzył Straught na statku. Im dłużej o tym myślę, tym większej nabieram pewności.

– No cóż, jeśli koniecznie chcesz, przyjacielu... Czy mam po nią pójść?

– Tak. Koniecznie chcę. A więc zgoda. Przyprowadź ją. – St. Bride potarł w zamyśleniu podbródek.



Utkwiła pomiędzy Scyllą a Charybdą. Wystarczy jeden nieostrożny krok, a przepadnie z kretesem. Albo stanie się ofiarą kuzyna, albo zagadkowego człowieka, który stał naprzeciw niej.

Kayleigh spoglądała z ukosa na St. Bride'a. Dano jej suknię z lnia-nej tkaniny farbowanej indygiem i umyto jej głowę. Włosy, czyste i lśniące, okalały jej głowę masą sprężystych, miękkich splotów. Po całym dniu spędzonym w zamknięciu wezwano ją nagle do salonu. Uznała, że to bardzo dziwne. Jednego tylko była pewna: bała się tak samo, jak tamtego dnia, gdy wraz z Bardolfem uciekała spod zamku Mhor.

– Czy czujesz się już lepiej? – spytał St. Bride.

Po chwili skinęła głową. Z trudem przelknęła ślinę i usiłowała zachować czujność, choć obolała głowa ciążyła jej nieznośnie, a ciało wciąż miała słabe po atakach gorączki. Skrzyżowała drżące ręce na piersi i patrzyła przed siebie, na próżno usiłując uniknąć niepokojącego spojrzenia zielonych oczu mężczyzny.

– Ja... ja chciałabym stąd odejść... – zaczęła.

– I odejdziesz. Ale najpierw pragnąłbym, żebyś mi wynagrodziła wyrządzoną szkodę. – Pokiwał przed jej oczami skaleczoną ręką. Potem podniósł się i podszedł do konsoli. Spojrzał na Kayleigh badawczo.

– Zdecydowałem, że nie oddam cię w ręce sędziego. Co ty na to? Co byś powiedziała, gdybym dał ci pękata kieskę złota, a potem puścił wolno?

– Powiedziałabym, że chyba postradał pan zmysły – odparła niechętnie. Uśmiech zaigrał w jego oczach, lecz nie na jego wargach. Onieśmiała ją i wiedział o tym doskonale. Co on, u licha, knuje?

– Czy wyglądam na pomyleńca?

– Trochę. – Usiłowała nie patrzeć w jego stronę. – Czego pan ode mnie chce?

– Żebyś nieco zabawiła jednego z mych przyjaciół.

– Zabawiła... ? – Urwała, czując, że się rumieni. Na Boga! Cóż on sobie myśli? Czy zdaje sobie sprawę, co ona sądzi o podobnej propozycji?

– Wydaje się, że kobiecie twego pokroju nie wyda się on wcale niemiły. Kąpie się regularnie, chociaż – sądząc po stanie, w jakim cię znalazłem – nie przywiązujesz do higieny zbyt wielkiej wagi.

– Nie dbam o to, czy pan się kąpie, czy nie! – krzyknęła z pasją.

– Nie chodzi o mnie!

Czy on z niej kpi? Szyderstwo sprowokowało ją do pytania:

– Nie o pana? – Niesłychane! Ten człowiek śmiał ją namawiać, żeby poszła do łóżka z jakimś jej kamratem!

– Ano, widzisz, jest to ktoś raczej mało mówny – wyjaśnił. – Chcę jedynie, żebyś dowiedziała się od niego czegoś, o czym wie tylko on. Rozumiesz, sprawa jest delikatna. Myślę jednak, że takiej małej kusicielce jak ty, zechce powiedzieć to, czego nie chciał wyjawiać mnie.

– Proszę nie mieszać mnie w swoje sprawy!

– Nie musisz z nim spać – rzekł nonszalanckim tonem St. Bride. – Chcę tylko jednego: wiedzieć, czy ma jeszcze pewne klejnoty, które mi obiecał. Widzisz chyba, że znalazłem się w kłopotliwym położeniu, prawda? Nie mogę go sam zapytać, oznaczałoby to, że mu nie ufam. Tu się właśnie zaczyna twoja rola. Spędzisz z nim po prostu jeden wieczór, a potem pójdziesz sobie, gdzie zechcesz, i nic ci z mojej strony nie będzie groziło.

– A jeśli powiem: nie? Czy wtedy zemści się pan na mnie? – Spojrzała mu prosto w oczy.

– W sposób o wiele gorszy niż to, do czego chcę cię nakłonić. – Zmarszczył brwi i przesunął kciukiem po jej delikatnym policzku. – No, zgódź się, moja miła. Z pewnością robiłaś już dużo gorsze rzeczy za znacznie mniejszą sumę.

– Jak pan śmie! – Oburzona odtrąciła gwałtownie jego rękę. Jej gniew i frustracja sięgnęły szczytu. Nie miała pojęcia, jak wybrnąć z tej potwornej sytuacji. Szybko się opanowała, musi za wszelką cenę uciec z tej plantacji, nim wpadnie w jeszcze większe tarapaty.

– Na pewno spodoba ci się ten dżentelmen, Kayleigh. On także jest Szkotem. Ma zamek w pobliżu Inverness. Wiesz, gdzie to jest, prawda?

Krew napłynęła jej do twarzy.

– Tak, dobrze wiem. – Patrzyła na St. Bride’a z niedowierzaniem. Czyżby miał na myśli jej kuzyna? Co za ironia losu!

– Świetnie! – wykrzyknął. – Będziecie mieli o czym rozmawiać! Polubisz Eratha Straughta, Kayleigh. Słyszałem, że podoba się kobietom. I obiecuję ci solidną nagrodę, jeśli zdołasz go dyskretnie wypytać.

Kayleigh o mało nie padła na posadzkę. Niemożliwe! Wpatrywała się w swego rozmówcę ze zgrozą. Czy on zdaje sobie sprawę, o co ją prosił? Wolałaby już raczej wrócić do Nowego Orleanu, gdzie z pewnością była poszukiwana w związku z zamordowaniem Bardolfa, niż zrobić to, czego od niej żądał St. Bride.

– Dostaniesz sowitą nagrodę, Kayleigh. Co teraz powiesz?

– Nie chcę żadnej nagrody.

– Co takiego?

– Nie dbam o nagrodę i nie zdobędę dla pana tej wiadomości.

St. Bride odchylił głowę w tył i zmrużył oczy.

– Co? Ośmielasz mi się odmówić?

– Nie spełnię pańskiego żądania.

St. Bride nie wiedział, co począć z tym nieoczekiwanym oporem.

Zaczął krążyć po pokoju, przyglądając się jej przenikliwie.

– Jakże to? – rzekł spokojnie. – Dostałabyś przy tej okazji nową, piękną suknię. A prócz tego tyle pieniędzy, ile chyba nie widziałas w ciągu całego roku. Odmówisz mi i teraz, mała złodziejko?

– Odmówię – odparła nerwowo. Nie mogła śledzić go wzrokiem, gdy tak koło niej krążył. W każdej chwili spodziewała się ciosu.

– A gdybym ci obiecał dom – nie, lepiej sklep – w tym zbiorowisku ruder, które zwiecie Nowym Orleanem? Nie chciałabyś i tego? Czyż to nie szczyt twoich marzeń?

Przymknęła oczy, żeby zebrać się na odwagę.

– Nie zrobię tego za żadną cenę.

– Mnie się nikt nie śmie sprzeciwiać, szkocka łobuzico. Wiesz o tym?

Otworzyła szeroko oczy. Najwyraźniej St. Bride był kimś znacznie ważniejszym niż byle plantator, kimś, kto – wedle jego własnych słów – nie zwykł spotykać się ze sprzeciwem.

– A ja się właśnie sprzeciwię! Nie jestem nierządnicą, którą można podsunąć pańskim kompanom! Nikt mnie nie zmusi!

– Co za dumna piękność! Czy zdobędziesz się na podobną wyniosłość, kiedy sędzia każe cię przywiązać do pręgierza?

– Ściągnę wam tego sędziego na głowę!

Po chwili milczenia St. Bride spróbował innej taktyki:

– Jak się znalazłaś na mokradłach? – spytał. – Uciekałaś przed kimś? Czy gonił cię ktoś, kogo okradłaś, a ty uciekałaś na bagna, żeby się tam ukryć? Chcesz, żebym cię odstawił z powrotem do Nowego Orleanu?

– Nie wiem.

– A jakże, nie wiesz. Dobrze sobie! – parsknął cierpko, lecz po chwili złagodniał. – Przestań się wreszcie mnie bać. Mogłabyś tu zostać tak długo, jak zechcesz. Przyodzieję cię i nakarmię.

Och, jakże pragnęła przyjąć jego gościnę! Jakże miała już dość tego wiecznego umykania niby dzikie zwierzę i głodowania! Wystarczyłoby jej miękkie łóżko i czyste, porządne odzienie. Przymknęła oczy na samą myśl o tych niezbyt przecieź wymyślnych dobrach, bez których musiała się obchodzić od tyłu miesiący. Jakże pragnęła przyjąć jego ofertę! Gdybyż tylko nie chodziło o Straughta!

– A co jeszcze, oprócz pokarmu, znajdzie się w moim brzuchu? – szepnęła w końcu, myśląc o swoim nożu, dzięki któremu Straught o mało nie dopiął celu w chacie nad rzeką. St. Bride opacznie jednak zrozumiał jej słowa.

– Nie obawiaj się, że zajdziesz z nim w ciążę. Nie żądam, żebyś z nim spała. Chyba że sama zechcesz. – Uniósł jej palcem podbródek i zmusił, by spojrzała mu w oczy. – Chyba że sprawi ci to przyjemność.

– Przyjemność sprawi mi wolność. – Zmierzyła go wrogim spojrzeniem.

– A więc zrobisz to?

Pokręciła przecząco głową i zacisnęła usta.

– Czy mam podjąć pewne kroki, żeby cię przekonać? – Głos St. Bride’a zabrzmiał groźnie.

– Nie, bo ja się przekonać nie dam.

Najwyraźniej St. Bride nie nawykł do tego, by mu się przeciwstawiano. Krzyknął z wściekłością:

– Laban! Laban!

Potężny czarnoskóry mężczyzna wszedł do salonu od strony loggii.

– Laban – ton St. Bride’a tym razem przejął ją zgrozą – zabierz tę przeklętą ulicznicę do miasta i osobiście przekaz ją sędziemu.

Murzyn podszedł do Kayleigh, która odskoczyła gwałtownie.

– Poczekajcie! – Usiłowała wyswobodzić się z uścisku Labana, żałując nagle swej decyzji. – Czy nie mam innego wyjścia?

– Laban, zabierz ją stąd. – St. Bride obojętnie skinął na służącego.

– Nie! Nie! – błagała. – Niech pan mnie nie odsyła! Po co było ratować mi życie? Żeby wtrącić mnie do więzienia?

– Laban, zabieraj ją – powtórzył St. Bride, patrząc na nią uważnie.

– Nie! – Kayleigh udało się odepchnąć ręce Labana. Wypadła na loggię.

Zbiegła po stopniach i popędziła przez podwórze, lecz Laban zdawał się bez trudu dotrzymywać jej kroku, jakby czekał, aż wyczerpią się jej siły. A wyczerpały się, gdy tylko minęła stajanie. Krzyknęła przeraźliwie, czując, jak napastnik łapie ją i ciągnie z powrotem. Nie był to jednak Laban, tylko sam St. Bride. Kayleigh walczyła zaciekle, ale choroba osłabiła ją, zwisła więc bezwładnie w jego ramionach niby bezradna kotka, niezdolna do dalszego oporu. St. Bride znów uniósł jej podbródek i jej gniewne oczy napotkały jego rozbawione spojrzenie.

– No, jazda! Słyszałem, że sędzia jest szczególnie zawzięty na złodziejki. Nie wiem, czy cię powiesi; nie da się tego przewidzieć. Jeśli męczy go akurat niestrawność, może być bardzo nieprzyjemny!

– Niech mu pan mnie nie wydaje z zemsty! – dyszała. Usiłowała wyrwać mu się, lecz nadaremnie. Była zbyt słaba, a on zbyt silny.

– Wcale nie chcę cię tam odsyłać. Nie zmuszaj mnie do tego. – Czowała na policzku jego ciepły oddech.

– Nie spełnię pańskiego żądania!

– Myślisz, że chcę cię wtrącić do więzienia? Myślisz, że mam ochotę mścić się na tobie? – Przesunął skaleczoną dłońią po jej białej szyi. – Pytasz, czemu ocalałem ci życie? Z pewnością nie po to, żeby patrzeć, jak cię wieszają za tę gładką szyjkę. Ale jeśli odmawiasz...

– Proszę mnie tylko puścić! Niech mi wolno będzie odejść, a nigdy więcej nie wejdę panu w drogę! – Na próżno wyrwała się z jego uścisku. Był jak z żelaza.

– Mam pozwolić ci odejść? Odrzucasz możliwość godniejszego życia w zamian za coś, co zajmie ci tylko jeden wieczór, i domagasz się wolności, żeby wrócić na to przeklęte nadbrzeże, gdzie się na ciebie natknąłem? Powiedz no mi, mała złodziejko, czemuż to kradzież i nieład są czymś o tyle bardziej upragnionym?

Oszołomiona potwarzami Kayleigh mogła tylko patrzeć mu ze zgrozą w oczy. Policzki płonęły jej z gniewu i wstydu. Przez jakiś czas próbowała się hamować, lecz w końcu nie mogła tego dłużej znieść i wybuchnęła:

– Ty nędzniku! Nie jestem dziwką! Niech cię piekło pochłonie za te wyzwiska!

– Ach, wybacz, moje niewiniątko! Jasne, twoja cnota to coś poza wszelkim podejrzeniem!

– A tak! I radzę o tym pamiętać! – Zdołała wreszcie wyswobodzić swoje ramię.

– Istne z ciebie uosobienie dziewictwa, nie ma co! A po nabrzeżu spacerowałaś sobie tylko dlatego, by zaczerpnąć świeżego powietrza! – Jego oczy spoczęły na jej delikatnych, różowych wargach i zdawały się dokładnie badać ich miękką linię. Nagle poczuła jego usta na swoich. Pocałunek trwał jednak krótko, bo szybko uchyliła głowę w bok. – Tak, istotnie zalatusz dziewczicą – mruknął, lecz sarkazm tych słów zranił ją głęboko.

– Wstrętny głupcze! – Po raz ostatni spróbowała mu uciec, lecz spodziewał się tego. Ze śmiechem złapał ją bez trudu i uniósł do góry.

– Widzę, że trafiłem naszą małą Szkotkę w czułe miejsce! – Przybliżył do niej swoją twarz. Spozstrzegła błysk złości w jego turkusowych oczach.

– Postaw mnie na ziemi! – zażądała. Przebierając nogami w powietrzu, coraz mocniej przez niego przyciskana czuła, jak twardy męski tors boleśnie uciska jej piersi. Pomyślała też, że ramię powinno obejmować raczej jej talię, a nie pośladki.

– Tylko nie kop – ostrzegł ją, wyraźnie ubawiony niewygodą, której doznawała. – Nie chcę, żeby taka dzierlatka uczyniła mnie bezużytecznym.

– Postaw mnie. – Nabrała głęboko tchu i udało się jej powściągnąć wybuch. Nie chciała, żeby ktoś obejmował ją i dotykał. W każdym razie nie on. Posunął się stanowczo za daleko.

St. Bride zauważył jej wzgardę i postawił ją z powrotem na ziemi, lecz tak powoli, że pozwoliło mu to zapoznać się dokładnie z całym jej ciałem. Ona zaś równie dobrze poznała jego anatomię. Kiedy ponownie dotknęła stopami posadzki, chciała jak najprędzej przerwać ten fizyczny kontakt, lecz on najwyraźniej miał odmienne zamiary. Wciąż trzymał ją w ramionach, a w jego oczach widać było rozbawienie i jeszcze coś, czego nie umiała wprawdzie określić, lecz co budziło w niej wyraźną niechęć.

– Jesteś wspaniałym łupem, Kayleigh – powiedział zupełnie bez związku.

Instynktownie odepchnęła go od siebie.

– Jest pan jak ci mężczyźni z koszar! Widzi pan tylko to, co chce zobaczyć, i ani trochę nie obchodzi pana, co ja o tym myślę. Proszę mnie nigdy więcej nie dotykać w ten sposób!

Wszedł Laban ze słowami:

– Powóz gotowy.

– Nie! – rzekł sucho St. Bride. – Niech ta przeklęta mała diablica ostudzi trochę swój temperament w piwniczce. Potem ponownie przedłożymy jej naszą propozycję.

Laban ujął ją za ramię i popychając przed sobą, poprowadził przez wykładane cegłą podwórze, obojętny na jej protesty. Nim zniknęła za łukowato sklepiionymi drzwiami piwniczki, odwróciła się jeszcze, patrząc okrągłymi z przerażenia oczami na St. Bride'a, a on zawołał:

– Masz wobec mnie dług, Kayleigh! Pomyśl no dobrze, ile warte jest twoje życie. Zastanów się nad tym, jak niewiele kosztuje uległość!

Miała ochotę krzyknąć ze złości i przerażenia, lecz została wepchnięta do mrocznego pomieszczenia, a drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

7

Byla to piwniczka z winem i z pewnością zastępowała na plantacji więzienie. W każdym razie była równie mroczna. Gdy jednak oczy Kayleigh przywykły do ciemności, dostrzegła stopniowo, co ją otacza. Pod

jedną ze ścian ustawiono osiem baryłek aromatycznego portu. Pod przeciwległą ciągnęły się rzędy półek z pustymi butelkami, które czekały na napełnienie. Przy trzeciej stał obszerny stół, gdzie wino rozlewano do butelek. Czwarta okazała się kratą z kutego żelaza. Ona to właśnie, wraz z zaryglowanymi żelaznymi drzwiczkami, strzegła trunków właściciela przed służbą, a Kayleigh przed ucieczką.

Od ceglanej posadzki zionęło chłodem, niezwykłym na plantacji, lecz Kayleigh osądziła, że to jedyny atut jej więzienia. Przez kilka godzin krążyła po nim, przystając od czasu do czasu, by potrząsnąć żelaznymi drzwiczkami, jakby chciała się upewnić, czy są mocno zamknięte. W końcu zrezygnowana i wyczerpana, osunęła się na posadzkę i oparła głowę na kolanach. Boże, ależ się zmęczyła! Czy ma jeszcze siłę, by walczyć?

Jakiś hałas kazał jej unieść głowę. Ktoś otworzył zbite z drewnianych listew drzwi przyległego pomieszczenia. Do izdebki obok wpadło światło, a kłęby kurzu uniosły się w powietrze niczym srebrzyste obłoczki.

Wszedł tam St. Bride. Stał przed piwniczką z winem, a jego cień padał na miejsce, gdzie siedziała skulona. Przez chwilę milczał zamyślny, potem wziął z kąta taboret i rozsiadł się na nim, przekładając długie nogi w wysokich butach przez pręty krat.

– Zastanowiłaś się już nad moją propozycją? A może noc spędzona tutaj nakłoni cię do decyzji?

– Już ją podjęłam – rzekła hardo.

– Ale nie tę właściwą. – Kayleigh podniosła się z posadzki i stanęła w cieniu półek z butlami.

– Czymże jest chwilka uwodzicielskiego flirtu, Kayleigh? Z pewnością wiesz, że to nic trudnego. Przychodzi ci to przecież z taką naturalnością! – Uśmiechnął się szeroko i uniósł coś do ust. Mimo półmroku dostrzegła, że to kawałek korzenia sasafrasu.

Mierzyła go wzrokiem, rozpaczliwie usiłując odgadnąć jego zamiary. Spostrzegła, że nie ogolił się tego wieczoru, lecz ciemna szczecina podkreślała jedynie biel jego zębów. Wpatrywał się w nią nonszalancko, żując korzeń. Był to raczej gminny zwyczaj, choć St. Bride nie wyglądał wcale na kogoś z pospółstwa. W batystowych koszulach, miększych w dotyku od jedwabiu, i błyszczących butach, z pewnością niemieckiej roboty i na pewno specjalnie dla niego wykonanych, nie robił wrażenia byle kogo.

Z pewnością był jednak człowiekiem bez skrupułów. Sposepniała, widząc z jak wielką przyjemnością gryzie sasafras i obraca go w ustach. Oblizwał wargi, na których pojawił się lekki uśmieszek. Uznała jego ostentacyjne zachowanie za odrażające, choć sama nie wiedziała, dlaczego.

Odrażające... a jednak... pociągające. Wpatrywała się w wąskie usta St. Bride'a jak zahipnotyzowana.

Przygryzła wargę, odwróciła głowę i rzekła:

– Podjęłam decyzję, więc niech się pan stąd zabiera!

– Przyszedłem tu, moja miła, żebyś zrozumiała, że proszę cię o coś bardzo prostego.

– To nie jest proste! – krzyknęła, podchodząc do kraty. Uchwyciła ją obydwoma rękami, dodając:

– To, o co pan prosi, jest niemoralne!

St. Bride, nie spuszczać jej z oczu, wstał, wypluł sasafras na ceglana posadzkę i podszedł ku niej. Wycedził tylko jedno słowo:

– Niemożliwe...? – I nakrył jej zaciśnięte na kratkach dłonie swoimi. Chciała się cofnąć, lecz rzekła sobie w duchu, że nie ma się czego obawiać. Cóż mógł jej zrobić, skoro oddzielały ich od siebie żelazne pręty?

Myliła się.

W jednej sekundzie ich spojrzenia zetknęły się. Poczowała, że wszystkie jej zmysły gwałtownie się wyostriły. Nozdrza wypełniła przenikliwa woń metalu, wina i stęchlizny, a podobne do wroniego krakania wrzaski błękitnych sójek na drzewach pekanowych, zagłuszył przeraźliwy łomot jej serca.

St. Bride spokojnie przybliżył się do niej jeszcze bardziej. Poczowała, że przyciąga ją z jakąś magiczną siłą. Jej usta uniosły się, jakby wbrew woli, ku tamtych, pochylonym nad nią. Nie chciała, by ją pocałował. Było to coś, czego w gruncie rzeczy życzyła sobie najmniej. Gdy jednak te usta zaczęły zbliżać się coraz bardziej, podsunęła mu skwapliwie własne, odchylając głowę ku tyłowi.

Ich wargi zetknęły się, co było zarazem szokujące, radosne i groźne. Zamknęła oczy i głośno jęknęła. Poczowała gorzko-słodki smak sasafrasu i jego usta wzięły ją we władanie. Nie była w stanie się ruszyć. Choć strach naglił ją do cofnięcia się, coś nakazywało jej trwać w bezruchu – coś pulsującego w jej trzewiach, co sprawiało, że nogi uginały się pod nią, kiedy język St. Bride'a sunął wzdłuż jej warg. Czy ten mężczyzna był czarodziejem? W czym tkwiło źródło jego przemożnej siły? Zmusił ją przecież do zrobienia czegoś, o czym nawet nie śmiała pomyśleć.

Chciała się cofnąć. Nim jednak po pierwszej, słabej próbie zdołała to uczynić, puścił jej ręce i począł przesuwać dłonią po jej szyi, zmuszając ją do pozostania na miejscu i do odwzajemnienia mu pocałunku z zapalem godnym rozpustnicy. Przywarła twarzą do żelaznych prętów, przeklinając je za to, że ich rozdzielają. Pragnęła czuć na twarzy jego szorstki podbródek, a nie metal.

– Widzisz, jakie to łatwe?

Otworzyła oczy. Czyżby St. Bride mówił do niej? Czy pocałunek już się skończył? Uniosła jedną rękę do warg, jakby musiała dowieść samej sobie, że to prawda. Spojrzała na niego spłoszona i wyjąkała:

– Co... co ma być ... łatwe?

– Uwiedzenie kogoś. Wiele osób daje się złapać właśnie na coś w tym rodzaju. Uważaj, żebyś sama nie padła ofiarą!

– To nie robi na mnie wrażenia! – odparowała.

Uśmiechnął się lekko.

– W każdym jednak razie jest całkiem miłe, nie uważasz? Doszedłem do wniosku, że byłabyś świetną towarzyszką dla mego przyjaciela Straughta. Mogłabyś go podejść, nie pozwalając, by on podszedł ciebie. – I dodał powoli: – Tak, jak ja właśnie to zrobiłem.

– Ma pan pewność, że to nie ja pana podeszłam?

– No, może niezupełnie. – Rzekł to ze śmiertelną powagą, lecz Kayleigh, stojąc dość blisko niego, dostrzegła figlarny błysk w jego oku, gdy spytał: – Może spróbujemy znowu, żeby się należycie upewnić? – I jego ręka ujęła ją mocno za kark.

– Nie, nie trzeba! – Pospiesznie wyswobodziła się i cofnęła sprzed kraty. Nie chciała dłużej słuchać jego namów, bo był najprzebieglejszym człowiekiem, jakiego spotkała. No i jedynym mężczyzną, któremu udało się ją pocałować. Jeśli nie będzie się mieć wobec niego na bacności, znów może znaleźć się w podobnej sytuacji.

– Widzę, Kayleigh, że jesteś wyjątkowo upartą dziewczyną. Co mam zrobić, żeby cię przekonać? Przecież proszę cię o zupełną drobnostkę. – Ze zmarszczonym czołem obserwował jej twarz.

– Za kogo się pan ma z całą swoją chytryością i władczością?! Nie godzę się na tę propozycję, raz już to powiedziałam i nie będę powtarzać! – Kategorieczna odmowa sprawiła, że w jego oczach błysnęła gniew.

– Zobaczmy, czy jutro rano okażesz się tak samo nieugięta. Założę się, że po spędzonej tu nocy zaśpiewasz inaczej.

– Założę się, że nie. – Skrzyżowała ręce na piersi.

– Ha, świetnie. Tylko tak dalej – rzekł zgryźliwie. – Potrzymam cię tutaj parę dni, póki nie nabierzesz rozsądku i nie zrozumiesz, co dla ciebie dobre. – Wyszedł przez sklecone z listew drzwi, pozostawiając ją w ciemnościach.

Minęło kilka godzin. Spódnica Kayleigh przesiąkła wilgocią, a pobudzona mrokiem wyobraźnia podsunęła jej okropną myśl, że w piwnicze może być waż... albo nawet dwa. Widziała je całkiem wyraźnie, owinięte wokół gąsiorów z winem lub skryte gdzieś w mrocznych

szczelinach pomiędzy półkami. Nie chciała głośno domagać się wypuszczenia na wolność, by nie dać St. Bride'owi pretekstu do snucia względem niej nowych, przerażających planów. Lękając się usiąść, lękając się nawet chodzić, by nie obudzić jakiegoś śpiącego węża, przyłgnęła do kraty, jakby to miało uratować jej życie. Co chwila patrzyła przez ramie na półki, modląc się, by nie dojrzeć w mroku jakiegoś ruchu.

Z ulgą stwierdziła, że drzwi otwierają się po raz wtóry. Nie był to jednak St. Bride, lecz Colette, murzyńska niewolnica, która doglądała jej podczas choroby. Stąpała, jak zwykle sztywno i powoli, niosąc płaską fajansową miskę z jedzeniem. Kiedy podeszła bliżej, Kayleigh dojrzała, że w misce jest kopiasta porcja fasoli z ryżem. Znad smakowicie pachnącego jada unosiła się para. Jednak Kayleigh, choć kiszki grały jej marsza, nie była w stanie jeść. Gdy mała Mulatka sięgnęła po klucz, żeby otworzyć drzwi, Kayleigh zrozumiała, że to jej ostatnia szansa ucieczki. Nie mogła umknąć St. Bride'owi ani jego zaufanemu słudze, Labanowi, ale Colette wyprzedziłaby bez trudu.

Czekała w napięciu, aż Colette, stawiając na ziemi ciężką miskę, otworzy drzwi. Mulatka weszła do środka, utykając, i podała jej naczynie.

– Może postawisz ją na stole? Boli mnie ramię, a miska wygląda na ciężką. – Kayleigh, dla lepszego efektu, zwiesiła rękę, a potem potarła dłonią, jakby naprawdę była obolała.

Colette usłuchała jej, choć z pewną podejrzliwością. Najpierw jednak upewniła się, czy żelazne drzwi są zamknięte, jakby chcąc zniechęcić Kayleigh do próby ucieczki. Nie zniechęciła jej jednak dostatecznie, bo gdy tylko postawiła miskę na stole, Kayleigh rzuciła się ku wyjściu. Była już na zewnątrz, nim Colette zdołała krzyknąć z niedowierzaniem:

– *Non, non, mademoiselle!* Proszę tego nie robić!

Kayleigh widziała jeszcze, jak Colette z trudem usiłuje dokuśtykać do drzwi. Niewolnica wyglądała na śmiertelnie przerażoną. Kayleigh ścisnęło się serce.

– Wybacz mi! – szepnęła, nim wypadła z piwniczki. Jakże chętnie zajęłaby miejsce Colette! Gdyby ze strony St. Bride'a groziło jej tylko bicie, zniosłaby to jakoś, lecz bała się panicznie czegoś o wiele straszniejszego. Jeszcze raz spojrzała przepraszająco na Colette, a potem, nie mając wyboru, czmychnęła.



– No i co z nią poczniesz? – spytał St. Bride'a Laban, z namaszczeniem pochłaniając podany na fajansowym talerzu obiad.

– Sądzę, że ją przekonam. Co ma w końcu do stracenia?

– Nie cnotę, z całą pewnością! – Laban z powagą popijał wielkimi haustami wino.

Nagle do salonu wbiegła Colette, przerywając im posiłek.

– Ach, błagam, panie St. Bride, proszę mnie nie karać! Nie wiem, jak to się mogło stać! Chciałam jej tylko pomóc, żeby się nie męczyła, bo ją bolało ramię! Myślałam, że może się rozchorowała!

– O co chodzi? Na Boga, kobieto, przestań lamentować, przecież nie każemy cię związać i wychłostać! – St. Bride wstał od stołu i potrząsnął nią łagodnie.

– Chciałabym panu wierzyć, ale może pan zmieni zamiar, kiedy się dowie, że ona uciekła! – Colette zwiesiła głowę.

– Uciekła? – powtórzył jak echo St. Bride.

– Czmychnęła? – spytał Laban.

– *Oui* – przyznała zgnębiona Colette. – I chyba jest teraz daleko, bo strasznie długo wchodziłam na te schody – spojrzała ku stopniom loggii. – Myślałam, że jej ramię...

– W porządku, Colette – przerwał jej St. Bride. – Mogło się to zdarzyć każdemu z nas. Kayleigh to doprawdy chytra diablica! Nie musisz robić sobie wyrzutów. – Wyszedł na galerię i spojrzał ku zachodzącemu słońcu. Nad pekanowymi drzewami zapadał już zmierzch, lecz z dala nadciągała masa wiszących nisko ciemnych chmur.

– Czy chcesz, żebym ruszył za nią w pogoń? – doszedł go z tyłu głos Labana.

St. Bride potrząsnął przecząco głową.

– Nie. To sprawa między nami dwojgiem. Sam znajdę tę dziwkę.



Po niecałej godzinie usłyszała za sobą tętent konia. W desperackiej próbie ucieczki przedarła się przez zagony zwiędłego indygo, lecz to, co mówił o plantacji St. Bride, okazało się prawdą. Zewsząd otaczały ją mokradła. Nie mogła uciekać drogą, bo tam pościg zaraz by ją dopadł. Pobiegnęła więc w pola, by w końcu zawrócić, gdyż zaraz za nimi rozpoczęły się bagniska.

Wtedy zaczęło padać.

Lało jak z cebra, a porywisty wiatr szarpał gałęziami dębów, rozsianych z rzadka po plantacji. Przemoczona do nitki, błąkała się bez celu po ścieżynach wśród indyga, łudząc się, że znajdzie jakiś sposób opuszczenia Belle Chasse bez konieczności brnięcia przez bagna lub podążania główną drogą. Możliwość taka malała jednak z każdą chwilą. Kayleigh pragnęła ruszyć na północ; wprawdzie do Fort Maurepas było

daleko, lecz tam przynajmniej nie groziłoby jej spotkanie z sędzią albo nieugiętym właścicielem Belle Chasse. Dół sukni miała już jednak ciężki od błota i z każdą minutą coraz trudniej było jej się poruszać. Wreszcie, wyczerpana do ostateczności, spojrzała ku odległym światłom w oknach domostwa. Wtedy usłyszała tętent.

Z początku był cichy, stłumiony przez odległość i deszcz. Wkrótce jednak przybrał na sile. Towarzyszyły mu głośnie trzaski, gdyż jeździec torował sobie drogę przez niezżęte pole. Zaczęła biec, lecz jej prześladowca, jakby kierowany diabelską przenikliwością, zawsze wiedział, którą ręką pobiegnie. Obojętne, gdzie się skierowała, wciąż słyszała konia zaraz za sobą. Nadal osłabiona po chorobie, nie mogła zająć daleko i choć ze wszystkich sił próbowała umknąć, w końcu została złapana.

– Jak pan mnie znalazł?! – krzyknęła przez strugi deszczu. Koń stanął na tylnych nogach tuż przed nią i zatrzymał się. St. Bride, przemoczony i wściekły, bez słowa zeskoczył na ziemię i schwycił ją wpół. Ani się obejrzała, a już leżała w poprzek łęku siodła i wracała do Belle Chasse.

Szybko, zbyt szybko ujrzeni zamgloną, rozjarzoną światłami sylwetkę domostwa. Gdy St. Bride postawił ją na ziemi, powlokła się ciężko do domu, szukając schronienia przed deszczem. Gdy znalazła się pod dachem, osunęła się bezwładnie na ceglana posadzkę ganku. Znekana i krańcowo wyczerpana czuła, że nie zdoła zrobić ani kroku. Zastanawiała się, jak wiele czasu zajmie St. Bride'owi odstawienie konia do stajni. Nagle dostrzegła, jak zmierzza ku niej wielkimi krokami, z twarzą stężalą od gniewu.

– To już ostatni twój wybryk. – Przetarł mokre od deszczu oczy.

– Jak mnie pan znalazł?

– Zostawiałaś za sobą wyraźny ślad w niezżętym indygu – odparł ze znużeniem.

– Jaka mnie teraz spotka kara? Będzie mnie pan chłostać, póki nie zemdleję, czy postawi pod ściną i zastrzeli?

– Najchętniej wyгнаłbym cię precz prosto w tę szalejącą burzę! – Podszedł krok bliżej.

– No to czego pan tego nie robi? – Oczy błyszczały jej od powściąganego z trudem gniewu.

– Zmieniłem zamiar. A wiesz dlaczego?

– Nie. – Patrzyła wprost na niego. Był już prawie przy niej i nie miała najmniejszego pojęcia, skąd weźmie siły, żeby się przed nim obronić.

– Wolę cię ukarać osobiście! – Z wściekłością zmusił ją, by wstała.

– Nie dotykaj mnie, nędzniku! – Odepchnęła go gwałtownie, przypominając sobie ich pocałunek w piwniczce. Nie nakłoni jej do uległości teraz, kiedy może się bronić.

– Niech cię diabli! Znowu zaczynasz odgrywać damę? Zupełnie jakbyś odmawiała mi tańca na jakimś balu! – Zgrzytnął zębami. – Czy wiesz, co tym razem narobiłaś? Musiałem cię szukać! Sam! Ja, właściciel plantacji! Musiałem na tym deszczu dłużej niż godzinę gonić za złodziejką, a gdybym nie dostrzegł śladu, który zostawiłaś, brnąc przez indygo, pewnie bym cię tam wypatrywał do tej pory! Ciebie, nędznej małej złodziejki, którą wciąż trzeba ratować! Niech cię diabli!

– Co pan ze mną robi? – syknęła.

– Dam ci nauczkę. Zasługujesz na solidne lanie!

– Proszę mnie puścić wolno, chcę stąd odejść! Chcę odejść! – St. Bride już jednak włókł ją po schodach. Potem przełożył ją przez kolano i wydawało się, iż naprawdę bliski jest przetrzepania jej skóry jak nieznośnemu dziecku, lecz zamarł nagle bez ruchu. Spojrzała na niego. Ich oczy się spotkały. Miała wrażenie, iż znowu jest w piwniczce i znajduje się pod działaniem tego samego, nieprzepartego uroku, co dzisiejszego popołudnia. Ich usta zbliżyły się do siebie, jak przyciągane magnetyczną siłą. No proszę, myślała, że czeka ją lanie, a tymczasem była bliska pocałowania go!

Odwróciła gwałtownie głowę.

– Nie – wyszeptwała.

Nie chciała się naginać do jego woli. Nie chciała go całować. Chyba zdał sobie z tego sprawę, bo jego uścisk zelżał.

– Głupio zrobiłaś, uciekając. Czy nie pamiętasz, że już raz o mało nie umarłaś na moczarach?

– Zrobiłam jeszcze coś głupszego – rzekła ze szczerym żalem.

– Spójrz na mnie. – Gdy nie chciała podporządkować się temu życzeniu, ujął ją za podbródek i siłą zwrócił jej głowę ku sobie. – Słuchaj, moja miła, dam ci wybór. Jeśli koniecznie chcesz wracać do Nowego Orleanu, Laban zabierze cię tam jutro. Jeśli jednak nie zamierzasz ponownie znaleźć się w rynsztoku, to możesz zostać tutaj. Potrzebna mi dodatkowa służąca. – Zmarszczyła czoło z namysłem. Nie mogła pozwolić, by Laban zawiózł ją z powrotem do Nowego Orleanu. Dobrze wiedziała, że czeka ją tam w najlepszym razie stryzynek. St. Bride miał słuszność: głupio postąpiła, uciekając. A jeśli spróbuje kolejny raz, istotnie skona na moczarach, była tego pewna. Nie wątpiła o tym ani trochę. Co więc jej pozostaje? Zatrzymać się trochę dłużej na plantacji w charakterze służącej. Jeśli nawet jej kuzyn odwiedzi St. Bride'a, to chyba mu się jakoś wymknie. Na razie jednak będzie bezpieczna. A w międzyczasie, być może, zdoła wybadać, co właściwie łączy St. Bride'a ze Straughtem. Mogło się to okazać użyteczne. Nadal jednak groziło jej niebezpieczeństwo.

– No więc jak, Kayleigh? – St. Bride domagał się odpowiedzi.

– Sama nie wiem. – Popatrzyła na niego, lecz tym razem jego spojrzenie było chłodne i obojętne. Bez ceremonii postawił ją na ziemi i doprowadził do schodów loggii.

– Idę spać i tobie doradzam to samo. Jutro, jeśli się zdecydujesz, Laban zabierze cię do miasta i znowu wylądujesz w rynsztoku. – Jego wzrok ślizgał się po jej przemoczonej odzieży i potarganych włosach. – Pozwolę ci zostać na noc w domu, ale jeśli wolisz, możesz sobie spać w piwnicy na cegłach. – Rzuciła mu pełne złości spojrzenie, lecz najwyraźniej liczył się z tym, gdyż powiedział:

– Nie kłóć się ze mną, dzikusko, nie mam najmniejszej ochoty użerać się z tobą jeszcze raz. – Po tych słowach odwrócił się i wszedł po schodach na górę.

Rozstrzygnięcie kwestii, czy będzie spać w domu, czy nie, nie zajęło Kayleigh wiele czasu. Nie lubiła sypiać na podłodze i rozpaczliwie tęskniła do miłego wygodnego łóżka. Chciała uporządkować wzburzone myśli oraz podjąć decyzję co do swojej przyszłości. Podążyła za St. Bride’em, choć niemal dusiła się ze złości na myśl o jego arogancji. Och, jakże pragnęła utrzeć mu nosa! Miała już powyżej uszu upokorzeń, nazywania jej złodziejką. Gdy tylko wróci do Szkocji lub dokona odwetu na kuzynie, już ona pokaże temu nadętemu Anglikowi! Już ona im wszystkim pokaże!

Pogrążona w myślach, potknęła się na schodach i ledwo zdołała uchwycić się poręczy. Gdy się podniosła, St. Bride stał u szczytu schodów, patrząc na nią z dezaprobatą.

– Nie powinien się pan tak przejmować moim położeniem – rzuciła z sarkazmem. – Będę dobrą służącą. Wybrałam. Zostaję tutaj.

– To ty się powinnaś nim przejmować, moja miła – rzekł zgryźliwie, obejmując spojrzeniem całą jej postać – bo jeżeli znów będę musiał zanieść cię do łóżka, tym razem położę się w nim przy tobie.

– *Nathrach!* – zaklęła po gaelicku. Potem wbiegła najszybciej, jak mogła, po schodach, przemknęła koło niego i zatrzasnęła się bezpiecznie w swojej sypialni.

8

Wizyty należało się wprawdzie spodziewać, lecz nawet w najgorszych snach nie sądziła, że nastąpi ona tak prędko. Następnego ranka stała w loggii, czekając, aż Laban przygotowuje bryczkę, gdy zobaczyła

jeźdźca i powóz. Bez trudu zorientowała się, że na wierzchowcu jedzie Malcolm Quinn. Poznałaby wszędzie tego zezowatego obwiesia rodem z Irlandii, oddanego sługusa Eratha Straughta.

Gwałtownie zaczerpnęła tchu, gdy dojrzała, że zbliża się do tylnego podwórza. Quinn kłusował bez pośpiechu wzdłuż szpaleru drzew. Jednakże to nie jego obojętny wygląd sprawił, że jej serce zaczęło tłuc się w piersi jak oszalałe, a trzymane w kieszeniach dłonie zdrząły. Za nim nadjeżdżał bowiem uroczyste czarne, wynajęty powóz, w którym niewątpliwie siedział jej nieubłagany wróg. W panice straciła kilka cennych sekund na zastanawianie się, czy nie przybywają na plantację z jej powodu.

Usiłując pokonać strach, który chwycił ją za gardło, obserwowała każdy upiorny szczegół aparycji Quinna. Wyglądał na chudsze niż wtedy, gdy widziała go po raz ostatni. Jego puciołowata gęba stała się bledsza, jak u kogoś, kto chorował lub stracił sporo krwi. Kayleigh, rzecz jasna, podejrzewała, że przyczyną było to drugie.

Nagle Malcolm spojrział ku loggii, jakby wiedziony przecuciem, a Kayleigh odskoczyła od żaluzji, modląc się w duchu, by jej nie spostrzegł. Wiedziała jednak, że znalazła się w pułapce: do domu można się było z tej strony dostać tylko przez loggię, była to również jedyna droga ucieczki.

– Laban już zajechał, Kayleigh.

Odwróciła się, przerażona. Za nią stał St. Bride.

– No, zejdź na podwórze. Laban zabierze cię do Nowego Orleanu,

– Do miasta?

– Owszem. Wolno ci odejść, jeśli taka twoja wola.

– Nie, nie – wyjąkała, cofnąwszy się od schodów loggii. Dobry Boże, przecież nie może się tam pokazać! Jej kuzyn pewnie już wysiadł z tego czarnego powozu. Co robić?

– No i na cóż czekasz?

– Ja... ja... – Kayleigh urwała. Musiała koniecznie znaleźć jakiś wykręt, żeby uniknąć zejścia po schodach, a jedynym sposobem była odmowa pojechania do miasta razem z Labanem. – Mówiłam przecież... – zaczęła.

St. Bride spojrział na nią przeciągle, a potem podszedł bliżej.

– O czym ty mówisz?

– Mówiłam, że nie chcę wracać do Nowego Orleanu, tylko zostać tutaj. – Rzuciła ukradkowe spojrzenie przez żaluzje i serce podeszło jej do gardła. Stało się właśnie to, czego się obawiała. Jej najdroższy kuzynek Erath wygramolił się akurat z powozu. Szepnęła z desperacją: – Nie chcę stąd odjeżdżać. Nie mam dokąd iść.

– Trudno mi uwierzyć w twoje słowa po tym, co wcześniej wyprawiałaś. – Przyglądał jej się z wyraźną nieufnością. Kayleigh nie wiedziała, jak

go przekonać, że naprawdę chce zostać jego służącą. Nagle wpadła na szaleńczy wręcz pomysł i uczepiła się go, jak tonący brzytwy. Z desperacją zamknęła oczy i powiedziała coś, co – jak sądziła – mogło go przekonać:

– Nadal jednak nie mam zamiaru uwodzić pańskich przyjaciół.

Zapadła głucha cisza, a kroki człowieka wchodzącego po schodach zabrzmiały w jej uszach niczym podzwonne.

– Coś ty powiedziała, Kayleigh? Że nadal pragniesz uwodzić mnie?...

– Głos St. Bride’a zniżył się do szeptu, a jego oczy zwięzły się do szerokości szparek, tak że ledwie było można dostrzec turkusowe tęczęwki.

– Mówię, że chciałabym tu zostać. Może będę mogła pomagać w domu jako służąca. Och, proszę pozwolić mi zostać! – błagała żałośnie, unikając jego wzroku. Po cóż ja to robię, pomyślała z rezygnacją. Jej kuzyn za chwilę tu wejdzie.

– Goście przyjechali, St. Bride. Czy mam zabrać dziewczynę do miasta? – Laban stał u szczytu schodów. Kayleigh niemalże zachłysnęła się głębokim oddechem, taką ulgę sprawił jej widok jego pogardliwej twarzy.

– Goście? – St. Bride uśmiechnął się, lecz uśmiech ten nie przydał jego przystojnym rysom chłopięcego uroku: sprawił jedynie, że jego oczy nabrały granatowoszarej barwy wzburzonego morza. W ich głębi zatliło się nagle gwałtowne pragnienie, które jednak nie miało nic wspólnego z fizycznym pożądaniem, raczej z gwałtowną chęcią przelewu krwi. Głowiła się, co mogło je wywołać, lecz Laban przerwał jej rozmyślenia.

– Mam jechać z nią do miasta, czy nie?

St. Bride, pocierając podbródek, bił się z myślami, obrzucając spojrzeniem całą jej postać. Wreszcie, jakby dokonując jedynej decyzji, jaką można podjąć w tak krótkim czasie, oznajmił:

– Nie, nie sądzę, żeby Kayleigh musiała akurat dzisiaj nas opuszczać. Z jej własnych słów wnoszę, że zamierza się tutaj zatrudnić. Za-proś zatem pana Straughta wraz z Quinnem na górę. Napijemy się razem czegoś dla ochłody.

Laban spojrział na niego z niedowierzaniem, później zerknął z niechęcią na Kayleigh i wycofał się.

– Jeśli chcesz się do czegoś przydać, to idź do kuchni i powiedz Colette, żeby przygotowała wino i przekąski. Potem je przyniesiesz.

Choć polecenie St. Bride’a było zupełnie jednoznaczne, Kayleigh wiedziała już, jak je obejść.

– Tak, tak! Ale muszę wziąć coś z mojego pokoju. Czy mogę tam przedtem pójść?

– Tylko się pośpiesz. – Podeszedł do okna, obserwując wchodzących do domu gości. – Ale, ale, Kayleigh – dodał z naciskiem – gdybym

naprawdę potrzebował służącej, chciałbym, żeby lepiej się znała na domowych obowiązkach niż ty i żeby wyglądała... mniej powabnie. Pojmujesz, o co mi chodzi?

Skinęła głową, puszczając jego słowa mimo uszu. Myślała tylko o jednym: jak najszybciej ukryć się w sypialni, nim Straught zdąży wejść na loggię i ją zobaczyć.

– A więc dobrze. Ciesz się mnie, że zdecydowałaś się tu zostać. Myślę, że szybko zdołasz sobie zaskarbić moje względy. – I odprawił ją kiwnięciem głowy. Kiedy dobiegła wreszcie do swojej sypialni, kolana się pod nią ugięły.



Dopiero po dłuższej chwili była w stanie zebrać myśli i postanowić, co ma dalej robić. Łowiła uchem ciężkie kroki na schodach, a gdy z loggii przestało już dobiegać szuranie butów, przeszła przez francuskie drzwi na galerię i stanęła tuż za zasłonami oddzielającymi od niej salon. W ten sposób, choć nie mogła uciec, zdołała się przynajmniej ukryć. Liczyła też na to, że choć nie bez ryzyka, dowie się, co właściwie łączy tych ludzi i czy przypadkiem nie będą mówić o niej. Gdyby tak było, wołała raczej umknąć z galerii niż tkwić zamknięta we własnej sypialni jak w pułapce, gdzie w każdej chwili mógł zajrzeć Straught. Nadstawiła więc ucha, usiłując podejść jak najbliżej.

– A więc interesuje to pana? – Zobaczyła, że St. Bride podaje Straughtowi i Quinnowi szklaneczki brandy. Erath tylko umoczył wargi, lecz Quinn wychylił cały trunek dwoma potężnymi haustami, odczekał chwilę, a potem głośno czknął.

– Interesuje mnie, rzecz jasna. Nie chciałbym jednak popełnić żadnego błędu, Ferringer. Wiem wszystko o pańskiej małej plantacji na Wolf Island w kolonii Georgia – Straught wbił wzrok w St. Bride’a, którego jednak wcale to nie onieśmiało. Zrewanżował się gościowi równie natarczywym spojrzeniem, a potem jego wargi rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. Quinn, próbując zachować nonszalancką dezynwolturę, poskrobał się po podbródku.

– A więc? – St. Bride przestał przeszywać gościa wzrokiem.

– A więc myślę, że zna się pan na rzeczy. – Straught zacisnął wargi. – Muszę jednak zobaczyć nasiona. Potrafię rozpoznać dobre nasienie. Nie podejmę żadnej dalszej decyzji, póki nie przekonam się, że sukces jest pewny.

– Pokażę panu nasiona. – St. Bride odsunął sprzed kominka kilka krzeseł o wyplatanych siedzeniach i odsłonił spory, obity skórą kuferek

stojący pod ścianą. Otworzył go mosiężnym kluczykiem i wyjął ze środka kilka paczuszek owiniętych w ryżowy papier.

– Rozwiń je – rozkazał Quinnowi Straught. Ten ukląkł z wysiłkiem i otwierał jeden pakiecik po drugim. Kayleigh, stojąc na galerii, wyciągała szyję, żeby dojrzeć ich zawartość. Początkowo myślała, że to proch strzelniczy, tak maleńkie i ciemnoszare były nasionka.

– Bardzo piękne nasiona – osądził Straught, gdy przyjrzał się już wszystkim, po czym zwrócił się do St. Bride’a: – Są w najlepszym gatunku. Musiały sporo pana kosztować. Ile pan za nie dał?

– Nic. Wziąłem je na kredyt. Dlatego właśnie chciałem jak najszybciej poznać pańską odpowiedź.

– A jeśli ta odpowiedź zabrzmii „nie”?

St. Bride zatrzasnęła wieko kufereka.

– Wtedy nie będziemy już mieli o czym mówić, a ja znajdę sobie współnika gdzie indziej.

– Ma pan pieniądze? – spytał Straught. – Tak czy owak, mój udział wraz z udziałem Thionville’a ledwie zdołają pokryć koszt nasion – wskazał ruchem głowy kuferek.

St. Bride podszedł do gzymsu kominka. Zdjął z niego kilka ciężkich, jedwabnych sakiewek i rzucił Quinnowi. Ten złapał je skwapliwie.

– Trzyma pan całe to złoto tutaj, na plantacji? – Quinnowi niemalże ciekła ślina na widok woreczków. Czyste złoto było rzadką i cenną walutą, o wiele użyteczniejszą niż klejnoty czy papierowe asygnaty. – Zdurniał pan czy co? – spytał St. Bride’a. – Trzeba pamiętać, że to dziki kraj. Byle kto gotów poderżnąć panu gardło za choćby jedną z tych monet, a co dopiero za tyle tysięcy!

– Owszem, mamy sporo kłopotu ze złodziejami, nawet tu, w Belle Chasse – myślę jednak, że możemy sobie pozwolić na podobną nieostrożność.

Przy tych słowach St. Bride’a za plecami Quinna stanął Laban. Pucowałaty Szkot zmierzył wzrokiem obydwu mężczyzn, nadal klęcząc nad kuferkami. Obydwaj wydawali się z tej perspektywy wyjątkowo wysocy i potężnie zbudowani. Pokiwał głową z uznaniem.

– Pojmuję, co pan chciał powiedzieć – mruknął.

– To dobrze. – St. Bride znów się uśmiechnął, odłożył sakiewki na gzyms kominka i rzekł:

– A teraz, Straught, kiedy się pan już ostatecznie upewnił, wyznaję, że chciałbym zrobić to samo. Osądziłem, że wejście z kimś w spółkę przyniesie mi korzyści, lecz wolałbym wiedzieć, czy to odpowiedni ludzie. Nie lubię popełniać błędów.

– Dowiedziałem się, że pańskie plantacje na Wolf Island nie przynoszą dostatecznie dużych zysków, by zdołał pan utrzymać jeszcze jedną. Dziwi mnie więc, że tak panu na niej zależy. – Straught przejechał palcem po krawędzi swojej szklaneczki.

– Choć będzie mnie to kosztowało więcej pieniędzy, niż początkowo sądziłem, nie chcę podejmować pochopnej decyzji.

– A gdybym ja nie chciał dłużej czekać i Thionville także? – prychnął Straught. Widząc jego zdenerwowanie, Quinn dźwignął się z podłogi i obciągnął spodnie.

– Plantacja o takim areale, jak Belle Chasse, pozwoli osiągnąć krociowe zyski. Chyba nawet sam Ludwik XV nie oparłby się podobnej pokusie. Oszacowałem przewidywane zyski i muszę wyznać, że od takich liczb można dostać zawrotu głowy. – St. Bride uniósł brew. – I panu, i hrabiemu pozostaje tylko poczekać.

Kayleigh zerknęła przez szparę i dostrzegła wyraz rozbawienia na twarzy St. Bride'a. Ścisnął też kurczowo dłonią poręcz krzesła, jakby chciał powstrzymać jakiś gwałtowny odruch, choć cała jego postawa i ugrzeczniony uśmiech zdawały się temu przeczyć. Nie mogła się zorientować, czy Straught był jego przyjacielem, czy wrogiem, lecz to, że St. Bride w ogóle chciał mieć z nim do czynienia, wystarczało, by mu nie ufać w pełni.

Och, jakże chciałabym stąd uciec! – pomyślała, nie była jednak w stanie tego zrobić. Mimo braku krat nadal czuła się jak w więzieniu. Cieszyło ją tylko jedno: rozmowa wcale nie dotyczyła jej. Uznała, że to dobry znak. Nadal chciała słuchać, co mówiono w salonie, lecz nagle znieruchomiała. Na przeciwległym krańcu galerii stał potężny mężczyzna i wlepił w nią wzrok. Co prawda już wcześniej widziała w jego spojrzeniu pogardę, lecz nigdy nie patrzył na nią z tak jawną nienawiścią.

– Laban. – Bezgłośnie wymówiła jego imię i odskoczyła od zasłony. Gdy jednak masywny, ważący ponad 120 kilo Murzyn zaczął powoli się do niej zbliżać, strach przykuł jej stopy do ziemi. Przyłapał ją na haniebnym postępku podglądania. Szpiegowała. Znowu była kimś, kto przysparza kłopotów. Daremnie próbowała się poruszyć, Laban schwycił ją za kark. Chciała krzyknąć, ale zrozumiała, że w ten sposób ściągnie na siebie uwagę ludzi w salonie. Laban bez słowa zaciągnął ją do sypialni. Usłyszała stłumione głosy dobiegające zza drzwi. St. Bride i Erath Straught ciągnęli swoją dysputę, nieświadomi niemej walki między nią a czarnoskórym sługą. Laban, nadal milcząc, zamknął na klucz drzwi do salonu.

Potem posadził ją siłą w fotelu z orzechowego drewna, skrzepował nadgarstki sznurowadłami i przymocował do poręczy, obojętny na jej

blagalne spojrzenia. Z grymasem złości przywiązał ją wreszcie całą do fotela, tłumiąc wszelki odruch buntu tak łatwo, jakby była dzieckiem.

Na koniec wyszedł przez drzwi wiodące na galerię i zamknął je za sobą. Słyszała, jak odgłos jego kroków stopniowo cichnie.

– Zostawił mnie, żeby St. Bride sobie ze mną poradził – mruknęła do siebie. Poczowała ulgę, lecz powoli przysła jej do głowy inna myśl: „żeby Straught sobie ze mną poradził!” Z przerażeniem spojrzała na drzwi.



Colette, niosąc tacę z piersiami gołąbków na zimno i figami, wsunęła się do salonu: dyskretnie postawiła cyprysowy stoliczek o wygiętych nóżkach przed St. Bride'em i jego gośćmi. W milczeniu położyła na nim tacę. Wyglądała tak, jakby jej najgorętszym pragnieniem był szybki powrót do kuchni.

– Thionville może tu przyjechać w każdej chwili, żeby obejrzyć plantację. Muszę jednak wiedzieć, ile zamierza zainwestować. Chciałbym też poznać pańskie obliczenia. – St. Bride spojrzał bacznie na Colette, która właśnie podawała im jedzenie.

– Powiadomię go, co postanowiliśmy. Mogę jednak dać panu tylko parę tygodni. – Straught patrzył, jak Quinn ujmuje żółty fajansowy talerz wypełniony po brzegi mięsiwem i zaczyna zajadać.

– Zgoda. Niech mi pan jednak pozwoli spytać o jedno: skąd ten pośpiech? Kiedy rozmawialiśmy na „Bonawenturze”, wydawało się, że jest pan człowiekiem niezwykle zajęтым – zauważył St. Bride.

– Miałem pewne sprawy do załatwienia. Skończyłem już i mogę zająć się czym innym. – Straught kolejny raz spojrzał na Quinna. Wydawało się, że żarłoczność kompana wzbudza w nim wstręt, lecz gdy Malcolm to spostrzegł, uśmiechnął się tylko, ukazując resztki gołąbka w szeroko rozwartych szczękach.

– Załatwił je pan, jak sądzę, tego wieczoru, kiedy wszyscy spotkałiśmy się na przyjęciu u Thionville'a? – spytał z lekką ironią St. Bride. Erath skinął głową.

– Jakie jeszcze interesy pan tu załatwia? – pytanie pozostało bez odpowiedzi. Straught raptownie wstał i zaczął się żegnać.

– Muszę już wracać, Ferringer. Chętnie zostałbym dłużej, żeby lepiej obejrzyć plantację, ale wrócę innym razem. Idziemy, Malcolm!

– Tak, sir. – Quinn szybko odstawił swój talerz i również się podniósł.

– Och, Ferringer – przypomniał sobie Straught, nim zszedł po stopniach loggii – niech pan da te obliczenia przyszłych zysków Malcolmowi. Thionville na pewno będzie chciał je przejrzeć.

– Poszukam ich i prześlę panu przez Quinna. Może się chyba zatrzymać tutaj trochę dłużej? – St. Bride podszedł do szafy w kącie i zaczął grzebać w stosie papierów.

– No, Malcolm, mam nadzieję, że prędko wrócisz. Tylko mi się nie zadaj z niewolnikami. Wiesz chyba, co mam na myśli? – Straught z uznaniem zerknął na Colette, która skuliła się w kątku. Potem pożegnał się pospiesznie i po niecałej minucie powóz zaturkotał na drodze wiodącej do Nowego Orleanu.

– A jakże, panie Straught! – mruknął pod nosem Malcolm. Znów nałożył sobie gołąbka i zaczął łapczywie gryźć mięso, spoglądając spod oka na Colette, póki St. Bride nie położył przed nim rachunków.

– O, proszę, tu są. – St. Bride widząc, że Quinn smętnie przygląda się gołąbkowi, dodał: – Niechże go pan weźmie na drogę. Wygląda pan mizerniej niż na pokładzie „Bonawentury”. Czy Straught dobrze pana traktuje? – Wyglądał jak uosobienie gościnności.

Kiedy Quinn wyszedł z salonu, St. Bride spytał Colette:

– Co się stało z Kayleigh? Kazałem jej podać do stołu. – Ledwie wymówił te słowa, gdy Quinn, wciąż jeszcze w loggii, zakrzuszył się gwałtownie i prędko dopadł karafki z brandy na sąsiednim stoliku. Po przełknięciu dławiącego go kęsa pospieszył z przeprosinami.

– Zasiedziałem się, panie Ferringer, muszę jechać. Serdeczne dzięki za poczęstunek! – rzekł z dziwnym wyrazem twarzy.

– Zasiedział się pan? – powtórzył St. Bride, marszcząc brwi.

– Tak. Panu Straughtowi bardzo zależy na tych obliczeniach. Do widzenia, panie Ferringer. – Quinn, schodząc po schodach loggii, wyglądał na niezwykle uradowanego. St. Bride dostrzegł jeszcze, że co chwila, jadąc wzdłuż drzew pekanowych, obraca się, by spojrzeć na Belle Chasse.

– Co to ma znaczyć? – szepnął zaniepokojony St. Bride.

– Masz znacznie gorszy kłopot, przyjacielu – rozległ się od strony loggii tubalny głos Labana.

St. Bride spytał przez zaciśnięte zęby:

– Gdzie właściwie podziewa się Kayleigh?



– Ach, tu się przyczailiśmy. – St. Bride stał w drzwiach sypialni, patrząc prosto w twarz Kayleigh.

– To nie było tak, jak pan myśli – usiłowała wstać, ale więzy trzymały ją mocno.

– A cóż ja sobie myślę? – St. Bride wszedł powoli do pokoju i z ciężkim łoskotem opuścił żaluzje.

– Myśli pan, że podglądałam, i dziwi się, dlaczego zrobiłam coś podobnego – urwała, widząc, że St. Bride wyciąga zza pasa nóż, lecz z ulgą przekonała się, że chce tylko przeciąć jej więzy. Roztarła obolałe nadgarstki i spojrzała na niego.

– Czy to ja wzbudziłem w tobie niezdrową ciekawość, czy też mój przyjaciel? Rzuciłaś okiem na Eratha Straughta? Doszłaś może do wniosku, że nie prezentuje się najgorzej? I że nie byłoby źle trochę z nim poigrać? – St. Bride wpatrywał się w nią uporczywie.

Odrzuciła głowę do tyłu i oblała się rumieńcem.

– Nie zgodzę się na żadne pańskie plany, obojętne, jak on się prezentuje! Już raz to powiedziałam.

– No, dobrze. – Głos St. Bride’a zabrzmiał pojednawczo. – Na jedno wychodzi, bo widzisz, on ma teraz więcej wrogów niż przyjaciół.

– A pan – zwilżyła językiem wyschnięte wargi – jest jego wrogiem, czy przyjacielem?

– Przyjacielem! Zapamiętaj to sobie, bo może się na niego naktkniesz, gdy wrócisz do miasta! – Poglądził ją po lśniących, ciemnych włosach.

Kiwnęła głową, zbyt przerażona, żeby wydobyć z siebie głos.

– Masz mnóstwo brzydkich nawyków, moja miła, chyba sama wiesz? Kradniesz i kłamiesz. Nie wiedziałem, że do twoich sympatycznych zwyczajów należy również szpiegowanie. Czemuż to znalazłaś się w galerii, zamiast podać do stołu, jak prosiłem?

Nadal milczała.

– Czemu to robiłaś? Chodziło ci o pieniądze, co? – Potrząsnął nią. – Tak czy nie?!

– Nie, nie! Wcale nie – chciała się usprawiedliwić, ale nie dał jej dokończyć.

– Nie dostaniesz ich, Kayleigh, póki sam ci nie dam. I musisz wiedzieć, że muchy łatwiej złapać na miód niż na ocet! Powiódł kciukiem po jej gładkim policzku i mruknął, jakby do siebie: – Och, żebyś tylko nie była taka śliczna. Mój Boże, jeszcze tego mi brakowało!

– Ten człowiek... Erath Straught... – wyszeptala i nagle urwała w pół słowa. Cóż miała mu rzec? Tego się przecież nie dało wyrazić słowami! Gorzej. St. Bride okazał się kimś równie zagadkowym, jak zagadkowe były jego konszachty ze Straughtem. Dopiero teraz dotarło do niej, że znają się całkiem nieźle.

– No więc, co z nim? – rzucił krótko.

– To o niego mi chodziło. Nie o pana. – Słowa jakby bezwiednie wypłynęły z jej ust.

Nagle St. Bride zamilkł. Gdy odezwał się ponownie, jego głos stał się niski i ochrypliwy.

– Słyszałem, że to człowiek, który lubi uciechy cielesne. Uważasz, że jest przystojny?

Gdy znów nie odpowiedziała, spytał:

– Spodobał ci się? Wiem, że robi wrażenie na kobietach. Możesz mi wierzyć, wiem o tym. Nic dziwnego, że zawrócił ci w głowie swoją przystojną, chłopięcą twarzą i eleganckim strojem.

– Nie, nie, ani trochę – powiedziała cicho, choć wolałaby to z całej siły wykrzyczeć.

– Ależ tak, widzę po twoich oczach. – Głos St. Bride’a był teraz oschły.

– Chciałaś tylko rzucić okiem na mego świetnie ułożonego przyjaciela, prawda? Przemyślałaś moją propozycję? Wolałabyś go w łóżku ode mnie?

– Nie! – Zerwała się z fotela. Jego nonsensowne słowa sprawiły, że wpadła w furię. Wiedziała jednak, że nie może stracić nad sobą panowania. Znalazła się w niebezpiecznej sytuacji: musi zachować ostrożność. Chciała, żeby ją zostawił w spokoju, ich rozmowa zupełnie nie miała sensu. To, co St. Bride sobie myślał, tak bardzo mijało się z prawdą! Mogłaby się z tego śmiać, gdyby to wszystko nie dotyczyło Straughta. Kayleigh wybiegła z pokoju.

– Nie biorę sobie tego zbyt do serca. – St. Bride pospieszył za nią i złapał ją na werandzie. Gwałtownie uniósł jej brodę, tak że musiała na niego spojrzeć. Nagle poczuła, że jego twarda dłoń przesuwają się wzdłuż jej pleców. Uśmiechnął się, lecz jakby zgrzyliwie i trochę smutno. – Och, ty przepiękne stworzenie bez serca. Tylko istota z twoją przeszłością może kąsać karmiącą ją rękę, jeśli sądzi, że w ten sposób dopnie swego!

– Myli się pan! Nie chcę jego... ani pana! – krzyknęła bez tchu.

– Dawałaś mi przedtem do zrozumienia co innego. A więc pragniesz moich względów? – Oczywiście St. Bride’a pociemniały. – Wiesz, co sobie myślę? Że należy ci dać nauczkę. Musisz się nauczyć mówić prawdę. A ja w sam raz nadaję się na nauczyciela.

– Nie, błagam, nie! – szepnęła. A potem ich wargi się zetknęły, język St. Bride’a zgłębił każdy zakamarek jej ust, zmuszając ją do ugięcia się przed jego siłą i nieustępliwością. Opierała się, bezskutecznie. Jęknęła, a jej ciało gotowe było na wszystko. Rozsądek tak osłabł, że prawie nie słyszała, co jej podpowiada. Wreszcie jego szeroka dłoń przestała obejmować ją w talii, nakrywając pierś. Doznała wstrząsu, który niemalże pozbawił ją przytomności. Dotykał jej tam, gdzie nigdy nie była dotykana, bezlitosny i okrutny. Pojęła, że jeśli się nie opamięta, stanie się najgorsze.

Zacisnęła zęby na jego języku. Z okrzykiem bólu i zaskoczenia odskoczył od niej.

– Ty dzikusie! – Zasłoniła się przed nim drżącymi rękami, jednakże gładka, biała szyja pozostała nieosłonięta. Jego miękkie dotknięcie sprawiło, że przeniknął ją dreszcz. Ujrzała, jak blizna po zadanej przez nią ranie błyszczy w zmierzchającym świetle.

– Jeśli jestem dzikusiem – tu urwał na moment – to trafiłem na równą mi dzikuskę! – Odsunął się od niej i poszedł wzdłuż galerii, nie oglądając się za siebie, aż wreszcie całkiem zniknął jej z oczu.

9

Doprawdy, jej położenie było rozpaczliwe. Kayleigh przemierzała galerię tam i z powrotem, zastanawiając się, co ma począć. Wsparła głowę o jedną z kolumniek i spojrzała na trakt. To była droga ucieczki. Należało pilnie ją obserwować, bo przecież prędzej czy później ktoś musi tamtędy jechać. Mogłaby poprosić takiego podróżnego, żeby ją ze sobą zabrał. Jediną nadzieję pokładała w tym, że ktoś taki prędko się pojawi.

– *Ici*, mam tu coś dla panienki. – Colette wychyliła się z werandy, przyzywając ją skinieniem ręki do sypialni. Zaciekawiona Kayleigh zdołała jednak dostrzec kątem oka St. Bride’a i Labana, jadących konno wzdłuż szpaleru drzew pekanowych.

– Colette, dokąd oni się wybrali? – Podeszła do balustrady i osłoniła oczy dłonią przed oślepiającym blaskiem popołudniowego słońca.

– *Monsieur* Ferringer i Laban pojechali do tawerny w mieście. Dziś wieczór będą tam świętować, tak mi się przynajmniej zdaje.

– Co mają zamiar świętować? – spytała, domyślając się, że chodzi zapewne o interes ubity z jej kuzynem.

– Nie wiem, nie powiedzieli mi.

– Ha, trudno – rzekła z rezygnacją. Paliała ja jednak ciekawość. Może wzięliby ją ze sobą? Z pewnością zdołałaby im potem uciec! Och, wtedy wszystkie jej zmartwienia na pewno by się skończyły. Prawie wszystkie...

– *Monsieur* Ferringer kazał mi przynieść panience więcej ubrań, bo panienka tu zostanie. – Colette, nie zważając na przygnębienie Kayleigh, weszła do sypialni i rozłożyła przed nią stos sukien przyniesionych z salonu.

Kayleigh, która weszła tam za nią, rzuciła okiem na dwie granatowe spódnice. Chociaż ciężki, lniany materiał był żałośnie zgrzebny, wydały

jej się wspaniałe. Po raz pierwszy od roku miała się w co ubrać i nie musiała wciąż nosić jednej i tej samej sukienki.

Oprócz strojów dostała też parę trzewików i pończoch, a także kilka halek i chusty do osłony dekoltu. Nie był to co prawda zbyt szykowny ubiór dla dziewczyny, która wcześniej chodziła w sukniach z najcieńszego jedwabiu, aksamitu i atlasu, lecz i tak poczuła szczerą wdzięczność.

– Czy to twoje ubrania? Mogę je sobie wziąć? – Kayleigh spojrzała na Colette z poczuciem winy.

– *Non*, to stare rzeczy Babet, praczki. Ona nie jest taka chuda, jak ja.

– Colette uśmiechnęła się, wskazując na swoją szczupłą pierś.

– Nie będzie jej ich brakować?

– Nie, niedawno niemiecka szwaczka z German Coast poszyła nam całe mnóstwo sukien. Te już są niepotrzebne. – Colette zbierała się do wyjścia.

– Poczekaj chwilę. – Kayleigh dotknęła jej ramienia z niepokojem. – Co ci o mnie mówił pan St. Bride? Nie wiem, co właściwie mam tu robić.

– Kazał mi tylko zanieść panience jedzenie i te ubrania. Nic więcej nie wiem.

– Nie powiedział ci, że mam być służącą?

– Nie, panienko. – Colette spuściła oczy.

Kayleigh przygryzła z irytacją dolną wargę. To nie był dobry znak, o nie. Jeżeli St. Bride nie chciał jej tu zatrzymać w charakterze służącej, zamyślał pewnie zrobić z niej swoją kochankę. Sama jest sobie winna. Najwyraźniej przyjdzie jej teraz zapłacić za swoje zachowanie, może nawet już dzisiejszego wieczoru, kiedy St. Bride powróci z miasta.

– Muszę wracać do kuchni, panienko.

– Poczekaj, Colette... tylko jedno pytanie. Czy pan St. Bride ukarał cię za moją ucieczkę? To znaczy, czy on cię...

– Nie, nie, obszedł się ze mną bardzo dobrze, o wiele bardziej był zły na panienkę.

– Nie musisz przede mną niczego ukrywać. – Kayleigh uśmiechnęła się smutno. – Oszukałam cię przecież. Cieszę się, że nie musiałaś pokutować za mój błąd.

– *Oui*, panienko. – Colette miała już wyjść, lecz zatrzymała się tuż przy drzwiach i spytała niepewnie: – Może panienka zjadłaby coś w kuchni?

Kayleigh roześmiała się, choć niezbyt pewnie.

– Owszem, bardzo chętnie. – W nieco lepszym nastroju podążyła śladem Mulatki.



Trochę później, tego samego wieczoru, Kayleigh ponownie poczęła nerwowo krążyć po salonie. Colette nie chciała wyznaczyć jej żadnych zajęć i po skończeniu posiłku, Kayleigh poczuła się w kuchni intruzem. Gdy nad Belle Chasse zaczął zapadać zmrok, powróciła do swojej sypialni. Jej kroki rozbrzmiewały głośnym echem w pustych pokojach, a głowę zaprzętały myśli o tym, co nastąpi po powrocie St. Bride'a.

Znekana opadła na fotel w sypialni i poczęła wpatrywać się w drzwi werandy. Ostatni blask zachodu zaróżowił czubki drzew. Niski, gardłowy śpiew dolatywał od strony chat niewolników za plantacją. Kobiety po powrocie z pól, gdzie uprawiały zagony pod nowe zasiewy St. Bride'a, uciszały płaczące dzieci. Colette umiała rozróżnić rozmaite plemiona pośród mieszkańców niewolniczej wioski – Hitu, Mandingo i Kongo – lecz wszyscy oni byli już drugim albo trzecim pokoleniem zrodzonym na ziemiach Luizjany. Kayleigh, siedząc w zapadającym zmierzchu, zastanawiała się, ilu właściwie niewolników mogło być w Belle Chasse. Odgłosy ich wieczornej krzątaniny wskazywały, że całe setki.

Przez pomalowane na jaskrawozielony kolor żaluzje mogła dostrzec rzekę, która niby olbrzymi, tłusty wąż toczyła powoli ciemne wody ku Nowemu Orleanowi. Mimo woli powróciła myślą do nędznych lepianek nadbrzeżnych. Gdzieś pośród nich spoczywało ciało Bardolfa. Wspomniła go ze szczerym żalem. Dwukrotnie ocalił jej życie, a ona dała mu w zamian tylko niespełnione obietnice. Nie mogła nawet wyprawić mu godziwego pochówku. Ze ściśniętym gardłem błagała go w duchu, by jej wybaczył. Poczuła łzy pod powiekami. Odwróciła w końcu wzrok od rzeki; już sam jej widok był dla niej przykry.

Opuściła sypialnię i jeszcze raz rozpoczęła przechadzkę po salonie, głowiąc się, jak wybrnąć z kłopotów. Nagle, barwny i połyskliwy drobiazg na gzymsie kominka przykuł jej uwagę. Gdy przyjrzała się mu bliżej stwierdziła, że to emaliowany, kobaltowobłękitny naparstek. Wzięła go do ręki. Colette, jak pamiętała, wspominała wcześniej o szwacze. Może należał do niej?

Przyglądała się pięknemu drobiazgowi, który nieodparcie z czymś jej się kojarzył. Wreszcie, po dłuższej chwili, przypomniała sobie. Wiedziała już, co to było.

Naparstek miał dokładnie taki sam odcień kobaltowego błękitu jak jej puderko. I Morny także, pomyślała w zadumie. Z głęboką zmarszczką między brwiami powiodła palcem po jego czubku. Gdzie teraz mogło być puderko? Miała je wciąż w kieszeni, gdy wraz z Bardolfem

uciekąca z Mhor. Posłużyło im jako opłata za podróż do Nowego Orleanu. Któż teraz był jego właścicielem? A może kapitan statku „Deepwater” sprzedał je w jakimś egzotycznym porcie? Obracała naporstek w palcach, choć wolałaby trzymać w nich puderko. Tęskniła za jakąś namacalną pamiątką po bliskich, która pozwoliłaby wspominać, jak bardzo ją kochali i życzyli jej szczęścia.

Powoli jej dłoń zacisnęła się na naporstku. Pragnęła go mieć, bo nie tylko przypominał jej puderko, lecz mógł też skłonić jakiegoś podróżnego, by zabrał ją do Nowego Orleanu. Nagle palce jej zdrząły. Damy nigdy, przenigdy nie kradną! Słyszała niemalże, jak zmarła matka napomina ją z niebios. Boże, o ileż trudniej było jej kraść teraz, kiedy wszystko wokoło przypominało, kim naprawdę była. Nowa suknia i czysta pościel ożywiły wspomnienia o jej dawnym, o ileż szlachetniejszym życiu. Spojrzała na kominek i zmusiła się, żeby odłożyć naporstek na miejsce.

Wnet jednak doszła do wniosku, że nikt nie zauważy jego braku. Szwaczka zapewne kupiła sobie nowy, a St. Bride nigdy nie spostrzeże, że zniknął, bo najwyraźniej zaprzętało go zupełnie co innego.

Odrzuciła się i spojrzała za siebie. Była zupełnie sama. Znow zaczęła przyglądać się naporstкови. Postanowiła przecież za wszelką cenę wrócić do Szkocji. W Highlands może znaleźć ludzi, którzy pamiętają ją i jej rodzinę, może upomnieć się o sprawiedliwą zapłatę za całe zło wyrządzone jej przez Straughta. Tutaj zaś, na zagubionej wśród mokradeł Luizjany nadrzecznej plantacji, tkwi bezradnie niby jagnię czekające na rzeź.

Ta myśl przesądziła o wszystkim. Kayleigh w okamgnieniu wsunęła naporstek do kieszeni. Potem, z udaną obojętnością wzruszyła ramionami i poczęła szukać krzesiwa, by zapalić świecę na kominku.

Pokój wypełniło światło. Spojrzała na werandę, a później na drogę. Nie, tego wieczoru z pewnością żaden podróżny już nią nie przejedzie. Musi czekać do rana. Zrezygnowana, wzięła cynowy lichtarz, zamierzając wrócić do sypialni, gdzie oczekiwało na nią miękkie łóżko.

Powinna się jednak była spodziewać, że to nie koniec niespodzianek tego dnia. Przy wejściu wiodącym z loggii do salonu stał bowiem St. Bride i przyglądał się jej z uwagą.

– Och, wrócił pan? – szepnęła zamierającym głosem. – Nie słyszałam, jak pan wchodził. – Naporstek niemal parzył ją poprzez kieszeń.

– Owszem. Brakowało ci mnie może? – Uśmiechnął się krzywo. Z irytacją dojrzała, że znow żuje kawałeczek korzenia sasafrazu. Spostrzegła też, że choć mówił gładko i bardzo wyraźnie, oczy błyszczały mu znacznie bardziej niż zwykle i trzymał się na nogach dużo mniej pewnie niż wcześniej.

– Napijesz się? – Podszedł do stolika na jednej nóżce i odkorkował karafkę. Spojrzał na Kayleigh z ukosa, ciągnąc dalej: – Mam nadzieję, że brandy w niczym nie urazi twojej... salonowej wrażliwości. – Nieoczekiwanie odrzucił głowę w tył i wybuchnął śmiechem. Kayleigh zatrzęsa się ze złości.

– Nigdy nie piłam brandy!

Wetknął jej szklaneczkę do ręki ze słowami:

– No to dzisiaj sobie gołniesz.

Palce jej zdrząły. Głos St. Bride'a zabrzmiał jak groźba. Spojrzała na niego, lecz on rozsiadł się nonszalancko na kanapie z karafką w ręce.

– Siadaj – zaprosił ją, lecz brzmiało to raczej jak rozkaz. Nie chciała mu się sprzeciwiać, usiadła więc w najbliższym fotelu i patrzyła, jak ssie korzeń sasafrasu. W zamyśleniu przejechał palcem po bliźnie na dłoni, a potem jego zielone jak morska woda oczy przeniosły się powoli na nią. – Niebezpieczna z ciebie niewiasta, moja miła.

Jego słowa prosiły się o odpowiedź, ale Kayleigh, chcąc za wszelką cenę zachować panowanie nad sobą, milczała i pociągnęła łyk brandy. Wzdrygnęła się, bo od trunku zaczęło ją palić gardło, lecz dzięki brandy mogła stawić St. Bride'owi czoło z większą pewnością siebie.

– Cóż z tego? – rzekła w końcu.

– Ano, nic – siadł prosto, przyglądając się jej badawczo. – Ale ja też jestem niebezpieczny. – Po tym oświadczeniu wyciągnął rękę i odebrał jej szklaneczkę. Upił z niej spory łyk, a potem ścisnął ją mocno w ręce.

– Z pewnością źle pan zrozumiał moje słowa dziś rano – odezwała się, czując, że nerwy ma napięte jak struny. – Colette nic nie wie o tym, że chcę tu być służącą.

St. Bride zmienił nagle temat i spytał:

– W jaki sposób się tu znalazłaś, Kayleigh?

– No... pan mnie przywiózł.

– O co innego mi chodzi. Skąd się wzięłaś w Nowym Orleanie?

Oddał jej szklanke, a ona wypiła nerwowo łyk brandy. Czy znowu się widział ze Straughtem? Czy dlatego zadał jej takie pytanie?

– Przyplłynęłam tu ze Szkocji.

– Tak, tak. – Obrócił się ku niej. – Za jakie grzechy cię tu zesłano? Czy byłaś prostytutką w Edynburgu? A może, jeśli lepiej zasięgnę języka, dowiem się, że to piękne ciało należy do morderczyni? – Znienacka zsunął suknię z jej ramienia. Kayleigh cofnęła je szybko i skryła pod chustką, lecz St. Bride zdążył dostrzec skrawek gładkiej skóry.

– Nie mam na sumieniu żadnej zbrodni. Jestem niewinna. Nie zesłano mnie, przybyłam tutaj sama z własnej i nieprzymuszonej woli.

– Sama jedna?
Zamilkła na chwilę.

– Z przyjacielem.

– Gdzie on jest?

– Nie żyje.

– Co? – St. Bride uniósł brew. – Jakże się nazywał?

– Bardolf Ogilvie. – Do czego prowadziły te pytania?

– Czy to właśnie on nauczył cię kraść?

– Wcale nie chciałam kraść, ale nie miałam wyboru. Bardolf się zestarzał, a musiał mieć pieniądze na rum. – Przygryzła wargę. Czemu właściwie zwierza się człowiekowi, któremu nie należy ufać?

– Co zrobiłaś po jego śmierci?

– Nic. Znalazłam się tu i basta. – Poczowała, że nie może już dłużej mówić. Za to St. Bride mógł, jak najbardziej.

– Gdzie żyłaś w Szkocji?

Patrzyła na niego, nie mogąc wydusić z siebie słowa. Nie chciała mu odpowiedzieć, ale nie chciała również, żeby uważał ją za przestępczynię. Zdecydowała więc, że najlepiej będzie powiedzieć mu prawdę, choćby częściową.

– W zamku. W wielkim zamku.

– Posługiwałaś tam, co? A któż był twoim panem?

– Nie miałam pana i nie byłam posługaczką.

– Doprawdy? No więc cóż tam robiłaś? – Znow uniósł brew. Pojęła, co przez to rozumiał.

– Ma pan wstrętne, brudne myśli! Niech się pan wstydzi!

Oburzona, chciała wstać, lecz on wyciągnął ramię i pchnął ją z powrotem na fotel. Siadł na kanapie i wyjął sasafran z ust.

– Masz słuszość. Tak czy owak, wciąż o tobie myślę. – Urwał, pociągając potężny łyk prosto z karafki. – A wiesz, Laban wcale cię nie lubi, moja miła. Sądzi, że powinienem się ciebie pozbyć.

– Może Laban ma rację. – Nie czuła sympatii do tego sługi, ale czarno-skóry mężczyzna był przynajmniej wobec niej szczery i nigdy nie bawił się z nią w kotka i myszkę, jak czynił to teraz St. Bride. Do czegoż on zmierza?

– Gawędziliśmy o tobie w tawernie. – St. Bride patrzył jej w oczy. – Pojechaliśmy tam, żeby obgadać świetny interes, jakiego dobiłem ze Straughtem, a mimo to mówiliśmy tylko o tobie.

– Bardzo dziwne – mruknęła, wsuwając się nieco głębiej w fotel.

– Owszem, bardzo dziwne. – St. Bride wstał i nachylił się nad nią, opierając się o poręcz. – Przyjechałem tu, żeby robić pewne interesy, Kayleigh. Po cóż miałbym sobie zawracać głowę kimś twojego pokroju? – Przybliżył

się do niej jeszcze bardziej. Nagle jego twarz posmutniała, jak u chłopca, któremu odmówiono cukierka. – Co ty na to, żebyśmy się razem zabawili i przestali załazić sobie wzajemnie za skórę?

Tego już było za wiele. Z obrzydzeniem strząsnęła jego rękę z poręczy i wstała.

– Upił się pan – rzekła dobitnie – a w dodatku jest pan najgorszym z zapijaczonych gburów, jakiego kiedykolwiek widziałam. Wolę już wylewać nocniki niż spokojnie znosić tę nędzną namiastkę zalotów!

– Możesz wylewać nocniki i tutaj. Czy to w końcu nie należy do obowiązków służącej?

Spojrzała na niego z pogardą.

– Może i należy, ale ja ani myślę być pańską służącą! – I dodała, spokojniejszym tonem: – Popełniłam błąd, sądząc, że powinnam tu pozostać.

Zaśmiała się.

– A to dopiero! Jasne, że nigdzie stąd nie pójdziesz. Nie teraz, o nie! Masz chyba nie po kolei w głowie, jeżeli sądzisz, że pozwolę ci odejść, jakbyś nic nie była mi dłużna! Nie, dzisiaj rano dokonałaś pewnego wyboru, moja miła, a teraz musisz się do niego zastosować.

– Zgodziłam się zostać służącą. Tylko tyle.

– Służącą, mówisz? – Nachylił się nad nią groźnie. Spojrzała na niego oczami rozszerzonymi od strachu. – Mnie potrzeba wyłącznie osobistej służącej. No i co ty na to?

– Osobistej służącej? Nie będę nią! – wypaliła, cofając się o krok.

– No to się wynoś! – krzyknął. – Ale przedtem oddaj suknię!

– To moja suknia! – Ręka Kayleigh powędrowała do piersi.

– Nie, właśnie, że moja! Ja za nią zapłaciłem. Nie wybrałbym jej co prawda, pragnąc cię wystroić, ale tak czy inaczej należy do mnie. Nie zasługujesz nawet na taką suknię. Zasługujesz tylko na stryczek. A więc zwróć mi ją. – Wyciągnął rękę.

– W takim razie gdzie jest moje ubranie? Proszę mi je oddać w zamian za tę przeklętą kieckę! – Oczy płonęły jej gniewem. Znów sobie z nią igrał, a jej się to nie podobało. Wcale a wcale.

– Nie mogę, moja miła. Musieliśmy je spalić. Całe było poplamione krwią. W dodatku moją własną. – Potarł podbródek, jeszcze raz pociągnął łyk brandy wprost z karafki i uśmiechnął się chytrze. – Musisz z niego zrezygnować.

– Nie! Niech pan nie będzie śmieszny! Nie mogę stąd odejść bez niczego na grzbiecie!

– Musisz zrezygnować, powtarzam. – Chociaż chwiał się na nogach, był jednak szybki. Jednym susem znalazł się przy niej, co zmusiło ją do

ucieczki. Uciekała jednak w złym kierunku, gdyż w rezultacie znaleźli się obydwójce w jego sypialni, po przeciwnych stronach łóżka.

– Nie zamierzam zdjąć tej sukni, panie St. Bride Ferringer, niech pan sobie wybije podobny pomysł ze swojego głupiego, zapijaczonego łba!

– Ach, nie zamierzasz? Prawo jest po mojej stronie! – oznajmił dramatycznie.

– Niech pana diabli porwą razem z tym prawem! – zawołała, gdy ruszył ku niej. Usiłowała wybiec na galerię, lecz on uniósł ją w górę i rzucił na łóżko.

Nim zdołała zaczerpnąć tchu, legł na niej całym ciałem, tak że nie mogła się podnieść. Walczyła z nim zażarcie, ale skutkiem tego zagrzebali się jeszcze głębiej w pościeli. Po chwili, gdy leżała zadyszana, St. Bride sięgnął do jej chustki. Złapała go za rękę, lecz wyswobodził się z łatwością, usiłując odsłonić jej dekolt. Ona jednak zdołała przytrzymać chustkę na piersiach. Tracąc cierpliwość, St. Bride przytrzymał w końcu jej rękę nad głową. Patrzyła ze zgrozą, jak zębami usiłuje rozsupłać węzeł na chustce. Bezwiednie wydała słaby jęk. Gdzieś z głębi ciała zrodziło się w niej dziwne uczucie, jednoczące rezygnację, podniecenie i wściekłość. Nie mogła się poruszyć ani o cal: tkwiła w jego żelaznym uścisku niby w imadle. Musiała bezsilnie patrzeć, jak St. Bride rozluźnia supeł swymi mocnymi, białymi zębami. To było nie do wytrzymania. Jeszcze gorszą rzeczą okazał się jego gorący oddech, który czuła na skórze, i jeszcze cieplejsze od niego wargi. Pocałował ją pomiędzy piersiami, tam gdzie przedtem tkwił węzeł chustki.

– Dosyć! – szepnęła oszołomiona.

– Spróbuj mnie powstrzymać! – szepnął, zaczynając mocować się z jej stanikiem. Nim się zorientowała, rozpiął już siedem małych, stalowych haftek. Wsunął palce pod koszulę i pieścił jej pierś, kiedy krzyknęła, zawstydzona i przejęta wstrętem:

– Powiedziałam „dosyć”, ty potworze!

Szarpnęła za stanik, lecz St. Bride tylko się zaśmiał. Cofnął się jednak co nieco, a jego dłoń przesunęła się wzdłuż jej ciała, by w końcu spocząć na biodrze. Kayleigh z wściekłością odepchnęła ją od siebie. W końcu mężczyzna zrezygnował, lecz przedtem namacał coś w jej kieszeni. Usłyszała przenikliwy brzęk. Naparstek wypadł na podłogę.

– O, cóż my tu mamy? – St. Bride przytrzymał ją, obejmując jedną ręką jej pierś, i pochylił nisko głowę, żeby podnieść naparstek. Kiedy miał go już w palcach, przygniótł ją do materaca jeszcze mocniej, podsuwając jej tuż pod oczy kobaltowobłękitny drobiażdżek, który niemalże nikał w jego szerokiej dłoni.

– To... to wcale nie tak, jak pan myśli. Colette pozwoliła mi go wziąć. Chciała, żebym coś jej uszyła – broniła się, dysząc ciężko po tych zmaganiach.

– Ta rzecz nigdy nie należała do Colette, kłamczucho. To napałek mojej siostry. Zatrzymałem go sobie ot tak, na szczęście. – Oczy mu pociemniały. – Ukradłaś mi go, prawda?

– Na cóż by mi się przydał? Nie umiem szyć.

– Pewnie tym razem mówisz prawdę. Szyciem zajmują się damy, a nie takie nędzne kreatury jak ty.

– Och, na Boga, przestań! – krzyknęła, niezdolna dłużej znościć jego obelg.

– Nie chcę, żebyś mnie okradała – rzekł nagle surowym, poważnym tonem. – Nie ścierpię tego. Rozumiesz, co do ciebie mówię, złodziejko? – Groźba w jego głosie sprawiła, że umilkła i patrzyła na niego bez słowa. – Już raz o mało nie trafiłaś w ręce kata. Wiesz chyba, o czym myślę?

Niechętnie skinęła głową.

– Powinnaś okazywać posłuszeństwo i uległość swemu wybawcy.

– Jesteś raczej moim strażnikiem niż wybawcą – parsknęła.

– Być może. Jakże jednak możesz mnie za to winić, skoro jesteś równie występna, co ponętna? – I ucałował delikatnie jej pierś, odsłoniętą przez na wpół rozsznurowany stanik.

Poczuła, że jej sutki nabrzmiewają i zaczynają mrowić pod jego dotknięciem. Była bliska zemdlenia. Nigdy jeszcze nie doznała tak oszłamiającego uczucia. Chciała wyrwać się z jego objęć, a jednocześnie nie potrafiła mu się oprzeć. Próbowwała stłumić osobliwe pragnienie zrodzone wewnątrz niej, które odczuwała każdą cząstką ciała. Jego pocałunek sprawił, że krew napłynęła jej do twarzy, a serce poczęło bić tak szybko, że – jak sądziła – musiał spostrzec jego gwałtowne pulsowanie.

Nie mogła jednak pozwolić, żeby ten władczy brutal kpił sobie z niej. Nawet podczas owej osobliwej gry, której reguły były jej całkiem obce. Ręka ją świerzbiła, by sięgnąć po nóż. Gdyby jakiś mężczyzna z koszar Broutina śmiał się wobec niej zachować choćby w połowie tak bezwstydnie i poufale, jak St. Bride, prędko zawarłby bliższą znajomość z jej czarnym sztylcikiem. Gdyby jednak zdołała go nawet odzyskać, nie przydałby się jej zapewne na nic w starciu ze St. Bride'em. Jakże on różnił się od wszelkich znanych jej wcześniej mężczyzn! Czuliła się przez niego całkowicie zdominowana, bezsilna wobec jego woli. Uzyskałby od niej wszystko, nim zdołałaby zdać sobie z tego sprawę.

St. Bride uniósł głowę.

– Wiesz, co myślę, Kayleigh?

Spojrzała na niego ze złością.

– Coś mi się zdaje, że twój pan stęsknił się za tobą i szuka cię. Jeśli tutaj gdzieś jest, oczywiście. – I, jakby tknięty tą myślą, spytał: – Jest tu gdzieś blisko, prawda?

– Nie! – krzyknęła z furją. – Zabiłam go w jego własnym łóżku, bo nie chciał mnie zostawić w spokoju! – Odepchnęła go bezlitośnie, lecz St. Bride wybuchnął tylko niepowstrzymanym śmiechem i przetoczył się na drugą stronę łoża. Wystarczyło jej to jednak, by zerwać się i szybko zasznurować stanik.

– Kayleigh, mój śliczny, czarny aniele, chciałabyś może ten napaśtek? – St. Bride wyciągnął go ku niej niczym przynętę, lecz ona ani drgnęła. Stała przy drzwiach, patrząc na niego jak na szaleńca właśnie wypuszczonego z domu wariatów.

– No, weź go sobie – kusił ją. – Pasuje jak ulał do twoich oczu. A poza tym – dodał przewrotnie – musisz się przecież w coś ubrać, kiedy zabiorę ci suknię! – Skoczył ku niej, lecz tym razem nie pokpiła sprawy. Zręcznie zdołała umknąć jego pijackim uściskom i jednym skokiem wypadła za drzwi. Przebiegła pędem przez salon, popychając St. Bride'owi pod nogi parę foteli. Łudziła się, że go zatrzyma, on jednak nadal poruszał się z zadziwiającą szybkością.

– Myślisz, że w ten sposób dasz mi radę?! – warknął, odsuwając je na bok.

– Ty prostaku! Dasz mi wreszcie spokój, czy nie? – Kayleigh z desperacją schowała się za wielkim, wyściełanym fotelem, usiłując przybrać groźny wyraz twarzy, lecz to tylko rozbawiło St. Bride'a.

– Gdziez ty chcesz uciec? Czemu nie okażesz dobrych chęci i nie oddasz mi sukni? – Zaśmiał się szydlerczo, widząc, że Kayleigh gotuje się do ucieczki, gdy odsunął ostatnie z krzeseł blokujących mu drogę.

– Idę do Colette. Ona mnie przed panem obroni. Colette nie lubi mężczyzn!

– No, za białymi może nie przepada, ale dałbym głowę, że do własnych pobratymców ma niejaką słabość. Wątpię, czy jej i Labanowi spodoba się twoja wizyta o tej porze.

– To ona... i Laban... – spytała z niedowierzaniem.

– A jakże. No widzisz, nie masz gdzie się podziać. Chyba że pójdziesz spać do mojego łóżka!

– Wolałabym spać z aligatorem! – Tym razem zasłoniła się krzesłem, lecz St. Bride zbliżał się nieubłaganie. Kiedy niemal się z nią zrównał, odżyły w niej odruchy nabyte na ulicach Nowego Orleanu.

Schwyciła cynowy świecznik, dając do zrozumienia, że użyje go w razie konieczności.

St. Bride zatrzymał się i krzyknął:

– Nie chcę, żeby mnie okradano w moim własnym domu ani żeby mi w nim grożono! – Z tymi słowy z łatwością wyrwał jej z ręki ciężki lichtarz i cisnął go na ziemię. Pozbawiona nawet i tej obrony, uciekła na loggię, lecz zaraz potknęła się o ozdobną półkę na kwiaty, pełną żółtych tulipanów.

– Nie może mi pan tego zrobić! – jęknęła błagalnie.

– No jazda, zdejmuj suknię. – St. Bride stał nad nią, szeroko rozstawiając nogi.

– Nie! – zawołała, gdy poczuła na sobie jego ręce.

– Zgadzasz się być moją osobistą służącą?

– Nie! – zawołała po raz wtóry.

St. Bride uśmiechnął się. Część jego twarzy oświetlało światło księżyca przenikające przez szpary żaluzji, część tonęła w cieniu. Spomiędzy listewek okiennic dolatywał zapach oliwy. Ciepły, nocny wietrzyk owiewał ich oboje. Kayleigh nie mogła się już teraz tak szybko poruszać, a St. Bride stał się bardziej niż przedtem natarczywy. Wyciągnął rękę do jej stanika i znowu zaczął go rozsznurowywać.

– Nie może pan mnie przecież rozebrać! – protestowała.

– No dalej, dalej. Spodoba ci się to, przyrzekam!

– Nie. – W jej głosie zabrzmiał paniczny lęk. Nie wiedziała, jak zdoła powstrzymać St. Bride'a. Po błysku w jego oczach można było sądzić, że nie ma na to sposobu.

– Proszę... – szloch zaczął dławić ją w gardle. Umierała ze strachu. Łzy poczęły płynąć po jej policzkach, choć nie zdawała sobie z tego sprawy.

St. Bride przerwał rozsypywanie stanika i delikatnie otarł je kciukiem.

– A cóż to takiego?

– Niech mnie pan zostawi i nie odbiera mi sukni. Zostanę tą pańską przeklętą służącą, jeśli już muszę. Ale nie może mnie pan rozbierać do naga. – Pociągnęła nosem i wytarła łzy.

– Tak bardzo cię przeraziły moje igraszki?

Przytaknęła milcząco.

Ujął jej twarz w zadziwiająco ciepłe dłonie.

– Mój Boże, mógłbym całymi godzinami patrzeć na ciebie! Jesteś bardzo ładna, Kayleigh, właściwie mógłbym cię nawet nazwać pięknoscią. – Patrzył na jej śmietankową cerę, na łzy spływające po twarzy, na miękkie wargi. Z uwagą przyglądał się gęstym, czarnym rzęsom, nadal wilgotnym. Wytarł je kciukiem. Dotknął jej włosów: były w tej chwili

jedną masą rozwichrzonych loków. Zniżył głos do szeptu: – Cóż z ciebie za tajemnicze stworzenie. Gdy tylko dojdę do wniosku, że potrafię cię rozszyfrować, z miejsca udowadniasz mi, że to niemożliwe.

Zasznurował jej troskliwie suknię, zupełnie jakby była dzieckiem. Potem niepewnie potarł podbródek i cofnął się o krok.

– Ile masz lat?

– Dziewiętnaście.

Najwyraźniej poczuł ulgę, że nie ma do czynienia z dzieckiem.

– Nie pojmuję, czemu... – z wysiłkiem szukał właściwych słów. – Nie miałem zamiaru sprawić ci przykrości. Wręcz odwrotnie.

Odwrociła się do niego plecami.

– Kayleigh, co ci się stało, moja miła? – dotknął jej ramienia.

– Nie miałam dotąd mężczyzny – szepnęła. Znalazła się w tak upokarzającej sytuacji, a w dodatku musiała się jeszcze tłumaczyć ze swojego dziewictwa przed tym człowiekiem!

Po jej wyznaniu St. Bride uśmiechnął się ironicznie.

– Doprawdy, świetnie odgrywasz rolę dziewczycy.

Chętnie dałaby mu w twarz, ale była tak zmęczona walką, że pragnęła jedynie znaleźć się sama w swoim pokoju. Bez słowa odwróciła się, żeby odejść.

Zatrzymał ją, mówiąc:

– Służąca prosi swego pana o przyzwolenie, kiedy chce już sobie pójść.

Zatrzęsła się od hamowanego z trudem gniewu.

– Czy jaśnie pan pozwoli mi się oddalić? – spytała sarkastycznie.

– O, to już znacznie lepsze. Na przyszłość radziłbym jednak przybrać uprzejmiejszy ton.

Wyswobodziła ramię z jego uścisku. Nim jednak opuściła loggię, odwróciła się i zawołała:

– Zostanę pańską służącą, panie Ferringer, a nawet osobistą służącą. Ale przyjdzie panu za to odpokutować. Daję słowo, będzie pan żałował!

10

Pogoda była przepiękna. Słońce skryło się za puchatymi jak bawełna chmurkami, na porcelanowobłękitnym niebie. Stojąc w drzwiach galerii, Kayleigh pełną piersią zaczerpnęła rześkiego powietrza dolatującego spoza żaluzji.

Prawie nie spała tej nocy, nieustannie wracając myślami do St. Bride'a. Doszła do wniosku, iż nie zdąży poznać motywów jego postępowania, bo postanowiła przecież, że nie zabawi w Belle Chasse.

Nie mogła zasnąć, wstała więc o bladym świetle. Spojrzała na drzwi od salonu i stwierdziła, że St. Bride właśnie się zbudził. Z wielką satysfakcją usłyszała, że przeklinając krąży po pokoju. Najwyraźniej odczuwa skutki przepicia. Musiała nawet stłumić chichot, gdy dobiegły ją jęki, jakie wydawał przy wciąganiu długich butów, gdyż każdy ruch sprawiał mu ból.

Rozsunęła zielone żaluzje i wyszła na werandę. Dzień był tak piękny, że niemal kazał jej zapomnieć, jak cudownie wyglądał zamek Mhor wiosennym rankiem.

– Chwali ci się, że już wstałaś. – Usłyszała zniechęcony, choć znajomy głos, gdy stanęła przy balustradzie werandy. Z wymuszonym uśmiechem odwróciła się ku St. Bride'owi, który wynurzył się właśnie z sypialni. Przystojny jak zawsze, zbliżył się do niej ubrany tylko w irchowe spodnie, buty do kolan i batystową koszulę francuskiej roboty. Mimo że poprzedniego wieczoru nie skąpił sobie trunków, wyglądał świeżo i elegancko, podczas gdy ona stała przed nim boso, bez chustki osłaniającej dekolt i tak rozpaczliwie znużona, że niemal padała z nóg. Jeśli naprawdę zamierzał ją złamać, prawie mu się to udało.

– Przepraszam, ale obiecałam Colette, że pomogę jej w kuchni. – Usiłowała go wyminąć, lecz ujął ją za rękę.

– Jeśli już chcesz na siebie zarobić, mam dla ciebie lepsze zajęcie. – Zaprowadził ją, ciągle przytrzymując jej ramię, do pomieszczenia za loggią służącego jako łazienka i wskazał dużą, miedzianą wannę.

– Chciałbym wziąć poranną kąpiel. Powiedz Colette, żeby zagrzała wody, i przynieś mi ją tutaj.

Zdumienie niemal odebrało jej mowę. Stała bez ruchu, nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszała. Wiedziała wprawdzie, że ma być jego osobistą służącą, ale nie miała pojęcia, że aż do tego stopnia.

– No, na co czekasz? – spytał wyzywająco. Spojrzała mu w oczy, a potem, nie chcąc, żeby dostrzegł jej konsternację, chłodno skinęła głową i poszła do kuchni.

Szykowanie kąpieli zajęło jej немало czasu. Wnosiła wiadro za wiadrem po stopniach loggii, napełniając miedzianą wannę gorącą wodą. Znalazła też spory kawałek drogiego, twardego mydła i parę śnieżnobiałych, lnianych ręczników. Położyła to wszystko na stołku koło wanny, a potem udała się do swego „jaśnie pana”.

– Tak szybko?! – zawołał z głębi salonu, choć nawet ona mogła dostrzec, że jego kawa wystygła, a biszkopty stwardniały.

– Nie nawykłam do roboty domowej, niech mi pan wybaczy. – Skłoniła się przed nim ostentacyjnie.

– A jakże, byłbym zapomniiał, że usługiwała ci cała armia służących. – Wstał i skierował się do łazienki. Gdy chciała zejść po stopniach loggii, uprzedził ją: – Nie ruszaj się stąd, mogę znów cię potrzebować. – Uśmiechnął się przy tym szeroko i złośliwie, a później zniknął w łazience.

Nie zdążyła odejść daleko, bo ledwie do salonu, kiedy usłyszała, jak głośno klnie i woła ją po imieniu.

– Kayleigh! Niech cię лихо porwie, Kayleigh! Chodź tu w tej chwili!

Podbiegła do zamkniętych drzwi łazienki, lecz przystanąła z wahaniem. Z dłonią na klamce zastanawiała się gorączkowo, czy powinna wejść. St. Bride mógł być przecież rozebrany! I choć wzywał ją natarczywie, zwleką dłuższą chwilę.

– Kayleigh, niech cię nie wołam dwa razy! Chodź tutaj natychmiast!

Nacisnęła klamkę i weszła. Z ulgą stwierdziła, że wprawdzie St. Bride istotnie się rozebrał, ale owinął biodra ręcznikiem.

– Przecież to istny ukrop! Chciałabyś mnie może ugotować jak raka? – Ze złością wyciągnął ku niej rękę, tę z blizną. Wyglądała jak spieczona przez słońce.

– Co, woda jest za gorąca? – Patrzyła z przerażeniem na jego zaczerwienioną skórę. – Nie miałam pojęcia! Colette powiedziała, że jest gotowa. Myślałam, że mam ją tylko przynieść.

– Nie wiesz, że trzeba dolać do wanny zimnej wody, żeby dało się do niej wejść?

– Jeszcze nikomu nie szykowałam kąpieli. To dla mnie ją szykowano. Naprawdę nie wiedziałam. – Zmarszczyła brwi. – Pobiegnę po Colette, może ona coś na to poradzi?

– No, nie jest aż tak źle. – Przyjrzał jej się uważnie. – Nie zrobiłaś tego naumyślnie?

– Ach, skądże. Proszę mi wierzyć! – Złożyła błagalnie dłonie.

Jeszcze raz obrzucił ją podejrzliwym spojrzeniem. Potem zażądał:

– No idźże, przynieś zimnej wody.

Skinęła głową zdenerwowana i pobiegła do kuchni.

Zanim jednak zdążyła przynieść do łazienki parę wiader chłodniejszej wody, kąpiel niemal zupełnie wystygła. Kiedy tam weszła, dźwigając ostatnie wiaderko, zastała St. Bride'a w wannie. Zażenowana postawiła je na ziemi, chcąc się jak najprędzej wycofać.

– Kayleigh, a kto tobie przygotowywał kąpiel? – Jego głos i spojrzenie sprawiły, że zamarła bez ruchu tuż przy drzwiach.

– Już panu mówiłam. Mieszkałam w zamku. Nawykłam do tego, że mnie usługiwano. – Odwróciła oczy, ale jego ciało zdawało się przyciągać jej wzrok. W ciemnych włosach na jego piersi błyszczały kropelki wody, a mięśnie brzucha napinały się przy każdym ruchu. Gdy zaczął namydlać sobie klatkę piersiową, nie wiadomo czemu widok jego dłoni przesuwających się tam i z powrotem po twardych jak kamień muskułach przyprawił ją o zawrót głowy. Łazienka zaczęła nagle wirować wokół niej i Kayleigh zapagnęła jak najprędzej stamtąd wyjść.

St. Bride nie pozwolił jednak na to.

– Chciałbym, żebyś umyła mi plecy. – Podał jej mydło.

– Nie. To niestosowne! – oświadczyła zgorszona. Nie ośmieliła się podejść bliżej do wanny, bo wtedy ujrzałaby aż za dobrze dolną część jego ciała, tę zanurzoną w wodzie.

– Niestosowne! – zaśmiał się. – Czy to kolejne echo twojego życia w zamku? – Prysnał na nią wodą. – A czy te wszystkie służące, które dbały o twoje kąpiele i czystość, nie mówiły ci czasem, że niestosownie jest kraść?

– Proszę się ze mnie nie wyśmiewać – rzekła cicho.

– Ach, jakże ty mnie intrygujesz! Jesteś kłębkim sprzeczności. – Ponownie podał jej mydło. – No chodź, umyj mi plecy, potem możesz pomagać Colette w kuchni.

Ociągała się, lecz nie miała wyboru. Wiedziała, że St. Bride nie pozwoli jej odejść, póki nie dopnie swego.

Wylękniona zbliżyła się do brzegu wanny i wzięła jego mydło, nie odważając się spojrzeć w aż nazbyt przejrzystą wodę. Zwilżyła gąbkę stojąc z tyłu, za jego plecami, powtarzając sobie zawzięcie w duchu, że w końcu nie po raz pierwszy i zapewne też nie po raz ostatni przyszło jej oglądać męskie pośladki.

Wycisnęła wodę na plecy St. Bride'a, a później zaczęła je namydlać tak energicznie, jak tylko mogła. Starła się nie zwracać uwagi na śliskość skóry pod palcami i napięte mięśnie wzdłuż kręgosłupa mężczyzny. Nie czuła świeżego zapachu mydła ani jeszcze bardziej intensywnej woni jego ciała. Nerwy zawiodły ją jednak, gdy chciała odsunąć związane ciemne i mokre włosy, by lepiej umyć mu ramiona.

Pod dotykiem jej dłoni mięśnie jego ramion zaczęły się na przemian napinać i odprężać. Wtedy doznała dziwnego ucisku gdzieś w dole brzucha, który rozprzestrzenił się błyskawicznie, niby ogień, pochłaniając bez reszty jej myśli i odbierając siły. St. Bride odwrócił się do niej, kiedy prze-rwała mycie. Chcąc za wszelką cenę ukryć swoje odczucia, ponownie zaczęła szorować mu plecy, lecz mydło wyslizgnęło się z jej omdlełej dłoni. Ze zgrozą patrzyła, jak tonie w wodzie poniżej jego pasa.

– Upuściłaś mydło. – Najwyraźniej stwierdzenie tego oczywistego faktu sprawiło mu satysfakcję.

– Nie... nie szkodzi... Już... już przecież umyłam panu plecy. Zaraz je opłuczę. – Nerwowo rozglądała się za gąbką, póki z przerażeniem nie stwierdziła, że St. Bride trzyma ją przed sobą.

– Tego szukałaś?

– Nie! – odparła zbyt szybko. Sięgała już po ręcznik, gotowa posłużyć się nim przy splukiwaniu, gdy rzekł:

– Nie tak, Kayleigh. Lepiej wydostań mydło.

– Do licha z pańskimi plecami! – Kayleigh upuściła ręcznik i rzuciła się ku drzwiom.

– Czyżbym sprawił ci jakąś przykrość? – spytał z fałszywą troskliwością.

– Nie chcę szukać mydła w pańskiej wannie. Nie chcę i basta!

Spoglądał na nią uważnie. Wiedziała, że rumieniec zażenowania nie może ująć jego uwagi i rzeczywiście dostrzegł go, a potem zaczął się śmiać.

– Skoro nie potrafisz uporać się z najprostszą pracą...

– Czy mogę sobie pójść?! – spytała ze wściekłością.

– Nie sądzę. Przecież nie skończyłaś swojej roboty.

– Czy wolno mi odejść? – powtórzyła ze strachem i z gniewem.

Doprawdy, można było z nim zwariować!

– No, dobrze. Wynoś się, sam sobie opłuczę plecy. – Udał żartem, że rzuca w nią gąbką. Odskoczyła, co sprawiło tylko, że zaśmiał się jeszcze głośniejsze. Wypadła z łazienki przepełniona nienawiścią.

Gdy St. Bride ujrzał ją ponownie godzinę później, Kayleigh uznała właśnie, że życie złodziejki jest o wiele łatwiejsze niż służącej. Colette kazała jej bowiem ukręcić krem z mleka i jajek, podgrzewany na *potager*, starym francuskim piecyku, służącym do gotowania sosów. Zadanie wcale nie okazało się takie łatwe, na jakie wyglądało. Ogień pod piecykiem grzał za mocno.

Kayleigh oddaliła się na chwilę, by pogłaskać Chridhe i dać jej śniadanie, a zaraz potem do kuchennych drzwi podszedł stary niewolnik zwany Grand-Louis, natarczywie prosząc po francusku o obiad. Kiedy wróciła, krem już kipiał. Akurat wtedy nadszedł St. Bride, zastając ją z włosami w nieładzie i szeroką, czarną smugą w poprzek całej twarzy. Krem, który wykipiał na blachę, zajął się ogniem. St. Bride, klnąc soczyście, bił woreczkiem mąki po piecyku, żeby stłumić płomień. Potem zwrócił się do niej:

– Czy masz zamiar uśmiercić tylko mnie, czy też wszystkich na plantacji?

– Teraz już wiem, czemu Bardolf wołał wałęsać się po ulicach! Wszystkie te domowe roboty są wprost nieznośne! – Rozdrażniona siadła na jednym z kuchennych krzeseł i spojrzała na St. Bride’a poprzez chmurę dymu.

– Widzę, że pouczanie cię, jak je trzeba należycie wykonywać, jest czymś jeszcze bardziej nieznośnym. Chodź ze mną. Colette może nauczyć cię tych obowiązków kiedy indziej.

Ujął ją za rękę i poprowadził poprzez wykładane cegłami podwórze.

– Co ma pan zamiar zrobić? – spytała, gdy czarnoskóry stajenny, Mateusz, przyprowadził osiodlaną kobyłę.

– Chcę objechać pola i potrzeba mi towarzystwa. Jednym słowem, wybierzemy się na małą przejażdżkę. Jak ci się to podoba?

– Nie jadę z panem! – Cofnęła się pogardliwie.

– Chciałbym tylko spytać: czy umiesz jeździć konno?

– Nigdzie z panem nie pojedę! – Próbowała cofnąć się jeszcze dalej, lecz zastąpił jej drogę, ujmując wodze wierzchowca podawane mu przez innego sługę, również w strojnej kurtce.

– Potrafisz jeździć, Kayleigh? Czy miałaś czas na naukę konnej jazdy pomiędzy lekcjami złodziejstwa i kręactwa?

– Ty nędzniku – mruknęła, urażona zniewagą. St. Bride zdawał się jednak jej nie słyszeć.

– Dowiodłaś mi już swojej biegłości w wytwornej angielszczyźnie. Pytam więc, czy umiesz jeździć? – Wskoczył swobodnie na masywne, karego konia. – Stój, Canis! – uspokajał zwierzę, które stawało dęba na ceglany bruks.

– Tak – odparła przez zaciśnięte zęby.

– Tak? – powtórzył za nią z pogardą. – Czy aby na pewno? Sądziłem, że trzeba cię będzie zmuszać do przejażdżki. – Osadził konia w miejscu tuż przed nią.

– Skoro pan już wie, że to niepotrzebne, może powinnam wrócić do kuchni?

– Jeden sądny dzień w kuchni całkiem na dziś wystarczy – rzekł zgryźliwie. – A zatem nasza mała dama umie też jeździć konno! No to siadaj na kobyłę i pokaż mi, jak radzi sobie ulicznica z koniem czystej krwi!

Dojrzała w jego wzroku wyzwanie, co tylko utwierdziło ją w powziętym postanowieniu. Szydził sobie z niej! Myślał, że powodowana ambicją wsiądzie na konia i zaraz zwali się na ziemię! Nie wiedział, że ona naprawdę potrafi temu sprostać, może nawet wysforuje się przed

niego! Przecież dużo większej zręczności wymagało harcowanie na ognistych szetlandzkich rumakach po urwistych szkockich wzgórzach koło Mhor niż jazda na kobyle przez płaskie pola!

Bez wahania wyrwała cugle z rąk Mateusza, przerzuciła je ponad głową konia i lekko wskoczyła na niego, obywając się bez podsadzenia. Potem usadowiła się spokojnie w siodle i pokłusowała ku drodze.

Obejrzała się za siebie i dostrzegła zdumienie na jego twarzy. Najwyraźniej nie oczekiwał, że okaże się tak wprawna amazonką. Wyraz zaskoczenia ustąpił wkrótce miejsca zamyśleniu: St. Bride głowił się, gdzie mogła nabyć podobnej zręczności. Gdy zaś popędziła przed siebie, zamyślenie zmieniło się w konsternację.

Puścił Canisa w cwał i szybko się z nią zrównał, lecz Kayleigh nie chciała, by ją doścignął. Zmusiła kobyłę do galopu, kierując się ku polom. Nie doceniła jednak sił pędzącego za nią konia ani też łagodności kobyły. Wkrótce obydwaj wierzchowce szły łeb w łeb. Kayleigh ani myślała przystawać, ale St. Bride miał własne plany. Nie kazał jej wcale zwalniać, tylko wysunął się przed nią i bez ceremonii porwał ją wprost z siodła. Zawisła na chwilę w powietrzu, a potem wylądowała na łuku rumaka. Obolałe siedzenie nękało ją nie mniej niż zraniona ambicja, bo ujrzała, jak pozbawiona jej ciężaru kobyła zadziera ogon i galopuje ku plantacji.

– Jak pan śmiał! To wcale nie było potrzebne!

– Och, doprawdy? Miałem spokojnie patrzeć, jak mi ktoś kradnie sprzed nosa najlepszą kobyłę? – prychnął ze złością. – Powiedz no mi, gdzie się wyuczyłaś tej sztuczki?

– Żadna tam sztuczka! – wrzasnęła mu prosto w twarz. – Pytał pan, czy potrafię jeździć konno, więc tego dowiodłam! A gdyby pańska kobyła nie okazała się taką ślamazarą, nigdy by mi pan nie zdołał spłatać podobnego figla!

– Ślamazara, dobre sobie! Dałem ci ją, żebyś przypadkiem nie potłukła nadobnego tyłeczka! Skąd mogłem wiedzieć, że tak sobie dobrze radzisz? – Jego ręce zacisnęły się gniewnie wokół jej kibici, tak że Kayleigh nie mogła nawet marzyć o zeskokczeniu z siodła.

– Gdzie się nauczyłaś tak świetnie jeździć?

Trzęsła się ze złości. Och, jak bardzo chciała powiedzieć mu prawdę! Jakże pragnęła, by wreszcie się złąkł, żeby poczuł respekt przed nią, świetnie wychowaną, zamożną osobą! Dobrze jednak wiedziała, że byłoby to nie tylko niebezpieczne: St. Bride zapewne nie dałby jej wiary. Już tyle razy natrząsał się przecież z jej wzmianek o Mhor. A choć niewiele o nim wiedziała, czuła wyraźnie, iż St. Bride Ferringer nie lęka się niczego.

Wreszcie odcięła mu się z sarkazmem:

– Na Boga! Jakże można być wprawnym koniokradem, nie umiejąc jeździć na koniu?! – Zsunęła się niemal na samą szyję Canisa i skrzyżowała ręce na piersiach, nie chcąc nawet rzucić okiem na jeźdźca z tyłu.

Rozmowa urwała się. St. Bride jechał teraz stępą w kierunku pól położonych za plantacją. Kayleigh nie śmiała się odwrócić, ze strachu, że może dotknąć piersi St. Bride’a osłoniętej tylko cienką koszulą. Nie śmiała też usadowić się wygodniej, z lęku przed narowistym koniem, na którym siedziała. Tkwiła więc sztywno na łąku siodła.

Co za bestie, przemknęło jej przez myśl. Same dzikie bestie wokół mnie!

Przemierzali ciągnące się całymi milami bagniska. Pełno tu było białych czapli. Ich długie wdzięczne szyje wyginały się, gdy ptaki zanurzały dzioby w wodzie. Wzdrygnęła się, słysząc nieoczekiwane chlupot wielkiego aligatora. Powróciła myślami do tamtej, okropnej nocy, kiedy St. Bride znalazł ją w kępie woskownicy. Z poczuciem winy zerknęła przez ramię na swego wybawcę. Może St. Bride nie był taki zły? Może należało okazywać mu więcej wdzięczności? Wyświadczył jej przecież niemało uprzejmości, co mogło wydać się dziwne, zważywszy, że zraniła go w rękę i próbowała okraść rankiem tego samego dnia, gdy natknął się na nią, leżącą bez przytomności wśród moczarów. Aż za dobrze wiedziała, że mało kto zatroszczyłby się o nią w takiej sytuacji.

Doprowadzał ją jednak do pasji i, co jeszcze gorsze, nie mogła pogodzić się z tym, że ma jakieś konszachty ze Straughtem.

Spojrzała na niego ukradkiem. Przyglądał się uważnie okolicy, bez wątpienia z powodu tych przeklętych maków. Jakże ktoś tak niezależny i inteligentny mógł wikłać się w łotrowskie interesy jej kuzyna? Z niezrozumiałym dla niej smutkiem obserwowała, jak bacznie przypatruje się wilgotnej glebie stosowniejszej pod zasiew rudbekii czy innej podobnej rośliny.

– Chciałabyś może pojechać do Wersalu, moja miła? – spytał nagle, przerywając jej rozmyślenia. Zatrzymał konia przy kępie dębów, wyglądającej niczym oaza na pustyni płaskich, zaniedbanych pól i bezludnych, zielonych moczarów.

– Wersal? Powiedział pan „Wersal”? – spytała, myśląc ze strachem, że może St. Bride pochodzi z rodziny tkniętej dziedzicznym szaleństwem. To by zresztą wyjaśniało jego zdumiewającą przyjaźń ze Straughtem.

– A jakże, Wersal. Może zatoczmy koło i odpoczniemy tam w cieniu? Odwróciła się, żeby spojrzeć mu w twarz. Rzeczywiście, mówił teraz zupełnie jak szaleniec. Może gorąco uderzyło mu do głowy i sprawiło,

że roi o Wersalu pośród opustoszałej plantacji w Luizjanie, gdzie absolutnie nic nie kojarzyło się ze wspaniałą rezydencją Króla Słońce?

– No i co? – spytał ponownie. – Zsiadamy?

– Chętnie... – odpowiedziała z wahaniem.

– Dobrze. – Nagle przytulił ją do siebie i rzekł z nutką rozbawienia w głosie: – Chciałbym cię olśnić moim bogactwem!

– Wcale pan nie musi. – Chętnie by mu powiedziała, jak mało ją obchodzi jego żalosne bogactwo, gdy nagle zastanowiła ją intensywność jego spojrzenia. Zdawał się dostrzegać najmniejszy szczegół jej wyglądu, od bioder rozkołysanych w takt truchtu Canisa do sposobu, w jaki jej rozwichrzone czarne włosy rozsypywały się wdzięcznie po chustce na piersiach. St. Bride patrzył na nią tak, jak ktoś wygłodzony obserwuje zastawiony do uczty stół, a ona czuła się niby główny smakołyk. Spuściła oczy. Kiedy znów na niego spojrzała, uśmiechnął się lekko.

– Witaj w Małym Wersalu, Kayleigh. – Rozejrzała się po kępie dębów, które najwyraźniej miał na myśli, mówiąc o Wersalu.

St. Bride zeskoczył z konia, zdejmując też jeden z juków przy siodle, a potem wyciągnął ku niej rękę. Ciągłe jeszcze wytręcało ją z równowagi wspomnienie jego dziwnego spojrzenia, lecz nie zaprotestowała, gdy pomagał jej zsiąść z Canisa, choć miała wrażenie, że trochę za długo obejmował ją w pasie mocnymi, zręcznymi dłońmi.

– Gdzie jesteśmy?

– Może sobie trochę pobaraszkujemy, co, Kayleigh?

– Przenigdy!

– W porządku. Nie będzie żadnego baraszkowania, ale siądź tu przy mnie, moja miła. – St. Bride, nic sobie nie robiąc z widocznego w jej spojrzeniu wyrzutu, rozsiadł się nonszalancko pod pnem rozłożystego dębu. Przez rozpiętą koszulę mogła dostrzec krople potu na jego piersi. Dzień był upalny, a ochłodzenie mogła przynieść tylko burza, która wciąż jeszcze nie nadciągała. Ocienione miejsce wydawało się niezwykle kuszące, zwłaszcza że ciężka suknia kleiła się jej wprost do ciała. Czuła, że pod gorsetem spływają jej po brzuchu strużki potu. Nie chciała jednak siadać zbyt blisko St. Bride'a, nawet jeśli jedyną alternatywą było prażenie się w lipcowym słońcu. Dobrze wiedziała, co by wtedy nastąpiło.

– Czemu to miejsce zwie się Le Petit Versailles? – spytała, trzymając się z dala od niego. – Mało wiem o Francji, uczyłam się tylko, jak pamiętam, o strasznej twierdzy zbudowanej tam przez Ludwika XIV. Tej kępy drzew nie można przecież porównać z Wersalem, małym czy dużym.

St. Bride przypatrywał jej się z uwagą.

– Kayleigh, masz wręcz nieskazitelny akcent. Powtórz jeszcze raz Le Petit Versailles.

Kiedy odmówiła, odchylił się w tył i spojrzał na nią spod półprzy-
mkniętych powiek.

Jak szybko zorientował się, że ona zna francuski! Razem z Morną uczyła się oczywiście tego języka, a także rysunku, haftu i kaligrafii. Skąd jednak St. Bride wiedział, że go zna, skoro wypowiedziała ledwie dwa słowa? Och, był doprawdy szatańsko przebiegły!

– A więc mówisz po francusku, moja miła? – zapytał spokojnie. – Rzecz jasna, mogłaś się go trochę nauczyć w Luizjanie, gdzie żyje wielu Francuzów, jak myśliwi i ludzie różnych innych profesji. Czy mówisz nim biegle?

– Nie wszystko rozumiem – skłamała.

– *Je voudrais te séduire... ici!*

Zbladła. Dawał jej wyraźnie do zrozumienia, że chciałby się z nią kochać. I to tutaj!

Wyszeptał:

– *Prends tes mains et me caresses...*

Więcej nie zdążył, bo krzyknęła:

– Wstrętny rozpustniku, przestać wygadywać te lubieżne bzdury!

– Moje ty kochanie, twoja znajomość francuszczyzny jest doprawdy dogłębna!

Był zachwycony. Ona za to oszołomiona.

– O co panu chodzi? Nauczyłam się jej od myśliwych! – próbowała wykrętów.

– O, nie przypuszczam. Powiedz: *Je te désire* – zażądał.

– Wcale pana nie pożadam!

– Powiedz to, ale po francusku. Skądinąd – dorzucił z wyraźną satysfakcją – cóż znaczą słowa, skoro twoje ciało przemawia o wiele bogatszym językiem? – Parsknął śmiechem, podnosząc się z nienacka. Nim zdążyła się uchylić, uchwycił skraj jej sukni.

– Proszę mnie puścić! – Pociągnęła suknię ku sobie, lecz on trzymał ją mocno.

– No, powiedz to, Kayleigh. Powiedz mi o tym, co obydwoje dobrze wiemy... powiedz po francusku! – Zaśmiał się. Im mocniej wydzieriała mu suknię, tym głośniej się śmiał. Kayleigh patrzyła na niego groźnie, lecz on śmiał się do rozpuku, niemalże tarzając się po ziemi. Najwyraźniej nękanie Kayleigh sprawiało mu bezgraniczną przyjemność. Wreszcie rzuciła mu w twarz, co sobie o nim myśli. W dodatku – po francusku.

– Ty nędzniku – wybuchnęła, nadal zachowując znakomity akcent – ty bezmyślny dzikusie, myślisz tylko o tym, jak by tu wyskoczyć z portek!

Jego śmiech urwał się gwałtownie. St. Bride nie zamierzał jednak puścić rąbka jej sukni. Otworzył tylko nieco szerzej rozbawione, turkusowe oczy i zawołał po angielsku:

– Wyskoczyć z portek? Chciałbym, żebyś wiedziała, iż wypełniam je aż za dobrze!

Powróciła do angielskiego:

– Och, jest pan godny pogardy! – Przy tych słowach udało jej się wreszcie wyswobodzić i stanąć z dala od niego. Gniew dusił ją w gardle, a świadomość, że St. Bride znów miał nad nią przewagę, była nie do zniesienia.

– No wróć tu, Francuzeczko. – St. Bride kiwał ku niej ręką, rozłożony leniwie pod pnem dębu.

– Nie jestem Francuzką! – parsknęła.

– Bezbłędnie jednak rozumiesz ten język. A kiedy nim mówisz... – zaśmiał się – ...to też bezbłędnie! Czyż nie tak?

Jego pytanie, z pozoru niewinne, w istocie było niebezpieczne i podchwytliwe. Zastanawiała się, czy powinna mu powiedzieć o *monsieur* Girardzie, francuskim nauczycielu, który niegdyś był jej preceptorem w Mhor, ale osądziła, że lepiej tego nie robić. Pewnie by jej nie uwierzył, zacząłby natomiast zadawać wiele innych pytań, ona zaś na niektóre z nich nie mogłaby udzielić odpowiedzi. Pragnąc zmienić temat, spytała szybko:

– Czemu pan nazywa tę żalostną kępę drzew Małym Wersalem?

St. Bride milczał przez chwilę. Błysk w jego oczach świadczył, że spostrzegł jej niechęć do mówienia o sobie. Zdenerwowana, potarła piekącą ją policzki wierzchem dłoni.

– Mały Wersal to było jedno z marzeń Launiera. – Oczy St. Bride’a stały się łagodne. Poczowała ulgę, choćby nawet miała ona być tylko chwilkowa.

– Kim jest Launier? – Nie kryła zaciekawienia.

– Był twórcą Belle Chasse – odparł i wyciągnął ze skórzanego worka srebrną flaszkę. – Uważał jednak, że to jedynie coś tymczasowego. Zamierzał stworzyć potężną posiadłość tam, za dębami i krzewami prawoślazu. Widzisz tamto drzewo? – Wskazał na dąb tak stary, że jego gałęzie zwieszały się tuż nad ziemią.

– Tak.

– Chciał w tym miejscu zbudować małą czerwoną pagodę. A widzisz to? – Machnął ręką ku zagłębieniu gruntu wypełnionemu stojącą wodą.

Kayleigh skinęła głową.

– To miała być kaskada. Launier marzył, żeby przemienić wszystko w pałac z bajki z fantastycznymi chińskimi pawilonami.

– Skąd pan to wie?

– Mam jego projekty i plany. O tak, ten człowiek był trochę szalony. Tak jak ja. – St. Bride uśmiechnął się szeroko, przebiegle i przepięknie zarazem.

– W to nie wątpię – rzekła z przekąsem Kayleigh, odwracając oczy od jego wręcz oślepiającego uśmiechu. – To miejsce składa się przecież z samych rojeń!

Rozejrzała się dookoła. Tam, gdzie ona dostrzegąca tylko chwasty, człowiek nazwiskiem Launier widział żyzne pola i piękno. Przypomniało jej to chwile, kiedy najdotkliwiej nękała ją nostalgia. Szła wtedy na sam brzeg Missisipi, wyobrażając sobie, że patrzy na błękitne szkockie jezioro. W końcu okazywało się ono jednak rzeką pełną mułu. Mały Wersal Launiera też koniec końców okazał się jedynie kępą cienistych drzew w szczerym polu. Ścisnęło ją w gardle i miała ochotę zapłakać zarówno nad sobą, jak i nad Launierem.

– Myślę, że marzenia Launiera były równie zagadkowe i szaleńcze, jak moje. – St. Bride pociągnął łyk z flaszki, spoglądając na spacerującą wśród drzew Kayleigh. – Tyle że w przeciwieństwie do niego, mnie się podoba, że są właśnie takie. Poza tym, ja rozporządzam środkami, które pozwolą mi je urzeczywistnić. Inni ich, niestety, nie posiadają.

Kayleigh przystanąła. Jakie okrutne z jego strony były aluzje do jej ubóstwa i wymuszonej wdzięczności wobec niego!

– Kiedyś będę jeszcze miała pieniądze na urzeczywistnienie moich!

– Wcale nie miałem na myśli ciebie, moje ty ciemnowłose kochanie – odparł. A potem jednym nagłym, gwałtownym gestem zagarnął ją ramieniem, tak że upadła na niego.

– Kayleigh, zamieszkaż tu ze mną, jeśli zdołam zbudować Mały Wersal? – spytał, gdy się z nim zaciekle zmagąca.

– Nie chciałabym z panem mieszkać nawet w prawdziwym Wersalu! – Usiłowała go odepchnąć. Zrobiło jej się gorąco, gdy spostrzegła, że stanik sukni rozwiera się niebezpiecznie poniżej ich splecionych ze sobą rąk. Żałowała, że nie ma ze sobą chustki!

– A jeśli zbuduję ci ogromny dom pełen chińskich służących z długimi, czarnymi warkoczami na plecach i jeszcze dłuższymi węsami?

– Nie chcę, za nic! – Chętnie wydrapałaby mu oczy, lecz musiała się ogarnąć, by zachować skromność. Boże! Przecież wiedziała, do czego on zmierza. Czemu więc jego szyderstwa budziły w niej aż taką złość?

– No, dobrze. – St. Bride najwyraźniej bawił się jej gniewem. Udając, że bierze na serio jej odmowę, rzekł tonem, który z każdym słowem

stawał się coraz głośniejszy: – Zapomnij zatem o ogromnym domu. Pojadę w takim razie do siebie, zmielę całe moje złoto na proszek, a potem posypię nim te drzewa, razem z pajęczynami i ptasimi gniazdami. Będziemy sobie żyli pod błyszczącym baldachimem, a ja każdego wieczoru będę układał cię do snu i całował, i...

– Cierpi pan najwyraźniej na tę samą przypadłość, co Launier – odpała, podczas gdy on na przemian splatał i rozplatał jej dłonie ze swoimi. – Mrzonki! – Przestała się nagle poruszać, przerażona czymś, co – jak czuła – poczęło wznosić się pod nią.

– Racja. Leż spokojnie. – Poglądził ją po włosach, patrząc, jak tańczą na nich blaski słońca. Kayleigh rozpaczliwie pragnęła, by przestał jej dotykać, lecz zażenowanie i konsternacja sprawiły, iż poddała mu się bezwolnie.

– Napijesz się wina? – spytał, podsuwając jej butelkę tuż pod nos.

Potrząsnęła przecząco głową.

– Pij. Wiem, że nic nie jadłaś, ale wino mimo wszystko dobrze ci zrobi. – Zmusił ją do wypicia kilku łyków.

– Już dosyć! – Zakrztusiła się. Słodkie, mocne wino zaraz uderzyło jej do głowy, a pusty żołądek i brak snu spowodowały, że stała się bardziej podatna na jego działanie. Była zresztą pewna, że St. Bride o tym wiedział. Wszystko, co robił, wydawało się wyrachowane i sprytne. Tylko czekał, żeby znów ją zaatakować.

Wino dodało jej jednak odwagi. Spytała:

– Co pan właściwie zamierza zrobić z tym miejscem, St. Bride Ferringer? No bo przecież nie chodzi o pagody i kaskady. Założę się też, że nie jest pan aż tak szalony, żeby mleć złoto na proszek...

– Nie, chyba że dla ciebie... – Znów się uśmiechnął i dotknął palcem jej miękkich warg. Widząc jednak, że zeszytniała, cofnął rękę i spytał nieco spokojniej: – A jakie są twoje marzenia, moja miła? Zdradzisz mi je? Może mógłbym sprawić, żeby stały się rzeczywistością?

Pytanie poruszyło ją, lecz odrzekła tylko:

– Marzę o wydostaniu się stąd.

– A dokąd potem pójdziesz, jeśli łaska? Z powrotem do Nowego Orleanu? Do Fort Biloxi? Do jakiejś nędznej chatynki nad rzeką? – St. Bride wyciągnął ramię, zerwał kwiat malwy i wpiął w jej włosy.

– Chcę wrócić do Szkocji – wyszeptała niemal bez tchu. Nie wiedziała, jak bardzo jest kusząca ze swymi błyszczącymi oczami i wzburzonymi włosami przybrany kwiatem, lecz gdyby miała świadomość swego uroku, uznałaby go raczej za ciężące nad nią przekleństwo.

– Teraz w Szkocji się biją, Kayleigh. To nie miejsce dla ciebie. A poza tym, czy już stamtąd raz nie uciekłaś?

– Szkocja jest przecież moją ojczyzną – usiłowała go przekonać. – To przepiękny kraj. Muszę koniecznie ją znowu ujrzeć. Ja... ja zrobiłabym wszystko, byle tylko tam wrócić. Zrobię też wszystko, żeby stąd odejść.

– Wszystko? – spojrzał na nią zamyślony, a potem, jakby mu się to nie podobało, spytał: – Czy nie chciałabyś pojechać do Georgii?

– Do Georgii? Czy stamtąd pan przybył?

– Byłoby to właściwe miejsce dla ciebie. Sądzę, że mój pobyt tutaj nie potrwa długo. Jeśli pragniesz opuścić Luizjanę, mógłbym cię wysłać do mego domu na Wolf Island, a potem zamieszkałbym w nim razem z tobą, kiedy moje tutejsze interesy dobiegną końca.

– Nie rozumiał mnie pan. Nie mam zamiaru mieszkać z panem. – Zwilżyła zaschnięte wargi, gotując się do walki.

– Czyżbym był odpychający? Czy mam może pełno brodawek na nosie? – Przybliżył do niej swoją przystojną twarz. – Niemal kulisz się ze strachu, kiedy się do ciebie zbliżam. No więc pytam cię, moja miła, czy jestem za stary i za brzydki dla ciebie?

– Nn.. nie. – Cofnęła się.

– A może wydają ci się biedny? Zgadzam się, że Belle Chasse brakuje splendoru; pojedź więc ze mną do Georgii, Kayleigh. Wolf Island rozproszy wszystkie twoje wątpliwości co do mego bogactwa.

– Nie zamierzam zostać niczyją kochanką. Chcę wrócić do Szkocji.

– Nie pojmujesz, co ci daję, moja miła. – Nagle St. Bride znów objawił tę stronę swojej natury, która nie znosiła sprzeciwu. – Czy wiesz, kim jestem? – spytał ostro.

– No, kim? – spytała hardo. Jego nieoczekiwany wybuch sprawił jej dotkliwą przykrość. – Wiem tylko, że mówi pan płynnie po francusku, ma nędzników za przyjaciół i tysiące nasion maku w swoim salonie. Prócz tego nic mi o panu nie wiadomo, najzupełniej nic. Nie jestem zresztą pewna, czy w ogóle chcę wiedzieć więcej.

St. Bride z trudem stłumił przekleństwo. Jednym ruchem głowy stanowczo uciał wszystkie pozostałe pytania.

– Mówię po francusku, jak każdy człowiek z moją pozycją. Laban nie jest żadnym nędznikiem, choć dobrze widzę waszą wzajemną wrogość. A z nasion maku zamierzam zebrać plony w Belle Chasse.

– Cóż to będą za wspaniałe plony! – odparła sarkastycznie. – Jeszcze raz spróbowała wyzwolić się z jego uścisku, lecz St. Bride nie pozwolił na to.

– Dzięki za opinię, milady. Raz już odrzuciłaś moje starania. Radzę ci, nie rób głupstw! Jestem twoją jedyną szansą na przyszłość, wierz mi.

Powiódł palcem po plamach światła i cienia poruszających się na jej twarzy. Pod oczami miała liliowe obwódki, świadectwo bezsennej nocy. Zauważył jej znużenie i zarówno jego dotyk, jak głos złagodniały. – Zaufaj mi. Ja nie chcę, żebyś się zmarnowała.

– Niech mi pan da pieniądze na powrót do Szkocji, to może zmienię zdanie. – Zaczerwieniła się. Jej oferta była bezwstydną, Nie miała nawet pewności, czy zdoła się z niej wywiązać. Jeśli jednak mogłaby dzięki temu wrócić do kraju...

– Znów chcesz zawrócić mi w głowie, co? – szepnął. – Cóż, okazałaś się szczodra, nie wiem jednak, czy dotrzymałbym ci słowa, bo, widzisz, sprawiasz mi straszny kłopot. Im dłużej z tobą przestaję, tym bardziej chciałbym cię zatrzymać!

Dotknięta do żywego wybuchnęła:

– Och, wiem, gdybym była mężczyzną, wszystko wyglądałoby inaczej! Wychłostano by mnie za kradzież, ale potem puszczono wolno. Dlaczego los kobiety zawsze musi być gorszy?

– Gdybyś była mężczyzną i zrobiła to, na co ważyłaś się wczoraj, dawno byłabyś trupem! – Jego słowa zawisły ciężko w powietrzu niczym dym po wystrzale z pistoletu.

Kayleigh zadrżała, lecz St. Bride ucałował delikatnie płatek jej ucha.

– Niemożliwe...

– Laban rzuciłby cię z galerii na bruk podwórza, co oznaczałoby śmierć. On dobrze wie, jak sobie poczynać ze szpiegami. Z równą łatwością mógłby zatłuc nędznego szczura okrętowego. Powinnaś się cieszyć, że jesteś kobietą. Uratowało ci to życie.

Odwróciła głowę. Zniżyła głos do szeptu, chociaż nawet i w ten sposób nie potrafiła ukryć rozgoryczenia.

– A więc mam zostać pańską igraszką...

– Sama rozstrzygniesz o swoim losie. Mogę być albo twoim opiekunem i ratować cię od śmierci na bagnach czy od gnicia w więzieniu, albo... – urwał i milczał przez chwilę. – Albo twoim wrogiem, który pojmał cię siłą i żąda podporządkowania.

– Nie – odparła, niezdolna dokonać wyboru między tymi skrajnościami. – Nie – powtórzyła jeszcze raz, oszołomiona bezwzględnością oferty. Gniew sprawił, że posunęła się za daleko. – Nie może mnie pan tak traktować. Są jeszcze w Szkocji ludzie, którzy kazaliby panu cofnąć te niegodne słowa, nawet za cenę własnego życia!

– Niegodne słowa? Moje słowa? To ty ciągle hańbisz się żalonymi, absurdalnymi kłamstewkami! – Odwrócił od niej wzrok, a nozdrza rozděły mu się z oburzenia. – Powiem ci, kim jesteś: nędzną portową szumowiną,

ot co! Dowiodłaś, że nie ma w tobie ani krzty honoru, lojalności czy moralności! Tylko że niezależnie od... kłopotów, jakie sprawiasz, czyni cię to jednak w moich oczach... pożądaną.

Objął ją mocno i ciągnął dalej:

– Chciałbym jednak zapomnieć o twojej wątpliwej przeszłości, moja miła. Chciałbym też, żebyś mi w tym pomogła, oddając mi się. Obiecuję, że potraktuję cię łagodnie. Jako moja kochanka będziesz chadzać w najwspanialszych atlasach i brokatkach, obwieszona najpiękniejszymi diamentami i szafirami. Niełatwo przychodzi mi składać ci podobną ofertę.

– Po cóż ją składać niechętniej temu dziewczynie? – spytała z goryczą.

– Całe tuziny innych przyjęłoby ją przecież z największą skwapliwością!

– Ale ty nie?

Nabrała tchu i spojrzała mu prosto w oczy.

– Ja nie.

W zamyśleniu pociągnął kolejny łyk wina, a potem łagodnym ruchem przytknął jej flaszkę do ust. Upiła trochę mocnego bordeaux, dając mu czas na przemyślenie jej odpowiedzi.

Wreszcie odezwał się:

– Sporo mi zawdzięczasz. Jak, twoim zdaniem, powinnaś mi się odwdzięczyć?

Ponieważ milczała, ciągnął dalej:

– Zgódź się zostać moją, a unieważnię twój dług. Nie posłę cię do więzienia ani nie będę zmuszał do posług domowych. Może nawet opłacę ci w końcu tę podróż do Edynburga.

Zrozumiała, że mówi poważnie. Z jego twarzy znikł chłopięcy, zawadiacki wdzięk, pojawił się na niej mroczny cień, bynajmniej nie ten rzucany przez dęby czy nadciągające burzowe chmury. Wiedziała, że był człowiekiem, który jeśli czegoś pragnął, to pragnął mocno. Dreszcz przebiegł jej po plecach na myśl, co pocznie St. Bride, jeżeli tym pragnieniom nie będzie dane się spełnić.

– A jeśli odmówię? – szepnęła, gdy lekko ucałował jej zaczerwienione od wina usta.

– Czy nic teraz nie czujesz? – Uszczypnął delikatnie jej dolną wargę, potem pociągnął za miękki jak płatek kwiatu koniuszek ucha, a wreszcie uniósł masę splątanych, ciemnych włosów i pogładził jedwabistą skórę karku.

– Nic a nic – szepnęła, choć policzki ją paliły, a dłonie pokrył pot. Woląta jednak winić za to upalną pogodę tego dnia.

– No, a co czujesz teraz? – mruknął, a pomruk ten wydawał się wychodzić gdzieś z głębi piersi. Przyciągał ją blisko siebie, coraz bliżej,

usiłując rozdzielić kolanem jej uda, tak że w końcu na wpół na nim legła. Czuła jego męskość, mimo że dzieliły ich całe warstwy odzienia. Jego ciemne włosy na półnagim torsie, ocierały się o jej odsłonięte ponad stanikiem piersi. Wiła się i mocowała z nim, lecz mimo to był nieprzejednany. Pokonał wreszcie jej opór i trzymał ją ramionami twardymi jak stal. Czekał na odpowiedź, która byłaby po jego myśli.

Chciała zyskać na czasie. W głębi duszy wiedziała, że wcale nie miał natury gwałciciela, a mimo że nie budził w niej namiętności pojmowała, iż był w stanie przerwać w każdej chwili te szaleńcze zmagania i dać jej nieco odetchnąć. Widząc w tym jedyną nadzieję, rozpaczliwie usiłowała nie ulec jego fizycznemu urokowi. Zamykała oczy, żeby nie widzieć jego urodziwego ciała leżącego tuż przy niej. Odwracała wzrok od jego muskularnej szyi, na której pulsowały gwałtownie żyły. Udało się jej nawet zobojętnieć na ucisk torsu, który czuła pod sobą, oraz nóg, które niby obciążone skórą żelazne walce okalały jej biodra.

W końcu jednak, mimo iż z całej siły starała się opancerzyć przeciw jego zakusom, udało mu się dokonać wyłomu w tej zbroi. Dotyk jego ust na jej rozpalonej skórze sprawił, że zaczęła coraz szybciej i gwałtowniej oddychać. Woń jego ciała zawróciła jej w głowie. Boże, doprawdy nie pamiętała, by zdarzyło jej się doznać czegoś podobnego! Był jak narkotyk, którego nagle rozpaczliwie zapragnęła, choć wcześniej nigdy go nie zażywała. Im mocniej usiłowała narzucić sobie obojętność względem niego, tym silniej go czuła, aż wreszcie zakręciło jej się w głowie. Własne ciało zdradziło ją, a umysł zupełnie się zmacił. Nie chciała tego, za nic nie chciała, lecz coś w głębi, co chłoneło tę woń i pragnęło, by nie znikła, powiedziało jej, że jest inaczej. Jęknęła.

Otworzyła oczy i na jego widok jakby eksplodowała w niej walka toczona z samą sobą. St. Bride zakończył ją jednak, czego – co w jakiś dziwny, niewytłumaczalny sposób wiedziała – pragnął.

Szepnął jej tuż przy uchu słowa, które sprawiły, że do reszty straciła panowanie nad sobą:

– No, dalej, pokaż mi, jak bardzo gardzisz kochaniem się ze mną!

Nie potrafiła tego wcale, potoczyli się więc po trawie i pocałowali tak, jak nigdy przedtem. Nie mogła się oprzeć jego doświadczonym zabiegom i dopiero po kilku przerażających sekundach pojęła, że nie tylko on ją całuje, lecz że ona mu ten pocałunek oddaje.

Jej umysł był tak zdesperowany, jak ciało spragnione. Im mocniej go całowała, tym większą czuła przyjemność. Jego wargi wcale nie okazały się takie, jak sądziła. Nie sprawiały jej bólu ani też jej nie znieważały. Były bezwzględne i władcze.

Takie jak on sam, błysnęło jej w myśli. Tylko że jej własne wargi przyzwalały mu na tę bezwzględność, ba, nawet chętnie ją witały, a władcze żądania tamtych były spełniane.

Gdy już nie mogła dłużej znieść tych zmagających, rozchyliła usta i pozwoliła mu w nie wnikać. Poczuli, że go to zaskoczyło, a jego satysfakcję zwiększył jeszcze głęboki jęk, który zdawał się wydobywać z głębi jej trzewi.

– Tak, właśnie tak, Kayleigh – szepnął. Gdy leżała pod nim, czując na plecach żdźbła trawy, podsunął jej srebrną flaszkę pod same wargi, a jej się wydało, że częstuje ją nie winem, lecz eliksirem miłosnym, który szybko i bez trudu bierze ją w posiadanie.

Oczy Kayleigh, nim napiła się wina po raz drugi, przez jedną krótką chwilę napotkały jego spojrzenie. Całe jej wcześniejsze zdecydowanie rozwiało się, rozpląnęło gdzieś w parnym powietrzu. St. Bride z błyskiem rozbawienia i satysfakcji patrzył, jak pije prosto z flaszki. Wino spłynęło jej na podbródek, lecz zdołał zgarnąć je językiem, nim strużka trunku zdążyła splamić stanik. Potem zaś, jakby smak jej skóry sprawił mu szczególną przyjemność, wylał na nią jeszcze trochę płynu i znów go zlizął.

Gdy tak spijał wino kropla po kropli z jej nieosłoniętej piersi, jęknęła, a potem nagle wygięła się w łuk. Język St. Bride’a wędrował coraz niżej, aż wreszcie poczęła przeklinać w duchu swoją suknię za to, że stawia mu opór. Kiedy powoli rozsznurowywał jej stanik, nie panowała już nad sobą. Modliła się wręcz, by jak najprędzej oswobodził ją ze stroju, w którym dusiła się z gorąca; by wreszcie mogła zetknąć się z jego gładkim twardym ciałem.

– Będę cię miał i już, moje ty cudzie! Mam po temu środki, a chęci też mi nie brak!

Słowa, wyszeptane przez niego niepodobnym do żadnego innego, chrapliwym głosem, zmusiły ją do otwarcia oczu. Spojrzała w jego turkusowe tęczówki. Szczerze pragnęła ukarać samą siebie za tę chwilę zapomnienia. Szkocja wydała się jej jednak tak bliska! Wszystko, czego najgoręcej pragnęła, znalazło się nagle w zasięgu ręki. Wystarczyło nagiąć się do jednego, jedyne żądania tego człowieka.

Nachylił się, by pocałować ją raz jeszcze, lecz cały czar prysnął. Nie może postradać czegoś tak cennego, jak dziewictwo, na rzecz niekochanego człowieka. A ze strony St. Bride’a miłości wcale się nie spodziewała. Zawsze sobie wyobrażała, że odda się mężowi pod bezpieczną osłoną małżeńskiego łoża. Czy miała ulec temu dziwnemu mężczyźnie w cieniu paru dębów? Nagle cena Szkocji wydała się jej zbyt wygórowana.

Zanurzyła ręce w jego włosach. Jej palce poczęły błędzić pośród srebrzystych pasm na skroniach. Wyciągnęła je spiesźnie, chcąc, żeby wreszcie przestał ją całować.

– Co się stało? – szepnął, widząc lęk w jej oczach.

– Już dość – jęknęła – dosyć, powiadam!

Popatrzył na nią tak przenikliwie, jakby chciał ją przewiercić wzrokiem na wskroś. Potem przyknuł powieki z pomrukiem niezadowolenia.

Mimo upału poczuła się jak oblana zimną wodą. Wyzwolona od dotyku jego rąk odzyskała właściwy dawnej Kestrel instynkt samozachowawczy. Wyczołgała się spod jego ciała, odtrącając obejmujące ją ciasno ramiona, i usiadła. Nie pozwalając mu się dotknąć, gwałtownie odwróciła głowę w stronę dębowego pnia. Potem spojrzała w górę ku mrocznym chmurom zwiastującym ulewę. Ogarnęła ją nagle złość na samą siebie, równie gwałtowna jak odległy grzmot burzy, a w jej oczach, choć nie była tego świadoma, zamigotało ostre światło podobne do sinej błyskawicy.

– Moje ciało mnie zdradziło – rzekła z żalem.

St. Bride, który dotąd milczał, usiłując się opanować, rzekł wreszcie z kamienną twarzą:

– Lepiej już zdradzaj siebie niż mnie! – Wyciągnął do niej ręce, lecz okazała się nieugięta. Dźwignęła się w końcu z trawy bez jego pomocy, ściągnęła poplamioną winem sznurówkę stanika i pobiegła ku Belle Chasse, nie oglądając się za siebie.

11

Popołudniowa burza nadciągała z tą samą nieuchronnością, z jaką nie-miłe zapachy wydostawały się z kuchni. Colette codziennie piekła chleb i wydawało się, iż żar chce wznieść się aż po same chmury, by wywołać odzew w postaci deszczu. Ziemia łaknęła ochłody, a chleb musiał być upieczony bez względu na pogodę.

Kalyeigh ledwie zdążyła schronić się w kuchni, nim spadły pierwsze krople. Colette od razu spostrzegła jej niezwykle bladą i rozszerzone źrenice.

– Znowu się rozchorowałaś? – Mulatka spojrzała na nią z troską. – Pewnie dałam ci za mało ziółek!

Kayleigh wzdrygnęła się na samą myśl o naparach Colette, równie przykrych dla podniebienia, jak wyziewy z rynsztoka dla nosa. Po kolejnej kuracji Mulatki poczułaby się chyba gorzej, niż gdyby wąż ukąsił ją ponownie. Odparła pospiesznie:

– Ach nie, czuję się świetnie, po prostu zgłodniałam.

– No więc jedz. Zrobiłam budyń z ryżu. – Colette wskazała wielką miskę na kuchennym stole z wiśniowego drewna.

– Och, Boże, ten krem jajeczny! – Kayleigh spojrzała przerażona na Colette. – Pewnie się zmarnowałam! Musiałam nakarmić Chridhe, a potem przeszkodził mi stary Grand-Louis. Zupełnie się pogubiłam. Widzisz, ja nigdy przedtem nie gotowałam.

– Tak, okazał się całkiem do niczego, głównie z przyczyny tej mąki. Czy coś się przypaliło, panienko? *Potager* jest całkiem czarny!

– Strasznie mi przykro. Nie sądziłam, że narobię tyle kłopotów. Pan St. Bride zagasił ogień.

– Laban mówił mi, że on przyszedł i wyciągnął cię stąd za rękę. – Oczy Colette rozszerzyły się ze strachu.

– Owszem – potwierdziła zgębiona. – Koniecznie chciał mnie zabrać na małą przejażdżkę. No i prawie mu się udało, pomyślała.

– Ależ ty jesteś chora! Spójrz tylko, jak zbielełaś na twarzy! Zaraz musisz napić się ziółek! – W głosie Colette brzmiało szczere zmartwienie. Mulatka podreptała chwiejnie do półki, gdzie stało pełno buteleczek z dmuchanego szkła.

– Nie, nie! Colette, ja naprawdę jestem tylko głodna! – Szybko poszła do stołu i nałożyła sobie budyniu.

Był łagodny w smaku, słodki i wspaniale schłodzony w glinianych garnkach zwanych *jarres de Provence*. Nie jadła niczego tak smacznie przyrządzonego od czasu, gdy wraz z Bardolfem zdołała zwędzić z gar-kuchni w Nowym Orleanie trochę ptysiów. Budyń błyskawicznie zniknął z talerza i Kayleigh rozsiadła się wygodnie. Właśnie powoli sączyła przyniesioną przez Colette kawę, gdy ktoś energicznie zastukał do drzwi.

Colette pospiesznie otrzepała swoje gładkie dłonie z resztek mąki i pokuśtykała do drzwi z cyprysowego drewna. Gdy je otworzyła na oścież, nie ujrzała nikogo, lecz za to na progu leżała wiązanka złoto-czarnych polnych kwiatów. Z uśmiechem podniosła ją i wróciła do kuchni.

Kayleigh spostrzegła, że zarumieniona Colette ma na sobie całkiem nową, perkalową suknię i czysty lniany fartuch, biały niczym kwiaty dzikiej magnolii. Zaszła w niej jakaś zmiana, ledwo uchwytna. Przed Kayleigh nie stała już zahamowana, drobna niewolnica, która czuwała nad nią w chorobie. Colette była teraz piękną młodą kobietą.

– Dziwne! – zawołała. – Jak on się tutaj znalazł? Myślałam, że coś podobnego nigdy mi się nie przydarzy! – Colette, promiennie uśmiechnięta, tuliła do piersi bukiet pospolitej rudbekii.

– Cóż to takiego? – Kayleigh spojrzała na nią ze zdumieniem.

– Ktoś się do mnie zaleca – oznajmiła niemal bezgłośnie szeptem Colette.



– Nic mnie nie obchodzi, dokąd on idzie i skąd wraca – oznajmiła Kayleigh tego samego wieczoru, wciąż jeszcze pomagając Colette w kuchni. Nie widziała St. Bride’a od swego powrotu z Małego Wersalu. Przy obiedzie Colette rzekła mimochodem, że pojechał do miasta w jakiejś nieznannej bliżej sprawie. Potem, kiedy Mulatka wspomniała o jego spodziewanym powrocie, Kayleigh wzruszyła ramionami i zbyła jej słowa milczeniem.

Nie obchodzi mnie to, rzekła sobie w duchu, czyszcząc zawzięcie już i tak błyszczący pucharek. Za żadne skarby nie chciała też powracać myślą do jej własnego, pozbawionego wszelkich hamulców zachowania pod dębami, ani do żadnego innego zdarzenia tego wieczoru.

Ze znużeniem przeciągnęła ręką po karku. Dzień zdawał się ciągnąć bez końca, a im dłużej trwał, tym wydawał się gorszy. Znekana świadomością, że nadal błądzi myślami wokół St. Bride’a, ofiarowała się pójść do Babet po wypraną pościel. Gdy wracała do kuchni, dostrzegła w słabym już, wieczornym świetle kartkę przyklejoną do drzwi domku Labana. Chociaż przejmowała ją lękiem sama możliwość natknięcia się na służę St. Bride’a, ciekawość wzięła w niej górę nad obawą.

Podeszła bliżej, rozglądając się, czy jakiś zapóźniony stajenny albo praczka-niewolnica nie kręcą się w okolicy, lecz nie zobaczyła nikogo. Szybko zbliżyła się do drzwi i jeszcze szybciej odczytała słowa skreślone na kartce męskim, zamaszystym charakterem pisma.

Pojechałem do Nowego Orleanu na spotkanie z naszym drogim Straughtem. Chcę pokazać Kayleigh, gdzie jest jej miejsce.

St. Bride

Przygryzła dolną wargę i przeczytała wszystko jeszcze raz. Serce w niej zamarło. Znowu odżyły koszmary, które – jak sądziła – przestały ją już prześladować. Czy była głupsza, niż sądziła? Znajomość St. Bride’a ze Straughtem odbierała jej spokój. A może było to coś więcej niż zwykła znajomość? Może St. Bride wiedział o niej więcej, niż chciał przyznać?

Koniec z tym! – zdecydowała, odwracając się od drzwi. Nie mogłaby przecież całować się z człowiekiem uwikłanym w zażyłość ze zbrodniarzem.

Ciało mogło ją zdradzić, ale instynkt nigdy. Wiedziałyby od pierwszej chwili, czy St. Bride był kimś pokroju Straughta. Poczwałyby to. Po błysku w oku czy tonie głosu. Miała jednak pewność, że St. Bride w niczym nie przypominał jej kuzyna. Nie, to doprawdy nonsens! Usprawiedliwiam nasz pocałunek, a wkrótce zacznę usprawiedliwiać samego St. Bride'a! Roześmiała się z ulgą i odstąpiła od drzwi, zamierzając pójść z powrotem do Colette.

– Z czego się pani śmieje, Kayleigh? Czy myśli pani, że on nie może tego zrobić? – Laban wyciągnął masywne ramię i zerwał karteczkę z gwoźdźcia. Zaszedł ją po cichu od tyłu, najwyraźniej wracając od Colette. Mimo potężnej postury potrafił, podobnie jak jego pan, poruszać się szybko i bezszelestnie.

– Ależ ja tylko... – Słowa zamarty jej na wargach, gdy zrozumiała, że znalazła się w fatalnej sytuacji. Laban ponownie przyłapał ją na kompromitującej niedyskrecji.

– Znów pani szpieguje? – Jego słowa, wypowiedziane gardłowym akcentem z Indii Zachodnich, zmroziły ją do szpiku kości.

– Nie szpiegowałam – próbowała się bronić.

– Nie wiedziała pani, że tu mieszkam? – Zmiał kartkę w ogromnej pięści i wskazał na kuchnię: – Myślę, że Colette pani potrzebuje. Może ona będzie miała na panią lepszy wpływ. – Z tymi słowami wszedł do domku, zatraskując głośno drzwi za sobą.

Gdy Kayleigh znów siedziała w kuchni, pomagając Colette, czuła bolesny ucisk w sercu. Nie uważała się wprawdzie za winną, wręcz przeciwnie. Wiedziała jednak, że Colette nie pochwała jej postępków, i że rodząca się między nimi przyjaźń legła w gruzach. Była to świadomość tym bardziej dotkliwa, że Kayleigh czuła się w Belle Chasse otoczona samymi wrogami. Laban nigdy jej nie ufał, a to, co dziś zrobiła, tylko pogłębi jego podejrzliwość. Względy okazywane jej przez St. Bride'a w najlepszym razie były niepożądane, wytrącały ją z równowagi i pozabawiały zimnej krwi. Colette za to wydawała się jej osobą przyjazną, zapewne dzięki wspólnej im obu wrażliwości. Właśnie dlatego jej ufała. Może sprawiała to również nieskazitelna uczciwość młodej Mulatki i jej spokojny, godny sposób bycia. W każdym razie Kayleigh zrobiło się przykro, kiedy Colette spojrzała na nią z wyrzutem.

– Bardzo się na mnie gniewasz? – wyrwało się jej.

– Pan St. Bride okazał ci dobroć, a ty odpłaciłaś mu wiarołomstwem. Nie powinnaś była czytać, co napisał do Labana.

– Ale chciał czegoś ode mnie, a ja nie ufam mu na tyle, żeby być mu posłuszną. Jakże inaczej mogę poznać jego prawdziwe zamiary? – Kayleigh

usiłowała dać Colette możliwie uczciwą odpowiedź. Ufała jej, ale mimo to musiała zachowywać ostrożność. Nie mogła zdradzić jej wszystkiego, świadoma nieugiętej lojalności Colette względem właściciela Belle Chasse.

– Monsieur Ferringer jest kryształowo uczciwy. – Colette wytarła do czysta stół z wiśniowego drewna.

– Kryształowo uczciwy? St. Bride? Gdybyś wiedziała, jak nieczyste są jego myśli i każda cząstka ciała! – Odwróciła się od Colette zażenowana. – Najbardziej się boję, kiedy mnie dotyka. On myśli, że jestem inna niż naprawdę, Colette.

– A czymże ty jesteś jeśli nie *une prostituée*?

W kuchni zapadło przykre milczenie. Nawet węgiel na palenisku zdawał się potrzaskiwać ciszej niż przedtem. Najwyraźniej Colette, wyjątkowo jak na nią rozgniewana, nie zdążyła zdać sobie sprawy, co właściwie powiedziała. Natychmiast pożałowała swoich nieoględnych słów, lecz w oku Kayleigh błysnęła łza. Już miała spłynąć po jej policzku, gdy Kayleigh uciekła się do wypróbowanej metody: przymknęła powieki. Gdy je ponownie rozwarła, po łzie nie było ani śladu. Oczy jej rozbłysły, a plecy się wyprostowały.

– Los spletał mi okrutnego figla. Jestem kimś całkiem innym, niż wy wszyscy myślicie. Pogarsza to tylko moją udramę.

– Przepraszam cię, Kayleigh, *vraiment*. Moje słowa były niegodne i okrutne. – Colette potrząsnęła głową w zawoju z madrasu, lecz roześmiała się nieoczekiwanie. – Ach, ci mężczyźni! Czemuż musimy znosić wszystko, co z nami wyprawiają?

– Wcale nie chcę tego znosić!

– Przecież musisz! Taki już nas los.

– Nie mój. Nigdy nie miałam mężczyzny i daję słowo, że tak będzie nadal.

Colette wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

– Nie pojmuję tego. Przecież w życiu, jakie wiodłaś...

– Bardolf nauczył mnie tylko kraść. Wiedział, że nie dam się zmusić do... do sypania z mężczyznami za pieniądze. – Kayleigh nienawidziła samej siebie za to, że głos jej drżał. Nie wiedziała też, czy nie popełniła błędu, mówiąc wszystko Colette.

Mała Mulatka zbyła milczeniem jej ostatnie zdanie, lecz prędko rzekła półgłosem:

– Ech, może nie będzie tak źle. Wiem, że się boisz, ale powinnaś się cieszyć, że twoim pierwszym będzie taki mężczyzna, jak nasz pan. – Na jej twarzy malowało się co prawda współczucie, lecz w głębi duszy godziła się bez sprzeciwu z tym, co Kayleigh wydawało się nie do zniesienia.

– Ucieknę z Belle Chasse, nim do tego dojdzie. Gdy nadejdzie czas, udam się na północ, może do Fort Rosalie albo do Fort Maurepas. – Kayleigh uczepiła się desperacko swego wcześniejszego zamiaru.

– Boję się, że nie dasz rady. – Chociaż Colette ujęła ją życzliwie za rękę, powiedziała tylko: – Niełatwo wydostać się z Belle Chasse. Wiesz o tym lepiej od innych. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, rozciągają się bagniska, z wyjątkiem traktu River Road, ale rzadko kto nim przejeżdża. Ludzie wola podróżować wodą, niż tą niebezpieczną drogą. Słyszałaś może, że Indianie wymordowali mieszkańców Fort Rosalie? Radzę ci o tym pamiętać, bo jeśli nawet zamierzasz udać się na północ, to będziesz musiała podróżować sama jedna. Musiałabyś uprosić naszego pana, żeby cię zabrał tam, dokąd chcesz, ale im więcej o tym myślę, tym bardziej nabieram przekonania, że nie zechce.

– Ależ zabierze mnie! Czemu miałby tego nie zrobić? – Kayleigh zaciśniętymi pięściami zabębniła po stole.

– Bo jesteś bardzo piękna.

Kayleigh utkwiała w niej wzrok. Brwi Colette uniosły się nieco, gdy ciągnęła dalej:

– Laban dobrze zna naszego pana; może też dlatego cię nie lubi, bo mówi, że całkiem się odmienił, odkąd cię poznał. Kiedy się tylko przy nim znajdziesz, on na ciebie patrzy, jakby chciał cię pożreć oczami. A nigdy dotąd taki nie był. Laban powiedział mi jeszcze jedno: pan St. Bride ma do ciebie straszłą słabość. Całkiem jak do lady Mary Greenling.

– Mary Greenling? – Kayleigh już miała zaprzeczyć zarzutem Colette, lecz nieoczekiwane nazwisko zdumiało ją i zaskoczyło. Imaginacja podsunęła jej obraz młodej żony, całkowicie oddanej mężowi, gdzieś na dalekiej plantacji w Georgii. Jej imię kojarzyło się z łagodnością i uległością, podobnie jak imię Morny. Kayleigh jednak zniecierpliwiała się od pierwszej chwili. Znowu nawiedziło ją wspomnienie jej nieprzystojnego zachowania w towarzystwie St. Bride'a.

– A więc on jest żonaty? – spytała z goryczą. – Jawnie okazuje, że mnie pragnie, a tymczasem ma żonę?

– *Non*, to jego siostra – uspokoiła ją Colette.

– Siostra? – Kayleigh zamyśliła się. Czemu właściwie poczuła taką ulgę?

– *Oui*, przyrodnia siostra. Laban mi mówił, że umarła parę miesięcy temu.

– Co jej się stało? – Słowa ledwie przeszły jej przez gardło. Nim jednak Colette zdążyła odpowiedzieć, na podwórzu pojawił się Laban. Widzieli, że zmierza do kuchni, baczny i spięty.

Colette szepnęła:

– Nie mówmy już o tym więcej, Kayleigh. Ja zachowam w tajemnicy twoje sekrety, a ty obiecaj mi to samo. Powiedziałam ci więcej, niż powinnam, ale tylko po to, żebyś przestała się bać. St. Bride bardzo się czymś martwi. Jeśli twoje dziewictwo może rozproszyć jego smutek, nie będę ci współczuć. Cała służba go wielbi i choć mi cię żal, on jest w końcu moim panem. Muszę mu być bezgranicznie wierna. – Z tymi słowami pokuśtykała do paleniska i wygasiała ogień.

Kayleigh spojrzała na nią, oszołomiona i zdezorientowana. Gdy Laban z nachmurzoną miną wszedł do kuchni, wymówiła się pospiesznie i wróciła do swego pokoju. Wiedziała, że przynajmniej będzie tam sama i zdoła uporządkować myśli.

Spędziła kolejną bezsenność. Leżąc w łóżku, słyszała, jak St. Bride wrócił w środku nocy. Słyszac echo jego kroków od strony loggii, drgnęła, przypominając sobie o kartce przeznaczonej dla Labana. St. Bride nadal pozostawał dla niej zupełną zagadką. Z lękiem zastanawiała się, kim w końcu się okaże.

O świcie jednak, kiedy nie panowała już dłużej nad myślami, wspomnienie pocałunku pod dębami poczęło powracać raz po raz. Razem z nim odżywały zaś pragnienia, niespokojne i niezaspokojone, gdyż nie mogła w pełni przeżyć po raz drugi tamtej chwili bez jego dotyku i bez jego zapachu. Przewróciła się na drugi bok i przygryzła wargę. Nie chciała, żeby to właśnie jemu dostało się jej dziewictwo. Pragnęła oddać je jedynie mężczyźnie wybranemu przez nią samą. Wiedziała, że można to zrobić tylko z miłości. Wszystko inne byłoby grzechem.

Czemu więc rozpaczliwie wprost pragnęła znów go zobaczyć? Poczuli do siebie obrzydzenie i dokładała wszelkich wysiłków, żeby nie zwracać uwagi na przygłuszone dźwięki dochodzące z pokoju obok, gdzie St. Bride szykował się do snu. Posłyszała jednak dwa ciężkie stuknięcia, które musiały wydać ściągane przez niego buty, a potem, wsłuchując się pilnie w szelesty tkaniny, usiłowała się domyślić, którą część odzienia właśnie z siebie ściąga. Posłyszała skrzypnięcie krzesła. Czy wieształ na nim koszulę, czy też może... spodnie? Z desperacją przewróciła się na brzuch i usiłowała zasnąć, gdy nagle zaczęła się zastanawiać, co też on robi w swojej sypialni. Czy już śpi? Czy raczej leży w łóżku, wpatrując się w baldachim? Czy wyprawa do miasta sprawiła, że odprężył się i rozzerwał, czy nadal ma posępny, zawzięty wyraz twarzy, jaki widywała kiedy był znużony? Wraz z tą myślą poczuła nagłą chęć, by pójść do niego. Chciała złagodzić jego napięcie. Niespodziewanie zapragnęła, żeby się do niej uśmiechnął, choćby tak, jak wtedy w porcie, kiedy złapał ją za suknię i obydwójce upadli prosto w błoto.

Pokręciła głową i po raz ostatni zdumiała się, jakież to myśli ją nachodzą. Niemalże się roześmiała. Boże! Musi przecież uciekać z Belle Chasse! Jeśli tego nie zrobi, zwariuje. To pewne.



Następnego dnia słońce prażyło żywym ogniem. Od jego żaru paczyły się drewniane boazerie, z których schodziła farba, i potrzaskiwały dachówki. Jediną ochłodę mogłaby przynieść burza, jedna z tych, dzięki którym w delcie Missisipi pleniły się dzikie irysy. Jak jednak wiedzieli urodzeni w tym klimacie ludzie, upały w Luizjanie utrzymują się długo i dręczące gorąco mogło potrwać aż do pierwszych październikowych chłódów.

Tego ranka Kayleigh otrzymała polecenie nakarmienia gołębi. Podejrzała, że Colette chce się jej pozbyć z kuchni, a choć nie mogła mieć o to pretensji, zważywszy, jakiego zamieszania narobiła tam poprzedniego dnia, tęskniła jednak za jej towarzystwem.

Rozrzuciła karmę wokół wysokiego, kanciastego gołębnika nakrytego stromym, czworograniastym daszkiem. Zgodnie ze zwyczajem, ustawiono go tuż przed frontowym trawnikiem plantacji, żeby każdy przechodzień mógł się domyślić bogactwa właściciela. W Belle Chasse roiło się od prześlicznych gołębi. Kayleigh zdumiewała się tym, że nie były płochliwe. Gdy Józef i Mateusz wypuścili je po raz pierwszy, oczekiwała, że wszystkie z miejsca odlecą. Stało się jednak inaczej: ptaki zdawały się z zadowoleniem dziobać ziarno, całkowicie nieświadome, że codziennie któregoś z nich ubywa. Płaciły za pokarm własnym ciałem. Bez trudu dostrzegła podobieństwo losu jej i gołębi.

– Panno Kayleigh, czy mogę panienkę uczesać? – cienki głosik przerwał jej rozmyślania. Spojrzała w dół. Mała niewolnica imieniem Walentyna wyciągała ku niej rączkę, w której trzymała srebrny grzebień. Za nią kulila się z chichotem jej pięcioletnia siostrzyczka, Wenus.

– O wy nieznośne smarkule, porwałyście grzebień pana St. Bride’a! Ach, a cóż to takiego? Nowe stroje! Chodźcie, niech wam się przyjrzę! Walentyno, od kogo je macie? – Kayleigh patrzyła, jak obydwie obracają się przed nią w kółko, powiewając brązowymi spódniczkami.

– Od białego pana, panienko. Och, jaki on dobry! – odparła Walentyna i obydwie zachichotały.

– Doprawdy? – Kayleigh z powątpiewaniem zmarszczyła brwi, lecz nie chciała psuć im przyjemności mówiąc, co o nim myśli. Spojrzała znów na grzebień i rzekła: – Straszne z was psotnice, dobrze to widzę. No co, wciąż jeszcze macie chęć mnie uczesać? – Widząc ich błagalne

spojrzenia, nie mogła powstrzymać uśmiechu. Obydwie dziewczynki fascynowały ją, one zaś od pierwszej chwili zdawały się odplącać jej uwielbieniem. – Myślę, że się zgodzę. Musimy jednak mieć się na baczności! Nie chcę, żeby pan St. Bride odkrył, na co się ważyłyśmy, bo jeszcze gotów pomyśleć, że to ja was namówiłam do wzięcia po kryjomu jego grzebienia!

Śmiejąc się, usiadła w cieniu galerii na krześle z surowego cyprysowego drewna. Wyjęła szpilki ze lśniących, ciemnych włosów, które kaskadą opadły na ramiona. Obydwie bliźniaczki z zachwytem przebierały paluszkami w jedwabistych splotach, oczarowane ich pięknem.

– A teraz uwaga – upomniała Wenus, gdy Walentyna zagłębiła w nich grzebień. Odchyliła głowę w tył. Jawna admiracja okazywana jej przez dziewczynki budziła w niej niejasne poczucie winy. Rok temu oczekiwałyby ich podziwu. Jako rozpieszczona córka bogatych ziemian uważałyby go za coś należnego jej z racji urodzenia. Dziś jednak czuła, że nań nie zasługuje, co sprawiło jej niejaką przykrość.

Przymknęła oczy, pozwalając, by ruchy grzebienia niosły jej odprężenie. Wiatr, chociaż ciepły, chłodził jej gorące czoło. Mo Chridhe wypełzła spod okapu i wskoczyła Kayleigh na kolana. Zaczęła gładzić futerko kotki w rytm ruchów grzebienia, wpatrzona w cyprysowe belki i nierówne tafle posadzki, póki powieki nie zaczęły jej ciążyć. Dzień był nieznośnie upalny, co zdawało się zapraszać do drzemki.

Wenus zachichotała nagle gdzieś z tyłu za nią... a może była to Walentyna? Kołysała się na krawędzi snu i jawy.

Nagle poczuła ledwo dostrzegalne dotknięcie na samej granicy włosów. Potem przesunęło się ono na kręcone włoski tuż przy skroniach, aż wreszcie sięgnęło różowych, atlasowo gładkich policzków. Przez chwilę błąkało się po jej delikatnym podbródku. To nie było dotknięcie dziecka.

Otworzyła z wysiłkiem oczy, kiedy zawędrowało na sam tym głowy. Obejrzała się. St. Bride, równie obojętny i nieodgadniony jak zawsze, stał z tyłu, wpatrując się w nią uważnie. Jego oczy dostrzegały każdy rys jej twarzy, od zgrabnego, lekko zadartego nosa do idealnie zarysowanego owalu twarzy i połyskującej z powodu upału cery. Wreszcie zatrzymał wzrok na wargach, wilgotnych i lekko rozchylnych. Pozwalały one dojrzeć wewnątrz ust o ciemniejszym, różanym odcieniu, same podobne do róż, ale nie pączkujących czy przekwitłych, lecz w pełni rozwiniętych. Najwyraźniej nie mógł się oprzeć temu widokowi.

Pochylił się, dotykając ich swoimi w sposób, który ani jej nie przstraszył, ani nie przytłoczył. Jej nos znalazł się nagle tuż przy jego szyi pachnącej mydłem o intensywnej woni i jego własnym, trudnym do

określenia, zagadkowym zapachem, słabiej uchwytnym i nie tak czystym, jak aromat mydła. Czy jej zapach był równie mocny i tak samo uderzał do głowy, jak jego? Pocałunek trwał jednak zbyt krótko, by mogła rozstrzygnąć tę kwestię. Dwa ciche parsknięcia śmiechem rozległy się za nimi. St. Bride z pomrukiem niezadowolenia cofnął głowę, z jedną brwią złośliwie uniesioną.

– Nasze Kupidyńki za dużo widziały. – Wyprostował się, a potężny zarys jego ciała przejął Kayleigh lękiem. Z jej perspektywy zdawał się górować nad nią jak wieża, wysoki i zaborczy. Poderwała się, znów usiadła i zwróciła się do St. Bride'a.

– Wzięłam pana grzebień, St. Bride, i... i poprosiłam dziewczynki, żeby rozczesały mi włosy. – Podała mu go, próbując zrobić pełną skruchy minę. Nie sprawiło jej to żadnej trudności, bo naprawdę czuła się winna. Nie chciała, żeby się domyślił psoty dziewczynek. Wenus i Walentyna były zbyt urocze, żeby je karać.

– Ty wzięłaś grzebień? No to czemu nie ukryłaś go pod stanikiem albo nie wetknęłaś pod materac. – Oparł się o ścianę, wyraźnie rozbawiony. – Doprawdy, moja miła, dziwnie sobie poczynasz. Kradniesz moje osobiste rzeczy, a potem podtykasz mi je pod nos!

– Chciałam go sobie tylko pożyczyć, a potem zwrócić. – Wołała nie patrzeć na bliźniaczki, co przychodziło jej z wysiłkiem. Miała jednak nadzieję, że się nie przestraszyły.

– Najwyraźniej Wenus i Walentyna zdradzają szczególną słabość do czarnych włosów i białej skóry.

– To tylko małe dziewczynki, St. Bride. – Zaniepokojona, usiłowała za wszelką cenę odwrócić jego uwagę od dzieci. Zaczęła zwijać włosy w ciężki węzeł i gorączkowo wpinać w nie szpilki.

– Zostaw je tak, jak są. Zdaje mi się, że ja także mam do nich słabość. – Ujął jej dłonie w swoje szerokie, smagłe ręce, żeby przeszkodzić w upinaniu fryzury. – A poza tym wcale nie zamierzam karać dziewczynek. Mam dla ciebie podarunek, Kayleigh. Chciałem ci go wręczyć w Małym Wersalu, tylko że – dodał oschle – wszystko poszło inaczej, niż sobie zaplanowałem.

Kayleigh uniosła głowę, przypominając sobie aż za dobrze, czemu tak się stało. Jednakże opuściła ją natychmiast, nie mogąc zignorować paczki, którą położył jej na kolanach.

– Cóż to takiego?

– Prezent – rzekł zwięźle.

Obracała paczkę w rękach. A więc dostała od niego prezent, zupełnie jak od swoich konkurentów w Mhor. Teraz jednak nie była panią

zamku, tylko służącą, a do służących, o czym dobrze wiedziała, nie chodzi się w konkury. Jakie zamiary żywił względem niej St. Bride?

– To zupełnie niepotrzebne.

– Cóż za królewskie pozy przybierasz, moja damo, względem nas, nędznych plebejuszy!

St. Bride uśmiechnął się przewrotnie.

– Przyznaję, podarunek jest skromny. Nie chciałem jednak dawać ci czegoś zbyt wartościowego w obawie, że przehandlujesz to zaraz pierwszemu lepszemu podróżnemu z River Road. Założę się, że wtedy czmychnęłabyś stąd najdalej za godzinę. – Zaśmiał się i zażądał: – Otwórz paczkę.

– Nie mogę...

– Otwórz, moja ty najmiłsza...

– *Amadan!*

– No, moje kochanie – zakpił, zerkając ku chichoczącym Wenus i Walentynie. Było to więcej, niż Kayleigh mogła znieść. Spuściła głowę i zagryzła wargi, żeby nie roześmiać się razem z nimi. Boże, jakże to możliwe, że jednocześnie śmieje się z jego konceptów i ma ochotę go zamordować? St. Bride ani chybi wpędzi ją w szaleństwo, jeśli mu tylko pozwoli!

– Otwórz paczkę, Kayleigh.

Zrezygnowana odwinęła szorstki papier. Bliźniaczki aż krzyknęły z zachwytu, kiedy wyjęła garść atlasowych wstążek. Szmaragdowe, liliowe, czerwone przelewały się jej przez palce niby strzępki płaszcza czarodzieja. St. Bride ujął w palce jedną z nich, szafirową; gładki atlas błysnął w promieniach słońca.

– Są prześliczne! – powiedziała cicho. – Zupełnie jak klejnoty.

– Tylko że, niestety, nawet klejnoty bledną w porównaniu z twoją urodą. – Spojrzała na niego zaskoczona. Sądziła, że St. Bride żartuje, lecz oczy, w które spojrzała, były poważne. Poglądził delikatnie wierzchem dłoni jeden z jej łoków tuż przy policzku.

– Zaufaj mi, a następnym razem przyniosę ci prawdziwe klejnoty.

Odrzuciła głowę. Jego propozycja uwłaczała jej w pewien sposób. Gdyby chciała zyskać jego zaufanie, pragnęłaby w zamian jedynie tego, by on zaufał jej. Jakże miała mu to jednak dać do zrozumienia?

– Chyba nie jestem tak zachłanna, jak pan sądzi. – Wpatrywała się we wstążki ze smutnym uśmiechem.

– Złożyłem ci uczciwą propozycję. Czemu ją pochopnie odrzucasz? – Po raz kolejny uniósł jej podbródek, zmuszając ją do spojrzenia mu w oczy.

– Dziękuję. Nie chcę jej. – Wytrzymała jego spojrzenie. Jej własne było nieugięte, choć melancholijne.

– Może kiedyś zmienisz zdanie... i uczucia.

– Myślę, że nie. – Zwiesiła głowę. Cisza po jej słowach przytłoczyła ich oboje niby wilgotna tkanina.

Kayleigh z troską spozjrzała na bliźniaczki. Przyglądały się wstążkom z nabożną admiracją, nie śmiąc ich dotknąć. Bez zastanowienia ofiarowała po kilka z nich każdej z dziewczynek i pomogła im je zawiązać na sztywnych kędziarach. Potem zaś, jakby tknięta nagłą myślą, dała im jeszcze parę innych, żeby zanosły je matce, Murzynce z plemienia Mandingo, praczce Babet. Patrzyła, jak Wenus i Walentyna odchodzą, niosąc drogocenny dar w rączkach wyciągniętych przed sobą, niczym precjoza na jedwabnych poduszkach.

– Jak na małą złodziejkę niezwykle hojnie rozdajesz swoje skromne mienie – rzekł oziębłe St. Bride.

– Miałam kiedyś mnóstwo wstążek, a one jeszcze nigdy.

– Czy nie dbasz o nie dlatego, że pochodzą ode mnie?

Jeśli nawet czuł się urażony, dobrze potrafił to ukryć. Należało go jednak przeprosić.

– Tak, zrobiłam to bez zastanowienia, ale wstążki są prześliczne i wiem przecież, że to prezent. Powinnam była bardziej je cenić.

Z desperacją przeciągnął ręką po włosach. Usta miał twarde, zacięte. Zapragnęła nagle gwałtownie, żeby ich dotknąć, lecz wiedziała, że lepiej tego nie robić. Znowu dzielił ich jakiś dystans. Kayleigh z każdą chwilą bardziej żałowała swojego postępuku. Obdarowując ją, okazał uprzejmość, a ona zachowała się bezmyślnie. Powinna była wpleść wstążki we włosy i trochę z nim poflirtować. Może wtedy zaciętość znikłaby z jego twarzy? A jeśli jednak nie?

Spostrzegła, że St. Bride pilnie się jej przygląda i że, jakby w odwecie za doznane upokorzenie, wzrokiem narusza jej prywatność. Jego spojrzenie błąkało się po jej sukni i staniku, zatrzymując się w zgoła nieodpowiednich miejscach.

Poczuła się nieswojo. Skrzyżowała ręce na piersiach, żeby się przed tym spojrzeniem osłonić, lecz zrozumiała, że to niepotrzebne. St. Bride patrzył na nią bowiem jak na wystawioną na sprzedaż niewolnicę, jakby chciał przekonać samego siebie, że nie należy jej kupować.

A jednocześnie miał w oczach ten swój przerażający błysk pożądania i Kayleigh wiedziała, że jej sprzeciw na nic się nie zda. St. Bride podjął decyzję.

Zapłaci za nią jej cenę.

Patrzyła w ślad za nim, gdy odwrócił się i odszedł. Od tyłu wyglądał jak nieustępliwy przeciwnik. Nie była pewna, czy uda się jej go oszukać. Zaciśnęła kurczowo ręce i gdyby trzymała w nich co innego niż Chridhe, z pewnością cisnęłaby tym w niego, a potem poniosła konsekwencje swojego postępku, nawet gdyby miały być jak najsurowsze.

Wpuściła z objęć Chridhe, która zeskoczyła na ziemię, wstała pełna złości z krzesła i wybiegła na tylne podwórze. Popatrzyła na świeżo obsiane pola. W oddali mogła dostrzec mglisty, niebieskawy zarys Małego Wersalu, którego sylwetka działała na nią jak balsam i przyciągała ją ku sobie. Patrzyła w jej stronę bezustannie, idąc ku stajni. Zastanawiała się, jak daleko zdołałaby odejść od domu, nim ktoś zdołałby ją zawrócić. Przeciągając palcem po zmurszałych deskach rozglądała się, czy ktoś ją spostrzeże.

W stajni młody Mateusz i stary, zgrzybiały Grand-Louis czyścili uprząż, nacierając rzemieńne pasy złocistą gliceryną. Grand-Louis podśpiewywał coś przeciągle pod nosem, a uwagę Mateusza zaprzętał nie tylko pucowany przez niego martyngał, lecz i pewna niewolnica, praczka imieniem Liza. Kayleigh, rada, że może spokojnie wybrać się do Małego Wersalu bez obawy natychmiastowego pościgu, skreśliła za róg stajni, znikając z zasięgu wzroku niewolników.

– Niech cię diabli, przeklęta dziewucho! Czatuje tu od trzech dni! Już myślałem, że nigdy cię nie capnę! – Poczowała, że ktoś chwyta ją za rozpuszczone włosy i gwałtownie za nie ciągnie. Łzy bólu nabiegły jej do oczu, kiedy próbowała zorientować się, kto na nią napadł.

Quinn! – przemknęło jej błyskawicznie przez myśl. Nie sposób się – było mylić. Nikt inny nie miał tak opasłego brzucha i mętnego, tępego spojrzenia.

– Mów tylko szeptem, bo jak nie, to zawlokę cię zaraz do Straughta! – Quinn dopiłnował, żeby zastosowała się do jego życzenia, okręcając sobie jej włosy wokół nadgarstka.

– Jak... jak mnie tu znalazłeś? – Mimo upału, zaczęła szczełakać zębami.

– Powiedział mi to pan Ferringer we własnej osobie, moja miła. – Odrzucił głowę w tył i zaśmiał się. – Dopisało mi szczęście!

– St. Bride powiedział ci, że tu jestem? – spytała z niedowierzaniem.

– Na twoim miejscu nie dowierzałbym temu sukinsynowi. Od dawna to powtarzam Straughtowi, ale on zanadto lubi się z Ferringerem. Ja tam nie jestem taki głupi! – przyciągnął ją tuż do siebie. – A myślę sobie, że ty też nie będziesz taka głupia, Kayleigh. Widziałem, jak cię całował, o tam, na galerii, i chyba wiem, co się święci. Nie ufasz temu siwiejącemu

ogierowi, co? Coś się ten gładysz zanadto przyjaźni z pewnym szlachcicem z Mhor, twym przeczacym kuzynkiem Straughtem, żeby nie był twoim wrogiem!

– Czego chcesz, Quinn? – wybuchnęła. Zawsze miała go za głupka, lecz teraz przekonała się, że Malcolma Quinna cechowała chłopska przebiegłość, której nie należało lekceważyć. Postanowiła przejąć inicjatywę i przejść do ataku.

– Czy zamierzasz oddać mnie w ręce Straughta? Wolałabym już paść trupem w tej chwili! – Próbowała wydrzeć się z jego wstrętnego uścisku.

Brzydziła się już samej jego obecności, lecz to, co mówił, było jeszcze gorsze. Nie mogła uwierzyć, że St. Bride nienawidzi jej aż tak strasznie, by wydał na nią wyrok śmierci, celowo zdradzając Quinnowi miejsce jej pobytu. Nie przypuszczała, by wiedział, kim naprawdę jest, lecz słowa „Chcę pokazać Kayleigh, gdzie jest jej miejsce”, przypomniały jej się nagle i wzbudziły w niej zgrozę.

– Uspokój się, dziewczyno. Mam swoje własne plany co do ciebie.

– Czy to St. Bride cię tu przysłał? – Serce w niej zamarło.

– Ten drań? Ani myślę go słuchać! Sam potrafię ruszyć głową! Feringer wspomniał o tobie jednej ze służących, kiedy Straught pojechał już do miasta. Czekałem na papiery, jakie miał mi dać dla niego i wtedy to usłyszałem. Straught mi powiedział, że nie żyjesz. Nie do wiary, jak cię trudno zakatrupić, dziewczyno!

– To prawda. Nie myśl więc, że potrafisz dokonać tego, co nie udało się Erathowi! – Znów usiłowała mu się wyrwać. Mdlilo ją z obrzydzenia, ale też poczuła dziwną ulgę. St. Bride nie wydał jej. Nie wydał!

– Nie przyszedłem tu, żeby cię zabijać, Kayleigh. Tylko Straughtowi zależy na twojej śmierci.

– Ano, rzeczywiście – rzekła z sarkazmem. Potem, zmieniając taktykę, zapytała: – Powiedz mi, skąd Erath wiedział, że jesteśmy w Nowym Orleanie? Bardolf myślał, że tu będziemy bezpieczni.

– Znalazł twoje cacko, Kayleigh. To pudełeczko.

– Moje puzderko!

– O, Straughtowi długo sen z oczu spędzała myśl, że zjawisz się ni stąd, ni zowąd i oskarżysz go o ten figielek, co ci go spletał. Wysłał ludzi na poszukiwanie ciebie i starego Bardie, jakście zniknęli. Możesz sobie wyobrazić, jak mu ulżyło, kiedy wrócili z wiadomością, że znaleźli to świecidełko u jednego kapitana w Glasgow! Straught pogadał sobie z nim – jego statek nazywał się chyba „Deepwater” i dowiedział się, że popłynęliście tutaj.

Słabo jej się zrobiło na myśl o tym, że puzderko, ofiarowane przez rodziców „na szczęście”, przyniosło jej tak strasznego pecha.

– Czemu tak długo czekał, zanim się po mnie wybrał? Sprzedałam je przecież więcej niż rok temu!

– Straught jest skończony z kretesem, dziewczyno. Mógł sobie żyć niby wielki pan dzięki bogactwom z Mhor, ale jemu wszystkiego było mało i chciał jeszcze więcej złota. No i wpadł w niezgorsze tarapaty. Podobno zawrócił w głowie krewnej jednego dżentelmena z Londynu, kiedy tamten gdzieś wyjechał ze swojego majątku. Źle się to wszystko skończyło i odtąd ten stary łajdak zawzięty jest na niego niby pies, choć Erath sam nawet nie wie, jak sukinsyn wygląda.

Kayleigh z chorobliwą satysfakcją słuchała relacji Quinna o klęskach Straughta. Wyobrażała sobie adwersarza Straughta, tego człowieka, z którego córką jej kuzyn pozwolił sobie na zbyt wiele, jako starego dżentelmena, może nawet arystokratę. Miała nadzieję, że gdy go w końcu złapie, okaże się bezlitosny, że pośle go na szubienicę.

– Będę się modlić, żeby dopadł Eratha jak najszybciej – rzekła mściwie.

– Może go dopadnie, a może nie, za to ja dopadłem ciebie! – Quinn wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Jesteśmy na łasce fortuny, czyż nie? Powinnaś o tym wiedzieć, Kayleigh. Straught ufa fortunie z całego serca. Myślę, że ma trochę racji, skoro zdołałem cię złapać!

– Czego ode mnie chcesz? Wiem, że nie przysłał cię tu mój kuzyn, bo już bym nie żyła. Czego żadasz, skoro mnie nie mordujesz?

– Przyszędłem tu, bo chcę trochę skubnąć Ferringera. – Quinn spojrział na nią chytrze.

Jego zamiary wzbudziły w niej strach i oburzenie, lecz prawdziwa wściekłość ogarnęła ją wtedy, gdy odważył się sięgnąć ręką do jej piersi.

Syknęła przez zaciśnięte zęby, piorunując go wzrokiem:

– Widziałeś, jak mnie całował, prawda? Jeśli ośmielisz się uczynić mi cokolwiek złego, obedrę ze skóry twój plugawy zadek!

Ucieszył ją strach malujący się na jego twarzy. Quinn puścił ją. Wszyscy mieli go za niepospolitego durnia, lecz Kayleigh miała nadzieję, że mimo tępoty nie zdecyduje się zadzierać ze St. Bride'em. Nie była, rzecz jasna, jego kochanką i sama nie знаła jego zamiarów, ale Malcolm nie musiał o tym wiedzieć.

– Nie podnoś głosu, bo czarnuchy nas usłyszą! – Quinn zdawał się przetrawiać powoli jej słowa, aż wreszcie twarz mu się rozjaśniła.

– To z ciebie teraz jego kochanica, tak? Jeszcze lepiej!

– Gadaj, czego chcesz! – Kayleigh rozejrzała się nerwowo, czy nikt ich nie podsłuchuje. Nigdy przecież nie zdołałaby wyjaśnić, czemu

spotyka się po kryjomu z człowiekiem, którym St. Bride najwyraźniej gardził i któremu nie ufał.

– Będziesz tu do mnie ciągle przychodziła, Kayleigh, i przynosiła mi srebro, złoto – wszystko, co w tym domu jest cenne. Ja ci się za to wywdzięczę: nie powiem szanownemu Straughtowi, że tu jesteś i że sympiasz z panem Belle Chasse.

– Nie mogę tego zrobić, głupcze! Spostrzegą od razu, że coś ginie z domu!

– To je od nich za coś wyłudź. Potrafisz zawrócić ludziom w głowie, wiem co nieco o tym. Nie dbam zresztą, jak sobie poradzisz, ale uważaj! Jeżeli tego nie zrobisz, Straught zawita tu któregoś ranka i wytoczy z ciebie krew, całkiem jak z twojej siostry! – Położył jej rękę na ramieniu, chcąc ją przyciągnąć do siebie, i ścisnął je dłonią silną jak obcęgi. Wiedziała, że co najmniej przez dwa tygodnie będzie posiniaczona. – Uważaj, Kayleigh! Znalazłaś się w opałach i nie możesz nikomu ufać. Dwukrotnie umknęłaś spod noża, trzeci raz już ci się nie uda.

– Wynoś się!

– Jutro przyniesiesz mi tu pierwsze cacka, a potem każdego dnia nowe. Nie daj się złapać, bo jeśli Ferringer nie skręci ci karku, to dwaj inni mogą to zrobić. – Odepchnął ją na bok. Rzucając jej na odchodnym ostrzegawcze spojrzenie, poczłapał ku bagniskom, gdzie bez wątpienia uwiązał konia na polanie wśród dzikich magnolii.

12

Co, znowu goście? – mruknęła tego samego popołudnia Kayleigh, wchodząc do gorącej kuchni.

– Znowu? Przecież dziś nie było żadnych! – Colette spojrzała na nią ze zdziwieniem, wycierając sobie szyję lnianym ręcznikiem.

– Doprawdy? Zdaje mi się, że od wizyty panów Starughta i Quinna upłynęło tak mało czasu! – Kayleigh pospiesznie usiłowała ukryć swoje potknięcie. O wiele za mało, dodała w myśli. Ciągle była obolała po spotkaniu z Quinnem, ale nie mogła przecież powiedzieć Colette co zaższło. Musiała milczeć.

Wyrzała przez szparę w kuchennych drzwiach, nieufnie śledząc przybyłych. Z kołyszącego się jeszcze powozu najpierw wysiadł obwieszony klejnotami hrabia Thionville, a potem jego podobna do porcelanowej

lalki córka. Kayleigh, pewna już, że jej kuzyn nie przybył razem z nimi, skryła się z powrotem w kuchni.

– Kto przyjechał? Znasz tych ludzi? – spytała Colette.

– Myślę, że to lady Katarzyna i jej ojciec, straszny Thionville.

– Czemu go przeżywasz? – Colette, stojąc, podziwiała bogato złożony, wytworny pojazd.

– Każdy w Nowym Orleanie tak właśnie nazywa hrabiego de Cas-sell. Wszyscy wiedzą, jaki on jest. – Kayleigh uśmiechnęła się z przekąsem, pomagając przygotować tacę z herbatą.

– No, jaki?

– Całkiem jak Kościół katolicki, który za pieniądze sprzedawał odpusty. Doprawdy, żyjemy tu w bardzo sprzedajnym świątku! – Zaśmiała się z sarkazmem.

– Mówisz od rzeczy! Kościół daje rozgrzeszenie. A hrabia?

– Za parę sztuk złota, a jeszcze lepiej za stałą opłatę, hrabia de Cas-sell rozgrzeszy cię z tego, że mu się nie dasz powiesić.

– Nie mylisz się? – Oczywiście Colette niemal wyszły z orbit.

– Ani trochę. Bardolf ciągle o nim rozprawiał. Rzecz jasna, Thionville nie zaprzętałyby sobie nami głowy. Takich nędzarzy, jak Bardolf i ja nie było stać na hrabiowskie odpusty. Musieliśmy jednak za nie zapłacić, bo Bardolf mawiał, że w przeciwnym razie pewnego ranka zawisniemy. Dzięki łaskom Ludwika XV hrabia stał się zbyt potężny, by mógł go lekceważyć byle rzezimieszek. Myślę, że nawet gubernator płaci mu łapówki.

– Po co tu przyjechał? Czy *monsieur* Ferringerowi coś grozi? – Colette cofnęła się ze strachem od drzwi.

– Bądź spokojna. Panu St. Bride nie brak chyba pieniędzy, żeby go przekupić. Pewnie hrabia właśnie po to przybył. – Kayleigh nagle uśmiechnęła się szelmowsko. – Sądzę, że to ja powinnam mu zanieść tę tacę z herbatą. O tak – pomyślała – wprost umieram z ciekawości, jak St. Bride przyjmie aluzje hrabiego!

Niemal z radością wzięła wielką, srebrną tacę. Nie bała się, że hrabia może ją rozpoznać i wydać w ręce kuzyna. Przedtem miał do czynienia tylko z Czarnym Bardolfem, nie wątpiła więc, że uzna ją po prostu za służącą, którą w końcu była. Kołysząc biodrami, zaniósła tacę do salonu.

– Dobrze pan wygląda, St. Bride. – Lady Katarzyna opuszczała właśnie ucałowaną przez niego dłoń, gdy Kayleigh weszła do salonu. Ze spuszczo-nymi skromnie oczami postawiła tacę na pozłacanym stoliczku i wysunęła na środek salonu stół z surowego cyprysowego drewna, cały czas przysłuchując się rozmowie. Na gniewne spojrzenie St. Bride'a

odpowiedziała uśmiechem – dyskretnym i szczerym. Och, będzie miał za swoje – pomyślała z żywą satysfakcją, nalewając herbatę do cienkich jak opłatek filiżanek – Thionville wydusi z niego ostatni grosz! Cieszyło ją bardzo, że może być przy tym obecna.

– Czy chcecie może państwo popatrzeć z galerii na plantację? – St. Bride podał ramię lady Katarzynie. Obrzucając Kayleigh pełnym irytacji spojrzeniem, odwrócił się do Thionville’a.

– Za gorąco dziś dla mnie, St. Bride – odparł hrabia. – Niech pan tam zabierze Katarzynę, jeśli już trzeba. Ja wolę zostać tutaj i napić się czegoś dla ochłody. – Spojrzał na Kayleigh. Spodziewała się, że jego uwagę przyciągną ciasteczka Colette, lecz on najwyraźniej wołał przyglądać się uważnie jej.

Nalewała właśnie herbatę, nie mogła więc patrzeć na hrabiego, który wachlował się chustką. Jego korpulentne ciało zdawało się wręcz wylewać z filigranowej kanapki. Kayleigh gorliwie udawała, że nie obchodzi ją para, którą widziała przez drzwi galerii, lecz mimo to odruchowo spoglądała w tamtą stronę. Lady Katarzyna, wystrojona w zachwycającą brzoskwiniową suknię, pilnie słuchała, jak St. Bride wychwala swoją wspaniałą plantację. Kayleigh zdała sobie sprawę, że doskonale prezentują się na tle kolumnady.

Im dłużej na nich patrzyła, tym wyraźniej czuła, że coś zaczyna ją dławić w gardle. Coś, czemu za pożywkę służyły upokorzenie i niesprawiedliwość, jakich zaznała w przeszłości. Próbowwała zignorować to uczucie, lecz drażyło ją uporczywie. Kayleigh była zazdrosna.

Doskonale widziała, jak lady Katarzyna wpatruje się w St. Bride’a. Od stóp do głów ubrany był na szaro, a strój rozjaśniała tylko śnieżnobiała koszula i jego uśmiech. Włosy związane miał z tyłu czarną wstążką. Siwizna na skroniach podkreślała jedynie młodzieńczość przystojnej, uśmiechniętej, gładkiej twarzy.

Chce go zdobyć, pomyślała, patrząc na lady Katarzynę. Piękna Francuzka podeszła blisko do St. Bride’a, by lepiej mógł widzieć jej przyozdobiony wytwornym naszyjnikiem dekol, który okalał kołnierz z marszczonoj weneckiej koronki. Spinała go okazała brosza z pereł i szmaragdów.

W upudrowanych włosach córki Thionville’a, co nie uszło uwagi Kayleigh, również lśniły perły. Lady Katarzyna, piękna i bogata, była z całą pewnością damą. Kayleigh sądziła wprawdzie, że raczej z nazwy, lecz nie wątpiła, że dzięki swej pozycji towarzyskiej każdy dżentelmen ryzykowałby nawet życie w obronie jej czci.

Szczerze pragnęła wypełniać obowiązki służącej, nie podsłuchując rozmowy, lecz pokusa okazała się zbyt wielka. Chciała wiedzieć, o czym

mówią, chociaż w duchu gromiła się za wścibstwo. Podeszła do otwartych drzwi galerii i usłyszała słowa St. Bride'a:

– Niewolnicy zaczęli już siać mak.

Tuż przy nim ujrzała lady Katarzynę wspartą o balustradę. Jej drobna dłoń dotykała żłobkowanej kolumnienki.

– Moja córka już wkrótce zdobędzie St. Bride'a. Koniecznie chce za niego wyjść. – Kayleigh obróciła się do mówiącego. – Przepraszam, milordzie, czy pan czegoś żądał? – Zdenerwowana cofnęła się o krok.

– Nie. Mówiłem tylko, że moja córka niezadługo zdobędzie St. Bride'a. To ktoś znacznie bardziej wart jej ręki niż pożałowania godni konkurenci, którzy nadskakują jej w tej kloace, zwanej Luizjaną. Choć nie jest szlachcicem, dowiódł swej wartości. – Thionville wskazał obsiane pola w oddali.

Kayleigh również spojrzała w tym kierunku, lecz nie na zagony maków, lecz na tamtych dwoje. St. Bride z uśmiechem patrzył na coś, co pokazywała mu Katarzyna. Potem skinął energicznie głową i przeszedł wraz ze swoją towarzyszką w inną stronę, skąd Kayleigh nie słyszała ich rozmowy.

Z niepokojem obserwowała, jak się oddalają. Znowu poczuła ukłucie zazdrości. Zaczęła nalewać herbatę, przepelniona chęcią odwetu.

– Mówię, że go zdobędzie. – Hrabia uśmiechnął się do niej. Kayleigh spuściła oczy.

– To nie moja sprawa, milordzie.

– Chciałbym tak myśleć, ale widzę zupełnie coś innego. – Zmrużył zielone oczy. – Czy ja ciebie już gdzieś nie spotkałem, *jeune fille*? Jak masz na imię?

Kayleigh nie mogła mu zdradzić swego prawdziwego imienia z obawy przed jego niedyskrecją. Gdyby zaś posłużyła się przydomkiem „Kestrel”, hrabia skojarzyłby ją łatwo z Bardolfem i zażądał zaległych „odpustów”, na które nie było ją stać. Już i tak miała na karku Quinna. Zastanawiała się, czy St. Bride ma w Belle Chasse dosyć pieniędzy i cennych przedmiotów, by starczyło to na jej okup.

– Colette – skłamała gładko, nalewając herbatę. Podała Thionville'owi filiżankę. Hrabia, zgodnie z francuskim zwyczajem, pijał herbatę z cytryną. Kayleigh przypomniała sobie, że St. Bride'owi trzeba będzie dodać śmietanki.

– Colette? Ładne, kokieteryjne imię. Nie wyglądasz jednak na Francuzkę, *mademoiselle*. – Hrabia wziął podaną mu filiżankę, a jego oczy błędziły po jej wełnianej sukience i przysłoniętych koszulą piersiach.

– Może spróbuje pan ciasteczek? – Kayleigh usiłowała zignorować uwagę hrabiego, podsuwając mu tacę z ciastkami. Szczerze pragnęła mieć na

sobie gorset, który osłoniłby ją przed jego natrętnym wzrokiem. Pospiesznie odeszła od stołu, nie mogąc dłużej znosić taksującego ją spojrzenia.

– Od kiedy pracujesz u St. Bride’a?

Zaskoczona Kayleigh nie zdołała odpowiedzieć.

– Och, od bardzo dawna – wtrącił się do rozmowy St. Bride, który wrócił do salonu wraz z lady Katarzyną uczeptioną jego ramienia.

– Colette nie wygląda mi ani na Angielkę, ani na Francuzkę. Czy się nie mylę?

– Colette? – spytał St. Bride, zirytowany i zdumiony. Zakłopotanie i strach sprawiły, że Kayleigh zaczerwieniła się po uszy.

– Ja... ja... – usiłowała wydobyć z siebie jakąś odpowiedź, lecz hrabia przerwał jej:

– Colette jest niezwykle zręczną służebną. Czy to pańska płatna sługa? Chętnie bym ją zatrudnił u siebie, rzecz jasna, wynagradzając stratę. – Wytwornym ruchem uniósł filiżankę do ust.

Kayleigh oniemiała. Ani trochę nie podobało się jej zainteresowanie, jakie wzbudziła w Thionville’u. Mógł przecież mieć wszystko, czego zapragnął, nie płacąc ani centa. A tymczasem nie tylko nie żądał od St. Bride’a pieniędzy, lecz chciał wyłożyć własne! Znów zaczęła się zastanawiać, kim właściwie jest St. Bride, skoro nawet Thionville się z nim liczy.

– Jaką sumę gotów pan jest zaoferować? – St. Bride wypił łyk herbaty. Kayleigh zeszywniała.

– Niech pan łaskawie sam określi jej wysokość – podniecony hrabia ocierał czoło.

Spojrzała z wściekłością na St. Bride’a. Mówiono o niej, ignorując jej obecność, zupełnie jakby chodziło o rasowe zwierzątko! Jej wzrok powędrował ku lady Katarzynie siedzącej w wyściełanym fotelu. Spojrzenia kobiet skrzyżowały się. Ciemnobłękitne oczy spojrzały w tamte, lodowate i bladozielone. Katarzyna nie wydawała się wcale zmieszana zaciekawieniem okazywanym przez jej ojca służącej. Najwyraźniej przywykła do takich sytuacji. Nie potrafiła jednak ukryć złości, a powodem wydawała się Kayleigh.

Chce, żeby mnie tu nie było, pomyślała zaskoczona. Woli, żebym raczej została kochanką ojca, niż posługiwała w Belle Chasse. Spojrzała na St. Bride’a. Czy nadzieje lady Katarzyny zostaną spełnione? Namyślał się dosyć długo, co ją zezłościło. Wreszcie spojrzał na nią z wyraźnym rozbawieniem. Kayleigh dostrzegła, że uśmiecha się krzywo, samym kątem ust.

– Mimo wszystko nie mogę przyjąć tej oferty, milordzie.

Lady Katarzyna jedynie zacisnęła usta, lecz jej ojciec nie potrafił ukryć zawodu. Rozczarowany spoglądał to na Kayleigh, to na St. Bride'a. Spytał, marszcząc czoło:

– Czy mam rozumieć, że mnie na nią nie stać?

– Obawiam się, że tak. – St. Bride odwrócił się tyłem do niej. – Prócz tego mamy do omówienia inne sprawy. Przywiózł pan pieniądze? Zdaje się, że pański wkład miał przekroczyć dziewięć tysięcy liwrow?

– Tak przecież ustaliliśmy. Przywiozłem też wkład Straughta.

– A zatem zdobył skąd pieniądze? Na „Bonawenturze” miał ze sobą tylko jakieś klejnoty i właśnie nimi chciał spłacić tę sumę. – St. Bride zabębnił palcami po oparciu kanapy z orzechowego drewna. Kayleigh zauważyła, że mimo całej nonszalancji zagryza wargi. Zastanawiała się, czy to te same precjoza, o które miała wypytać kuzyna.

– Nie, nadal ma klejnoty i nic poza tym. Czy nadal chce pan je przyjąć?

– Oczywiście.

– A więc wszystko przywiozłem. Nie lubię być kurierem, lecz Erath uważał, że teraz ja z kolei winienem odbyć tę męczącą podróż. Powiedział też, że następnym razem przyjedzie do Belle Chasse dopiero po zbiorach. – Hrabia wytrząsnął z pękatej sakiewki swoje złoto na cyprysowy stół. Potem, nie bez pewnej ostentacji, położył na nim wspaniały naszyjnik z szafirów i bransoletę. Kayleigh nie mogła oderwać wzroku od roziskrzonych klejnotów. Każdy kamień otaczały trzy rzędy brylantów, a w środku tkwił największy, czworoboczny szafir.

St. Bride niemalże z czcią, powoli przesunął ogniwa naszyjnika w ogorzałych palcach. Dotykał ich tak, jak katolik różańca.

– Straught mówił mi o trzech ozdobach. – Spojrzał uważnie na hrabiego.

– O trzech? Jest pan pewien? – Hrabia poczerwieniał.

– Najzupełniej.

Thionville zaczął nerwowo grzebać w brokatowej sakiewce, udając, że dopiero teraz znajduje zapomniany klejnot.

– Ach, jak mogłem być taki nieuważny! Oczywiście, jest tutaj. – Wyciągnął z mieszka równie wspaniałą broszę.

– Przepiękna. – St. Bride uśmiechnął się sardonicznie.

Podczas całej tej sceny Kayleigh stała w kącie i gapiła się na stół, oniemiała ze zdumienia. Nie mogła pojąć, dlaczego straszny Thionville płaci St. Bride'owi, a nie na odwrót. Najwyraźniej zainwestował w zasiane przez niego maki. Wciąż jednak czuła, że chodzi o coś więcej, i pragnęła dowiedzieć się, co było przyczyną niezwykłego respektu, jaki żywił hrabia względem St. Bride'a.

Hrabia, uznając, iż zakończyli już interesy, zaczął szykować się do odjazdu.

– Plony zbierzemy w sierpniu – oznajmił St. Bride.

Lady Katarzyna pozwoliła mu ucałować na pożegnanie swoją dłoń, lecz błysk w jej oczach mówił wyraźnie, że ona swojego interesu jeszcze nie załatwiła. St. Bride zdawał się o tym dobrze wiedzieć, lecz tylko uśmiechnął się krzywo.

– Papa i ja zamierzamy za jakieś dwa tygodnie wydać bal. – Mówiąc te słowa, lady Katarzyna spojrzała na Kayleigh, zaskoczoną jawną nienawiścią bijącą z tych zielonkawych oczu. – Myślę, że nie odmówi nam pan, prawda?

– Ależ skąd. A jaki to będzie bal?

– Maskowy, rzecz jasna.

– Ach, przepadam za balami maskowymi. – St. Bride zdawał się mówić z ironią, lecz uwagi Kayleigh nie uszedł też ton wyraźnej groźby w jego głosie, którego nie słychać było na początku wizyty. Ani jednak Thionville, ani jego córka nie dostrzegli tej zmiany. Hrabia zdawał się odjeżdżać najzupełniej usatysfakcjonowany, a lady Katarzyna – zawiedziona.

Gdy ich karetka zniknęła za drzewami, St. Bride nieoczekiwanie rzucił naszyjnik Kayleigh. Pospiesznie chwyciła ciężką kółkę, patrząc na niego z bezbrzeżnym zdumieniem. On jednak rozsiadł się niedbale w fotelu i wybuchnął ironicznym śmiechem.

O Boże, jej podejrzenia okazały się słuszne. Ten człowiek był szaleńcem! Ostrożnie położyła skrzęty się naszyjnik na cyprysowym stole i spiesznie zebrała naczynia na tacę, chcąc jak najprędzej wyjść z salonu. Wiedziała, że to jeszcze nie koniec jej kłopotów. St. Bride krzyknął na nią:

– Wróć no tutaj, „Colette”!

Kayleigh skrzywiła się, stawiając tacę kolejny raz na stole. Stanowczo nie zanosilo się na koniec kłopotów!

– To doprawdy zadziwiające.

– Co? – spytała, szykując się na nieuchronne przykrości.

– Że tak pobladłaś od wczoraj. Wręcz nie mogę cię poznać... „Colette”. Chyba jesteś chora. – Wyciągnął przed siebie długie nogi i skrzyżował ręce na piersi.

– Niegodziwy z pana człowiek! – Gniewnie odwróciła od niego wzrok.

– Świetnie, moja miła! Niechże usłyszę twoje wymówki. Co też ciekawego wymyślisz tym razem? Pewnie jakąś inną bajeczkę, najlepiej szkocką. – Bez żadnego wysiłku zatrzymał ją, łapiąc za spódnicę. Znalazła się w potrzasku.

– Jestem winna hrabiemu pieniądze za odpusty. Nie chciałam, żeby poznał moje prawdziwe imię. – Jej odpowiedź zabrzmiała tak samo sztywno, jak zeszywniałe było jej ciało.

– Jakie znowu odpusty? Kim ty właściwie jesteś?

– Kayleigh i już!

– Tak, Kayleigh, co się zawsze przed kimś chowa. – St. Bride pokiwał głową i jeszcze mocniej przyciągnął ją do siebie. Nim się obejrzała, już siedziała mu na kolanach.

– Ach, ach. Nie możemy pozwolić sobie, żeby służba słyszała takie wymówki! Co za skandal! – Jego głos, zazwyczaj szorstki, łagodziło to rozbawienie.

– Ty nędzniku! Ja też jestem służącą! – Wiedziała już, że nie warto zmagać się z nim, bo jest silniejszy. Zaprzestała więc oporu i siedziała na jego kolanach, drżąc z irytacji.

– Służącą? Wręcz przeciwnie. Czymś znacznie więcej. Nie możemy tu jednak trzymać młodej lady, która czyta przeznaczone dla innych polecenia.

Znów muszę się tłumaczyć, pomyślała z rezygnacją.

– Nie umiem czytać – rzekła, zaciskając usta.

– Laban powiedział mi co innego. Kiedy byłem w mieście, przyłapał cię na czytaniu listu do niego.

– Laban kłamie.

– Po cóż miałby to robić? – St. Bride oplótł ją w pasie ramieniem. Poczula, jak twardnieją jego mięśnie. Otarł się przedramieniem o jej pierś.

– On mnie nienawidzi.

– Powinien cię nie cierpieć znacznie bardziej, moja miła. Wcale nie uważam, żeby mówił nieprawdę. A zresztą dlaczegóż miałyby cię tak wzburzyć jego słowa, gdyby były kłamstwem? Ja myślę, że to właśnie ty kłamiesz, jak zresztą zawsze. Jesteś notoryczną kłamczuchą!

– Stałam tylko przy jego drzwiach. Nie wiem, co pan napisał.

St. Bride gładził delikatnie jej kark.

– Skąd w takim razie wiedziałaś, że to list ode mnie?

– Domyśliłam się – odparła słabym głosem, pragnąc, żeby wreszcie przestał ją dotykać. Poczula nagle dziwne mrowienie na karku. Gdy zrozumiała, że to jego ciepły i gładki język przesuwający się po nim, całym jej ciałem wstrząsnął dreszcz.

– Proszę...

– Och, Kayleigh, czy znów mnie czymś zaskoczysz? Uprzedzam: jeśli rumienisz się od tego, co mówię po francusku, to zaczerwienisz się

cała, jeśli przeczytasz, co ci napiszę! Chcesz, żebym napisał do ciebie liścik, nim ułożysz się w łóżeczku?

– Nie! – jęknęła.

Zaśmiał się i sięgnął po naszyjnik.

– Spójrz, Kayleigh, co ja tu mam! – Pomachał jej kolia przed oczami. – Widziałaś kiedy coś równie pięknego?

Entuzjazm St. Bride'a był zaraźliwy. Niespodziewanie dla siebie uśmiechnęła się i pokręciła przecząco głową.

– Podoba ci się, co? – Klasnął językiem o policzek. – No to ci go dam, ale zapięty jak należy!

– Dość tego! – Usiłowała zsunąć mu się z kolan.

– Nie! Poczekaj, Kayleigh! – Przytrzymał ja mocniej. – Dziś spełniły się wszystkie moje życzenia. Pozostaje mi tylko czekać do zbiorów.

– Szczęście na pewno panu dopisze! – rzekła z sarkazmem.

– Jestem szczęśliwy – a mimo to nieszczęśliwy. Jak dotąd wszystkie one się spełniły... prócz jednego.

– Jakiego? – Spojrzeli na siebie jednocześnie i Kayleigh nagle zrozumiała, że nie potrzebuje odpowiedzi. Czuła, jak palce St. Bride'a zanurzają się w ciężkim węźle jej włosów na karku. Nim zdążyła mu przeszkodzić, zaczął ją całować, powoli i z dużą wprawą. Zsunęła się niżej, lecz utkwiała między jego kolanami jak w pułapce. Zamęt w głowie nie tylko uniemożliwiał wszelki opór, ale wręcz nakazywał posłuch.

Zaprotestowała słabo, gdy jego ręka powędrowała ku haftkom stanika. Wkrótce tylko cienka koszula dzieliła jej piersi od jego smagłych dłoni. Bez trudu zsunął z jej ramienia bieliznę aż do łokci, rozdzierając ją przy tym. Kayleigh, spojrzawszy w dół, zobaczyła, że jedna pierś wychyla się już spod lnianej tkaniny. Delikatna i zaskakująco blada, kontrastowała z brunatną, muskularną dłonią.

Chciała się cofnąć, w obawie, że St. Bride odkryje siniaki po uścisku Quinna na drugiej piersi.

Nie była jednak dość szybka. Kiedy ręka St. Bride'a zbliżyła się coraz bardziej, Kayleigh pojęła, że pragnie jej dotyku, jak pragnie się blasku słońca podczas srogiej zimy albo żaru kominka, brnąc samotnie przez śnieg. Czuła zarazem strach, bo to obce ciepło parzyło jak ogień i tak jak on mogło ją całą pochłonąć. Wkrótce zrozumiała, że owo pragnienie zdobywa nad nią przewagę. Przymknęła lekliwie oczy, nim się na nie w głębi duszy zgodziła. Niespodziewanie poczuła, że rodzi się w niej osobliwe gorąco, a oddech gwałtownie przyspieszył, kiedy kciuk St. Bride'a lekko dotknął skóry nad różowym sutkiem.

Poczuła ulgę, gdy podsadził ją nieco wyżej i pochylił się, chwytając czubek piersi zębami, bo usłyszała odgłos ciężkich kroków na schodach. Niewątpliwie człowiekiem, który spieszenie nadchodził, był Laban.

– Nie wchodzi tutaj, nie potrzebuję teraz gości. – Podniesiony głos St. Bride’a zabrzmiał wręcz opryskliwie. Laban zamarł wprawdzie w miejscu, lecz nie zmniejszyło to upokorzenia i zażenowania, z jakimi starała się za wszelką cenę osłonić swoją nagość przed jego spojrzeniem. Rozdartą na łokciu koszulą nie mogła się należycie okryć, a tym samym zachować godności. Usiłowała odepchnąć St. Bride’a, a gdy nie pozwolił na to, łzy napłynęły jej do oczu.

– Wstrętny dzikusie, puść mnie, nim twój Laban... – Słowa zamarły jej na ustach, kiedy sługa zawołał ze schodów:

– Chodzi mi o Canisa, St. Bride. – Leży w stajni na ziemi, pewnie dostał kolki. – Laban mówił powoli, dobitnie.

– Każ mu wstać i dosiądź go. Zaraz zejdę. – St. Bride potarł niespokojnie podbródek jedną ręką, druga nadal obejmowała Kayleigh w pasie.

– Tak, panie. – Usłyszeli, jak Laban zbiega ze stopni.

– Pański koń czeka. – Kayleigh starała się zapanować nad drżeniem głosu. St. Bride odwrócił się w jej stronę z niepokojącym błyskiem w oczach.

– Nic mu się nie stanie. Chodźmy. – Wstał, wziął ją za rękę i ruszył ku swojej sypialni.

– Niech się pan zajmie koniem. – Wróciła jej przytomność umysłu. Nie pragnęła więcej jego dotyku, a już z pewnością nie chciała, by ją jeszcze bardziej obnażył, bo wtedy musiałby spytać, skąd ma te siniaki, a ona nie mogłaby odpowiedzieć.

– Wolisz, żebym cię odesłał Thionville’owi?

– Nie ma pan prawa. Nie jestem pańską własnością.

– Łatwo można to zmienić. – Spróbował nowej taktyki, podnosząc ją tak łatwo, jakby ważyła nie więcej niż Mo Chridhe, i niosąc do swego pokoju.

– Chce mnie pan wziąć siłą?! – krzyknęła. Koszula zsunęła się z jej ramion, kiedy chwycił ją na ręce. Zebrała ją ze złością. Jej osłonięty cienkim materiałem biust dotkliwie odczuwał twardość jego piersi. Co on właściwie chce z nią zrobić? Najwyraźniej powodowała nim wyłącznie lubieżność. Nic innego nie przychodziło jej do głowy. Wszystko to mogło się dla niej tylko źle skończyć. Mimo że usiłowała wyzwolić się z uścisku, rzucił ją na atlasową kapę łóżka. Oniemiała patrzyła, jak zaczyna ściągać buty.

– Jesteś zadziwiająca, Kayleigh. Nigdy nie znalazłem bardziej odpornej kobiety! – Pierwszy but padł na ziemię z głośnym hukiem.

– Nie! Nie! Ile razy jeszcze mam powtórzyć „nie”?! – Zasłoniła się przed nim rękami.

– Nie wezmę cię siłą. W każdym razie nie teraz. Wiesz przecież, że mam inne sposoby. Przypomnij sobie, moja miła, że tam na kanapie nie byłaś mi taka niechętna!

– Chciałabym coś więcej niż naparstek! – parsknęła z gniewem. Usiłowała ześlizgnąć się z materaca, ale z łatwością przewrócił ją na wznak.

– No to dam ci coś lepszego! – Z tymi słowami schwycił ją mocno i pchnął ku brzegowi łóżka. Po błysku w oczach widać było, że z trudem panuje nad sobą. Znalazła się nagle pod nim, z rozkrzyżowanymi rękami. Zaczął ją gwałtownie całować. Starła się go odepchnąć, lecz dokazała tylko tyle, że jego rozpięte spodnie zesunęły się jeszcze niżej. Przerażona, zaniechała oporu.

Gdy pocałunek się skończył, wybuchła z wściekłością:

– Nie zostanę pańską kochanką! – Wytarła usta wierzchem dłoni.

– Już cię wcześniej pytałem: co lepszego można ci ofiarować?

– Chcę wyjść za mąż! Tylko że z pewnością nie za pana.

– Żart sobie ze mnie stroisz?

– Kiedy mówię „nie”, to kłamię. Kiedy mówię „tak”, też kłamię. Co pan wybiera? – Trzęsła się ze złości, patrząc na niego oskarżycielsko. Zawahał się nad odpowiedzią. – Niech pan idzie do konia – syknęła. – Lepiej pojeździć na nim niż na mnie!

– Naprawdę sądzisz, że ci się oświadczę?

– Nie chciałabym pana za męża, już raz powiedziałam! Chcę wyjść za kogoś, kto byłby troskliwy, uprzejmy i traktował mnie jak damę, a nie jak dziwkę z tawerny!

– A ja zamierzam poślubić damę, która nie kradnie, nie kłamie i nie wyraża się jak swarliwa przekupka! – Chwycił ją znów za ramiona i potrząsnął, ale już łagodniej.

– Czy pan wszystkie swoje służące traktuje w taki sposób? Colette również?

Wybrała właściwe słowa, żeby go powstrzymać. Przez chwilę wyglądał tak, jakby raczej zamierzał ją zabić, niż się z nią kochać.

– Niemożliwa jesteś. Ale zapamiętaj sobie: jeszcze z tobą nie skończyłem! – Pchnął ją z powrotem na łóżko i zaczął gniewnie zapinać spodnie. – Przysięgam, że złamię twój opór!

– Nigdy. – Patrzyła, jak podnosi z podłogi koszulę. – Póki sama nie zechcę.

– Więc sprawię, że mnie zechcesz! – Z tymi słowami wyszedł, kierując się ku stajni.

13

Wiedział, że ona kradnie. Musiał wiedzieć. Kayleigh patrzyła z przygnębieniem na pusty gzymś kominka w jej pokoju, wspierając podbródek na dłoni. W jakiś zagadkowy sposób wiedział przecież o wszystkim, co działo się na jego plantacji.

Zmarszczyła czoło. Czemu więc jej w tym nie przeszkodził? Och, ten człowiek był wielką zagadką. Z każdym dotknięciem uzyskiwał coraz większą władzę nad jej ciałem. Kiedy z nią rozmawiał, z coraz większą trudnością przychodziło jej wykręcać się od odpowiedzi. Srebro znikało, ale on jakby wolał tego nie zauważać. Od czasu incydentu w jego sypialni, kilka dni temu, wydawał się nawet trzymać od niej z dala, jakby zastanawiał się, co ma z nią teraz zrobić.

Dziś bała się go bardziej niż kiedykolwiek. O jakich jej postępkach wiedział? Zaczęła ssać kciuk, lecz przypominając sobie, jakich reprimend musiała wysłuchiwać od matki za podobne zachowanie, zmusiła się, żeby przestać. Nie mogąc już w żaden sposób rozładować napięcia, zaczęła nerwowo krążyć po pokoju. Ciągle zastanawiała się, co właściwie St. Bride o niej wie.

Pierwszy powód do podejrzeń dała mu w dzień po swoim spotkaniu z Quinnem. Wyszła wtedy na werandę w za dużej męskiej koszuli, służącej jej jako nocny strój, jak wtedy, gdy ocknęła się w tym domu po cudownym ocaleniu. Odwróciła się od balustrady, dostrzegając nagle, że on tam również stoi. Na jego ustach błąkał się lekki uśmieszek.

- Przestraszył mnie pan.
- Byłem tu przecież cały czas.
- Doprawdy?

Słowa zamarały jej na wargach, gdy zobaczyła, że jego rozbawienie ustępuje miejsca czemuś innemu. Sposepniał nagle. Nie rozumiała dlaczego, póki nie spojrzała na siebie.

Rozcheltstana koszula ukazywała sporą część jej piersi, a co gorsza, odsłaniała siniaki po okrutnym uścisku Quinna. Był tam wyraźny ślad jego palca, z czego dobrze zdawała sobie sprawę. Zrozumiała, że St. Bride też musi go widzieć.

– Co ci się stało? – spytał, a w jego głosie zabrzmiała niespodziewanie nuta władczej opiekuńczości. Podeszedł do niej i dotknął odsłoniętej piersi. Powiódł delikatnie kciukiem po sінcach i spojrzał na nią pytająco.

– Zrobiono to przemocą. Wcale nie chciałam, żeby... – zająknęła się, unikając jego spojrzenia.

Wzrok St. Bride'a złagodniał. Poczowała ulgę. Zaczął ją wypytywać, tonem dość wyrozumiałym:

– Czy tylko cię posiniaczył? Nic więcej ci nie zrobił?

Przytaknęła z rezygnacją.

– Zabiłbym go za to.

Nigdy jeszcze nie słyszała, żeby ktoś mówił tak zimno i zarazem w sposób tak przerażający. St. Bride pytał nadal, lecz w taki sposób, jakby ignorował słowa wypowiedziane przez siebie przed chwilą.

– Kto to był, Kayleigh? Któryś z niewolników? Laban zapewniał mnie, że wszystkim można ufać. – Był pełen poczucia winy. – Przyznaj się, kto. Nie pozwolę, żeby w moim domu ktoś tak traktował kobietę.

Nienawidząc siebie samej za to, co musi powiedzieć, zamknęła oczy, doskonale zdając sobie sprawę, jaka będzie jego reakcja.

– Nie mogę.

– Musisz. Mam prawo wiedzieć o tym jako właściciel plantacji. Muszę wiedzieć, kto z moich ludzi...

– To nie był żaden z nich. – Nie mogła się zmusić, żeby spojrzeć mu w twarz.

– No więc kto? Mów!

– Nie mogę – powtórzyła błagalnie, głosem łamiącym się ze strachu.

– Chcesz go chronić, chociaż sprawił ci dotkliwy ból i posiniaczył cię? – Z trudem hamując wściekłość, dodał: – Czy to twój kochanek?

– Nie! Broń Boże!

– Czemu więc nie dasz mi sobie pomóc? Przecież nie masz nikogo!

Rozpaczliwie chciała powiedzieć mu wszystko. Jakże pragnęła przyznać się, że zrobił to Quinn. Marzyła, by St. Bride nie pozwolił mu nigdy więcej jej szantażować. Tylko że, jak zawsze, jej kuzyn stał temu na przeszkodzie. Jak mogła wyjawić nazwisko Quinna, nie narażając siebie? Czy miała prawo sądzić, że znaczy dla tego stojącego przed nią człowieka więcej niż jego plantacja maków? Nie mogła tak postąpić. Z ciężkim sercem milczała jak zakłeta. Niech tam sobie St. Bride myśli o niej, co chce. Ona nie ma wyboru.

Przerwał wreszcie milczenie, uciekając się z desperacją do grózb.

– Jeśli mi nie powiesz, nie ruszysz się stąd ani na krok beze mnie. Będę cię pilnował, póki nie dowiem się, że możesz bezpiecznie porużać się po Belle Chasse. Przysięgam, że nawet przez chwilę nie pozostaniesz sama!

– Przecież i teraz tak jest. Cóż więc się zmieni? – spytała z goryczą.

– Masz mimo wszystko osobny pokój. Czy wolisz spać ze mną w moim?

W pierwszej chwili chciała wymierzyć mu policzek, lecz uprzedził ją, łapiąc za obie ręce i przyciągając ku sobie.

– Nie trać daremnie siły na walkę ze mną, moja miła. Powiedz, kto to był albo sam do tego dojdę. Decyzja należy do ciebie.

– Och! – jęknęła. – Niech mnie pan puści!

– Naturalnie. – Uwolnił jej nadgarstki, a Kayleigh uciekła do siebie, zamykając drzwi na klucz. Odetchnęła dopiero wtedy, gdy usłyszała jego oddalające się kroki. St. Bride poszedł sobie razem ze swoim gniewem.

Teraz, patrząc na pusty gzyms kominka, myślała o mnożących się dowodach jej winy. Spełniła żądania Malcolma Quinna, nie mając, jak na razie, innego wyjścia. On z kolei trzymał ręce przy sobie i najwyraźniej dotrzymywał obietnicy, że nie wyda jej Straughtowi. A jednak, mimo rozpaczliwych wysiłków, by się ratować, jej położenie pogarszało się z dnia na dzień. Przez ostatnie pięć dni zmuszona była ukraść trzy srebrne kubeczki, tabakierkę z pozłacanego brązu, pięć złotych guzików i figurkę z miśnieńskiej porcelany – Arlekina całującego Kolumbinę.

Zacisnęła mocno powieki, kuląc się ze strachu na samą myśl o figurce. Ukradła właśnie ją, bo stała na ozdobionym romboidalnym desenie gzymsie kominka w jej pokoju. Teraz stanie się przyczyną jej kłeski.

Wieczorem tego samego dnia St. Bride bez uprzedzenia wszedł do jej sypialni. Colette pomagała jej akurat przy kąpeli. Obydwie kobiety przeraziło jego najście. Kayleigh siedziała co prawda plecami do niego, ale Colette, która widziała go od przodu, przestraszył jego wojowniczy nastrój.

Kayleigh szybko okryła piersi lnianym ręcznikiem, lecz St. Bride i tak doskonale widział jej bujne kształty. Nie odważała się wstać, bo ręcznik był za mały, by mogła się nim osłonić, musiała więc siedzieć w stygnącej wodzie, wstrząsana dreszczami, usiłując za wszelką cenę nie wyglądać na winowajczynię. Wreszcie odwróciła głowę i ujrzała, że St. Bride patrzy prosto na opustoszały gzyms kominka. Serce podskoczyło jej do gardła.

– Zostaw nas samych, Colette – zażądał, nie spoglądając nawet na Mulatkę. Colette usłuchała i bojaźliwie wycofała się do salonu. Choć Kayleigh bała się na niego spojrzeć, dostrzegła jednak, że St. Bride pozwoli do niej podchodzić.

– Była tu wcześniej Babet. Przyniosła twoją bieliznę pościelową. Zdawało się jej, że czegoś brakuje. Zapewniała mnie, że to nie wina Wenus ani Walentyny.

– Czy naprawdę coś zginęło? – wydusiła wreszcie z siebie, przyciskając Iniany ręcznik jeszcze mocniej do piersi.

– Ależ bynajmniej – zapewnił ją z ponurym uśmiechkiem, lecz jego oczy powiedziały jej więcej, niż chciałyby wiedzieć. Przebiegł ją dreszcz, gdy St. Bride nachylił się, żeby wyjąć gąbkę z wanny. Potem sięgnął po wilgotny ręcznik, którym się owinęła.

Gdy nie chciała go puścić, skrzywił się tylko z sarkazmem. Jego ręce zacisnęły się wokół jej szyi niczym pętla. Przez chwilę myślała, że chce ją udusić, lecz zamiast tego zaczął łagodnie gładzić kciukiem pulsującą tam żyłkę. Potem jego usta dotknęły wrażliwego miejsca. Pocałunek sprawił, że zadrżała. Kiedy się skończył, miejsce na szyi było piekące i zaczerwienione.

– Wróć do swojej toalety. – Wyprostował się nagle. Musnął jej wilgotne włosy, a potem wyszedł, zatraskując za sobą drzwi.

– O co mu chodziło, Kayleigh? – spytała Colette w minutę później, kiedy pozwolono jej wrócić. Natychmiast dostrzegła różową plamę na jej szyi. Kiedy usiłowała zakryć ją ręką, Colette szybko podjęła z powrotem swoje obowiązki, wyjmując jej z rąk przemoczony ręcznik i polewając ją wodą z miedzianej konwi.

– Sama chciałabym wiedzieć – zdobyła się wreszcie na odpowiedź, pragnąc gorąco, by jej winę splukały strugi wody z naczynia Colette.

Kayleigh aż jęknęła, przypominając sobie tę scenę. Miała już serdecznie dość rozpamiętywania swoich oszustw i kłamstw. Napięcie w jakim żyła, stało się nie do zniesienia. Była przekonana, że St. Bride wie o wszystkim. Zastanawiała ją jedno: czemu w takim razie nie robi nic, żeby jej przeszkodzić? Za wszelką cenę chciała wyplatać się z tej okropnej sytuacji. Tylko jak?

Z nerwami napiętymi jak struny poszła na spotkanie z Quinnem. Wiedziała, że się spóźniła, ale ze szczerą niechęcią szła zapłacić swój okup. Jedynie rankiem poprzedniego dnia miała sposobność wynieść figurkę z domu. Chociaż ważyła niewiele, trudno ją było ukryć, zawięła ją więc w brudną pościel, udając, że niesie ją do prania. Potem ukryła statuetkę pod warstwą słomy w stajni.

Szybko odgrzebała figurkę i przemykała się z tyłu za zabudowaniami, póki nie nabrała pewności, że nie można jej ujrzeć z Belle Chasse. Niedobrze jej się robiło na samą myśl o kolejnym spotkaniu z Quinnem. Nie tknął jej wprawdzie palcem, odkąd zdołała mu wmówić, że została kochanką St. Bride'a, lecz nadal bała się go niesłychanie. Quinn był zachłanny, a gwałt leżał w jego naturze. Czuła, że złamanie zakreślonych przez nią wątych granic jest dla niego tylko kwestią czasu.

Przygryzła wargę. Doprawdy, niełatwo było ją zabić! Za każdym razem, gdy spotykała się z Quinnem i okupywała mu się skradzionymi przedmiotami, czuła, że po raz kolejny unika śmierci. Ile razy zdoła jeszcze tego dokonać?

Przesunęła palcem po zielonych i złotych rombach, z których składał się kostium Arlekina. St. Bride miał u siebie wiele innych figurek. Była tam nawet jedna zwana Luizjaną. Wyobrażała Indiankę jadącą na grzbiecie aligatora. Ta jednak, którą niosła, podobna była do innej, z zamku Mhor.

Przedstawiała dziewczynę z Highlands obejmowaną przez jej chłopca. Przypomniała sobie, że lubiła ten bibelot, bo wiązał się ze Szkocją i był taki romantyczny. Matka nie podzielała jednak jej zachwyty. Ojciec Kayleigh kupił ją w Londynie jako prezent, nie rozumiejąc, że w ten sposób sprawia żonie przykrość. Rzemieślnik z miśnieńskiej manufaktury przypasał bowiem młodzieńcowi zakrwawiony pałasz, a na jego błękitno-zielonym płaszczu zaznaczył plamy krwi. Matka była przeświadczona, że angielski kupiec umyślnie kazał sporządzić wizerunek Szkota z Highlands, ukazujący go jako krwiożerczego barbarzyńcę.

Kayleigh uważała jednak, że było zupełnie inaczej. Przypominała sobie kuzyna z Lowlands i jego uwielbienie dla wszystkiego, co angielskie. To właśnie on i jego pobratymcy byli krwiożerczy. Za to ona i jej pobratymcy...

Niewinna? Spojrzała smutno na skradzioną figurkę. Ani trochę! Chociaż jej dziewictwo pozostało nietknięte, okazała się jak najdalsza od niewinności. W głębi duszy nie dziwiła się, że St. Bride jej nie ufa. Z całą pewnością nie była osobą godną zaufania!

Kiedy jeszcze włóczyła się po ulicach, czuła przewrotną radość, gdy udało się jej ukraść konieczne do przeżycia pieniądze komuś bogatemu. Robiła tak, bo nie chciała umrzeć z głodu. Teraz jednak każda skradziona błyskotka zmniejszała jej szanse na zbawienie duszy. Czuła, że jej zacni rodzice wstydziłiby się za nią.

Tutaj złodziejstwo było zupełnie czymś innym. Z lękiem pomyślała o pełnych uwielbienia oczach Wenus i Walentyny. Dziewczynki

znieawidziłyby ją na zawsze, gdyby została przyłapana na kradzieży. Może i zasługiwała na tę nienawiść.

Z głębokim westchnieniem spjrzała na krzaki, gdzie czekał na nią Malcolm Quinn. Schowała miśnieńską figurkę w fałdach spódnicy i poszła w kierunku polany.



St. Bride śledził parę w zaroślach. Kayleigh, jak zwykle, robiła na nim osobliwe wrażenie, zarówno z powodu urody, jak i skromności stroju. Pospolita była przede wszystkim jej suknia, zwyczajny ubiór z ciemnobłękitnej, lnianej tkaniny, powszechnie noszony i przez niewolnice, i służące przybyłe tu z Irlandii czy Szkocji. Nie miała na sobie żadnych klejnotów; nawet najtańszy pierścionek nie ozdobił jej drobnych, zniszczonych robotą domową palców. Nie potrzebowała jednak ozdób. Klejnotami Kayleigh były jej błękitne jak szafiry oczy, włosy zaś ozdobiły ją piękniej niż najwspanialsze atłasy i brokаты, choć spinały je tylko zwykłe szpilki. Zasepiony St. Bride przeniósł wzrok na jej rozmówcę, w którym rozpoznał Malcolma Quinna. Strój opasłego Szkota był przedziwną mieszaniną ubóstwa i bogactwa. Jego zniszczoną, barchanową kamizelkę ozdobiły aż za dobrze mu znane złote guziki, a na grubych, brudnych palcach pełno było srebra i złota.

Potarł nieogolony podbródek i drgnął, gdy Quinn podniósł nagle głos. Wskazał ze złością na drobną szczyrbę w porcelanowej sukni Kolumbiny i szarpnął Kayleigh za włosy, aż jęknęła z bólu.

Była jednak szybsza. Gdy tylko Quinn ją puścił, umknęła mu zrzęcznie, śmiejąc się z jego niezdarności.

– Potrzebujesz mnie, Kayleigh, radzę ci pamiętać! – wołał za nią, lecz ona uciekała już ku Belle Chasse.

St. Bride zmrużył oczy, jakby się nad czymś zastanawiał. Potem bezszelestnie zniknął w gąszczu.

14

Głowę Kayleigh zaprzętały niewesołe myśli. Jej dusza po wieczne czasy smażyć się będzie w piekle za grzechy! A grzechy te zdawały się mnożyć bez końca. Jakby od niechcienia spjrzała na szkatułkę stojącą na komodzie, zastanawiając się, co mogłaby jeszcze ukraść. Zmieniała

właśnie bieliznę pościelową w pokoju St. Bride'a; Babete rozchorowała się bowiem, a Wenus i Walentyna musiały zostać przy matce.

Znowu, wbrew sobie, zerknęła na pękatą szkatułkę. Pokusa była zbyt wielka. Nim jeszcze zdążyła ściągnąć pogniecione prześcieradła z górnego materaca, podeszła do kasetki i uchyliła wieczko. Nie po raz pierwszy zresztą szperała w jej wyściełanym wnętrzu. Nigdy jednak nie miała odwagi, żeby przywłaszczyć sobie coś z jej zawartości. Pomiedzy chusteczkami z białego lnu leżał szafir St. Bride'a.

Zapagnęła go zabrać. Wiedziała, że wtedy zyskałaby przewagę nad Quinnem. Koniec końców nie chodziło o byle błyskotkę, lecz najwartościowszą rzecz na plantacji. Wiedziała, że za szafir Quinn gotów byłby przychylić się do jej żądań. Z pewnością zabrałby ją, gdzie tylko by zechciała. Pozostawiłaby wtedy za plecami i Belle Chasse, i sprzeczne uczucia, które nią miały.

Uśmiechnęła się, ujmując w palce klejnot i przypatrując mu się uważnie. Podeszła do lustra. Szmaragdowe zasłony łóżka St. Bride'a z tyłu za nią stanowiły znakomite tło. Obróciła się ku nim. Zielone i błyszczące, wyglądały jak gęsta dżungla, pofałdowana czerwono-złota kapa jak wielkie, egzotyczne kwiaty, a zwisająca z góry jedwabna gaza niby poranna, lekka mgiełka.

Wyobraźnia Kayleigh przyozdobiła łożę piękniej, niż mogłyby to zrobić atlasowe prześcieradła. Coś ją ku niemu ciągnęło. Z szafirem w dłoni, usiadła na nim ostrożnie. Pospolite otoczenie, bielone ściany i taborety zbite z pomalowanych grynszpanem desek, sprawiało, że przepych łóżka wydawał się tym bardziej niezwykły. Miało też, jak Kayleigh szybko się przekonała, więcej niż dwa zwykłe materace, wypchane kaczanami kukurydzy i hiszpańskim mchem. Leżał na nich jeszcze trzeci, z najlepszego gęsiego puchu, specjalnie sprowadzony z Francji.

Miękkość puchu, podobnie jak piękno klejnotu, który ścisnęła w ręce, były czymś, co potrafiła docenić. Wiedziała, że St. Bride razem z Labanem poszedł oglądać swoje bezcenne maki, pozwoliła więc sobie paść na to wspaniałe łożo. Sprężystość puchowego materaca przypomniała jej o dawnych dniach i dawnych luksusach.

Prawie tak samo wygodny, jak mój w Mhor, pomyślała z uznaniem. Tylko że tam zasłony były z różowego brokatu, a powyżej widniał potężny, zagadkowy hak wbity w belki sufitu. Mimo wszystko podobieństwo było jednak spore.

No i zapach. Kayleigh zaczerpnęła go pełną piersią. Wprawdzie nie taki jak tamten, który czuła podczas nocnych pogawędek z siostrą, kiedy obydwie śmiały się i opowiadały sobie bajki. Był inny, trudno uchwytny

i niełatwy do określenia. Łóżko wyłaniające się z zakamarków jej pamięci bardzo przypominało to, na którym teraz leżała, lecz na tamtym, z wyobraźni, nie spoczywała samotnie.

Była naga, gorąca i bardzo senna. Jednakże jej towarzysz nie dawał jej zasnąć. Pocałunek rozbudził ją, a mężczyzna u jej boku odgarnął ręką ciężkie włosy, którymi osłoniła twarz, gwałtowny i pełen namiętności. Skronie miał przyprószone siwizną, co czyniło go jeszcze przystojniejszym i bardziej męskim. Nachylał się, żeby ją pocałować, a ona nie stawiała oporu. Przeciwnie, z chęcią objęła ramionami jego muskularne ciało.

Zerwała się z przerażeniem i rozejrzała po pokoju. Nikt nie mógł przyłapać jej na chwili słabości! Dopiero gdy przekonała się, że wciąż jest sama, zaczęła, choć niechętnie, rozpamiętywać swoje marzenia na jawie. Czemu własny umysł zdradzał ją w tak niesłychany sposób? Jak mogła wyobrażać sobie podobną scenę, i to z St. Bride'em w roli głównej? Ciało okazało się co prawda słabe, ale myśli należały przecież wyłącznie do niej!

Zeskoczyła z materaca, próbując wmówić sobie, że wszystkiemu zawiniło to przekłete, grzeszne łóżko. Stanowczo za miękkie! – pomyślała, dotykając materaca. Pospiesznie podeszła do stosu bielizny pościelowej. Odgłos dobiegający z galerii przyprawił ją o dreszcz, to wracał St. Bride.

Zaniosła pościel na łóżko, spostrzegając z zaskoczeniem, że błyszczący szafir wciąż jeszcze leży na kapie. Kroki w salonie uświadomiły jej, że już za późno, by go odłożyć do szkatułki. Nie myśląc więc o konsekwencjach, schwyciła go i wsunęła za obcisły stanik. Potem powróciła do przewlekania pościeli, lecz czuła się tak, jakby ścigali ją wysłannicy piekieł.

– Okazujesz się prawdziwym klejnotem, Kayleigh. – St. Bride stanął w drzwiach, obserwując jej pracę.

Wzdrygnęła się na słowo „klejnot”, a potem, wahając się między „on wie” i „skąd on może wiedzieć”, doszła do wniosku, że to po prostu niezręcznie dobrane słowo. Ściągając ostatnie brudne prześcieradło z górnego materaca, pomyślała z irytacją, że przypadło jej w udziale bardzo niewdzięczne zadanie.

– Jestem bardzo zajęta. Babet zachorowała, a dziewczynki musiały zostać przy niej. Czy pan czegoś potrzebuje? – Spojrzała na niego i pożałowała, że nie ugryzła się w język, widząc ironiczne rozbawienie w jego oczach. St. Bride nie dał się zbyć jej słowami, lecz wszedł do sypialni, jakby chcąc lepiej widzieć jej krzątanicę przy łóżku. Oparł się przy tym o komodę, a jego łokieć niemal dotykał szkatułki. Zrozumiała ze zgrozą, że za kilka minut sprawdzi jej zawartość.

St. Bride nie ruszał się jednak z miejsca i nadal obserwował ją z oburzającym wręcz rozbawieniem.

– Chcę ci powiedzieć, że jadę z Labanem do miasta.

– Naprawdę? – wygładziła dłonią kape. Ani trochę nie dbała o to, dokąd on ma zamiar jechać z Labanem. Oby się tam wreszcie wybrał i oddalił tym samym od przekłętej szkatułki!

– Czy chcesz, żebym sobie stąd poszedł? – Zmarszczyła brwi i usiłowała nie patrzeć w jego kierunku. Jakże ją denerwował! Ciągłe miała nieznośne wrażenie, że on wie dużo więcej, niż sądziła. Czasami gotowa byłaby przysiąc, że wszystko, i o jej kradzieżach i o tym, co ją łączy z Quinnem i Straughtem.

– Nie pocałujesz mnie na pożegnanie? – St. Bride zdawał się ją wabić, nic sobie nie robiąc z jej nadąsanej miny. – Jeśli tak, dam ci coś ładnego.

– Jestem zajęta.

– Nie. Musisz to dostać. Koniecznie.

– Niech mi pan pozwoli spokojnie pracować. Ja... – urwała gwałtownie, gdy sięgnął po szkatułkę.

– Chyba mam to tutaj. – Spojrzał z ukosa na odbicie jej przerażonej twarzy w lustrze wiszącym nad komodą.

– Idę sobie stąd! – Podbiegła do niego, usiłując jakoś usprawiedliwić fakt, że nie zamierza skorzystać z jego hojności. – Nie potrzebuję żadnych prezentów. Już i tak niepotrzebnie mnie pan obdarował wstążkami. Niczego więcej mi nie trzeba, ja... – urwała, kiedy powiódł palcem po delikatnej skórze powyżej chustki osłaniającej jej piersi. W popłochu przypomniała sobie tylko stare porzekadło, że szafir potrafi kąsać jak wąż. Jej oddech stał się szybszy, biust zafalował pod lekkim jak piórko dotknięciem.

– Tylko że mój prezent jest w tym pokoju, kochanie. Nietrudno mi go będzie znaleźć. – Wskazał na szkatułkę. Kayleigh zrozumiała, że chodzi mu o szafir. Otworzyła szeroko oczy, kiedy jego dłoń sięgnęła za stanik i triumfalnie wyciągnęła kamień.

– Skąd pan wiedział?! – krzyknęła.

– Nie jestem taki głupi, jak sądziłaś.

– Wcale nie, ale z pana prawdziwe diabelskie nasienie, jeśli widział pan, jak to brałam! – Nie dbała już co mówi.

– Może i tak, ale pewnie dzięki temu wiem, że coś cię za bardzo palce świerzbą ostatnimi czasy. Byłem pewien, że weźmiesz ten kamień, i wcale mnie nie zdziwiło, że się położyłaś w pościeli. Widziałem, jak szafir błyszczy w twoich...

– No to niech mnie pan wsadzi do więzienia! Przynajmniej nie będę się tam musiała zmagać z panem i z pańską bystrą głową!

– Jakże mogę posłać cię do więzienia za to, że wzięłaś coś, co i tak chciałem ci dać? – Przyłożył szafir do jej białej szyi, podziwiając piękno kamienia. – Myślę, że powinienem ci go ofiarować. Widzę przecież, że jest jak dla ciebie stworzony.

– Nie rozumiem. Pan chce mi dać... – szukała właściwych słów. Czy aby się nie przesłyszała? – Tylko że ja chciałam go sprzedać. Sam pan widzi, że na niego nie zasługuję.

– Owszem, to kłopotliwa kwestia. Jakże mam ci dać moje świecidełko, nie oszukując przy tym twego lodowatego serduszka? – Z ironicznym uśmiechem, który tak ją złościł, schował kamień do kieszeni. – Jadę teraz do miasta, moja miła. Nim rozwiążę te kwestie, wolę pilnie czuwać nad moim kamyczkiem. Nie pozwolę, żeby... powiedzmy... zniknął w jakiś tajemniczy sposób.

– Może go pan sobie trzymać, gdzie chce! Ja miałam zamiar oddać go później, St. Bride. Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale naprawdę chciałam go odłożyć z powrotem do szkatułki, jak tylko pan stąd wyjdzie. – Znękana i zła, potrząsnęła głową. Och, jakże pragnęła, by choć raz jej uwierzył!

– Co się z tobą dzieje? – St. Bride dostrzegł jej rozterkę.

– Niech mi pan choć raz uwierzy, że miałam uczciwe intencje.

– Może kiedyś tak zrobię, moje ty ciemnowłose kochanie. Obiecuję. – Skinął jej głową i wyszedł. Z powagą na twarzy i niedowierzaniem w oczach.

15

Dowiedziałeś się czegoś? – spytał St. Bride, siedząc za stołem o trzech nogach. Laban skinął twierdząco głową i usiadł.

Piwo było tego gorącego popołudnia żałośnie ciepłe, lecz ludzie i tak zebrali się tłumnie w tawernie Pod Młodym Głuptasem, chcąc ugasić pragnienie i obgadać interesy.

Wieczorem ten tłumek zwykł zachowywać się nieco nieprzystojnie, podobnie jak nieprzystojny był szyld gospody ukazujący sylwetki chłopaka i aż nazbyt ochoczo przez niego gonionej piersiastej dziewczyny. Teraz jednak bywalcy tawerny, zgrzani i ospali, potrafili co najwyżej wytrzeć powoli spocone czoło rękawem lnianej koszuli albo

oddalić się stamtąd przez dwuskrzydłowe drzwi wychodzące na ulicę.

– Mówiłem ze starszym stajennym Thionville’a. – Laban wyciągnął przed siebie nogi w długich butach i z chęcią powitał podsunięty mu przez St. Bride’a cynowy dzbanek. – Ten stajenny, zwie się O’Hurley, to straszny gaduła. Zdaje mi się, że sporo wie o interesach hrabiego.

– A te interesy? – St. Bride gwałtownie potarł pierś okrytą tylko lekką, śnieżnobiałą koszulą. Porastające tors czarne włosy wyglądały zza rozluźnionych przy szyi tasiemek. Bardziej jednak przyciągało uwagę jego mściwe spojrzenie.

– Z pozorów hrabia jest importerem towarów mieszanych. Ostatnimi czasy otrzymywał towar z Glasgow.

– Z Glasgow! Dobrze, nie musisz więcej mówić. Wiem, co to za towar. Z daleka śmierdzi paskudnymi kwiatuśkami Eratha Straughta.

– Ludwik XV niezwykle lubi hrabiego – ciągnął Laban. – Przypuszczam, że sowiec go wynagradza. Dzięki królewskiemu poparciu Thionville niepodzielnie włada prawie całą Luizjaną i losem jej mieszkańców. – Spojrzał na St. Bride’a, który odchylił się do tyłu na prostym krześle. Jego pan wygląda na dżentelmena w każdym calu, człowieka opanowanego, lecz przy uważniejszym spojrzeniu można było dostrzec, że muskuły pod grubymi spodniami z kozłej skóry są napięte, a oczy błyszczą zbyt mocno.

– A co ze Straughtem? Czy ten O’Hurley wie, czego on tu chce? – wycedził St. Bride.

– Straught za wszelką cenę chciałby załatwić swój tajemniczy interes – rzekł ponuro Laban, a potem dorzucił: – Wskazywałoby to jednak, że nie dotyczy on Thionville’a. Duncan odkrył, że hrabia nie wie wszystkiego o osobistych sprawach Straughta i że prawdziwym powodem przybycia Eratha do Nowego Orleanu jest ściśle strzeżony sekret.

– Czemu tak sądzisz? – St. Bride nagle zeszytniał.

– Ten stajenny zdradził mi, że przed przyjęciem u hrabiego Straught zatrzymał się w domu Thionville’a, a Malcolm Quinn przybiegł wtedy z miasta i obydwaj, już w odświętnych strojach, pospiesznie poszli na Plac Broni. O’Hurley podsłuchał, jak Malcolm mówił: „Znalazłem ich! Są nad rzeką!”

– Znalazłem ich? – powtórzył St. Bride.

– Tak. Dziwne, prawda? Zwłaszcza, że Straught nie znał tutaj nikogo poza samym Thionville’em, a tego znał tylko z listów.

– W tym się kryje coś osobliwego. Miejmy tylko nadzieję, że Erath Straught i w tej materii okaże się głupcem. – St. Bride siłił się na uśmiech.

– Czy mam pociągnąć za język ludzi z portu? Nad rzeką mieszka mnóstwo mętów, przeważnie złodziei, ale może szczęście nam dopisze.

– Nie zawracaj sobie głowy. W końcu obojętne, jaki interes przywiódł tu Straughta. W niczym nam to nie pomoże. Zresztą mamy inne kłopoty.

– Pewnie jednym z nich jest kobieta? Co, przyjacielu? – Laban uśmiechnął się krzywo.

– Być może. – St. Bride pokazał zęby w drapieźnym uśmiechu i rzucał na stół monetę. – Innymi słowy, czas teraz na udane łowy, czyli właśnie *belle chasse*! Podejźmy naszą zdobycz! – Mężczyźni roześmiali się i opuścili tawernę w jak najlepszej komitywie.

St. Bride był w dobrym nastroju, gdy podeszli do stajni strażników miejskich, gdzie zostawili konie. Odebrali je stamtąd i jechali stępą przez miasto, kierując się ku domowi.

Laban, który wypatrzył w jukach St. Bride’a rąbek czerwonego atłasu, spytał z dobroduszną złośliwością:

– A cóż to takiego? – wskazał na zawiniątko.

– Nic ważnego. – St. Bride spojrział przed siebie, ku rue de Conde. Dojeżdżali właśnie do Placu Broni.

– Powiadasz, że nic? Myślę, że tej czarnowłosej diablicy lepiej byłoby niczym nie obdarowywać! – Pochylił głowę i roześmiał się, co sprawiło, że zachmurzony St. Bride zaczął jechać kłusem. – Słowo daję, wygląda to całkiem jak gorset, przyjacielu! – Laban roześmiał się jeszcze głośniej, gdy St. Bride okazał jawny brak chęci do dalszej rozmowy.

Gdy dotarli do Placu Broni, pokłusowali wzdłuż kościoła parafialnego pod wezwaniem św. Ludwika, rzucając okiem na przytwierdzone do jego masywnych drzwi ogłoszenia. Nagle St. Bride osadził konia w miejscu i wypuścił z rąk cugle.

– Co się stało? – Laban zobaczył, że jego towarzysz zsiada z konia.

– Sam jeszcze nie wiem – mruknął niewyraźnie St. Bride, zeskakując z wierzchowca, a potem poszedł do kościoła, prowadząc Canisa za uzdę. Odnalazł afisz, który przedtem przyciągnął jego wzrok. W miarę czytania jego ogorzała twarz pobladła, a wargi zacisnęły się w cienką linię.

Uwaga, uwaga!

Czarny Bardolf Ogilvie
rodem z Perth w Szkocji
zginął zasztyletowany

przez nieznanego sprawcę.

Hrabia de Cassell poszukuje listem gończym

dziewczyny znanej pod mianem

KESTREL,

niebieskookiej brunetki.

Kto ją spostrzeże, winien powiadomić strażę.

Nawet czarna twarz Labana wydawała się bledsza niż zwykle, gdy obydwaj przeczytali słowa widniejące na afiszu. St. Bride odczytywał jego treść wciąż od nowa, jakby wzrokiem chciał przewiercić pergamin.

– Myślisz, że to o nią chodzi? – St. Bride po dłuższej chwili skinął głową i rzekł z wysiłkiem: – Kiedy pierwszego dnia szukała ubrania, powiedziała, że tak się właśnie zwie. Kestrel.

– Pozbądź się jej, St. Bride.

– Milcz! – krzyknął na niego przyjaciel, zdzierając ogłoszenie z kościelnych drzwi.

– Co robisz?!

– Powiedziałem, milcz! – St. Bride wskoczył na konia z arkuszem pergaminu w ręce.

– Ona źle skończy! Już przecież...

– Milcz powtarzam! Nie prosiłem cię o radę. – St. Bride popędził konia. Mijali już rogatki.

– Owszem, dam ci jedną radę. Chcesz ją trzymać u siebie, póki się nią nie znudzisz, ale wtedy będzie za późno. Dosiądź jej wnet, a potem przepędź na cztery wiatry! – Laban musiał wołać w ślad za St. Bride'em, bo ten puścił się cwałem. Laban zaklął, nagłąc swego konia do galopu. Dopędził w końcu St. Bride'a. Mieli jeszcze wiele mil do Belle Chasse. – To zaczyna się robić niebezpieczne, przyjacielu. Może okazać się jeszcze gorsza od Straughta. Co my właściwie o niej wiemy? – narzekał Laban.

– Wiemy tyle, by mogła skorzystać z dobrodziejstwa wątpliwości – odrzekł St. Bride, popędzając konia.

– Wątpliwości? Gdzie tu miejsce na wątpliwości? Hrabia ich nie miał, bo inaczej nie kazałby wywiesić takiego ogłoszenia. Za wielki z niego kutwa, żeby wydawać pieniądze na czcze pogłoski.

– Hrabia de Cassell jest głupcem. – St. Bride wpatrywał się w wilgotny trakt.

– Racja, ale nie byle jakim głupcem. Jeżeli ją ściga, musi być winna.

– Tego nie wiemy! – uciał zdesperowany St. Bride.

– No to po co miałiby ją ścigać?

– Nie wiem.

– Nie wiesz? Naprawdę? – Laban uparcie trzymał się tematu. – Przypomnij sobie, jak wyglądała jej spódnica, kiedy ją znaleźliśmy. Babet

nie zdołała jej doprać, tyle na niej było krwi. Nie tylko twojej, przyjacielu, tej by nie wystarczyło. Jeszcze czyjejs.

– Całkiem możliwe, że wyłącznie mojej. – St. Bride spojrział na bliźnę.

– No to ją zapytajmy! Wyciągnijmy nędzną złodziejkę z jej legowiska i zadajmy jej pytanie: Czyja to była krew?

– Zostaw dziewczynę w spokoju. Ja ją wypytam, jeśli już będzie trzeba. – Ton St. Bride’a był rozkazujący.

– Myślę, że nie chcesz tego wiedzieć, przyjacielu – odparł ze smutkiem Laban.

St. Bride z ostentacyjną obojętnością wzruszył ramionami, a potem nagle dźgnął ostrogą Canisa, zmuszając go do galopu. Laban pozostał w tyle. St. Bride jechał niczym generał szykujący się do bitwy, który zna wszelkie możliwe manewry, lecz najpierw musi zidentyfikować wroga.



Gdy St. Bride i Laban trawieni złością wrócili z miasta, Kayleigh ujrzała z wysokości galerii, jak rzucili wodze koni odzianemu w szkarłatną kurtkę Mateuszowi i weszli na schody bez słów, bez uśmiechu. Co ich mogło poróżnić? – zastanawiała się. Z niepokojem patrzyła, jak wchodzi do domu, i postanowiła, że resztę wieczoru spędzi w swoim pokoju.

Słyszała ich podniesione głosy w salonie, lecz nie chciała im przerywać. Poszła po cichu do sypialni.

– ...zrukuje wszystkie nasze plany. Jeszcze któregoś dnia poderżnie ci gardło... Posłuchaj mnie! Nie jest warta ryzyka...

Gdy usłyszała gniewne słowa Labana, wślizgnęła się na tyły salonu, tuż koło loggii.

– Mówię ci, żebyś nie mieszał do tego Mary!

To mówił St. Bride. Serce podeszło jej do gardła, gdy jej uszu dobiegły następne, pełne złości słowa:

– Mam swoje zamiary co do Straughta. W niczym nie dotyczy to Kayleigh!

Nagle, wyczuwając jej obecność, obydwoj spojrzeli w jej stronę. Stała jak wrośnięta w ziemię. Znajome, przerażające nazwisko sprawiło, że nie mogła się ruszyć.

St. Bride zamarł w grobowym milczeniu, odwracając od niej wzrok. Laban za to wpatrywał się w nią groźnym, przeszywającym na wskroś spojrzeniem, jakby chciał chwycić ją za gardło. Wzdrygnęła się, lecz nadal stała w miejscu, niezdolna do wszelkiego ruchu, obezwładniona ich wrogością. A kłócili się zawzięcie właśnie o nią i, co gorsza, również o Eratha Straughta. Co jednak o niej wiedzieli? Nie potrafiła przytomnie

myśleć, lecz miała pewność, że St. Bride jej nie odpowie, nie chciał nawet na nią spojrzeć. Zamiast tego poszedł do pozłacanego stolika z marmurowym blatem i nalał sobie sporą porcję brandy.

W ciszy, która potem nastąpiła, Kayleigh wycofała się do swojej sypialni. Obydwaj mężczyźni rozmawiali nadal, lecz teraz mówili szepcąc. Skuliła się w fotelu, nie przestając łamać sobie głowy, co z tego wszystkiego wyniknie i co się z nią stanie.

Och, jakże pragnęła stąd uciec! Gdy znalazła się w przejmującej ciszy własnego pokoju, była tylko żalosnym kłębkim nerwów. Dlaczego o niej rozmawiali? I co miało jej nie dotyczyć? Przypomniała sobie zdanie: „Chcę pokazać Kayleigh, gdzie jest jej miejsce”. Z trudem przełknęła ślinę i rozpaczliwie próbowała znaleźć odpowiedzi na dręczące ją pytania, lecz nic nie przychodziło jej do głowy.

Zapagnęła pójść do kuchni i posiedzieć tam z Colette, jak to robiła wieczorami. Tam czuła się bezpiecznie. Mogła pogawędzić z Colette o jej nowych sukniach albo o psotach spleatanych tego dnia przez Wenus i Walentynę. Tam nie musiała rozmyślać o swoim strasznym losie. Jak te upiory mogły dosięgnąć ją zza Atlantyku?

Otworzyła drzwi do galerii, wyjrzała na podwórze i zobaczyła, że do kuchni wchodzi Laban. Było już ciemno i w blasku padającym z głównego budynku mogła dostrzec wyraz oczekiwania na twarzy Colette, nim Laban zamknął za sobą drzwi. Gdy wszystko z powrotem ogarnęła ciemność, zrozumiała, że u nikogo nie znajdzie pociechy. Co począć? Co począć? Gdy wracała do sypialni, powzięła decyzję. Pójdzie do Bride'a. Nadszedł czas, żeby się przekonać, co on o niej wie. Mógł przecież równie dobrze przyjść do niej, nie miała więc po co chować się we własnym pokoju przed przeznaczeniem. Nie mogła się w nim nawet zamknąć. St. Bride nie był kimś, komu byle rygiel przeszkodziłby dopiąć swego. Nabrała tchu i otworzyła drzwi do salonu.

– Wejdz, Kayleigh – rozległ się w mroku jego głos. Usłyszał widocznie skrzywienie posadzki pod jej stopami.

– Przyszłam – szepnęła. Stał w drzwiach prowadzących na galerię, patrząc w dal, ku rzece. Złękła się jego groźnie wyglądającej sylwetki i pomyślała, że lepiej byłoby jak najszybciej wrócić do sypialni. Stała pośrodku ciemnego salonu pełna lęku, niezdecydowania i niezdolna ruszyć się z miejsca.

– Podejdz tu – rzekł zaskakująco łagodnie.

– Ja... ja nie sądziłam... – zaczęła, lecz przerwał jej.

– Chodź tu. Mam coś dla ciebie.

Cicho podeszła do drzwi.

– Tu jestem – rzekła cicho z bijącym przeraźliwie sercem.
– Byłem dziś w mieście – oznajmił, trzymając w rękach coś jedwabistego. – Colette powiedziała mi, że trzeba ci gorsetu, więc... – urwał. Mogła dostrzec linie szwów, lecz w świetle księżycy nie potrafiła rozróżnić koloru. Zaskoczyło ją, że wpadł na pomysł obdarowania jej tak bardzo osobistą częścią stroju, lecz St. Bride w jednej chwili potrafił być pełen uroku, a w następnej przerażający.

– Włóż go. – Podał jej niezręcznie gorset.

– Teraz? – zdumiała się.

– Tak.

– Jestem głodna. Może byśmy coś zjedli?

– Chcę, żebyś go włożyła. – Wcisnął jej gorset w rękę. – Teraz.

– Ależ...

– Włóż go zaraz – rzekł cicho. Potem odwrócił się znowu ku rzece. Jego ostry jak u drapieżnego ptaka, wyrazisty profil zarysował się w słabym świetle. Coś go dotkliwie gnębiło. W tej chwili nie należało się spodziewać po nim dworności.

W swoim pokoju, przy świetle świecy, Kayleigh nerwowo zrzuciła z siebie suknię. Spojrzała na trzymany w drżących dłoniach gorset i zobaczyła, że jest szkarłatny. Niepewnym ruchem wciągnęła go na siebie i zasznurowała.

W innych okolicznościach zaczęłaby pewnie delektować się jedwabiem i fiszbinami, niemal już zapomnianymi. Gorset był świetnie uszyty, a jego kolor znakomicie kontrastował z jej rozpuszczonymi czarnymi włosami. Dzisiejsze okoliczności wyglądały natomiast przerażająco. Nie wiedziała, na co się zanosi, lecz zrozumiała, że wkrótce się dowie, bo słyszała, jak St. Bride krąży po salonie, z niecierpliwością oczekując jej powrotu. Powoli zapięła ciemnobłękitną lnianą suknię i otworzyła drzwi.

Kiedy zasznurowała gorset, St. Bride zapalił wszystkie świece. W jej pokoju panował przyjazny półmrok. Przejmowało ją więc lękiem, że musi przed nim stanąć w tak jasnym blasku. Drżąc, podeszła do kanapy, na której siedział.

Spostrzegła, że w każdym miedzianym lichtarzu, w każdym srebrnym świeczniku płonęła świeca. Stanąwszy przed nim zobaczyła, że znów żuje korzeń sasafrasu. Spojrzała na nią spod przymkniętych powiek tak, że krew napłynęła jej do twarzy.

– Obróć się.

Usłuchała go. Na widok jego twarzy dreszcz przebiegł jej po plecach.

Patrzył na wąską, ściśniętą sznurówką talię, na sposób, w jaki gorset podtrzymywał jej bujne piersi.

– Czy przynieść panu obiad? – spytała niepewnie, próbując rozładować napięcie. Może, jeśli zabawi się w posłuszną służącą, on powie jej wreszcie, o co chodzi. Uśmiechnęła się, choć miała wrażenie, że cała się trzęsie. – Dziękuję za gorset. Od dawna już nie... hm ... wiem, że to raczej zbyt osobista część ubioru, żeby dawać ją kobiecie w prezencie, ale... – zaplątała się, lecz on tylko rzekł posepnie:

– Podejdź do lustra.

– Co? – Kayleigh zbladła. Zmroził ją powstrzymywany gniew, wyczuwalny w jej głosie.

– Powiedziałem, podejdź do lustra. – Wskazał jej małe lustro w złoczonej ramie wiszące nad jedną z konsol.

– Po co? – spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Rób, co ci każę.

Niechętnie podeszła do zwierciadła, desperacko usiłując wyobrazić sobie, co on ma zamiar począć.

– Nie patrz na mnie. Spójrz w lustro.

Zrobiła, czego od niej żądał. Popatrzyła na swoje odbicie.

– W porządku. – St. Bride rzekł to powoli, wyjmując z ust sasafras.

– Rozepnij suknię.

– Co takiego?

– Powiedziałem ci. Rozepnij suknię.

– Nie chcę. – Głos jej drżał. Spojrzała znów na swoje odbicie.

St. Bride rozsiadł się wygodnie na kanapie.

– To zechciej. Zawsze gotowa byłaś na wszystko, prawda?

Od jego głosu zrobiło się jej zimno.

– Nie. Nie chcę.

– Zrób to albo ja zrobię to za ciebie. – St. Bride podniósł się gwałtownie z kanapy, a jej dłonie zaraz powędrowały do pierwszej haftki stanika. Widząc jej posłuszeństwo, usiadł, lecz ręce tak się jej trzęsły, że nie poruszała nimi z należytą szybkością.

– Co ja takiego zrobiłam? – spytała w nadziei, że zyska na czasie. – Co się stało dziś w mieście?

– Rozpinaj suknię. Chcę zobaczyć mój prezent.

Zdrętwiałymi palcami rozluźniła dwie kolejne haftki, odsłaniając górę piersi.

– Koniecznie chcę wiedzieć. Czy... – zaczynała już wymawiać na głos okropne pytanie, czy jej kuzyn ma coś z tym wspólnego, lecz on jej nie słuchał. Powiedział jedyńc:

– Rozpinaj suknię. Milcz.

Zrobiła, jak kazał, pełna lęków, których nie mogła przyoblec w słowa. Stopniowo zza ciemnobłękitnej sukni wyrzwał rąbek koszuli, a potem czerwień gorsetu. Każdy ruch jej palców odsłaniał go coraz bardziej. Nagle zrobiło jej się słabo. Nie z powodu tego, co czyniła, ani z napięcia, które niemal ją dławilo. Przyczyną był kolor.

Błękit sukni powoli zaćmiła olśniewająca czerwień gorsetu. Ujrzała obydwie barwy jednocześnie, jak tamtego dnia w Szkocji, a potem w koszmarnych snach. Z niesłychana jasnością stanął jej przed oczami upadek powozu Morny, a później zobaczyła siebie samą zbiegającą ze wzgórza, żeby być przy siostrze. Żeby jej pomóc. Żeby ją ochronić. Nad jej ciałem stał jednak Erath Straught, ręce miał czerwone, a na niebieskim jak leśne dzwonki stroju siostry...

Zacisnęła powieki i słabo jęknęła. Rozpięta już wszystkie haftki. Otworzyła oczy i spojrzała wprost na St. Bride'a, który z kolei wpatrywał się w nią, tak samo zdjęty zgrozą, jak ona.

– Twój gorset ma kolor krwi, prawda, Kayleigh? – Wstał i podszedł do niej. Turkusowe oczy były zamglone i nieodgadnione.

– Nie. – Zmusiła się, żeby spojrzeć w lustro. Nie rozumiała, czemu szkarłat gorsetu tak go wzburzył. Co on rozpamiętuje? Czy wie o śmierci Morny? A może ona, Kayleigh, była jeszcze głupsza, niż sądziła?

– Nie! – sprzeciwiła się ponownie. – Gorset jest wspaniały, ma kolor tulipanów.

– Kolor krwi – wyszeptał, stojąc za nią. Mogła zobaczyć w lustrze, jak jego ręka sięga ku rozpiętej sukni i dotyka szkarłatnego rąbka.

– To kolor gardelka rudzika – zaprzeczyła, czując przez jedwab ciepło i siłę jego dłoni.

– Cokolwiek uczyniłaś, powiedz mi, że zostałaś do tego zmuszona, a ja ci uwierzę.

– Co się stało? Skąd ta zmiana?! – krzyknęła z desperacją.

– To ty mi powiedz, co się stało. Powiedz, że zrobiłaś to, bo musiałaś bronić własnego życia, a ja ci uwierzę, mała czarownico.

– Ależ... – tyle tylko zdołała wyszeptać w jego bezwzględny uścisku.

– Tym razem nie kłam, Kayleigh. – W jego głosie również zabrzmiała desperacja.

– Wcale nie kłamię. Nic nie zrobiłam. Chcę wiedzieć, co się stało!

Nagle pocałował ją tak mocno, jakby sądził, że w ten sposób wydobędzie z niej prawdę. Ścisnął jej talię z taką siłą, że rozdarł materiał sukni.

Wiedziała, że musi stawić mu opór, uciec od niego. Nie był to jednak pocałunek mordercy, lecz kochanka, który żądał od niej więcej, niż mogła mu dać. Pozostało jej tylko przyłgnąć do niego, zgodzić się na jego uścisk i całować go, póki sam nie wróci do rozmowy.

Kiedy skończył, spojrzała na niego z pałającymi policzkami i wzburzonymi włosami.

– Czy wreszcie dowiem się, o co chodzi? – Z trudem chwytała oddech, chcąc przekonać samą siebie, że nie był przyjacielem mordercy, że w ogóle nie miał z nim nic wspólnego prócz tych nieszczęsnych maków. Błękit i czerwień nie pozwalały wprawdzie o tym wątpić, lecz ona wątpiła. Z jakiegoś osobliwego powodu, który miał aż za wiele wspólnego z jego pocałunkiem, wiedziała, że wątpić musi.

St. Bride nie rozproszył jednak jej obaw. Obrzucił wzrokiem czarnowłosą głowę wtuloną w jego pierś i zażądał od niej odpowiedzi na pytanie, które najwyraźniej nękało jego myśli.

– Powiedz mi o Bardolfie, Kayleigh. – Zmusił ją do spojrzenia mu w oczy, ujmując oburącz jej głowę. Poczowała, że nogi się pod nią uginają.

A więc on wie, pomyślała, patrząc wprost na niego. On wie.

16

Po jego słowach zapadło ciężkie milczenie, Kayleigh zadrżała. Chciała się uwolnić z jego uścisku. Chciała, żeby odpowiedział na jej pytanie.

– Powiedz mi o Bardolfie – ponaglił ją St. Bride, nie zważając na jej zrozpaczoną minę.

Przełknęła ślinę, lecz poczuła, że słowa więzną jej w gardle.

– Co... co chce pan wiedzieć? Mówiłam już, że nie żyje....

St. Bride spojrzał na nią, jakby miał ochotę ją udusić.

– Chcę wiedzieć wszystko! W całym Nowym Orleanie rozwieszono listy gończe. Głoszą, że hrabia de Cassell poszukuje morderczyni, zwanej Kestrel! A ja wiem, że jesteś i Kayleigh, i Kestrel. Kayleigh umie podawać herbatę, czytać, wysławiać się jak dama i jest wszystkim, czego pragnę. Dzisiaj jednak odkryłem, że istnieje też Kestrel. Kestrel zaś kradnie, kłamie, a być może również morduje... i to w najohydniejszy sposób!

– Nie! Nie morduje! – krzyknęła. Pojęła, że to dzięki staraniom jej kuzyna wywieszono takie ogłoszenie. Nie będzie już mogła wrócić do Nowego Orleanu, bo każdy skuszony nagrodą wyda ją władzom. Choć

ulżyło jej trochę, gdy poznała przyczynę złości St. Bride'a, wiedziała, że nie może czuć się bezpiecznie. Bała się, że wzbudziła taki gniew St. Bride'a, że ten gotów jest oddać ją w ręce hrabiego.

– Zabiłaś Bardolfa? – St. Bride potrząsnął nią. Jego głos brzmiał chrapliwie.

– Nie – odrzekła cicho.

– Wyjaśnij mi, skąd wzięła się krew na twojej spódnicy.

Jego uścisk zaczął sprawiać jej ból.

– To pana krew.

– Za wiele jej było! – rzekł ostro. – Zamordowałaś go?

– Nie! – krzyknęła i odepchnęła go z całej siły. On jednak ponownie chwycił jej głowę w obydwie dłonie, uniósł ją ku sobie i zmusił, by popatrzyła mu w oczy. Tak jakby w jej spojrzeniu pragnął ujrzeć prawdę.

– Jeżeli nie ty, to kto? – spytał, cedząc słowa.

– Może Malcolm Quinn – wyszeptała, zastanawiając się, jak na to zareaguje.

Na jego twarzy pojawił się nagle grymas. Jeszcze raz chwycił ją za ramiona i potrząsnął tak mocno, że mogła się spodziewać wielodniowych zawrotów głowy.

– Powiedz mi, dlaczego chciałaś zabić Bardolfa Ogilvie! Podaj mi choć jeden powód, bo ja ci ich mogę wyliczyć ze dwadzieścia!

– Ani myślałam go zabijać! Ktoś inny to zrobił, nie ja! – sprzeciwiała się zaciekle.

– Szpiegowałaś mnie? – zmienił nagle taktykę.

– Po co miałabym to robić? – Kayleigh odwróciła wzrok.

– Czy Quinn kazał ci się tu wślizgnąć i podsłuchiwać moje rozmowy? Wiem, że znacie się aż za dobrze!

Straszna wiadomość, że St. Bride wie o Quinnie, podziałała na nią jak ogłuszający cios. Mogła jedynie zaprzeczać jego oskarżeniom.

– Pan się myli. Nie chciałam tu wcale szpiegować. Po co... po co miałabym to robić?

– Z powodu Eratha Straughta, rzecz jasna! Zainwestował w Belle Chasse wszystko, co ma. Nie wierzysz mi? Czyżby Quinn ci nie powiedział?

– Nie wiem, o czym pan mówi! – Cofnęła się, stając z dala od niego.

– Nie mam nic wspólnego ze śmiercią Bardolfa. Nie wiem, czemu rozwiieszono to ogłoszenie.

– Ale wiesz, że to zrobiono.

Ze strachem skineła głową.

– Czy właśnie dlatego uciekałaś na moczary tej nocy, kiedy cię znalazłem? I dlatego powiedziałaś Thionville’owi, że na imię ci Colette? – Patrzył na nią oskarżycielsko.

– Nie! Pan się myli! Straszliwie się pan myli!

– Przeciwnie, mam rację, Kayleigh, i ty o tym wiesz. Dowodzą tego twoje konszachty z Quinnem i włóczenie się po Belle Chasse.

– Nie obchodzi mnie Belle Chasse.

– Kradniesz stąd jednak wszystkie cenniejsze przedmioty. Czy myślałaś, że nigdy cię nie przyłapię?

– Malcolm Quinn chciał, żebym... – usiłowała skończyć zdanie, nim on jej przerwie, lecz nie zdążyła.

– Owszem, pomówmy o Malcolmie Quinnie. Kradniesz, co tylko możesz, a potem zanosisz jemu. Myślisz, że nie wiem o waszych spotkaniach? – St. Bride zamilkł, lecz po chwili dręczącej ciszy zaczął mówić dalej. – Może niesłusznie sprzeciwiłem się Labanowi. Sądziłem, że jesteś tylko żalonym strzępem ludzkim, kobietą upadłą, ale niewinną. Teraz widzę, że byłaś jedynie małą, nędzną ulicznicą spiskującą przeciw mnie.

Dopiero głośny trzask uświadomił jej, że dała mu w twarz. Zrobiła to nieoczekiwanie dla samej siebie, lecz St. Bride zdawał się tego spodziewać. Wiedział, że jego słowa obraziły ją. Musiał wiedzieć. Teraz jednak, widząc czerwony ślad na jego policzku, wątpiła, czy zdoła uniknąć jego gniewu. Nawet nie się uchylił przed ciosem. Nie patrząc na niego, usiłowała jako tako okryć się podartą suknią, gotowa do ucieczki.

Nie okazała się jednak dość szybka. Znów schwycił ją z całej siły i zmusił do spojrzenia mu w twarz.

– Malcolm Quinn szantażował mnie! Dlatego musiałam się z nim spotykać! Niech mi pan uwierzy! Musiałam kraść!

– A czymże cię szantażował?! – St. Bride kipiał z wściekłości. – Powiem ci, czym! To nie on zabił Bardolfa. Płaciłaś mu za trzymanie gęby na kłódkę! Wyśledził, że mieszkasz tutaj, i domyślił się, kim jesteś, Kestrel!

– Tak, prawda! Wyśledził mnie tu, a ja mu płaciłam, żeby siedział cicho, ale nie dlatego, że zabiłam Bardolfa! Niech mi pan uwierzy! – Zdesperowana zrozumiała, że St. Bride, którego oczy znów załśniły zielenią, jest pełen morderczej furii.

– Mam ci wierzyć? Tobie? Teraz, kiedy dowiodłaś, że jesteś zdolna do wszelkiego występku? Kłamiesz, kradniesz, zachowujesz się niezdolnie. Powiedz mi, Kayleigh, skoro przyparłem cię już do muru, czy te wszystkie sceny miłosne odgrywałaś z wyrachowaniem, żeby zawrócić

mi w głowie? – Spojrzał w stronę sypialni. Szmaragdowe zasłony łóżka połyskiwały w świetle świec i Kayleigh pojęła nagle, jak St. Bride zamierza się na niej zemścić.

– Jestem niewinna!

– Niewinna! – Z trudem powstrzymywał śmiech. – Jakże to słowo brzydko brzmi w twoich ustach! Nie chcę go więcej słyszeć! – Nagle ujął ją za rękę i pociągnął w stronę sypialni.

– Niech mnie pan wysłucha! – Jej głos załamał się ze strachu.

– Mam dosyć słuchania. Pragnąłem tego od pierwszego dnia, kiedy cię spotkałem. A teraz, po tym, co się dzisiaj zdarzyło, uważam, że jesteś mi to winna! – Popychał ją przed sobą ku swemu pokojowi.

Umknęła w kąt, żeby znaleźć się jak najdalej od łóżka. Widywała już St. Bride’a rozniewianego, lecz nigdy tak, jak teraz. Wydawało się że oszalał, a co gorsza, uważał ją za morderczynię. Nie będzie się nad nią litował, weźmie ją siłą. Przykucnęła w kącie, osłaniając twarz rękami. Właśnie to, że skrzywdzić miał ją akurat on, było nie do zniesienia.

– Kayleigh, daj mi dowód, że go nie zamordowałaś! Przekonaj mnie, że nie zabiłaś Bardolfa! Nie chcę, żeby to była prawda. – Najwyraźniej chciał jej dać sposobność do usprawiedliwienia się. Po dłuższej chwili rzekł wreszcie. – Spójrz na mnie.

Musiała jakoś stawić mu czoło. Chciał przecież tylko prawdy. Samej prawdy. Jakże jednak miała sprawić, żeby w nią uwierzył? Jak mogła wyjawiać, że jego przyjaciel Erath wplątany jest w zabójstwo Bardolfa, nie mówiąc wszystkiego? Czy St. Bride da jej wiarę, jeśli nawet powie mu prawdę, chcąc go przekonać o swojej niewinności? Nie była w stanie zaufać mu bez reszty; jego list do Labana, jego konszachty ze Straughtem w Belle Chasse.

Czy znaczy dla St. Bride’a tyle, że gotów będzie zrezygnować dla niej ze swoich planów? Kayleigh wciąż wpatrywała się w niego, niezdolna do podjęcia decyzji.

– No powiedz mi, moja miła, czemu zabiłaś Bardolfa – przynaglił ją.

Z największym wysiłkiem powstrzymywała się, żeby nie krzyknąć mu w twarz nazwiska kuzyna. Jakimś dziwnym sposobem zdołała jednak zdusić w sobie krzyk. Nie miała pewności, czy St. Bride’owi można ufać, a póki jej nie miała, musiała milczeć.

– No, powiedz mi.

– Nie chcę.

– Mówię ci, powiedz! – St. Bride schwycił ją za rękę.

– Boli!

– Niech to diabli, mów! – krzyknął i potrząsnął nią. Jego desperacja sięgnęła szczytu. – Albo mi powiesz, ty mała, przebiegła nędzniczo, albo nie pójdziesz w ręce kata tylko dlatego, że sam cię zabiję!

Zerwała się na nogi z głośnym krzykiem, lecz jej chaotyczne protesty tylko potęgowały furię St. Bride’a. Nie zdziwiło jej, że złapał ją gwałtownie i znów potrząsnął.

Potem odepchnął ją brutalnie i odwrócił się do niej tyłem, przesu-
wając ręką po włosach.

– Zejdź mi z oczu.

– Wolno mi opuścić Belle Chasse?

– Nie. Idź do siebie. Nie chcę cię więcej widzieć. Zostaniesz tam, póki nie zadecyduję inaczej.

– Ja nie mogę...

– Niech cię diabli porwą! – Nie miał ochoty jej słuchać. – Zejdź mi zaraz z oczu, nim zrobię coś, czego potem mógłbym żałować!

Spoglądając w jego wykrzywioną grymasem złości twarz, Kayleigh nagle zapragnęła, żeby przestał widzieć w niej morderczynię. Za nic jednak nie mogła znaleźć sposobu na wyjawienie mu, kto zabił Bardolfa, bez wyznania całej prawdy.

St. Bride nie zamierzał wszakże wziąć pod uwagę jej rozterek. Kiedy zrozumiał, że Kayleigh nie ugnie się przed jego żądaniami, jednym gwałtownym ruchem ręki zmiotł wszystko, co stało na komodzie. Jego srebrny grzebień upadł z trzaskiem na posadzkę, cała zawartość szkatułki rozsypała się po pokoju.

St. Bride obrócił się ku Kayleigh ze słowami:

– Chyba dziś wieczór przyjdzie mi oszaleć!

Zrobiła wreszcie to, czego sobie życzyła. Przerażona uciekła.

17

Burza targała okiennicami i smagała drzewa przed domem. Kayleigh nie spała trzecią noc z rzędu. Czekwała na St. Bride’a, by się ostatecznie przekonać, co ma zamiar z nią zrobić teraz, kiedy uważa ją za morderczynię.

Jej pokój stał się zarazem więzieniem i schronieniem. Nie miała najmniejszej ochoty stamtąd wychodzić, chyba że po to, by przejść się po galerii i wystawić twarz na ostre porывy wiatru.

Błyskawica rozdarła niebo, a jej błysk przedarł się przez szczeliny w drzwiach galerii. Podeszła do nich i otworzyła je na oścież, lecz okiennice z tamtej strony były zaryglowane od zewnątrz. Rozbłysła za nimi kolejna błyskawica, a odgłos grzmotu rozległ się zaraz po niej, ale Kayleigh nie czuła lęku. Otworzyła żaluzje i pozwoliła wdrzeć się do środka całej furii burzy.

– Większość kobiet chowa się pod kołdrą podczas takiej zawieruchy, ale ty nie. Ty nigdy.

Głos przeraził ją bardziej niż huk gromu, który rozległ się chwilę wcześniej. Kayleigh, poruszając się chwiejnie w ciemności, zdołała w końcu dojrzeć sylwetkę St. Bride'a opartego niedbale o drzwi salonu. W świetle następnej błyskawicy ujrzała przez moment nienaturalny błysk jego oczu i spostrzegła, że przybrana przez niego poza jest dużo mniej sztywna niż zwykle. Usłyszała, jak stawia na stoliku szklaneczkę, wypełnioną zapewne brandy. Potem dobiegł ją odgłos zbliżających się ku niej kroków.

– Już późno – szepnęła, usiłując nie zwracać uwagi na jego obecność. Wpatrzyła się w targane burzą okiennice.

– Tak, rzeczywiście bardzo późno

– Czego pan chce, St. Bride? – spytała spokojnie. Chociaż niewątpliwie pił, nie wydawał się wrogo usposobiony. Zupełnie, jakby zdołał tej nocy rozstrzygnąć dręczące go wątpliwości i przyszedł podzielić się z nią radosną nowiną.

– Ciekaw jestem, czemu nie boisz się burzy. Niemal zdajesz się nią cieszyć. – Stał tuż przed nią i mimo ciemności zdołała dojrzeć jego smutny uśmiech. – Usłyszałem, że dobiegają stąd jakieś hałasy. Pomyślałem, że gromy i wichura przeraziły cię, że może potrzebujesz pociechy. No i widzę, jak stoisz z nosem przy samych żaluzjach, pragnąc wyrwać się stąd na wolność, w sam środek nawałnicy. Co z ciebie za stworzenie! – Uniósł dłoń, chcąc dotknąć jej policzka, lecz po chwili namysłu opuścił rękę.

– Burza nigdy mnie nie przeraża – odparła z prostotą.

– Czemu?

– Lubię ją. Zwłaszcza teraz.

– Dlaczego teraz? Jakąż ci może przynieść ulgę akurat tej nocy?

Zwlekąła z odpowiedzią. Myślała o wszystkim, co poprzedziło tę chwilę.

– Tyle w niej gniewu.

St. Bride milczał przez jakiś czas. Potem dotknął pasma włosów, które wiatr owinał jej wokół szyi, i mimo mroku uważnie się w nie

wpatrywał. Powoli rozchylił wargi. Poczula ciepły, trącący wonią brandy oddech na czole. Nachylił się ku niej, lecz nie przyciągnął jej do siebie siłą, jak to zwykle czynił. Musiała znosić jego bliskość, nie mając pretekstu do buntu. Gdy jednak usta St. Bride'a musnęły jej czoło, drgnęła gwałtownie:

– Proszę przestać, bo zacznę stawiać opór, tak jak przedtem, i uda mi się to.

– Nie doceniasz mojej siły. – Usłyszała jakby stłumiony śmiech, a pocałunek stał się gorętszy i wilgotniejszy. Nie wiedziała, czy tym razem potrafi go powstrzymać; był przecież o tyle silniejszy. Poczula jednak, że nie jest w stanie się cofnąć. Jego dotyk był zbyt podniecający, a głos zbyt miękki i uwodzicielski.

– Czego pan chce, St. Bride? – tyle tylko zdołała wyjąkać. Jedną z jego rąk wspierała się wprawdzie na odrzwiach tuż za nią, lecz najwyraźniej nie trzeba mu było żadnej podpory. Odchyliła się w tył, zaraz jednak poczuła jego rękę na plecach, a potem poniżej nich, kiedy położył dłoń na jej osłoniętych tylko cienką tkaniną pośladkach. Poczula dreszcz przebiegający przez łądźwie. St. Bride przestał ją całować i wsparł podbródek na jej głowie.

– Jesteś osobliwą kobietą, moja miła – szepnął. – Odrzucasz moje względy i bogactwo niby udzielna księżna, a przecież kradłaś na ulicach, żeby żyć. Dowiaduję się, że oskarżają cię o morderstwo, a nie mogę z ciebie wydobyć żadnych wyjaśnień. Coś jednak nieodparcie każe mi wierzyć w twoje słowa. A więc wierzę ci. Wierzę, że nie zabiłaś Bardolfa i sądzę nawet, że może kiedyś dowiem się od ciebie wszystkiego. Dlaczego tak robisz? Czy rzuciłaś na mnie urok? – Ponownie pocałował ją w czoło i powiedział bardzo cicho: – Ach jak piękne, jak wspaniałe jest twoje czoło i jak potrafi mnie zaślepić!

– Proszę tak nie mówić! – wydusiła z siebie, oszołomiona tym, co mówił, i tym, co czynił. Spytał jednak miękko:

– Czy śmiesz mi zaprzeczyć, moja czarownico, moja czarodziejko? Rzuciłaś na mnie urok, prawda?

– Nie. To właśnie ja jestem urzeczona, nie widzi pan? – zadrwiła z goryczą. – Inni dobrze widzą!

– Tak, ale urzeczenie ogarnęło i mnie. – Znów zamigotała błyskawicą. W jej świetle twarz St. Bride'a rozjarzyła się z niezwykłą intensywnością.

– Niech mnie pan stąd wypuści.

– Nigdy. – Zaśmiał się.

– Może Laban słusznie mi nie ufa...

– Niech diabli porwą Labana z jego nieufnością! Jeśli wbijesz mi nóż w plecy, przyjmę to z radością. Wszystko mi jedno, kim jesteś. Doshedłem do wniosku, że nie potrafię bez ciebie żyć.

– Nawet jeśli okażę się morderczynią? – Zwilżyła językiem wargi.

– Nawet wtedy. Nie wierzę, żebyś nią była. Gorzej: nie dbam wcale, czy nią jesteś! Wezmę cię, obojętne jak. – Nachylił się, żeby znów ją pocałować, a ona zupełnie straciła ochotę do dalszej walki.

Gdy jego ręka zaczęła wsuwać się jej pod koszulę, w Kayleigh również zrodziło się podniecenie. Powiedziała sobie wprawdzie, że nie powinna pragnąć dotyku jego ciepłych palców. Nie powinna była też pragnąć dreszczu, który przebiegł jej wzdłuż kręgosłupa i sprawił, że zaczęła oddychać szybko i nieregularnie. Najbardziej niestosowne okazało się jednak uczucie, że właśnie tego wszystkiego pragnie... i czegoś jeszcze.

– Nie! Będę się wyrywać!

– No chodź.

Chciała odtrącić jego ręce, lecz rąbek jej koszuli znalazł się nagle powyżej krzyża. Kiedy zaś spodziewała się ich na plecach, poczuła je nagle tam, gdzie nikt jej jeszcze nie dotykał. Nigdy.

– Nie! – szepnęła schrypniętym głosem, odpychając jego ramię z całej siły. On jednak uciszył jej protesty, całując ją. Owinęła koszulę ciasno wokół siebie i odskoczyła w przeciwną stronę.

– Niech pan sobie idzie! – wyszlochała ze złością, usiłując oprzytomnieć. Dyszała gwałtownie. Czują się w tej chwili tak, jakby chciała go zabić.

– Nie pójdę. – Zbliżył się ku niej.

– Niech mnie pan zostawi albo znienawidzę pana na zawsze!

– Jesteś pewna? Jakoś nie czułem w tobie nienawiści, kiedy jęknęłaś w moim uścisku! – Zatrzymał się tuż przy niej, lecz jej nie dotknął. Stał tylko i patrzył na nią z gniewnym grymasem na ustach.

Łza spłynęła jej po policzku. Wytarła oczy wierzchem dłoni.

– Właśnie, że pana znienawidzę. Na zawsze. – Z rozpaczą poczuła jednak, że wcale nie chce, by przestał jej dotykać, a nawet pragnie tego gorąco. Wszystko to jednak było złe – do głębi, aż do bólu złe.

– No więc cię zostawię. Nie sypiam z kobietami, które mnie nienawidzą.

– Ależ... – tyle tylko zdołała wykrztusić. Wcale nie budził w niej nienawiści, zaczęła ją nawet zdumiewać, że jest od niej jak najdalsza. Pragnęła powiedzieć mu całe mnóstwo rzeczy, nie mogła jednak znaleźć właściwych słów.

Gdy walczyła ze sprzecznymi uczuciami, gwałtowny podmuch wiatru zatrzaskała wszystkie okiennice naraz i pokój zatonął w ciemności. Poczwała, że St. Bride wyciąga dłoń i że wierzch jego palców muska górę jej piersi. Jęknęła, a on pospiesznie cofnął rękę. Gdy zdołała ponownie dostrzec w mroku jego sylwetkę, zmierzał właśnie ku drzwiom. Wkrótce usłyszała, jak się zamknęły. I to właśnie jego rejterada, a nie dotknięcie, które czuła jeszcze na skórze, sprawiła, że krzyknęła z wściekłością:

– Wstrętny łajdak!



Już dwa razy z rzędu nie poszła na spotkanie z Quinnem. Cóż miała począć, skoro przez trzy dni siedziała zamknięta w sypialni? Wiedziała jednak, że Quinn jej nie uwierzy i znajdzie sposób, żeby się na niej odegrać. Nie miała cienia wątpliwości.

Następnego dnia St. Bride uwolnił ją wreszcie z domowego aresztu, lecz dobrze jej pilnował. Przez cały ranek czuła na sobie spojrzenie turkusowych oczu, opiekuńcze, ale i czujne. Rozpaczliwie usiłowała nie myśleć ani o nim, ani o ostatniej nocy. Płakała jednak aż do świtu, a jej ciało aż za dobrze pamiętało jego dotyk.

Miała jednak jeszcze większe zmartwienie. Musiała się spotkać z Quinnem. Czekał na nią, czuła to, w wielkich, rozłożystych krzakach leszczyny, na styku bagien i zagonów ze zwiędłym indygiem. Gdyby udało się jej wymknąć choć na chwilę, mogłaby dać mu coś na odczepnego.

Nadzieje te okazały się, niestety, płonne. Koło dziesiątej St. Bride przyszedł po nią do pralni i zażądał, by w południe wybrała się z nim na przechadzkę. Nie chciała go irytować, więc potulnie się zgodziła, lecz kiedy odszedł, zrozumiała, że sposobność do spotkania z Quinnem może przepaść na dobre.

W południe poszli obydwójce wzdłuż brudnej dróżki wiodącej ku chatom niewolników. Kayleigh, która nigdy jeszcze tamtędy nie szła, uradował ten spacer wzdłuż rzędów młodych dębów, a potem koło małych chat z cyprysowego drewna. Pomyślała nawet, że byłaby to całkiem miła przechadzka, gdyby tylko przez całe rano nie mżyło i gdyby uparczywie nie wracała do niej świadomość, że musi zobaczyć się z Quinnem, nim będzie za późno.

– Nie najlepsza pogoda na przechadzkę – zauważył St. Bride, biorąc ją za rękę, żeby mogła ominąć kałużę.

– Deszcz przyniósł ochłodę. Cieszę się, że mogłam wyjść właśnie teraz. Nie lubię siedzieć w domu. – Spojrzała na niego z lekką obawą.

– Podoba ci się nowy gorset?

Pytanie było nieco kłopotliwe. Przypominało obojgu noc, o której stanowczo woleliby zapomnieć.

– Tak. Ogromnie. – Pomyślała o paczce, którą znalazła rano przy drzwiach swojej sypialni. Poprzedni, szkarłatny gorset w tajemniczy sposób zniknął. Teraz dostała inny, mniej może wytworny, lecz na szczęście w znacznie łagodniejszym, liliowym kolorze.

– Sądzę, że dobrze zrobiliśmy, wychodząc z domu. – St. Bride zatrzymał się przy drzewie i zerknął na nią spod oka.

– Nie lubię dusić się w zamknięciu.

– Wiem.

– Po co właściwie tu przyszliśmy? – zaczęła, lecz słowa utknęły jej w gardle, gdy rzekł dziwnie poważnym tonem:

– Mam też inny prezent dla ciebie, ale nie wiem, czy ci się spodoba.

– Sięgnął po woreczek przywieszony do paska jego spodni z koźlej skóry. – Odznacza się on pewną cechą, przeciw której bez wątpienia będziesz się buntować.

– Cóż to takiego? – spytała nieufnie, robiąc krok do tyłu. Patrzyła z zapiętym tchem, jak rozsznurowuje woreczek. Wyobraźnia podsuwała jej różne przerażające obrazy, lecz to, co stamtąd wyjął, okazało się jedynie kosztowną ozdobą.

– Naszyjnik? – zawołała, pozwalając go sobie wręczyć. Na dosyć zwyczajnym, srebrnym łańcuszku zwiisał wielki, niezrównany szafir St. Bride'a. Obracała dar w palcach, próbując się za wszelką cenę domyślić, co może być jego szczególną cechą.

– Nie zostanę pańską kochanką w zamian za ten szafir – rzekła w końcu.

– Wiem.

– Dlaczego więc ofiarowuje mi pan coś tak kosztownego? Zamknął mnie pan w pokoju na całe trzy dni, a teraz daje mi rzecz umożliwiającą ucieczkę?

– Nie uciekniesz. Przewidziałem to.

Nie wiedziała, co rzec na te zagadkowe słowa.

– Ależ będę mogła uciec, jeśli go dostanę – powtórzyła z uporem.

St. Bride najwyraźniej był innego zdania. Wpatrywał się w nią przenikliwie.

– Czy mogę ci go założyć? – Podeszedł do niej. W jego wzroku była czujność i wyraźne napięcie, jakby na coś oczekiwał.

– Oszalał pan.

Pozwoliła mu unieść swoje włosy. Poczowała na karku jego ciepłe i mocne palce. Przeniknął ją dreszcz, który nie miał nic wspólnego

z pogodą. Bezradnie zamknęła oczy, gdy ustami dotknął jej szyi. Pocałował ją tylko raz, bardzo delikatnie, potem się cofnął.

– Czy mogę...? – wziął z jej rąk naszyjnik, gładki i chłodny w dotyku. Długo się zastanawiał, nim go nareszcie zapiął. Obszedł ją nokoło, a potem obrzucił pełnym zachwytu spojrzeniem. – Podkreślasz jego piękno twoją urodą, moja miła. Mam nadzieję, że kiedyś mi wybaczysz.

– To mnie trzeba będzie wybaczyć. Wie pan przecież, że nie zatrzymam go przy sobie na dłużej.

Pokręcił jedynie głową.

– Zatrzymasz. Nie możesz go zdjąć.

– Ależ przy pierwszej okazji zdejmę go, przecież pan wie! Zdejmę i sprzedam.

– Nie możesz, Kayleigh. Nie ma to zresztą nic wspólnego z moim pragnieniem, żebyś zatrzymała go na zawsze. W mieście jest pewien złotnik, który nauczył się wyrobu zamków od stolarzy Ludwika XIV. To prawdziwe arcydziełko chytróści. Tylko on i ja wiemy, jak zdjąć ten naszyjnik.

Uniosła rękę do szyi, nerwowo szukając zamka. Nie było go! Czują pod palcami tylko gładkie, zimne srebro. Widocznie złotnik umieścił go wewnątrz któregoś z ogniwi.

– Rozerwę go! – Szarpnęła łańcuszek z całej siły, póki nie otarła sobie skóry na karku. Opuściła bezradnie ręce.

– Nie da się tego zrobić.

– Więc każę go rozciąć! – rzekła z rozpaczą.

– To niemożliwe. Naszyjnik i zamek zrobiono ze specjalnego stopu. To nie jest czyste srebro. Trzeba diamentowego ostrza, żeby go przeciąć. Przykro mi, Kayleigh, ale nie ma innego sposobu, żeby go zdjąć.

– Znajdę tego złotnika. Otworzy go dla mnie. – Głos zaczął jej drżeć.

– On już o tobie wie. Wie również, że zapłacę mu za odmowę wykonania tej przysługi dużo więcej, niż wynosi wartość naszyjnika.

– Czemu pan to zrobił? – Wciąż nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Jego słowa okazały się o wiele brutalniejsze, niż oczekiwała.

– Bo cię pragnę. Bo nie chcę, żebyś stąd odeszła. Bo mnie teraz potrzebujesz. Potrzebujesz opieki, jaką ci mogę zaofiarować. Jakże uciekniesz do Nowego Orleanu czy gdzie indziej? Byłe złodziej rzuci się na ciebie z powodu tego cacka.

– Nigdy nie będę pana potrzebować. Nigdy! – Chętnie by go zabiła za nałożenie jej obroży, jak ulubionemu zwierzątku. Znalazła się na jego łasce; nigdy już nie ucieknie, niezdolna sprzedać jedynej cennej rzeczy,

jaką ma, i zdana na pastwę lęku, że jakiś nędzny włóczęga może użyć wobec niej przemocy. St. Bride ma ją w ręku. Jeszcze raz szarpnęła desperacko naszyjnik, lecz daremnie.

Objął ją w pół i przytulił do piersi.

– Zgódź się na to. Należysz teraz do mnie.

Gwałtownie potrząsnęła głową.

– Nie.

– Tak.

– Nie! – Niemalże płakała. – Nie pozwolę zrobić z siebie niewolnicy! – Z rozpaczą spytała: – Dlaczego pan mi to zrobił?

– Dowiedz swojej prawdomówności, a nie będziesz dłużej musiała nosić klejnotów jak kajdanków.

– Niech pan zdejmie ze mnie to... to jarzmo!

– Nie – odparł łagodnie, lecz stanowczo.

– Nienawidzę pana! – krzyknęła. Och, jakże nienawidziła i St. Bride'a, i jego sprytu, lecz najbardziej ze wszystkiego naszyjnika, który zaczął jej ciążyć u szyi jak kula. Czowała, że się dusi. Pragnęła uwolnić się i od łańcuszka, i od St. Bride'a. Jakże jednak miała się od niego uwolnić, skoro ten bezcenny szafir uczynił ją jego branką?

– Boże, jak ja panem gardzę za to upokorzenie! – załkała.

– Wiem... wiem. – Pragnął ułagodzić jej wściekłość, lecz ona nie chciała takiej pociechy. Próbowwała go odepchnąć, a gdy nie dała rady, uniosła ku niemu twarz. Wargi jej drżały, wzrok pełen był wyrzutu.

– Chce pan, żebym została pańską kochanką, prawda? – spytała cicho.

– Chyba dałem to jasno do zrozumienia. – Wydawał się zaskoczony.

– To niech mnie pan pocałuje.

Zdumiał się.

– Mówię, żeby mnie pan pocałował. Wie pan, jak. Przecież już pan to robił.

Powoli nachylił się i na moment dotknął wargami jej ust, lecz szybko się cofnął. Spojrzał na nią. Miała twarz zupełnie bez wyrazu, niczym marmurowa Wenus.

– Czy chce mnie pan właśnie takiej? Czy takich pocałunków pan pragnie? Zimnych i obojętnych?

– Nie.

– Niech pan więc zdejmie naszyjnik – poprosiła po raz ostatni.

– Nie – zniżył głos do ochryplego szeptu.

Nie tracąc ani chwili, wysunęła się z jego objęć, tym razem bez trudu. Pobieгла pędem tam, skąd przyszli.

– Wracaj, Kayleigh! – Nie słyszała. Nie odwróciła się. Nie zamierzała oglądać gniewu w jego oczach ani słyszeć głuchego westchnienia, jakie mu się wymknęło.



St. Bride spojrział na pity przez siebie trunek. W złocistym napoju wirowały pasemka, odbicie szaro-białego deseni na ścianach. Było już dobrze po północy, lecz on siedział w loggii. Przez szczeliny uchylonych żaluzji przenikały promienie księżyca. Wszystko w mrocznej loggii było czarne, białe albo szare z wyjątkiem jego brandy. Mieniła się w księżycowym świetle pomarańczowym odblaskiem. Gdy ją jednak przełknął, zapiekła go tylko, zamiast dać ukojenie.

– Co ci takiego powiedziała, że jeszcze o tej porze nie śpisz, przyjacielu? – Laban pojawił się u szczytu schodów.

– Nie napijesz się ze mną? Chyba możemy sobie pozwolić na mały kieliszek. – St. Bride mówił nadspodziewanie gładko, jakby rozczarowany tym, że nie zdołał się upić.

– Usłyszałem jakiś hałas. Chciałem się upewnić, że to ty, a nie... – Laban zamilkł nagle, usiadł i bez większych ceregieli przyjął oferowaną mu brandy.

– A nasza mała szkocka czarownica? – St. Bride uśmiechnął się znad szklaneczki.

– Szaleje.

– Ano właśnie. – St. Bride skrzywił się kwaśno. – Zresztą zawsze nie w smak jej były moje prezenty.

– Co zamierzasz z nią zrobić? – Laban sączył swój trunek.

– Pozwolę, żeby się jutro spotkała ze swoim przyjacielem Quinnem. Nie może się wprost doczekać, kiedy go zobaczy. Ile razy wystawi nos za drzwi, patrzy ku moczarom, gdzie załatwiają swoje sprawy. On tam na nią czeka, prawda?

– Każdego dnia. Wyśledziłem go. – Laban kiwnął głową. – Uwiązuje konia na polanie i czeka, przeklinając pod nosem, dobrą godzinę. Później odjeżdża. Zaczyna już tracić cierpliwość. Nie będzie czekał w nieskończoność.

– A więc dobrze, jutro przekonamy się sami o jego zamiarach, a potem odpłacimy mu się, jak należy, i przepędzimy go stąd, gdzie pieprz rośnie. Chcę, żeby na zawsze zniknął z życia Kayleigh. – St. Bride dolał sobie brandy ze stojącej obok karafki. Dodał z niechęcią: – Ja też nie chcę, żeby Quinn stracił cierpliwość. Gotów udać się do władz, jeśli nie dostanie swoich świecidełek! – St. Bride spojrział Labanowi w oczy

i zakończył tonem pogroźki: – Nikt nie może się dowiedzieć, że Kayleigh tu jest.

Laban ostrożnie dobierał słowa

– Nie mówię, że to ona zabiła tego Bardolfa, ale weź pod uwagę, że my właściwie nic o niej nie wiemy.

– Wszystko i nic. – St. Bride przeciągnął dłonią po włosach. Blizna załśniła w świetle księżyca. Obydwaj spostrzegli, jak mocno odbija jego blask, biała i świecąca. – Nie pytam, czy coś z tego rozumiesz. Czasem ja sam także nic nie rozumiem.

– Wszystko przemawia przeciw niej.

– Wiem o tym! – rzekł ostro St. Bride. Potem zreflektował się. – Tak, to prawda. Absolutnie wygląda na winną. Zgubił ją ten czerwony gorset. Mój Boże! Gdybyś widział jej twarz! Z pewnością przypominał jej krew, niewątpliwie nie jej własną! – Wstał i zaczął krążyć po loggii. – Wciąż jednak nie mogę uwierzyć, że wypruła flaki temu staremu mordercy. A jeśli tak, to nie bez powodu. Jeśli zaś miała powód, zasługuje na opiekę.

– A jeśli nie miała?

– Jeśli go nie miała – St. Bride uśmiechnął się krzywo – to i tak się o tym nie dowiem.

– Chyba że ten sam nóż utkwi w twoim brzuchu.

– Potrafię okiełznać Kayleigh. Jest dzikuską, ale dzikość zawsze mnie pociągała. Ileż ja czasu spędziłem w tych koloniach, zamiast siedzieć w Scion House. – St. Bride skrzywił się. – A ileż czasu zajęły mi te obowiązki od śmierci ojca! A tymczasem winienem był czuwać nad Mary. – Odstawił nagle szklankę. – Dobranoc, Labanie. Nie widzę powodu, żeby dłużej nad tym wszystkim deliberować.

– Nie ma powodu, skoro się w niej zakochałeś.

– Coś ty powiedział? – spytał gwałtownie St. Bride.

– To, co słyszałeś.

Nagle St. Bride zaczął się śmiać.

– Jesteś w błędzie, Labanie. Nawet nie wiesz, w jak strasznym błędzie. – Wstał, lecz nim opuścił loggię, przez długą chwilę patrzył na drzwi sypialni Kayleigh. Potem westchnął ciężko, odwrócił się i poszedł do siebie.

Kayleigh spędziła następny ranek, pomagając Colette w warzeniu łoju na świece. Knoty wisiały już gotowe na oparciach krzeseł, lecz wytapia- nie łoju miało zająć im co najmniej dwa dni. Stanie cały dzień nad wrzą- cym kotłem było isticie piekielną robotą. Obydwie zdjęły chustki okrywa- jące piersi i rozluźniły staniki na tyle, na ile pozwalała obyczajność, aby tylko trochę się ochłodzić. Koło południa nie mogły już dłużej wytrzy- mać panującego w kuchni żaru i zrobiły sobie przerwę. Colette została w pobliżu kuchni, żeby dopilnować, by łoź nie zastygł, a Kayleigh wresz- cie znalazła pretekst, żeby się stamtąd oddalić: pobiegła do swego poko- ju po chustkę.

Pospiesznie okryła nią dekolt aż pod samą szyję. Wyglądała trochę dziwnie, lecz za nic nie chciała, by Malcolm Quinn dostrzegł naszyjnik St. Bride'a, zwłaszcza że nie mogłaby go zdjąć. Wzdrygnęła się na samą myśl o tym.

Rozejrzała się po salonie, szukając St. Bride'a. Nie było go. Może obserwował ją z ukrycia? Odrzuciła jednak podobną możliwość. Ta sprzy- jająca jej zamysłom godzina wolności wydała jej się co prawda podej- rzana, ale nie miała wyboru. Musiała spotkać się dziś z Quinnem, obo- jętnie, w jaki sposób. Z pewnością jego cierpliwość była na wyczerpaniu. Z tą myślą i garścią monet zabranych z komody St. Bride'a, Kayleigh poszła na skraj moczarów.

Mimo że nie padał deszcz, wisiała ciężka, wilgotna mgła. Kayleigh czuła, że osiada jej kroplami na skórze i przenika przez suknię z szorst- kiego lnu. Przytrzymała rękami chustkę. Spojrzała w tył, ku domo- stwu. Belle Chasse spowita mgłą, sprawiała wrażenie, jakby unosiła się nad ziemią. Wokół domu nie było żywej duszy, tylko Grand-Louis błą- kał się po opustoszałym podwórzu, mamrocząc coś pod nosem. Jedyne z komina kuchni biła w górę smuga gęstego dymu.

Wolała iść skrajem moczarów. Nie wiedziała, czy Quinn tam będzie, czy nie. Odnalazła polanę nad zalewiskiem porośniętym woskownicą, lecz nigdzie nie było go widać. Musiała czekać. Z rezygnacją usiadła na pniu, ciągle osłaniając rękami szyję.

– Niech cię licho! Jutro powiem Straughtowi, gdzie się ukrywasz! – Malcolm Quinn przywiązał osiodlaną kobyłę do drzewa.

– Byłam chora. Nie mogłam przyjść. – Kayleigh wiedziała, że wy- gląda dostatecznie blado, by jej słowa brzmiały wiarygodnie. Quinn stał przed nią, a ona usiłowała stłumić drżenie rąk.

– Wynagródź mi ten zawód. – Quinn uśmiechnął się; koniec języka sterczał mu z rozwartych ust.

– Mam tu dla ciebie parę złotych monet. To wszystko, co mogłam ukraść. St. Bride zrobił się podejrzliwy.

Malcolm ze złością rzucił pieniądze na ziemię i zaczął po nich deptać.

– Na co mi te nędzne grosze?! – wychrypiał. – Kazałaś mi czekać całe trzy dni, a przynosisz tylko tyle?! Straught dowie się wszystkiego o tobie i jeszcze dziś wieczorem twoje białe gardziołko będzie tak samo czerwone, jak plecy twojej siostry!

Kayleigh odsunęła od siebie ten przerażający obraz. Nie, nie skończy tak, jak siostra!

– To wszystko, co mogłam wziąć. Dostaniesz coś lepszego następnym razem.

– Skoro ten zasraniec Ferringer nabrał podejrzeń, na nic mi się już nie przydasz. Nie będziesz miała czym płacić. – Przyciągnęła ją do siebie. Poczula obrzydliwy odór podobny do woni mokrej psiej sierści. Rzuciła się w tył.

– Precz ode mnie, nędzny kundlu!

– Ferringer mi nie straszny, Straught jeszcze tej nocy cię załatwi!

– Zapłacę ci, tylko zostaw mnie w spokoju. Powiedz, ile chcesz, a przyniosę rano wszystko, obiecuję. – Usiłowała go okpić. Ucieknie z Belle Chasse jeszcze tej nocy! Ani myśli tu zostać, skoro Straught depte jej po piętach!

– Skąd to weźmiesz? – Quinn zawahał się jednak, jakby nagle coś przyszło mu na myśl. A, już wiem, te cacka, które Straught dał Ferringerowi! O nich mówisz?

– Tak, przyniosę ci je! – skłamała, wiedząc doskonale, że nie ma do nich dostępu, bo St. Bride trzyma je pod kluczem.

– Ha! Ty nędzna, przebiegła suko, nie udało ci się nawet zwędzić mu szafiru wtedy w porcie! Wykradniesz mu te klejnoty, naprawdę? Ciekaw jestem, jak! Wcale mi się nie uśmiecha, żeby Ferringer i ten jego czarnuch podarowali mi je razem z kulką w brzuch!

– Przyniosę, co tylko zechcesz, ale nie mów nic Erathowi – błagała. – Rano wszystko dostaniesz, przysięgam!

– Obiecanki-cacanki. Na nic mi się już nie przydasz, jak widzę. Powiem o tobie Straughtowi, ale wcześniej chcę się trochę zabawić twoim kosztem!

– Jeśli mnie tkniesz, St. Bride cię zabije – usiłowała przemówić mu do rozumu. – Powiem mu wszystko! Przysiągł, że będzie mnie chronił!

– Cała się trzęsła. Gdybyż on tu był! Gdybyż tylko mogła mu całkowicie zaufać!

– O, nie dam ci sposobności! – Malcolm złapał ją obydwoma potężnymi rękami. Wydierała się z jego wstrętne uścisku, kiedy usiłował ją pocałować. W końcu jednak na wpół ją przyciągnął, na wpół przydźwigał w pobliże swego kościstego konia, mimo że rozpaczliwie usiłowała się od niego uwolnić. Odpychała od siebie jego kanciastą twarz, usiłując utrzymać ją w pewnej odległości od siebie, i drapała go do krwi paznokciami.

Szybko jednak zrozumiała, że zrobiła najgorzej, jak mogła. Podczas walki rozluźniła się jej chustka. Malcolm nieoczekiwanie przestał się z nią zmagać, a oczy prawie wyszły mu z orbit.

– A niechże cię! Cóż to takiego? – Sięgnął ku jej szyi i wyciągnął na wierzch srebrny naszyjnik. Wielki szafir kontrastował drastycznie z posepną scenerią moczarów. Quinn zamarł, Kayleigh również, lecz ze strachu.

– Tego się nie da zdjąć! Nie zedrzesz go ze mnie! – krzyknęła.

– Daj no mi to, dziewczyno. Może będę miał z ciebie większy pożytek, niż myślałem. Ferringer daje ci dużo lepsze świcidelka, niż śmiałem przypuszczać! – Pociągnął za naszyjnik.

– Mówiłam ci, że nie można go zdjąć! St. Bride odkrył, że mnie szantażujesz. Dał mi go specjalnie, żebym nie mogła stąd uciec!

– Zdejmuj mi to zaraz! – Quinn ponownie szarpnął za łańcuszek. Poczula dotkliwy ból w szyi i już sama nie wiedziała, kogo bardziej w tej chwili nienawidzi: czy Quinna za to, że był tak zachłannym, grubym jak beka brutalem, czy St. Bride’a, z którego przyczyny znalazła się teraz w niebezpieczeństwie.

– Nie da się go zdjąć, powtarzam! Czy jesteś aż tak tępy, że nie rozumiesz?! – krzyknęła bliska łez.

– Jeśli nie można go zdjąć zwykłym sposobem, to spróbuję innym. – Odepchnął ją i wyciągnął zza cholewy nóż.

– Nie! Nie! Dam ci coś innego! Nawet klejnoty Straughta! Znajdę sposób, żeby je ukraść. Wiesz przecież, że jestem sprytna. Dzięki temu przeżyłam.

– Przeżyłaś dzięki głupocie Bardolfa. Uciekłaś z nim do Luizjany, bo stary pijak miał miękkie serce i tyle! Twój spryt nic tu nie pomógł! – Quinn zbliżał się do niej z nożem. Na jego ostrzu niby zapowiedź śmierci błysnęło błękitne odbicie szafiru.

– Nie rób tego! Zgodzę się na wszystko, tylko tego nie rób!

– Kayleigh Kerr, piękna pani, zostaniesz moją kochanką? Naprawdę zgodzisz mi się oddać, jeśli cię oszczędzę? – Nie odpowiedziała. Quinn

ciągnął dalej: – Nigdy cię nie będę miał. Zabiłabyś mnie, nim zdążyłbym zacząć! Myślisz, że ci zapomniałem o, to? – Podciągnął brudną kamizelkę do góry i odsłonił czerwoną bliznę połyskującą na jego galaretowatym, białym brzuchu.

– Przecież zrobiłam tak przypadkiem.

– Ale wyciągnęłaś ten przeklęty nóż nieprzypadkowo, prawda? Sprawiał mi więcej bólu przy wyciąganiu niż przy wbiciu! – Quinn złapał ją za włosy, które rozplotły się podczas szarpaniny. – O nie, dziewucho, skończę wreszcie z tobą! Niezgorzej mi się opłaci posłanie cię na wieczny spoczynek! Wsadzę sobie to cacko Ferringera do buta! – Zamierzył się na nią nożem. Chciała krzyknąć, lecz z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk. Strach obezwładnił ją zupełnie. Wszystko dookoła jakby zamarło. Doznała wrażenia, że patrzy na akt mordu jako widz, a nie jego ofiara.

Kiedy jednak Quinn zamachnął się nożem, gdzieś z tyłu za nią huknął wystrzał z muszkietu. Patrzyła oniemiała, jak Quinn wali się na ziemię z czołem poczerniałym od prochu. Rozejrzała się wokół, nie pojmując, kto oddał śmiertelny strzał. Straught! – pomyślała bezsensownie. Widocznie śledził Quinna i wypatrzył ich na polanie! Morderczy zamiar Quinna wystawił ją na jeszcze gorsze niebezpieczeństwo! Erath za jednym zamachem pozbędzie się i Quinna, który go zdradził, i jej, bo stanowi dla niego śmiertelne zagrożenie.

Spostrzegła, że ołowiana kula trafiła Quina prosto w czoło. Nie chce tak wyglądać! – przebiegło jej przez myśl. W krzakach za nią coś się poruszyło. Na pewno stał tam Straught, ładując ponownie broń, żeby zastrzelić i ją. Nagle poczuła, że znów się może poruszać. Rzuciła się do ucieczki.

Czyjeś ręce schwyciły ją jednak tak mocno, jak grzęzawisko w jej koszmarnych snach. Kayleigh nienawidziła moczarów, a kiedy na nie uciekła, nic dobrego z tego dla niej nie wynikło. Wolałaby jednak najgorsze moczary niż te okropne, mordercze ręce i te lodowate oczy z odblaskiem piekieł.

– Laban, puść ją. – Gniewny głos rozległ się gdzieś z tyłu, a pod nią z ulgi ugięły się nogi. Był surowy i szorstki, ale też doskonale jej znany. Odwróciła się. Za nią, na skraju polany stał St. Bride.

– St. Bride... St. Bride... – jąkała słabo raz po raz, wciąż jeszcze nie wierząc, że to on zastrzelił Quinna. W jednej chwili znikła cała jej wrogość. Zapomniała, że budził w niej gniew, zapomniała o naszyjniku, o wątpliwościach co do jego charakteru. Instykt kazał jej biec prosto do niego. Wpadła w jego ramiona i zaczęła szlochać.

Z całej siły uczepliła się jego batystowej koszuli. Objął ją mocno i łagodnie pogładził po włosach.

– Cicho, cicho, moje kochanie – szepnął jej wprost do ucha. Wiedziała tylko jedno: ktoś jej nareszcie bronił.

Uspokoila się dopiero po dłuższej chwili. Stała, drżąca, nadal w jego ramionach, niezdolna wymówić słowa, niezdolna się poruszyć. Wciąż trwała uczeplona kurczowo koszuli, z policzkiem tuż przy jego piersi. Gładził ją po plecach, a ona wsłuchiwała się w mocne i spokojne bicie jego serca.

Musieli się w końcu oderwać od siebie. Z tyłu za nimi Laban dyskretnie zakaszłał. St. Bride niechętnie wypuścił ją z objęć.

– No chodź, moja miła. Wróćmy do domu. Musimy porozmawiać. – Otarł kciukiem jej ostatnie łzy.

– On... chciał... mnie... – Nie mogła dokończyć zdania.

– On już nie żyje. Upewniłem się o tym. Nigdy ci już nie zrobi nic złego. – Wskazał na nieruchomą kupę szmat, która kiedyś była Malcolmem Quinnem.

– Przepraszam, że pana okradałam – wyznała ze łzami. – Dwukrotnie ocalił mi pan życie, a ja okazałam się niewdzięcznicą. Ale wynagrodzę to panu.

– Powinnaś była przyjść do mnie, kiedy po raz pierwszy próbował ci grozić. Należało poprosić mnie o obronę. – Nie mówił tego tonem reprimendy.

– Niech mi pan wierzy, nie miałam wyboru! – Odwróciła od niego wzrok. Ciężar winy przygniatał ją. Jak bardzo pragnęła powiedzieć mu wszystko! Marzyła, żeby znów ją objął! Czy jednak nie wzgardzi nią za to, że z jej powodu będzie musiał zmienić swoje plany co do Straughta? Nie wiedziała też, jakie ma plany wobec niej samej.

Jej spojrzenie powędrowało ku trupowi Quinna i zatrzymało się tam na dłużej z niezdrową fascynacją. Stojący nad zwłokami Laban, również się w nie wpatrywał. Tylko St. Bride nie patrzył na nieruchome ciało, lecz wprost na nią.

– Powiedz mi, czemu nie miałaś wyboru? – spytał łagodnie.

– Szantażował mnie. Wcale nie chciałam pana okradać. Nie zasługuje pan na to – odezwała się w końcu.

– Wiem już, że cię szantażował, ale chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej. Opowiedz mi o śmierci Bardolfa. Kto go zabił i dlaczego? Spojrzała na niego, lecz nie powiedziała ani słowa.

– No dalej, Kayleigh, niechże raz usłyszysz prawdę. Powiedz mi ją teraz, a zapomnimy o przeszłości i zaczniemy nowe życie.

Spuściła oczy, patrząc na swoje dłonie ze skórą poobcieraną podczas szarpaniny z Quinnem. Dopiero po dłuższej chwili zdobyła się na odwagę i spojrzała St. Bride'owi w twarz. Kiedy to jednak zrobiła, ze zdumieniem dojrzała w jego oczach gniew.

– Idź do domu! Musimy się ubrać na bal u Thionville'a. – Wskazał ku Belle Chasse.

– Nie mogę pójść na bal – wyjaśniła, drżąc na samą myśl, kogo mogłaby tam spotkać.

Jej odpowiedź wzmogła gniew St. Bride'a.

– Powiedz mi, kto zabił Bardolfa, a pozwolę ci zostać w Belle Chasse przez całą noc!

Nie mogła tego zrobić. Milczała.

– Powiedz mi, Kayleigh. Powiedz teraz albo będziesz musiała pójść ze mną dzisiejszego wieczoru.

– Nie zabiłam go! Wie pan przecież. Czy to panu nie wystarczy?

– Mam na rękach krew człowieka i to z twojego powodu. Myślę więc, że powinienem wiedzieć, czemu musiałem go zabić. – Spojrzał na Quinna, potem przeniósł wzrok na nią. Nadal milczała.

– Dlaczego musiałem go zabić, Kayleigh?

Tym razem przemówiła. Ledwie dosłyszalnym głosem wyjąkała:

– Nie mogę panu powiedzieć. Nie teraz. Jeszcze nie teraz.

Tłumiony gniew St. Bride'a znalazł ujście w okrzyku:

– Precz mi stąd, do domu! Jazda, gotuj się na to, że staniesz twarzą w twarz z oprawcami!

– Po cóż było ratować mi życie? Żeby rzucić mnie wilkom na pożarcie?! Przecież to bal Thionville'a! Wie pan, że uważa mnie za morderczynię. Jak pan może żądać ode mnie czegoś podobnego?

– Po prostu pragnę znać kilka odpowiedzi, nawet gdybyś się ich śmiertelnie bała! – Ruszył ku niej, co wystarczyło, by rzuciła się w stronę domu.

Wbiegła, cała drżąca, na schody loggii i ukryła się w swoim pokoju. Co opętało St. Bride'a? Skąd wziął się jego irracjonalny gniew? Wydawał się jeszcze bardziej rozszalony niż wtedy, kiedy dał jej czerwony gorset. Cała następna godzina zeszła jej na daremnym łamaniu sobie głowy, co mogło go tak rozgniewać.

Nie wiedziała, że St. Bride i Laban zdołali podsłuchać tylko sam koniec jej rozmowy z Quinnem, kiedy ten powiedział coś, co wciąż jeszcze rozbrzmiewało echem w myślach St. Bride'a: „Uciekłaś z nim do Luizjany, bo stary pijak miał miękkie serce”.

Lało jak z cebra, dzień ciągnął się bez końca. Kayleigh krążyła po swoim pokoju, była bliska obłędu. Nie mogła zapomnieć ani o śmierci Quinna, ani o dziwnej reakcji St. Bride'a. Rozpaczliwie pragnęła pocieszenia, ale – jak uczyło ją doświadczenie – jedyną pociechę mogła czerpać od samej siebie.

Słyszała, jak St. Bride wrócił do domu, lecz poszedł od razu do swojej sypialni, żeby wykąpać się i odpowiednio ubrać na wieczorną maskaradę. Niedługo potem zjawiała się u niej Colette w towarzystwie Wenus i Walentyny, niosąc balię i nową suknię.

Kayleigh była tak znękana, że nawet nie dostrzegła sukni, którą Colette rozłożyła na łóżku, niczym strój panny młodej.

Uszyto ją ze śnieżnobiałego adamaszku, przód zdobity na szwach drobne falbanki, a gdy przyjrzała się jej uważniej, zobaczyła, że pokrywa ją deseń z liści winorośli i kwiatów. Oprócz niej dostała też odpowiednie dodatki: parę białych adamaszkowych pantofelków na wysokich, francuskich obcasach, aksamitną torebkę z paroma sztukami srebra, wachlarz z kości słoniowej z purpurową obwódką i domino z czarnego ałtasu.

Kayleigh z bezgranicznym zdumieniem podeszła do łóżka i wzięła w ręce domino. A więc miała pójść na bal u Thionville'a osłonięta jedynie skrawkiem czarnego jedwabiu! To było więcej, niż mogła znieść.

– Boże, on chyba nie zamierza zabrać mnie ze sobą? – szepnęła do siebie. Spojrzała nagle z zalem na Colette.

– Ależ ja nie chcę – urwała, widząc zaniepokojenie na twarzy Mulatki. – Mogę nie wrócić, jeśli tam pójdę... – zaczęła znowu, a potem już tylko bezsilnie patrzyła, jak przygotowują jej kąpiel.

– Mogę... mogę już nigdy nie wrócić. – Pozwoliła Colette rozsznurować sobie suknię. Nie chciała sprawiać jej kłopotów. Zrezygnowana, zdjęła lnianą suknię i weszła do balii. Wenus i Walentyna myły jej na zmianę plecy, a Colette – włosy. Po kąpeli włożyła koszulę i gorset, a bliźniaczki osuszały jej włosy, otworzywszy okiennice. Cesały ją, póki na fryzurze nie załśnił odblask światła. Wtedy zobaczyła, że zbliża się Colette z suknią.

– Dziękuję. Potrafię poradzić sobie sama.

– *Mais, mademoiselle...*

– Wiem, przysłał cię tu pan St. Bride, ale myślę, że całkiem niepotrzebnie. Już i tak zabrałam ci za dużo czasu. Wiem przecież, że wciąż

jeszcze wytapiasz łój na świecy i musisz pilnować go w kuchni. Proszę, pozwól mi się ubrać samej. – Energicznym ruchem wzięła od niej suknię i położyła ją z powrotem na łóżku.

– Możesz odejść, Colette. Sama się ubierze.

Głos rozległ się z tyłu. Kayleigh gwałtownie nabrała tchu, zakrywając piersi rękami. Osłonięta jedynie cienką koszulą i gorsetem czuła się prawie naga. Gdy odwróciła się ku drzwiom, zobaczyła ze strachem, że stoi w nich St. Bride.

Miał na sobie wspaniały strój; pończochy, spodnie i surdut były czarne jak węgiel. Jedyne jaśniejsze akcent stanowiła kamizelka ze srebrzystej tkaniny w barwne kwiaty. Promieniował siłą i elegancją. Gdyby Kayleigh marzyła o adoratorze, nie mogłaby wyobrazić sobie wspanialszego.

– Biegnij do kuchni, Colette. Laban pytał o ciebie – rzekł St. Bride, wchodząc do sypialni.

Mulatka rozpromieniła się i znikła, zabierając ze sobą bliźniaczki. Najwyraźniej bardzo jej ulżyło, że zostawia ich samych.

Gdy Kayleigh znalazła się w cztery oczy z St. Bride'em, który zdawał się przewiercać ją wzrokiem na wskroś, sięgnęła pośpiesznie po lnianną suknię, lecz gdy usiłowała ją włożyć na siebie, wyslizgnęła jej się z rąk.

– Masz inny strój na dzisiejszy wieczór. – St. Bride podszedł do łóżka i podał jej białą, jedwabną.

– Proszę nie kazać mi tam iść! – Przycisnęła ją do piersi, chcąc się osłonić przed jego jakże natarczywym spojrzeniem.

– Chcesz mi może coś powiedzieć?

– Nie – odparła niewinnie.

– No to się ubieraj. – Przy tych słowach St. Bride kopnął fotel spod ściany na środek pokoju, ustawił go starannie tuż przed nią i usiadł na nim, wyciągając przed siebie długie nogi. Skrzyżował ręce na piersi i czekał, aż się przed nim ugnie.

– Nie pójdę – rzekła wyzywająco.

– Nie pójdziesz? – Uniósł jedną z brwi.

– Nie! – powtórzyła stanowczym tonem.

Roześmiał się.

– Nie to nie. Dałbym głowę, że byłaś już bliska powiedzenia, co zaszło między tobą a Quinnem, nim stąd wyjdziemy.

– Dlaczego?

– Dlatego, że nie ruszę się stąd, póki nie wydobędę z ciebie wyznania – urwał na chwilę – albo póki ty nie będziesz gotowa pójść na bal.

Zachmurzyła się i przygryzła dolną wargę. Doprowadzał ją do wściekłości! Jakież to do niego podobne, żeby postawić ją w sytuacji bez wyjścia! Tylko że ona nie da się zmusić ani do wyznania, ani do włożenia sukni. Tym razem ona będzie górą, a on będzie musiał pójść na bal maskowy u Thionville'a bez niej.

– Lepiej niech pan zaraz wyjedzie. Do Nowego Orleanu stąd daleko. Może zacząć padać i spóźni się pan. – W jej oczach błysnęła tłumiona wrogość.

– Nie masz mi nic do powiedzenia?

– Nie.

– Dobrze. – Fotel zatrzeszczał, kiedy się z niego podniósł. Patrzyła zaskoczona, jak sięga po parę białych, jedwabnych pończoch leżących przy pantoflach. W jego mocnych dłoniach wyglądały niewiarygodnie zwiewnie i delikatnie.

– Co pan robi?

– Zamierzam cię ubrać. Spodziewałem się, że z własnej woli się tam nie wybierzesz. – Zbliżył się do niej.

– Nie zrobi pan czegoś podobnego! – Mocniej przycisnęła balową suknię.

Zatrzymał się.

– Masz mi coś do powiedzenia?

– Nie, ale nie chcę...

Objął ją mocno. Nim zdążyła krzyknąć, siedziała mu na kolanach. Biała suknia zsunęła się i leżała teraz u jej stóp. St. Bride pochylił się do przodu, ściskając jej biodra między swymi kolanami a piersią. Ujął z wielką siłą jej łydkę i mimo oporu zdołał na nią nasunąć pierwszą z pończoch. Odpychała go z całej siły, ale czuła, że naciąga pończochę na drugą nogę. Kiedy skończył, wsunął na każdą z nóg atlasową podwiązkę. Potem wyciągnął rękę po pantofle, przytrzymując jej biodro.

– Niech pan przestanie!

– Masz mi coś do powiedzenia? – Przerwał na chwilę ubieranie.

– Nie, nie, nie! Ty nędzniku!

Sięgnął po pantofle, które nałożył jej podobnie jak pończochy. Wtedy ją wreszcie puścił. Próbowwała ucieczki, lecz wysokie obcasy i niezapięte buty uniemożliwiły jej to. Ponownie wpadła prosto w jego objęcia. Zaniósł ją na łóżko i podniósł z ziemi suknię.

– Nie zrobi mi pan tego! – Ręka St. Bride'a ujęła obydwa jej nadgarstki niby stalowa obręcz. Przytrzymał jej dłonie nad głową i poczuła, że suknia osuwa się na nią niby biała chmura. Jęknęła ze złości, kiedy naciągał mocno stanik na jej piersi i siłą wepchnął ręce w rękawy.

– Ucieknę! Jak tylko dojedziemy do Nowego Orleanu, ucieknę i nigdy mnie pan już nie znajdzie! – odgrażała się, gdy posunął się w swoim zuchwałstwie aż do zasznurowania stanika. Kiedy przyszło do haftek na piersiach, jego palce zaczęły poruszać się z dziwną powolnością. Nie mogła dłużej tego znieść. Odepchnęła go i sama zapięła resztę.

– Uczeszesz się sama czy chcesz, żebym teraz nałożył ci domino? – spytał, nie zważając na jej ponurą minę.

– Mogę zrobić całą resztę, ale niech pan lepiej zawoła tu Colette – odparła z fałszywą uprzejmością.

– Jeżeli zmieniłaś zdanie, moja miła, to czemu nie powiesz mi o sobie i o Quinnie? Wtedy obydwójce zostalibyśmy tu na noc.

– Nie. Raczej pójdę na bal.

– Co? – spojrzał na nią zdumiony.

– Raczej pójdę na bal u Thionville’a.

Ujęła leżący na łóżku wachlarz i trzepnęła nim lekko w drugą dłoń.

– Oszałałaś.

– Nie wierzę w te pana pogrózki. – Uśmiechnęła się, ale ze zwężonymi oczami.

– Doprawdy? – zacisnął ze złością usta.

– Przecież wcale pan nie chce, żeby mnie powiesili. Zwłaszcza że...

Przerwał jej zirytowany:

– Nikt cię nie powiesi, moje ty śliczności, ale na bal pójdziesz.

Rzuciła mu spojrzenie, które mogłoby zmrozić każdego innego mężczyznę, lecz St. Bride tylko się uśmiechnął. Odgarnął zwichrzone włosy z jej policzka i pocałował ją lekko.

– Powinnaś wiedzieć o mnie jedno, moja miła – szepnął. – Ja nigdy nie rzucam słów na wiatr. – To rzekłszy wyszedł pośpiesznie, rzucając polecenie: – Niech Colette skończy cię ubierać. Masz dziesięć minut. – Zatrzasnął za sobą drzwi.

Colette wróciła razem z Wenus i Walentyną. Uczesała ją gładko, z jednym puklem spływającym na pierś. Wyjęła z etui złote klamerki, a bliźniaczki ochoczo przytwierdziły je do pantofelków. Zrobiła kilka pierwszych, niepewnych kroków na wysokich obcasach. Podeszła z wdziękiem do łóżka po wyszywany srebrną nicią gorsecik. Zapięła go zręcznie, kończąc w ten sposób toaletę, pewna, że żadna ze szpilek się nie rozluźni i jej nie ukłuje.

– Czy nie zapomniałam o czymś? – spytała Wenus i Walentyny, które patrzyły na nią z takim podziwem, jakby była księżniczką z bajki.

– Jeszcze to, *mademoiselle* – Colette podała jej domino i wachlarz.

– Ach, oczywiście. – Kayleigh odwróciła się do bliźniaczek. Rozba-
wiła je, poruszając wachlarzem, tak jak ćwiczyła to z Morną całymi go-
dzinami. W tamtym życiu miała nadzieję czarować w ten sposób adora-
torów. Ta myśl zasmuciła ją trochę, lecz śmiech Wenus i Walentyny
przegnał jej melancholię. Odchyliła głowę do tyłu i roześmiała się ra-
zem z nimi.

– Wspaniale. Dziękuję ci, Colette. – St. Bride wszedł do sypialni,
jak zwykle bez uprzedzenia, spoglądając na Kayleigh i na dziewczynki.

– *Avec plaisir, monsieur*. Jakaż ona piękna! – Colette uśmiechnęła
się, milcząco nakazując bliźniaczkom pozbierać resztki pozostałe po
toaletcie.

– Poczekaj chwilę, Colette! – Kayleigh nagle podbiegła ku niej. Nie
wiedziała sama, co właściwie ma powiedzieć, ale czuła, że widzi ją, być
może, po raz ostatni. Przedtem była pewna, że St. Bride nie mówił po-
ważnie, lecz teraz poczuła nagle wątpliwości. Coś musi się wydarzyć tej
nocy. Mogła równie dobrze uciec, nim jeszcze powóz zawiezie ją do
pałacu Thionville’a, jak i zostać tam rozpoznaną przez kuzyna. Innymi
słowy, mogła już nigdy więcej nie ujrzeć Belle Chasse.

– Czy coś jeszcze, *mademoiselle*? – Colette odwróciła się, spoglą-
dając na nią.

– Nie, tylko że... no, cóż. Chciałam się z wami pożegnać i podzięko-
wać wam.

Colette uśmiechnęła się i wyszła, biorąc Wenus za rękę. Kayleigh
patrzyła za nią ze ściśniętym sercem. Gdy i Walentyna w ślad za nimi
wyszła na loggię, uśmiechnęła się do Kayleigh ujmująco i pomachała jej
na pożegnanie.

– Walentyno, ja... – Zrobiła krok w ich kierunku, żałując, że muszą
ją opuścić, lecz ręka, która objęła jej kibić, zatrzymała ją.

– Zobaczysz je jutro.

– Czy na pewno? – wyszeptwała.

– Owszem. Włóż swoje domino, a obiecuję ci, że tak się stanie. –
Spojrzał przenikliwie na jej zachmurzoną twarz.

– To okrutne z pana strony.

Ignorując oskarżenie, St. Bride podziwiał jej wygląd. Stała przed
nim nadaśana, a on patrzył na połysk jej skóry na tle adamaszku i na
czarne pukle, spływające jej na pierś. Najwyraźniej ten widok ogromnie
mu się spodobał, bo nie zawahał się przed wypowiedzeniem słów:

– Wyglądasz przepięknie, moje ciemnowłose kochanie. Wiedziałem
zresztą, że tak będzie. Tylko że, jak na ironię, biel okazuje się najodpo-
wiedniejszym dla ciebie kolorem.

– Moja matka zawsze ubierała się na biało. – Odwróciła się od niego, nie mogąc wymówić ani słowa więcej.

– Musiała być prawie tak śliczna, jak ty teraz. – Jego głos przeszedł w szept.

– Robi się późno. Jeśli mamy wyruszyć na spotkanie moich oprawców, to jedźmy już. – Zakłopotana jego względami, chciała zbiec po stopniach loggii, lecz ją zatrzymał.

– Czy podoba ci się suknia? Chciałbym, żebyś zawsze się tak ubierała.

– Czyją była własnością? – Zastanawiała się nad tym od chwili, kiedy ją ujrzała rozłożoną na łóżku. Nie mogła uwierzyć, by ten kosztowny, wyrafinowany strój uszyto na zlecenie St. Bride’a w tak krótkim czasie. Musiał więc kupić ją gotową. Zrozumiała to już w pierwszej chwili, kiedy ją przymierzyła. Była na nią za luźna w talii i odrobinę za ciasna w biuście.

– Obawiam się, że ma nie najlepszą przeszłość. – Otulił ją swoim czarnym płaszczem, musieli bowiem, choć na krótko, wyjść na deszcz, idąc do powozu.

– Czemu pan tak mówi? – spytała, niechętnie przyjmując jego troskliwość.

– Wolałbym ofiarować ci suknię szytą na miarę, ale stało się inaczej.

– Jakże jednak tak wspomniały strój znalazł się w pańskim posiadaniu?

– Kiedy ostatnim razem byłem w mieście, kupiłem ją, dosyć nierozważnie, od jednego z ludzi znad rzeki. – Spojrzał na nią z ukosa. – Człowiek ten, jeśli można go tak nazwać, powiedział mi, że to zapewne suknia z hiszpańskiego galeonu, który rozbił się u brzegów Florydy. Przypuszczał, że mogła stanowić cześć wyprawy panny młodej, którą statek wiozł z bogatym wianem.

– A co się z nim stało? Jakże temu człowiekowi dostała się taka suknia? – Nagle poczuła się nieswojo. Noszenie cudzych ubrań, zwłaszcza z podejrzaną przeszłością, wydało jej się czymś nieprzyjemnym i nie stosownym.

– Nie powiedziałem, że on spowodował rozbicie się galeonu. Powiedziałem tylko, że suknia znajdowała się na rozbitym statku. – St. Bride spojrzał na nią, żeby się upewnić, czy Kayleigh go rozumie.

Zrozumiała. Celowe powodowanie katastrof morskich było powszechną praktyką po obu stronach Atlantyku. W noszeniu takiej sukni było coś niegodnego. Bez wątplenia należała do młodej, pełnej marzeń kobiety, płynącej do narzeczonego po drugiej stronie oceanu. Ciągnęła

więc korzyści z podłego czynu, jakim było zwabienie statku w pułapkę, splądrowanie go i wyrznięcie pasażerów. Już na samą myśl o tym, zrobiło jej się mdło. Zapra gnęła zedrzeć ją z siebie i odmówić zgody na wyjazd z St. Bride'em, choćby z tego powodu.

– Chodźmy, Kayleigh. Nie możemy się spóźnić.

Spuściła oczy i rzekła buntowniczo.

– Nienawidzę tej sukni, St. Bride.

– Może i powinnaś. Ma złą przeszłość, dosyć podobną do twojej własnej – rzekł sucho, z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Obojętnie sprowadził ją ze schodów i pomógł wsiąść do powozu.

Jazda do Nowego Orleanu zajęła całe trzy godziny. Podejrzewała, że nie trwałyby tak długo, gdyby nie deszcz i błotnisty trakt, lecz musiała przyznać, iż cztery konie pędziły, co sił w nogach.

Spojrzała przez okienko na deszcz, który zdawał się tworzyć jedną złocistą zasłonę, gdyż oświetlały go latarnie powozu. Odkąd opuścili Belle Chasse, zamieniła ze St. Bride'em zaledwie parę słów. Zaczęła w końcu myśleć, że może wyjazd na bal u Thionville'a nie jest tak straszny, jak sądziła. Wracała w końcu do miasta i może uda się jej uciec, nim zdążą dotrzeć do pałacu.

Kiedy zbliżali się do ulic wiodących ku portowi, zmarszczyła lekko brwi. Może pieniędzmi za złote klamerki do pantofli dałoby się opłacić podróż do Edynburga? St. Bride siedział w ciemnym kącie, spoglądając na nią nieufnie.

Te badawcze spojrzenia wyprowadzały ją z równowagi. Nie potrafiłaby zapewne uciec podczas deszczu, nawet gdyby udało jej się wyslizgnąć z powozu. Nie wiedziała też, dokąd miałyby pójść. Czy powrót do starej lepianki był bezpieczny? Osądziła, że nie. Jej ręka powędrowała odruchowo ku szyi. Dotknęła łańcuszka z szafirem i uświadomiła sobie że ludzie znad rzeki byli zachłanni i bez wątpienia naszyjnik od St. Bride'a oraz nagroda obiecana przez Thionville'a stanowiłyby dla nich nie lada gratkę. Chciała jednak uciec z powozu, obojętnie jak. Nie pójdzie na ten bal i już! Wyciągnęła dłoń ku drzwiczkom. Musiałaby jedynie ukryć się jakoś w porcie i to wszystko. Spędziłaby jedną czy dwie noce na nadbrzeżu, a potem opuściłaby Nowy Orlean na zawsze.

Zbliżali się już do miasta. Ujrzała w oddali długą linię, będącą zapewne kanałem. Spojrzała dyskretnie na St. Bride'a. Jak przystojnie wyglądał tego wieczoru! Nareszcie porządnie się ogolił, co podkreślało jego regularne rysy. Kiedy odwrócił głowę, ujrzała godny Apolla profil. Nawet gdyby nie nosił takiego stroju, przyciągałyby ją jego pięknie wykrojone usta, które, jak zawsze, powodowały szybsze bicie jej serca.

Kayleigh, zła na siebie za te jałowe refleksje, powróciła myślami do ucieczki. Chciała wyskoczyć na zewnątrz, gdy tylko zbliżą się do nadbrzeży.

Nie była pewna, czy St. Bride zechce ją ścigać. Raczej w to wątpiła, zważywszy pogodę. Może jednak zrobiłby tak z powodu adamszkowej sukni? Na pewno musiała go sporo kosztować. Och, będzie przecież musiał pójść na bal, pomyślała w końcu. Nie wyobrażała sobie, żeby mógł z tego zrezygnować. Uwolni się od niego w chwilę po tym, jak jej adamszkowe pantofelki wdepną w pierwszą błotnistą kałużę. Z tą smętną myślą owinęła się szczelniej w płaszcz St. Bride'a i czekała na sprzyjający moment.

Powóz pędził teraz nadbrzeżem w stronę Placu Broni i pałacu Thionville'a. Jechali najbardziej uczęszczanym, porytym koleinami szlakiem miasta, trząśł więc niemiłosiernie. Kayleigh została nagle rzucona na St. Bride'a.

Poczuła, że objął mocno jej ramiona, lecz z niezadowoleniem usiłowała powrócić na dawne miejsce, głowiąc się, czemu tkwiło w nim coś, co zawsze musiało stawać jej na przeszkodzie. Ciągle czuła ciepło w miejscu, gdzie spoczęła jego ręka, i nie potrafiła jej odsunąć. W dodatku rosło w niej nieoczekiwane pragnienie, żeby objął ją jeszcze mocniej, zapragnęła, przytulić się do niego i znaleźć w jego objęciach. Chciała, żeby ją pocieszył i ochronił. Żeby ją zapewnił, że przyszłość nie rysuje się wcale tak ponuro, jak jej się zdawało.

Kiedy jednak nadbrzeże zamajaczyło za zalanym deszczem okienkiem, otrząsnęła się z tych rojeń. Nigdy się tak nie stanie. St. Bride był człowiekiem bez serca i przez cały wieczór nękał ją tym nieznośnym balem. Z taką myślą sięgnęła chyłkiem ku klamce drzwiczek. Już za parę sekund zakosztuje wolności.

Klamka z kości słoniowej chłodziła jej dłoń. Deszcz bębnił o szybę, lecz zamknęła oczy, siłąc się, żeby go nie widzieć. Zapewniała samą siebie, że poczuje się lepiej, kiedy wreszcie ucieknie. Nacisnęła nieznacznie klamkę i z napięciem wyczekiwała odpowiedniej chwili.

Nagle z wnętrza powozu wysunęło się błyskawicznie ramię, zatrzasnąjąc skrzypiące drzwiczki. Opadła na siedzenie. Jakby nie zdając sobie sprawy z tego, co się stało, znów sięgnęła ku drzwiom, lecz uścisk St. Bride'a na nadgarstku zmusił ją do cofnięcia ręki.

– Pałac Thionville'a wcale nie stoi przy nadbrzeżu – odezwał się jakby od niechcienia. Potem puścił ją i ponownie opadł na wyściełane siedzenie.

– Nie pójdę na ten bal!

– Pójdiesz, pójdiesz – odparł zimno.

– Za nic! – Znów przysunęła się bliżej drzwiczek, lecz wciągnęła ją głębiej do wnętrza powozu.

– Dokąd masz zamiar wybrać się dzisiaj wieczoru, moja miła?

– Zdarł z niej czarne atłasowe domino. – I dokąd pójdiesz bez tego okrycia? Myślisz, że tylko hrabia cię szuka?

Milczała. Był niegodziwcem.

– Ogłoszenie wywieszono na kościelnych drzwiach. Wiem, że ludzie znad rzeki są nieuczni, lecz z pewnością znajdzie się wśród nich jeden czy dwóch zdolnych odcyfrować słowa „zamordowany” i „ostrzeżę się”. – Pokiwał głową, jakby go te wyrazy niezmiernie brzydziły.

To był, doprawdy, okropny wieczór. Najpierw atak Quinna, potem indagacja St. Bride’a, kiedy ją już przed nim uratował, a teraz bal hrabiego. Nerwy miała napięte do ostateczności. Nie wiedziała, jak zdoła wytrzymać na balu, obojętne, maskowym czy nie. Myśl, że może zetknąć się tam z kuzynem, przejmowała ją zgrozą.

– Ach, jesteśmy na miejscu. – Powóz stanął gwałtownie. Kayleigh rozpaczliwie szukała możliwości ucieczki, lecz wszystko odbyło się z błyskawiczną szybkością. St. Bride ponownie osłonił ją odebranim wcześniej dominem, ucałował lekko jej zdrętwiałe wargi i nim zdołała zaprotestować, poprowadził z karety do pałacu. Cofnęła się, kiedy wchodzili w jedno z licznych francuskich drzwi smaganej deszczem galerii, lecz trzymał ją mocno w talii, a jeszcze mocniej za ramię.

Kiedy weszli do wnętrza, doznała wrażenia, że znów jest na jednym z wiosennych festynów w Mhor. Tuż przed nią Persefona w skąpym drapowanym stroju tańczyła w najlepsze z papieżem Leonem X, król Henryk VIII popijał wino w towarzystwie włoskich trefnisiów w różowo-pomarańczowych szatach, a zielony smok gonił piersiastą służącą, zmuszając ją w końcu do schronienia się w przyległym gabinecie. Było to rozpasane pandemonium i Kayleigh mogła jedynie zamknąć oczy. Z całego serca pragnęła stąd uciec, lecz nie miała jak. Znalazła się na balu u hrabiego de Cassell.



– Zjawił się właśnie St. Bride – szepnął do Straughta Thionville przebrany za Machiavellego.

– Gdzie on jest? Chciałbym z nim pomówić. – Erath rozglądał się po sali. Zauważył wreszcie gościa przy południowych drzwiach, lecz zeszytniał, widząc, że St. Bride jest w towarzystwie zamaskowanej czarnowłosej dziewczyny. – Co to za jedna?

– Ach, niewątpliwie Colette – odparł hrabia z westchnieniem.

– Colette? – spytał Straught podejrzliwie.

– Tak... jakże ja za nią tęsknię! Cała moja nadzieja w tym, że St. Bride się nią znudzi. Widziałem ją bez maski. Ma twarz, której żaden mężczyzna się nie oprze. *Elle est angelique*, ale sama niezbyt przypomina aniołka. Pojmujesz, co mam na myśli?

– Najzupełniej – odparł ponuro Straught, niezdolny oderwać oczu od nowo przybyłej. – Niech lokaj zanieś mu wiadomość ode mnie. Koniecznie chcę z nim pomówić o Quinnie.

– Co się stało z Malcolmem, Erath?

– Zniknął bez śladu. Kazałem go szukać lokajom, ale przepadł gdzieś. Poszedłem nawet sam do stajen, gdzie mieszka, ale zastałem zamknięte drzwi i nikt nie odpowiadał na stukanie.

– Może spotkał jakąś *jeune fille*? – Hrabia uśmiechnął się lubieżnie.

– Nie, coś mu się musiało stać. Quinn wie, że drogo by mu przyszło zapłacić za spóźnienie. No, niechże pan wyśle tego lokaja. Muszę pogadać z St. Bride'em i przekonać się, czy czegoś nie wie.

– Oczywiście. – Hrabia strzelił palcami i natychmiast podbiegł do nich młody lokajczyk. Thionville wydał polecenie, wskazując górującego nad tłumem gości St. Bride'a, a potem spytał Straughta: – Czemu chce pan z nim rozmawiać dopiero po balu? Myślałem, że...

– Może pan sobie myśleć, co chce – parsknął pogardliwie jego rozmówca. – Jeśli pan w ogóle myśli!

– Skąd ta złość? Co się stało? Nic nie pojmuję! – Oniemiały hrabia patrzył w ślad za nim.

– Mój Boże – wyjąkał w końcu i wziął od przechodzącego lokaja kolejną szklaneczkę – nawet mi nie pogratulował wyboru kostiumu! – Prychnął gniewnie, a potem wychylił szampana do samego dna.



Kayleigh z napięciem tańczyła menueta, stąpając zręcznie w tańcu o trójdzielnym takcie. Wiedziała, że zaskoczy St. Bride'a swoimi umiejętnościami, lecz on najwyraźniej wolał odłożyć pytania na później. Klasnęła w ręce, a potem wykonała obrót, cały czas rozglądając się pilnie, czy nie widać gdzieś kuzyna.

Jeśli jednak Erath Kerr Straught był tutaj, to skrywał się pod jedną z masek. Czy przebrał się za dzikiego Indianina? A może za króla z dynastii Burbonów? Nagle podпиты nieco Pegaz ruszył ku niej chwiejnym krokiem i Kayleigh niespodziewanie dla siebie samej kurczowo chwyciła St. Bride'a za rękaw, prosząc bez słów, żeby wyszli z roztańczonego tłumu.

– Co się stało? – Podprowadził ją do jednej z wyściełanych ławeczek pod ścianą.

– Nie podoba mi się tu. Czy nie moglibyśmy już pójść? – Z lękiem splatała i rozplatała palce.

– Mamy wracać do Belle Chasse? – spytał ironicznie. – Przecież bal dopiero się rozpoczął, moja miła. Nie możemy wychodzić przed zdjęciem masek o północy.

– Zdjęcie masek! – Zerwała się przerażona, lecz on trzymał ją mocno za rękę.

– A więc chcesz wyjść wcześniej? W porządku. Wy tłumacz mi tylko, dlaczego!

– Nie będę się z niczego panu spowiadać. – Nerwowym ruchem rozłożyła wachlarz i zaczęła nim poruszać.

– Tylko twoja spowiedź mogłaby mnie zmusić do wyjścia stąd. – Podejrzliwie powiódł wzrokiem po ożywionym tłumie, lecz po chwili znowu skupił uwagę na niej. Niespodziewanie uśmiechnął się.

– Nie dziwisz się chyba, że zabrałbym cię stąd z największą niechęcią. Wszyscy mężczyźni na sali głowią się, kim jesteś i czy naprawdę okażesz się tak piękna, jak sobie wyobrażają.

– Jak pan może mówić coś podobnego? – odsunęła jego rękę. Czy Straught też był między nimi? Spojrzała spod czarnego domina na St. Bride'a, nie umiając ukryć przerażenia.

– Czy muszę ci odpowiadać na to pytanie, czy też udajesz tylko przede mną cnotkę, Kayleigh? – Przeciągnął palcem po jej gładkim policzku.

– Nie potrafię być kokietką. – Przymknęła oczy, kiedy znów pogładził ją po policzku.

– Trzeba ci tylko trochę wprawy. Czy wiesz, że wspaniale tańczysz menueta?

Otwierała właśnie usta, żeby temu zaprzeczyć, kiedy przerwał im znajomy głos.

– Czy w Georgii panuje zwyczaj zabierania służących na bale?

Zaskoczona spojrzała w górę i spostrzegła przed sobą lady Katarzynę. Chociaż córka hrabiego nosiła wspaniałą maskę z piór cyranki, nie można się było pomylić. Jej zielone oczy zdawały się przewiercać Kayleigh na wylot.

– Lady Katarzyno, zdradza pani swoją tożsamość. Myślałem, że poczeka pani z tym do północy. – St. Bride potarł dłonią podbródek, lecz Kayleigh zrozumiała, że chciał tylko zasłonić nią uśmiech.

– Pan za to nie ukrywa jej wcale, przychodząc tu bez kostiumu! – dąsała się.

– Tak. Maski zostawiam tym, którzy mają coś do ukrycia. Jakież jest pani sekret, lady Katarzyno? Co pani chce przed nami skrywać?

– Powiem to panu, ale tylko w cztery oczy. – Lady Katarzyna spojrzała najpierw na Kayleigh, a potem na niego. – A jeśli już mowa o sekretach, co ma do ukrycia pańska towarzyszka? Ale widzę, że przynajmniej ona nie łamie ostentacyjnie zwyczajów, skoro nałożyła maskę.

– Nawet i bez niej jest osobą dostatecznie tajemniczą. – St. Bride spojrzął znacząco na Kayleigh.

Podczas tej wymiany zdań lady Katarzyna zdawała się kipieć ze złości. W końcu oznajmiła:

– Nie przyszedł tu, żeby o niej rozmawiać, St. Bride. Lokaj miał panu przekazać wiadomość od Eratha. Wołałam zrobić to osobiście.

– Co to za wiadomość? Nie widzę tu Straughta. Za kogo się przebrał?

– Dowie się pan i tego, i więcej, jeśli pójdzie pan ze mną.

– Co to ma znaczyć, lady Katarzyno? – St. Bride wstał zirytowany. – Przecież może mi pani powiedzieć wszystko tutaj! – Podkreślił dobitnie każde wypowiedziane słowo.

– Nie chcę. No więc jak? Pozwoli mi pan przekazać sobie wiadomość, czy też zostanie pan tu ze swoją służącą, nie dowiadując się niczego? – Jeszcze raz z pogardą spojrzała na Kayleigh, jakby chcąc dać do zrozumienia, że właśnie ona jest przyczyną niedogodności.

St. Bride był wściekły, lecz Kayleigh dostrzegła też, że wyraźnie zależy mu na wiadomości od Straughta. Modliła się w duchu, żeby ją zostawił, a jednak poczuła żal, gdy odwrócił się od niej ze słowami:

– Muszę na chwilę odejść, siedź tutaj spokojnie i nie odzywaj się do nikogo. Obiecuję, że wrócę niedługo.

– Niech pan mnie nie zostawia! – Nieoczekiwanie dla siebie samej chwyciła go oburącz za dłoń.

Wyswobodził się niechętnie z jej uścisku.

– To nie potrwa długo. Nic ci się tu nie stanie dzisiejszej nocy.

– Nie... St. Bride... nie...! – wołała za nim, ale na próżno. Razem z lady Katarzyną, zniknął wśród barwnie odzianej ciżby.

Lękała się teraz jeszcze bardziej niż przedtem, a tłum, który od początku budził w niej niechęć, nagle wydał jej się jeszcze bardziej pstrokaty i bardziej pijany. W tłoku dostrzegła Thionville'a, tańczącego chwiejnie z dziewczyną o dobre dwadzieścia lat od niego młodszą. Hrabia pocił się obficie pod aksamitnym włoskim kostiumem.

Kayleigh odwróciła się i tuż przed sobą ujrzała szkaradnego błazna. Odskoczyła ze strachem i dopiero po chwili zrozumiała, że patrzy na

maskę z masy papierowej, która zasłaniała prawdziwą twarz. Nie pocieszyło jej to zbyt, podobnie jak nie ułagodził jej starganych nerwów dźwięk dzwoneczków przyczepionych do zakrzywionych nosków jego pantofli.

– Czego pan chce ode mnie? – szepnęła z rozpaczą, kiedy podszedł bliżej. Może to jej kuzyn? Nie miała jednak pewności. Nagle zaczął pikliwym głosem deklamować pozbawioną wszelkiego sensu rymowanąkę:

Deszcz nie pada, księżyc w pełni,

Opętałaś mnie zupełnie.

Mego serca tyś królowa!

Czy chcesz błazna pocałować?

Przysunął swoją groteskową maskę do samej twarzy Kayleigh, tak że musiała cofnąć się przed nim. Nie wiedziała kim jest, lecz wraz z każdą kolejną sylabą niedorzecznego wierszyka czuła, że boi się coraz bardziej i ciarki zaczynają przebiegać jej po plecach.

Och, nie odchódź! To nie koniec.

Zaraz się przed tobą skłonię.

Chcę miłości! Czy królowa

Pragnie błazna pocałować?

Błazen próbował gonić ją w roztańczonym tłumie, ale ona była szybsza. Zdołała zgubić go koło jadalni, gdzie sięgnęła po kieliszek szampa, w nadziei, że po winie przestaną jej drżeć ręce. Za wszelką cenę chciała odnaleźć St. Bride'a, którego obecność zapewne zniechęciłaby szalonego trefnisia do pościgu za nią. Wiedziała jednak, że to niemożliwe, bo mogłaby zabrnąć w jakiś oddalony zakątek pałacu, a wówczas...

Odwróciła się gwałtownie, wyczuwając za sobą czyjaś obecność.

Życie złe jest i niedługie,

Tamtą mam, lecz pragnę drugiej.

Niech osądzi więc królowa,

Czy chce błazna pocałować!

– Proszę odejść! Odejść! – Ze strachu upuściła kryształowy kieliszek, lecz upadł bezgłośnie na dywan. Patrzyła, jak błazen zbliża się do niej coraz bardziej, aż wreszcie mogła dokładnie dostrzec każdą zmarszczkę papieru na jego przytrzymywanej dłonią masce. Modliła się w duchu, żeby ją odjął, żeby wreszcie ujrzała twarz, lecz daremnie. Podchodził wciąż bliżej i bliżej, póki nie rzuciła się do panicznej ucieczki.

Przebiegła pędem przez jadalnię, nie zważając na zdumione spojrzenia służby, i wpadła z powrotem do wielkiej sali, gdzie bal trwał w najlepsze. Przepychała się przez tłum rozochoconych tancerzy, rozpaczliwie pragnąc znaleźć się na galerii.

Dopiero po dłuższej chwili zdołała swobodnie odetchnąć. Zupełnie jak w wierszu błazna, deszcz ustał i świecił księżyc w pełni. Rozejrzała się wokoło w jego blasku, chcąc upewnić się, czy nikogo tu nie ma. Z ulgą stwierdziła, że jest sama.

Wsparała się o żłobkowaną kolumnę i zaczęła gorączkowo myśleć, co teraz robić. Mogła odnaleźć St. Bride'a. On by wszystkiemu zaradził. Nie zastanawiając się, czemu pragnie jego ochrony i, co jeszcze dziwniejsze, bez cienia wątpliwości, że St. Bride jej udzieli, zamierzała ruszyć na jego poszukiwanie.

Wtedy znów usłyszała dzwoneczki.

Zdawało się jej, że ich dźwięk rozbrzmiewa z tyłu za nią, lecz kiedy się odwróciła, nie ujrzała tam nikogo. Ani błazna w pantoflach z dzwonkami na czubku, ani żadnego innego ścigającego ją szaleńca. Drząc na całym ciele, przyłgnęła do kolumny i spojrzała w drugi koniec galerii. Tam również nic nie dostrzegła. Była zupełnie sama.

Rzecz w tym jednak, czy królowa

Zechce błazna pocałować?

Zduśliła w sobie krzyk i obejrzała się ponownie. Tym razem zobaczyła błazna tuż koło siebie. W mroku jego maska wyglądała jeszcze bardziej złowrogo niż w świetle. Podchodził coraz bliżej, a jej nogi wrosły w ziemię ze strachu.

– Kayleigh – szepnął ledwo dosłyszalnie.

– Nie! Nie! To nie ty! – powtarzała, gdy opuścił maskę. Stała jednak twarzą w twarz z kuzynem.

– Jak widzisz, Kayleigh, nie możemy się rozłączyć. Jesteśmy sobie przeznaczeni.

– Nie! Nieprawda! – krzyknęła, odstępując ku tyłowi.

– Właśnie że tak. Zdołałaś omotać mego przyjaciela St. Bride'a, ale ja już sprawię, żeby mi cię oddał! Jesteś moja! Jesteś mi przeznaczona! A więc zostań moją, Kayleigh. No, chodź tu. Bądź moją. – Wyciągnął ku niej rękę, lecz ona wcale nie chciała dać się złapać. W dzikim strachu zaczęła mu umykać wśród kolumn, kierując się ku drzwiom werandy. W galerii było jednak wiele drzwi, a ona bała się wpaść do jakiegoś pustego pokoju, gdzie dopadłby ją kuzyn. Przerazona pobiegła ponownie ku sali balowej i wmięsała się w tłum tancerzy, chcąc dobrać do drzwi wiodących na ulicę.

Nie było po co szukać St. Bride'a. Nie miała na to czasu, nie wiedziała też, jak zareagowałby na obecność jej kuzyna. Skoczyła ku drzwiom, ale źle obliczyła odległość i zderzyła się z wysoką kobietą w obszernym cynobrowym stroju.

Upadła na ziemię, a kobieta zdołała co prawda utrzymać równowagę, lecz strój ześlizgnął się jej z ramion i kilka metrów lśniącego czerwonego aksamitu przykryło Kayleigh. Musiała jak najprędzej wstać i uciekać! W dodatku cała scena, jak na złość, zwróciła powszechną uwagę. Kayleigh usiłowała się podnieść, rozglądając się lękliwie, czy nie ujrzy gdzieś kuzyna.

– Przepraszam panią – szepnęła i podała kobiecie zmięty kostium. Wtedy ze zgrozą dostrzegła Straughta przepychającego się ku niej przez tłum. Coś jednak przejęło ją jeszcze większym lękiem. W sali rozległ się nagle ostry kobiecy głos:

– Przecież to Kestrel!

– Kestrel! – wrzasnął inny głos.

– No jasne, to ona! Widziałam raz tę przeklętą złodziejkę na nabrzeżu!

– A mnie na targu ukradła sakiewkę!

– Łapać ją! Hrabia się nam odwdzięczy!

Przeżrana Kayleigh, cofała się ku drzwiom. Tłum tancerzy zamienił się naraz w rozwrzeszczaną gawiedź. Bała się, że nie puszczą jej, póki nie zawiśnie na szubienicy. Wodziła pełnymi łez oczami od jednej rozjuszonyj twarzy do drugiej. Nagle zobaczyła, że z gabinetu na sam środek sali balowej wybiega St. Bride.

– Nie uciekaj, Kayleigh!

Straught niemal jej dosięgał. Poczula się jak w potrzasku. Musiała uciekać. Wybiegła przez galerię od frontu. Chłód nocy owiał jej policzki. Choć mnóstwo głosów krzyczało, żeby się zatrzymała, nie przystanęła ani na chwilę. Któżby jej pomógł? Przecież nie morderca siostry i nie St. Bride, z którego winy znalazła się w tak okropnym położeniu.

Biegła teraz po bruku podwórza. Błoto obryzgało jej suknię, ale nie zważała na to. Chciała za wszelką cenę uciec jak najdalej od pałacu, od ścigającej ją zgrai, od Straughta.

Pędziła na oślep, szlochając. Nie wiedziała, gdzie ma się skierować, lecz była pewna jednego: nie może pozwolić, by Straught ja znalazł. Przemknęła przez pusty Plac Broni, a potem wzdłuż nabrzeża. Wpadła w kępę nadrzecznych wierzb i chciała wesprzeć się na jednej z nich, ale młode drzewko ugięło się pod jej ciężarem i złamało. Padła na ziemię. Nie dbała jednak ani o błoto, ani o mrok. Uczepiła się złamanej wierzby, płacząc żałośnie.

– Kayleigh! – zawołał z dala St. Bride. – Kayleigh – powtórzył szepem, kiedy już do niej dobiegł.

– Precz ode mnie! – krzyknęła, chowając się między gałęziami.

– Nie bój się. Nic ci nie zrobią. Nie pozwolę im. – Podszedł bliżej. Jego piękny strój zniszczył się całkowicie podczas pościgu po zabłoczonych ulicach.

– Boję się! Strasznie się boję! Niech mi pan nie każe tam wracać! – Uczepiła się kolejnej wierzy, lecz wnet poczuła, że objęły ją jego mocne ręce. Wtulona w jego kamizelkę zaczęła łkać jeszcze głośniej.

– Cóż za głupiec ze mnie – usłyszała zdumiona, że St. Bride oskarża siebie samego. Gładził ją po włosach, szepcząc: – Wybacz mi. Nie powinienem był cię zmuszać do przyjazdu tutaj. Należało się spodziewać czegoś podobnego.

– Chcę się znaleźć jak najdalej stąd! Chcę uciec! – płakała, przytulona do jego piersi.

– Zabiorę cię gdzie indziej jeszcze dziś. Przymkam. – Ciągłe gładził ją po głowie. W jego głosie zabrzmiało szczere przekonanie. – Obiecuję ci – przyrzekł. – Już nigdy więcej nie spotka cię coś takiego, kochanie. Dzisiejszej nocy wyjeżdżamy do Georgii.

Część druga

*Wolf Island
w kolonii Georgia*

*Nigdy Cygan nie wypatrzył
Ręki, twarzy rysów gładszych.
Tu Wenus Saturna skłania,
Byś była Panią kochania.*

Ben Johnson *Cyganie przemienieni*

20

Potęga St. Bride'a wydawała się Kayleigh zadziwiająca. Zdolność do zapewnienia sobie w porcie statku jedynie dzięki odręcznie skreślonej notce nie należała do rzeczy zwyczajnych. No, ale w końcu, jak pomyślała, St. Bride Ferringer nie był kimś tuzinkowym. Nawet nieogolony i nieuparfumowany rozporządzał tajemniczą siłą zdolną w prawie każdym wzbudzić lęk. Nadskakiwał mu straszny Thionville i nawet tępy Quinn rozumiał, że lepiej omijać St. Bride'a z daleka.

Jak jednak jej kuzyn, Erath, postrzegał St. Bride'a? Kayleigh głowiła się nad tą kwestią, drżąc z zimna na pokładzie statku „Balcraig”. Czy patrzył na niego z podziwem, czy też z nienawiścią i strachem? Widząc, jak St. Bride wraca po rozmowie z kapitanem, posyłając jej uspokajający uśmiech, modliła się w duchu, żeby chodziło o to drugie. Straught już sam w sobie był przerażającym przeciwnikiem, lecz gdyby działał w zmowie z St. Bride'em, oznaczałoby to jej kres. St. Bride umiał powściągnąć gniew, jej kuzyn nie był do tego zdolny. Furia Straughta byłaby z kolei bezsilna wobec zemsty St. Bride'a. Była w nim jakaś dzikość, która budziła respekt nawet u bardzo silnych mężczyzn. Kayleigh wiedziała, że właśnie ta jego cecha fascynowała lady Katarzynę, ją zaś doprowadzała do rozpacz.

A teraz byli w drodze do Georgii i jechali na jego plantację. Kayleigh stała bez ruchu w poświacie księżyca. Parzyła na kandelabry wzdłuż Placu Broni, żegnając się w myślach z Mo Chridhe. Zasmucała ją rozłąka

z psotną kotką, którą musiała tu zostawić. Nie martwiła się jednak za- nadto. Cieszyła się, że jedzie do Georgii. Stamtąd będzie miała bliżej do Szkocji.

Odętwiiała i przytłoczona nadmiarem emocji patrzyła, jak światła Nowego Orleanu błędą za Missisipi. Powróciła w myślach do wcześniejszych wydarzeń tej nocy. „Balcraig” przybił do brzegu właśnie wtedy, gdy nadszedł powóz St. Bride’a. Ten szkocki statek kupiecki, podobnie jak wiele innych, przybił tu nielegalnie, żeby zaopatrzyć się w skóry niedźwiedzie i smołę przeznaczone dla Francji. Gdy powóz zatrzymał się tuż przy jego schodkach burtowych, załoga zareagowała na to z pewną nerwowością. Kiedy zaś St. Bride, okazał się kimś, kto ma władzę i pieniądze, niepokój wzrósł jeszcze bardziej.

Musimy stanowić osobliwą parę, pomyślała, czując na sobie wzrok kapitana. Błada, w zniszczonej, zabłoconej odzieży, weszła po trapie podtrzymywana przez idącego z tyłu St. Bride’a.

Choć była już północ, St. Bride wyciągnął jakieś tajemnicze dokumenty pisane na welinie. Zdenerwowany kapitan Buckley wyraźnie się odprężył, widząc, że nie ma do czynienia z urzędnikiem władz miejskich, lecz mina mu zrzedła, kiedy St. Bride zażądał natychmiastowego podniesienia kotwicy.

Narzekał gorzko, że kilku ludzi nieświadomych pospiesznego od- płynięcia statku zostanie w Nowym Orleanie. St. Bride okazał się jednak nieprzejednany; rzekł tylko, że i kapitan, i jego ludzie otrzymają sowite wynagrodzenie za wszelkie niedogodności. Kapitan w końcu usłuchał. Kayleigh spodziewała się tego, lecz wciąż jeszcze spoglądała pytająco na St. Bride’a.

Ten jednak nie zamierzał jej nic wyjaśniać. Otulił ją za to swoim jedwabnym płaszczem, choć letnia noc nie była chłodna. Gdy księżyc wyjrzał zza chmur, jego blask odbił się w naszyjniku. Kayleigh owinęła ciasno płaszcz wokół szyi, wciągając znajomy zapach; spostrzegła już, jak zachłannym wzrokiem spoglądali na nią ludzie z załogi, gdy wraz z St. Bride’em przechadzała się po pokładzie. Była więc rada, że marynarze nie będą mieli więcej sposobności, by ocenić wartość szafiru. St. Bride spojrzął na nich groźnie i ostrzegawczo, a kapitan wydał rozkaz rozwinięcia żagli. Kiedy na niebie zabłyśły gwiazdy, „Balcraig” wypłynął w morze.

Gdy odbijali od brzegu, stała przy balustradzie, czując się tak wy- czerpana, jak jeszcze nigdy w życiu. Po minięciu błotnistych wód Missisipi poczuła radość. Wreszcie porzucała tę ziemię! Postanowiła nieodwo- łalnie, że niezależnie od tego, co jej przyniesie przyszłość, nigdy tutaj nie wróci.

Tak głęboko pograżyła się w myślach, że ledwie poczuła, jak ręka St. Bride'a objęła ją w pasie. Była zbyt poruszona, by spać, a St. Bride wydawał się zadowolony, że może stać przy niej pośród ciszy nocnej. Widzieli z dala ciemną smugę moczarów i szarawy piasek wybrzeża. Kiedy przepływali koło English Turn, St. Bride odezwał się:

– Kazalem przygotować nam kabiny. Podróż potrwa kilka tygodni.

– Wiem – rzekła po chwili.

Dotknęła palcami naszyjnik. We wzroku St. Bride'a dostrzegła poczucie winy.

– Obiecałem zabrać cię stąd i tak właśnie zrobiłem. Muszę jednak uprzedzić cię, że nie mogę zostać z tobą w Georgii na dłużej. Muszę zaraz wrócić do Belle Chasse. Sama rozumiesz... maki.

– No i pan Straught, jak przypuszczam. – Nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy.

– Tak, Straught przede wszystkim. – Oczy St. Bride'a rozbłysły. – To jednak w niczym ciebie nie dotyczy. Jak tylko w sierpniu skończą się nasze wspólne interesy, powrócę do Wolf Island.

– Czy tak zwie się pana dom? – Siliła się, by jej pytanie zabrzmiało niefrasobliwie, lecz była zanadto znękana. Głos jej się załamał. Kiedy St. Bride nie odpowiadał, ciągnęła dalej: – Wolf Island. To brzmi raczej groźnie. Bardzo odpowiednia nazwa.

– Kayleigh, już prawie świta. Miałaś ciężką noc. Myślę, że powinniśmy się położyć i przespać.

– W której kabinie mam spać? – Przygryzła drżącą wargę i spojrzała na ciemną wodę. Spodziewała się, że St. Bride powie „w mojej”.

– Możesz spać w każdej kabinie tego statku. Wybierz, którą chcesz.

Spojrzała na niego. Wiele zawdzięczała temu mężczyźnie, który zmierzył ją teraz z góry bacznym spojrzeniem. Ocalił jej życie, odział ją, żywił i chronił. A teraz zabierał ją ze sobą gdzieś daleko i jeżeli dopisze jej szczęście, wróci być może do Mhor. Wciąż jednak była przybita. Nerwowo obracała w palcach ogniwa naszyjnika. Wiedziała, że miał prawo zabrać ją ze sobą. Żyła właściwie jak jego kochanka, godziła się na jego opiekę, a jednak on nie czerpał z tego żadnych korzyści. Właściwie była dla niego kłopotliwym brzemieniem. Gdybyż tylko mogła mu się za to odwdziaczyć srebrem i złotem, a nie własnym ciałem!

Na wpół świadomie opuściła rękę i przygryzła wargę. Czy St. Bride pokochałby ją, gdyby mu się oddała, czy też wynagrodziłby ją za to klejnotami, jedwabiem i atłasem, jakby była prostytutką?

Znała jednak odpowiedź na to pytanie. Gdyby oddała mu się bez miłości, pękło by jej serce.

– Dobranoc, St. Bride – rzekła w końcu, oddając mu płaszcz i zostając w swojej kompletnie zniszczonej sukni z białego adamaszku. Potem szepnęła tak cicho, żeby nie mógł tego usłyszeć: – Śpij dobrze, mój miły.



Podróż do Wolf Island trwała wiele dni. Kiedy opłynęli Florydę, Powietrze zrobiło się cieplejsze. Jednakże statek, odmiennie niż „Deepwater”, na którym podróżowała z Bardolfem rok temu, jawił się jej jako żaglowiec wręcz luksusowy.

Byli jego jedynymi pasażerami. Za dnia St. Bride pokazywał jej różne porty, koło których przepływali: Fort Biloxi, St. Augustine i wreszcie Savannah. Wieczorem jadali na srebrnej zastawie z kapitanem Buckleyem. Nigdy jednak St. Bride nie zbliżył się do niej w innym celu niż rozmowa czy dotrzymanie jej towarzystwa. Widocznie wciąż czynił sobie wyrzuty za zmuszenie jej do pójścia na bal u Thionville’a. Wydawało jej się też, że ona i St. Bride jakby zaczęli nowe życie. Na „Balcraigu” nie było rzezimieszków, szpiegowania ani żadnych innych zmartwień. Tylko błękitna woda i błękitne niebo. Całymi dniami przyglądali się morświnom podpływającym do statku. Nocami zaś, odkąd przyznała w końcu, że posiada sztukę czytania, odczytywali sobie na zmianę fragmenty drukowanych drobną czcionką religijnych ksiązek kapitana przy świetle jednej bezcennej świeczki.

„Balcraig” płynął szybko, gdyż był lekkiej konstrukcji i nie wiozł żadnego ładunku. Pewnego dnia Kayleigh stwierdziła ze smutkiem, że ich podróż dobiegła końca.

Georgia okazała się zupełnie inna, niż sądziła. Nie było tu wcale prymitywnych, staroświeckich domostw, jakich pełno widziała w Nowym Orleanie. Domy w Savannah, wzniesione wedle gustu angielskiego, miały wielki hall pośrodku i palladiańskie okna. Damy chodziły po ulicach w małych, słomkowych kapelusikach i lnianych sukniach z szerokimi spódnicami.

Kayleigh czuła się przy nich jak obdartus w znoszonej, chociaż czystej sukni, którą kapitan Buckley wydobył ze swoich bagaży i sprzedał za słoną cenę St. Bride’owi. Jednakże panie z Savannah wyglądały tak wdzięcznie w swoich jasnożółtych atłasach i różowych brokatkach, że Kayleigh mogła patrzeć na nie bez końca.

Zauważyła też, że dżentelmeni z Georgii, odmiennie niż ci z Luizjany, przechadzali się godnym krokiem po ulicach, zamiast przez cały dzień uganiać się po pijanemu za ladacznikami. Savannah stanowiło miłą

odmianę i Kayleigh jeszcze raz przyrzekła sobie w duchu, że nigdy z własnej woli nie wróci do Luizjany.

– Jak ci się podoba Savannah? – spytał ją St. Bride, kiedy jechali powozem przez ulice.

– Uważam, że to cywilizowane miasto – odparła, myśląc o każdym szczególe jego wielkich domostw.

– Cywilizowane? Kiedyś sądziłem, że słowo to zawiera w sobie cały prymitywizm – zauważył St. Bride, patrząc, jak poranne słońce wznosi się nad karłowatymi palmami i złocistą trawą morską, które rosły na peryferiach miasta.

– A co pan myśli teraz?

– Że Nowy Orlean bardziej odpowiada moim upodobaniom. – W jego oczach pojawiło się osobliwe rozbawienie. – Im coś jest dziksze, tym piękniejsze.

– Ja sądzę inaczej. Miałam po uszy dzikiego życia – odparła, myśląc o Bardolfie, Straughcie i Quinnie.

– A więc przyjdzie mi zapewne odegrać w nim rolę dżentelmena – uśmiechnął się i uniosł dumnie podbródek – przynajmniej do pewnego stopnia.

21

W ynajęty powóz dowiózł ich tylko do rzeki Ogeechee. Tam St. Bride kupił parę koni jednakowej maści, dwa gnadosze, na których mieli odtąd kontynuować podróż. Kayleigh przypadła w udziale kobyła imieniem Diana, z damskim siodłem. St. Bride wybrał sobie silniejszego wierzchowca o dumnym imieniu Ganimed. Gdy ich dosiedli, woźnica zawrócił do Savannah z kieszeniami dobrze wypchanymi srebrem, a Kayleigh i St. Bride przebyli w bród rzekę.

– Czemu nie możemy całej podróży odbyć powozem? – spytała, kiedy byli już na drugim brzegu. Miała za sobą uciążliwą jazdę na Dianie po podmokłej drodze i teraz już tylko rozglądała się znużona po okolicy. Zachodzące słońce rzucało ostatnie promienie na wielkie, pełne czarnej wody kałuże, których sporo było po obu stronach traktu. Wzdrygnęła się. Pnącza u podnóży ogromnych cyprysów wyglądały jak kłębowisko węży, co nie dodawało tym stronom uroku. Kayleigh czuła zdrową, szkocką odrazę do miejsc tak wilgotnych i ponurych jak moczary

Georgii i pragnęła z całego serca, żeby przebyli je jeszcze przed zapadnięciem zmroku.

– W Darien nie ukończono jeszcze budowy przystani. W przeciwnym razie kazałbym kapitanowi Buckleyowi płynąć właśnie tam. A na drogach, które nas czekają, jazda powozem byłaby raczej torturą niż wygodą, moja miła. Nie mamy wielu bagaży, nie widzę więc powodu, żeby...

St. Bride ściągnął cugle Ganimeda. Kayleigh spojrzała tam, gdzie skierował wzrok, i na nowej drodze, brukowanej jedynie drewnianymi okrągłakami ujrzała dwóch mężczyzn.

Z trudem można było nazwać ich ludźmi. Pierwszy z nich, tak potężnej budowy, że przypominał rosnące wokół cyprisy, wyraźnie wyglądał na niedorozwiniętego. Jego niekształtą twarz o cofniętym czole wykrzywiło coś w rodzaju uśmiechu świadczącego, że człowiek ten zdaje sobie sprawę z ich obecności. Serce załomotało jej gwałtownie, gdy spojrzała na drugiego z nich. Był niewiarygodnie wysoki i chudy niczym szczapa, a powitał ją nie uśmiechem, lecz spojrzeniem, które zmroziło ją do szpiku kości. Dostrzegła, że St. Bride wymierza w nich muszkiet. Kiedy nad Ogeechee przesiadali się z powozu na konie, zauważyła, że załadował broń i przytroczył ją do siodła. Nie wyobrażała sobie jednak, by mógł jej użyć przeciw jakiegokolwiek istocie.

– Kim oni są? – wyszeptwała, czując, że serce podchodzi jej do gardła. Chudy mężczyzna znowu obrzucił ją przebiegłym spojrzeniem.

– Niektórzy nazywają ich Pinelanderami, ludźmi z krainy sosen – wyjaśnił St. Bride. – Zniechęcili się do cywilizacji i odtąd żyją z napadów na bezbronnych podróżnych. – Popatrzył na jej naszyjnik, poruszył się niespokojnie w siodle i ciągnął dalej: – Przybyli z porośniętego sosnami pustkowia na południu. Ci dwaj zapędzili się dużo dalej, niż mogłem przypuszczać, ale może przenieśli się tu wraz z innymi? Prawie od roku nie było mnie w tych stronach.

Od roku? Rozmyślałaby pewnie jeszcze przez jakiś czas nad tymi zaskakującymi słowami, gdyby St. Bride nie odwiódł nagle kurka strzelby.

– Z drogi! – krzyknął, patrząc na nich znad lufy. – Nie szukajcie tu guza!

– Nie szukamy tu guza, panie – odezwał się chudy mężczyzna miękkim irlandzkim akcentem – tylkośmy sobie stanęli, żeby popatrzeć na pana ładną żonkę. – Uśmiechnął się, ukazując mocno przerzedzone zęby. Kayleigh, w której jego natarczywe spojrzenie wzbudziło odrazę, zawróciła Dianę ku St. Bride'owi. Czuła dreszcze przebiegające jej po

plecach i spostrzegła, że słońce niemal już schowało się za horyzontem. Za nic nie chciała znaleźć się w ich towarzystwie po zapadnięciu zmroku.

– Musimy ich minąć – mruknął St. Bride.

– Dobrze – odpowiedziała szeptem, usiłując przysunąć się z Dianą jak najbliżej do Ganimeda. St. Bride również wydawał się zaniepokojony późną porą dnia. Jedyным wyjściem było objechanie tych ludzi z boku i zapuszczenie się jeszcze głębiej na moczary.

– Mamy już niedaleko do oberży Rackrenta. Poradzisz sobie z Dianą? – spytał szorstko, nim znów ruszyli naprzód. Kayleigh przytaknęła w milczeniu i pojechała za nim, pragnąc znaleźć się jak najdalej od tych dziwnych ludzi.

Pinelanderzy przepuścili ich, zapewne dzięki wycelowanemu w ich głowy muszkietowi. St. Bride zapewnił ją, że mogą spokojnie podróżować dalej, gdyż tamci raczej nie mają koni zdolnych ich doścignąć.

Kayleigh, spoglądając ostatni raz za siebie, wzdrygnęła się, widząc ohydny uśmiech idioty. Gorąco pragnęła, żeby nie zetknąć się więcej z Pinelanderami. Gdy znów ruszyła naprzód, z przyczyny tych zdegenerowanych indywiduów jej entuzjazm dla Savannah mocno osłabł.

– Już wkrótce ujrzymy oberżę – rzekł do niej po chwili St. Bride. – Kiwnęła głową bez słowa. Zrozumiała zaraz, że to, co mówił o nieprzydatności powozu na tutejszych drogach, było prawdą. Odkąd wjechali na trakt, zwany przez niego drogą z pni drzewnych, nie była zdolna nawet spytać go o Pinelanderów. Najwyraźniej nie dało się w inny sposób podróżować przez te podmokłe pustkowie, a podskoki Diany okazały się uciążliwe i sprawiały ból. Jechali w milczeniu. Szybko pojęła, że nawet jazda na Dianie jest czymś dużo lepszym od nieznośnych wstrząsów, jakich doznałyby w powozie. Była wdzięczna St. Bride’owi, choć początkowo sądziła, iż zmuszenie jej do konnej jazdy było z jego strony czystą złośliwością. Teraz musiała przyznać, iż wybór środka lokomocji, był najrozsądniejszym wyborem, jakiego mógł dokonać.

Przybyli do oberży, kiedy ostatnie promienie słońca gasły już nad moczarami. Gdy Kayleigh chciała zsiąść z Diany, jęknęła cicho. Odkąd opuściła Mhor, nie zdarzyło się jej odbyć tak męczącej jazdy. Cała była obolała i zeszywniała. Zejście z siodła zajęło jej, mimo pomocy St. Bride’a, sporo czasu. Potem poszła za nim do małego budynekczku o spłowiałym oszalowaniu ścian. Czowała się tak rozbita i zmęczona, że obojętnie przyjęła brak wygód w oberży.

– Rackrent, hej Rackrent! – zawołał St. Bride, gdy weszli do głównej izby. Nie było tam zbyt wielu ludzi, tylko jedna rodzina i trzech czy czterech bardzo podobnych do siebie młodzieńców, niewątpliwie braci.

Nie zdążyła przyjrzeć się dokładniej otoczeniu, gdyż zza przepierzenia wyszedł nagle grubawy, wesoły mężczyzna, pokazując w szerokim uśmiechu wszystkie zęby.

– Ach, kogóż ja widzę! Szlachetny St. Bride! Jakże mi cię było brak w Georgii! – Rackrent uściśnął mu rękę, potrząsając nią energicznie. Potem spostrzegł Kayleigh.

– To jest Kayleigh. – Mogłaby przysiąc, że w kącikach jego ust dostrzegła pewną czułość, lecz w końcu doszła do wniosku, iż uległa wywołanemu męczącą podróżą złudzeniu. Gdy bowiem odwrócił się, by przedstawić jej oberżystę, rzekł z jawnym sarkazmem: – Kayleigh, a to William Rackrent, największy chciwiec po tej stronie Savannah.

– Ach, krzywdzisz mnie, synu, w dodatku nim jeszcze zdołałem wydusić z gości zapłatę za nocleg! – Rackrent wzniósł oczy do góry, widać jednak było, że żartuje.

St. Bride roześmiał się i zaprowadził Kayleigh ku topornej, choć solidnej ławie. Usiadła na niej, robiąc to bardzo powoli. St. Bride zajął miejsce tuż obok. Ich uda otarły się o siebie, co podziałało na nią niezwykle uspokajająco.

Wszystkim mężczyznom nalano piwa, a Kayleigh podano filiżankę mocnej herbaty. Pijąc ją powoli, przyglądała się pozostałym gościom. Wkrótce jej spojrzenie spoczęło na niedużej rodzinie po drugiej stronie wspartego na kozłach stołu. Mężczyzna przeliczał pieniądze, żona i dwie małe córeczki siedziały w milczeniu.

Rackrent postawił przed nią talerz fasoli z ryżem.

– Nazywają się Storrownon. Właśnie opuścili swoją farmę. Przenoszą się, jak słyszałem, na północ – rzekł cicho oberżysta, jakby czytając w jej myślach.

– A więc mają trochę rozumu w głowie – orzekł St. Bride, którego uwagę również przyciągnęli Storrownonowie.

– Czemu pan tak sądzi?

– Powinni powędrować do Pine Barrens.

– Ależ ci dwaj ludzie na moczarach...

Przerwał jej:

– Ich przodkowie przybyli tu niegdyś tak samo, jak ta rodzina. Początkowo zamierzali zostać farmerami, ale doszli zapewne do wniosku, że im się nie uda, bo nie mieli pieniędzy na kupno niewolników, a nieliczni biali, jakich mogliby wynająć, okazali się zbyt dumni, żeby imać się takiej roboty. Rozumiesz, oni uważali, że to niewolnicza harówka.

– Przecież sami mogli uprawiać pola, jak każdy dobry rolnik – odparła, pamiętając ciężki trud wiejskich rodzin szkockich w Mhor.

– Pinelanderzy od dawna już poniechali farmerstwa, woląc grabić i kraść, niż uprawiać ziemię jak Murzyni.

– A przecież w Belle Chasse widziałam, jak pan razem z Labanem doglądał pracy niewolników na polach. Czemu nie jest pan taki jak inni? – rzekła, zmieniając pozycję na ławie, żeby ulżyć obolałemu siedzeniu.

– Dłatego, że niektórzy ludzie są inni, niż się wydaje.

Mogła jedynie westchnąć z cicha:

– Racja, zupełna racja.

– Będziecie spać z żoną na piętrze? – przerwał im jowialnie Rackrent, podchodząc do stołu.

– Owszem, tylko że Kayleigh, niestety, nie jest moją żoną – sprostował St. Bride.

– Nie jest żoną? – Rackrent wydawał się szczerze zdumiony. – Niewiarygodne! Doszły moich uszu plotki z Savannah o twoich podbojach i o tym, że rozżłościłeś kilka pań. Słyszałem też, że nie masz stałej kochanki, taki z ciebie osobliwy człowiek. Miałem więc prawo sądzić, że to twoja żona! – Nagle zdał sobie sprawę, co powiedział. Urwał i spojrział przepaszająco na Kayleigh.

– Och, proszę o wybaczenie! – Rozejrzał się po swej prymitywnej oberży i zakończył potulnie: – Ano, jak się żyje w takiej głuszy tyle lat, to człowiek zapomina o dobrych manierach...

– Przyjmuję przeprosiny – rzekła spokojnie Kayleigh, lecz czuła, że jej twarz oblewa ciemny rumieniec. Mimo zażenowania przypuszczała jednak, że częściowo spowodowało go zdumienie. Osobliwy człowiek? St. Bride? Nie mogła uwierzyć. Pamiętała przecież, na jak swobodne zachowanie pozwalał sobie nieraz wobec niej. Przypomniała sobie tamtą noc w Belle Chasse, kiedy to, najwyraźniej pod wpływem brandy, pocałował ją, a potem uniósł jej suknię i...

Głos Rackrenta przerwał te rozmyślania. Oberżysta potrząsał głową, mówiąc z zakłopotaniem:

– No tak, ale ja, St. Bride, mam swoje zasady... Chociaż twoja pozycja i wszystko inne... – W jego głosie można było wyczuć niepewność.

– Przecież mogę pójść spać z panią Storowton i jej córeczkami. – Kayleigh ogarnął nagle nerwowy niepokój. Podczas całej podróży St. Bride postępował wobec niej jak džentelmen. Czyżby właśnie tu, w tej zagubionej na pustkowiu oberży, miał przekroczyć pewne granice?

– Zostaniesz ze mną na piętrze – postanowił. Choć twarz miał spokojną, jego oczy nakazywały bezwzględne posłuszeństwo.

– Ależ pan Rackrent ma zasady...

– I tylko dla takich ludzi jak St. Bride mogą je złamać. – Rackrent wstał nagle. Bardziej go widocznie martwiło to, że stał się przyczyną sprzeczki między Kayleigh i St. Bride’em niż złamanie jego zasad.

– Proszę spać na piętrze, St. Bride. Gdyby nie twoja wysoka pozycja... – Westchnął i rzekł do Kayleigh ze współczującym uśmiechem: – Moja miła, lepiej ty się miej wobec niego na baczości. Mógłby jak nie tak cię omamić, że zdjąłby ci ten naszyjnik, ani byś się spostrzegła... – Urwał i poszedł dolać piwa traperom.

Kiedy zostali sami, Kayleigh wybuchnęła:

– Nie będę spać razem z panem, nawet gdybym przez to musiała spędzić noc na dworze! Jak pan mógł publicznie wystawić mnie na pośmiewisko? Boi się pan, że ucieknę ze Storrownami?

– Ani mi to w głowie nie powstało. Wątpię, czy zdołałabyś zająć z ich klanem tak daleko, żebym cię nie mógł schwytać!

Nonszalancko dopił piwo z wielkiego kufla.

– Nie będę spać w jednym pokoju z panem. – Założyła ręce z gniewną miną. Nie będzie z nim dzielić sypialni! A gdyby nawet miało się tak stać, St. Bride musiałby ją przekonać, że istnieje ważny po temu powód.

– Nie zostawaj w tej maleńkiej oberży na noc z jedną kobietą, Kayleigh. To niebezpieczne. Tu są tylko dwa pokoje i piętérko. Nie widzisz, że jest się czego bać?

– Pana Storrownona jakoś to nie martwi.

– Pan Storrownon nie natknął się dzisiaj na Pinelanderów, a jego żona nie jest taka ponętna, jak ty. – Oczy St. Bride’a podczas tej przemowy przeniosły się z twarzy Kayleigh na jej szyję.

Naszyjnik z szafirem! Nagle zażądała ze złością:

– No więc niech pan sobie zabierze ten bezcenny przedmiot, żebym mogła zostać z panią Storrownon. – Odwróciła się tyłem do niego, odgarnęła z szyi włosy i czekała, pragnąc rozpaczliwie, by zdjął z niej wreszcie zniechęcony klejnot.

Tak się jednak nie stało. Gdy St. Bride odmówił spełnienia jej prośby, spojrzała na niego z niemą rozpaczą. On jednak rzekł tylko:

– Mylisz się, moja miła, jeśli sądzisz, że właśnie naszyjnik najbardziej w tobie cenię.

– Jeśli bardziej ceni pan mnie, proszę go zdjąć.

– Żebyś mi go zrabowała w środku nocy? Nie! Niech zostanie. Będę pilnować i ciebie, i jego.

– *Nathrach!* – krzyknęła ze złością po gaelicku. Nagle wstała, niezdolna dłużej znieść jego obecności, i nie zwracając uwagi na ból między udami, ruszyła do drzwi.

– Gdzie idziesz?
– To moja sprawa!
– Weź ze sobą panią Storrowton albo będziesz musiała wziąć mnie!
– Wstał i chwycił ją za rękę.

– Co pan robi?! – krzyknęła, zaczerwieniona po uszy. Nie miała zamiaru dać mu się oglądać w toalecie!

– W tej oberży nie ma żadnych udogodnień, a wygodka znajduje się na dworze, przy samym końcu ścieżki. Jeżeli pani Storrowton nie zgodzi się towarzyszyć ci, ja...

– Nie będzie to konieczne. – Z największą godnością, na jaką mogła się zdobyć, podeszła sztywnym krokiem do końca stołu, gdzie siedziała młoda kobieta.

Pani Storrowton chętnie zgodziła się spełnić wybakaną z zażenowaniem prośbę. Nim jednak obydwie panie wraz z dziewczynkami, Eugenią i Charlottą, ruszyły na swój mały spacer, St. Bride odwołał Kayleigh na stronę i rzekł cicho:

– Zostaw tylne drzwi oberży otwarte. Strasznie tam ciemno. – Skinęła głową i podążyła za swoją towarzyszką.

– Pan Ferringer jest bardzo zacy, prawda? – spytała młoda matka, trzymając obie dziewczynki za ręce. Światło z oberży początkowo oświetlało im drogę, lecz później ścieżka skręciła w bok i świeczka, którą Kayleigh trzymała, niewiele mogła tu pomóc. Ucieszyło ją, że St. Bride tak nalegał na zabranie pani Storrowton. Czowała wokół siebie wilgotny, przytłaczający leśny mrok i musiała walczyć z narastającym strachem. Ciągle miała wrażenie, że ktoś ją śledzi.

– Ma bardzo zmienne humory. – Kayleigh uśmiechnęła się kwaśno, aż nazbyt jawnie okazując swoje niezadowolenie.

– Ale tak o panią dba. Okazał wielką ostrożność.

– Najbardziej boi się o mój naszyjnik. – Kayleigh schwyciła mocno rączkę Eugenie, bo dziewczynka potknęła się o wystający korzeń.

– Jest przepiękny, ale myślę, że jemu chodzi o panią. – Jej rozmówczyni uśmiechnęła się wyrozumiale. Kayleigh nie wiedziała, co odpowiedzieć, nim jednak zdążyła otworzyć usta, młoda niewiasta ciągnęła dalej: – A zatem zamieszka pani w Wolf Island. Słyszeliśmy z mężem o tej siedzibie, lecz nie sądziliśmy, że dane nam będzie poznać tak ważną osobistość, jak jej właściciela. Od dawna jest pani zamężna? – Pytanie zaskoczyło Kayleigh i teraz ona z kolei potknęła się na ścieżce.

– Nie jestem mężatką – wyjaśniła z zakłopotaniem.

– Ach, tak... – Pani Storrowton nagle zamilkła, lecz Kayleigh poczuła ulgę, gdy po chwili odezwała się ponownie: – Przepraszam. Ten

naszyjnik i wszystko inne kazało mi przypuszczać, że... Pan Rackrent wspomniał nam, że będziecie nocować razem...

– Nie, nie jesteśmy... – Kayleigh miała już na końcu języka słowo „kochankami”, ale nie odważyła się go wymówić. Bała się, że ze względu na okoliczności pani Storowton jej nie uwierzy.

– Szlachetnie urodzonym wolno robić wszystko po swojemu. Choć tutaj, w koloniach, wszyscy są jakby równiejsi i jestem z tego rada. Zatrzymały się przed szaletem. Była to nędzna drewniana budka wyglądająca tak, jakby zaraz miała się rozlecieć. Kayleigh nie zwróciła jednak na to uwagi. Czemu pani Storowton sądziła, że St. Bride jest szlachetnie urodzony? Prawda, Rackrent mówił na początku coś o szlachetności. Może miał na myśli szlachectwo?

– Dlaczego... – zaczęła, lecz pani Storowton nie dała jej skończyć.

– Proszę, niech pani idzie pierwsza. Charlotta i Eugenia mogą poczekać, a ja nie mam ochoty, żeby mężczyźni pomyśleli, że za długo tu siedzimy, i przyszli za nami. – Wzięła obie córki za ręce. Kayleigh spojrzała w leśny mrok i odłożyła pytanie na później.

Mimo zeszywniałych mięśni poszło jej jak z płatka, a potem pomogła wejść do wygodki dziewczynkom. Nie mogły się jednak wszystkie pomieścić w ciasnej budce, więc pozostała na zewnątrz, oddając pani Storowton świeczkę, i powodowana dyskrecją zamknęła za nimi drzwi.

– Boże! Las był w nocy jest doprawdy upiorny – westchnęła.

Z niepokojem usiłowała rozejrzeć się wokoło, ale bez świcy nie widziała absolutnie nic. Nie mogła jednak otworzyć teraz drzwi! Obróciła się więc do nich tyłem i usiłowała opanować lęk. Przychodziło jej to z trudem, bo wszelkie żywe stworzenia zdawały się szemrać w ciemności. Cykady cykały, sowy pohukiwały, a liście szeleściły tajemniczo.

Po chwili ich szepc przybrał na sile i Kayleigh wcale nie miała pewności, czy to tylko szmer liści. Słyszała nerwową krzątanicę pani Storowton wokół dziewczynek, nie odważyła się jednak zawołać, czy tamta przypadkiem czegoś nie słyszy. Dźwięki mogły przecież być wytworem jej wyobraźni. Czy naprawdę są to czyjeś słowa, czy tylko wiatr? Przyłgnęła kurczowo do drzwi.

Wiatr przybrał na sile, a gałęzie uschniętego jałowca zaczęły wyciągać ku niej gałęzie niby szponiaste dłonie. Kayleigh chciała już zastukać. Lepiej, żeby wracały do oberży!

Nim jednak zdążyła to zrobić, poczuła, że jakieś kościste palce chwyciły ją za ramię. Pragnęła odwrócić się i przekonać na własne oczy, czy to ludzka ręka, czy tylko sucha gałąź.

Nie mogła jednak zrobić żadnego ruchu. A szept rozległ się teraz tuż przy jej uchu: „Wyjdź za mnie... wyjdź za mnie, wyjdź...” Instynktownie sięgnęła po nóż, lecz podwiązka przytrzymała tylko białą, jedwabną pończochę. Krzyknęła na całe gardło i palce natychmiast zniknęły w mroku.

Odwróciła się w tamtą stronę, sądząc, że zobaczy drugiego z Pinelanderów, chudzielca przezwanego przez nią w myśli „szczapą”, tego, który mierzył ją mętym wzrokiem. Nikogo tam jednak nie było, tylko gałąź uschniętego jałowca czepiała się sukni i włosów, póki nie strząsnęła jej z siebie. W otwartych drzwiach szaletu stanęła pani Storowton; świeca rzucała blask na jej pobladłą twarz.

– Mój Boże, co się stało? – spytała. Kayleigh jednak nie chciała nic wyjaśnić. Zdusiła płomień świecy i chwytając w objęcia Charlotte, gdyż Eugenię obejmowała matka, wyszeptała zdławionym głosem:

– Nie wiem! Uciekajmy stąd!

Wszystkie pobiegły co tchu ścieżką i nim zdołała się obejrzeć, wpadły do oberży. Pan Storowton odebrał od niej Charlotte, a St. Bride schwycił jej drżące ręce. Nawet traperzy na odgłos krzyku sięgnęli po broń.

– Co się stało? – St. Bride pochylił się nad nią z niepokojem. Nie potrafiła mu odpowiedzieć. Drżała tylko i rozglądała się po wnętrzu, jakby jego bezpieczeństwo i przyjazne ciepło mogło jej dodać otuchy. Rackrent tak nerwowo przebierał palcami we włosach, że wreszcie zaczął wyglądać jak stary, wyleniały lew. Pani Storowton zdołała się w końcu opanować i uciszyła płaczące córki.

– Kayleigh krzyknęła, kiedy my byliśmy... zajęte – wyjaśniła w końcu. – Dobry Boże, coś ją musiało okropnie przerazić.

– Co to było? – St. Bride posadził Kayleigh na ławie i przyglądał jej potargane przez jałowiec włosy.

– Nie wiem – rzekła zgodnie z prawdą. – Coś mnie złapało. Myślałam, że to jeden z tych Pinelanderów, ale kiedy się odwróciłam, nikogo tam nie było. Może bałam się niepotrzebnie.

– W porządku, moja droga. Idź na górę, ja tam za chwilę przyjdę z igłą, żebyś mogła zaszyć suknię.

– Suknię... – spojrzała na siebie. Rękaw miała rozdarty od góry do dołu. Czy te długie, lodowate palce podarły jej odzież, czy po prostu zawadziła o gałąź? Zakryła usta dłonią i wzdrygnęła się.

– Chodźmy już. – St. Bride podał jej świecę. Wymienił z Rackrentem porozumiewawcze spojrzenie, a tamten skinął dwukrotnie głową. Kayleigh przeprosiła Storowtonów, życząc im dobrej nocy, i z trudem wspięła się na piętro.

Pokój stanowił osobliwą mieszankę toporności i wygody. Powaleń zrobiono z nieociosanych belek, a ścian nie pobielono, łóżko okazało się jednak czyste i leżał na nim materac obficie wypchany mchem. Największą niespodziankę sprawił jej jednak kryty żółta wełna, wygodny fotel stojący pod oknem.

– Rackrent wstawił go dla ciebie. – St. Bride, po wejściu na piętro, położył koło fotela trochę czarnych nici i grubą, stalową igłę. – Pytał, czy nie chciałabyś laudanum na uspokojenie. Co prawda uważam je za paskudztwo, ale jeśli koniecznie trzeba... – Jego twarz złagodniała, kiedy Kayleigh zdecydowanie odmówiła.

– Nie, dziękuję, chciałabym tylko o tym zapomnieć. Pewnie poniosła mnie wyobraźnia. – Wzięła w palce igłę i nagle zamarła. Musiała przecież zdjąć z siebie suknię, żeby ją zreperować! Nie było rady, skryła się więc za fotelem i tam ściągnęła ją z siebie. Obróciła fotel do siebie i w samej koszuli oraz gorsecie zaczęła zeszywać podarowany jej na „Balcraigu” strój. Usiadła tak, żeby St. Bride mógł dojrzeć tylko jej profil.

Jednak nawet i on zdawał się go zachwycać. Ściągnął spodnie z kożlej skóry, również kupione od jednego z marynarzy na „Balcraigu”, i wyciągnął się wygodnie na łóżku.

Kiedy przelotnie spojrzała na niego, zobaczyła na nocnym stoliku pistolet. Spozstrzegła też, że położył się niemal w całkowitej ciemności, tak żeby ona mogła swobodnie szyć.

Usiłowała skupić uwagę na swoim zadaniu. Miała tylko dwie suknie i nie chciała, żeby szybko zamieniły się w łachmany. Szyła starannie, drobnym, hafciarskim ścięciem, którego nauczyła się od matki, z trudem unikając wzroku St. Bride’a, który uważnie się jej przyglądał. Patrzył na jej czarne włosy falujące za każdym wbiciem igły, na wilgotne, pełne wargi, lekko teraz rozchylone. Przeniósł spojrzenie niżej, na białą szyję odcinającą się wyraźnie od liliowej barwy gorsetu. W blasku świecy mógł dojrzeć przez koszulę jej nogi. Wreszcie jego oczy zatrzymały się na udach i obciążonych pończochami łydkach, wciąż poznaczonych szramami, pozostałościami po wcześniejszym życiu na ulicach Nowego Orleanu.

Kayleigh z trudem znosiła to nieustanne wpatrywanie się w nią. Wreszcie spytała:

– Czemu pan tak patrzy na mnie? O czym pan myśli?

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – Przymknął oczy i uśmiechnął się.

– Nie. – Powróciła do szycia. Choć usiłowała się opanować, ręce jej drżały.

– Powiem ci, moja miła, coś, co niezwykle pasuje do tej twojej skromności... – St. Bride uniósł się na łokciu. – Myślałem o pewnej dziewczynie.

– O lady Katarzynie? – Kayleigh energicznie wbiła igłę w grubą, lnianą tkaninę.

– Nie. Ta dość szczególna dziewczyna ukradła błękitny naporstek, a kiedy ją o to spytałem, zaczęła się wykręcać, mówiąc, że nie umie szyć.

Ręce Kayleigh opadły bezwładnie na reperowaną suknię.

– I kolejna zagadka. Może ty pomożesz mi ją rozwiązać?

– Ja... – nabrała głęboko tchu. Czy mogła mu zaufać? Spojrzała na niego podejrzliwie. Zobaczyła mocne ramiona i prężne mięśnie, które biegingy od brzucha w dół. Nie! Jeszcze nie. Kiedy wyglądał tak jak teraz, nie ufała mu.

– A więc umiesz czytać, szyć i... co jeszcze? – Położył się znowu na plecach i roześmiał. – Z niecierpliwością czekam na ujawnienie innych twoich ukrytych talentów... milady!

– Och! – Ze złością skończyła szycie i założyła suknię. Podeszła do umywalki, nalała wody z glinianego dzbanka do drewnianej miski i umyła twarz pospolitym, ługowym mydłem. Potem sięgnęła po wiszący obok ręcznik, wycierając wodę z oczu.

Kiedy go odwiesiła, uderzyła ją nagle staranność z jaką został zacerowany. Wszystkie wystrzępione brzegi miał pracowicie obrębione i był tak samo biały i czysty jak ręczniki w Belle Chasse.

– Czy pan Rackrent jest żonaty? Dziwne, że nie widzieliśmy jego żony. – Wskazała na ręcznik. – To wygląda na robotę kobiety, a nie samotnego mężczyzny.

– On ma squaw. Chyba z plemienia Orkokizak. – St. Bride czekał na jej reakcję.

– Chce pan powiedzieć, że... – Kayleigh spojrzała na ręcznik i zaczerwieniła się mocno. Z trudem potrafiła wyobrazić sobie Rackrenta, mężczyznę tak leciwego, że mógłby być jej dziadkiem, z indiańską kobietą. Spytała szybko, by ukryć zaskoczenie: – Jak często ona... pracuje dla niego?

– Przychodzi tu, kiedy w oberży nie ma gości. Pierze, zmywa, sprzęta i... – zawiesił na moment głos – dotrzymuje mu towarzystwa. Spotkałem ją raz czy dwa, ale kiedy Rackrent ma gości, zazwyczaj każe jej zostawać z rodziną, szczególnie wtedy, gdy zatrzymują się u niego kobiety. Pewnie się boi, co sobie pomyśla.

– Taki związek między dwojgiem zupełnie różnych ludzi... – urwała, bo nagle przypomniała sobie wzmiankę o szlachectwie St. Bride'a. – Pani Storrowton powiedziała mi tam na ścieżce coś dziwnego.

– Cóż takiego? – St. Bride lekko zeszywniał.

– Najpierw spytała, od jak dawna jesteście małżeństwem. – Zrozumiała się i spojrzała na niego z wyrzutem. – Kiedy jej wyjaśniłam, że się pomyliła, chciała zatrzeć przykre wrażenie, mówiąc coś o szlachetnie urodzonych.

– Szlachetnie urodzonych? – mruknął. – A co ty na to, gdybym ci oznajmił, że jestem szlachetnie urodzony? Podobałoby ci się?

– Nie dbam wcale, czy ma pan tytuł, czy nie.

– Czemu? Wiele kobiet byłoby innego zdania.

– Ja nie. Mężczyźni mają i tak zbyt wiele władzy. Nie potrzebują jeszcze wymyślać sobie tytułów. – Nie potrafiła ukryć goryczy.

– Chodźmy spać – uciał. – Czekają nas jeszcze cały dzień jazdy do Wolf Island.

– Czy ma pan tytuł?

– Jestem plantatorem i chcę być wyłącznie plantatorem. A teraz do łóżka!

– Dokładnie słuchałam, co mówiła pani Storowton; ona wie wszystko o pańskiej plantacji. A wcześniej pan Rackrent też wspominał coś o szlachectwie. Uważa pana za kogoś o wiele znaczniejszego niż inni goście.

– Źle ich zrozumiałaś. Znają mnie tu dobrze, ale tylko z powodu Wolf Island. Jeśli zaś mieli na myśli coś innego, to – jak już powiedziałem – mylą się.

– Ale...

– Dostyc tego. Wścibstwo jest przykrą cechą, Kayleigh. Obojętne, czyje. – Jego głos był szorstki. – Do łóżka! Obydwoje potrzebujemy wypoczynku.

Ona jednak nie chciała się położyć. Zamiast tego usiadła w fotelu i ze złością patrzyła na dopalającą się świecę. Raz jeszcze pomyślała o błyskotliwości i uroku, które zdawały się przylegać do niego tak ściśle, jak dobrze dopasowany płaszcz. I podobnie jak płaszcz, zdawały się też coś ukrywać.

Spojrzała w jego oczy, błyszczące pomimo mroku. Czuli się tak jak wtedy, gdy zobaczyła jego notkę do Labana, albo nawet gorzej, jak podczas okropnej nocy, kiedy podarował jej szkarłatny gorset. Czy przypadkiem nie bagatelizowała zagrożenia, jakie dla niej stanowił? A jeśli tak, to czy nie będzie musiała potem drogo za to zapłacić? Uświadomiła sobie jednak z zaskoczeniem, że pragnęłaby mu zaufać, i rozpaczliwie chciała znaleźć się w jego ramionach, ale takie zdarzenia jak dzisiejsze powstrzymały ją przed tym.

– No chodźże, Kayleigh.

– Będę spać tutaj. – Musiała twardo obstawać przy swoim. Nie należało mu ufać. Wydawało się jej absurdalne, że spędziła z tym człowiekiem wiele tygodni, nie wiedząc nawet, kim naprawdę jest. Wytrącało ją to z równowagi. Popatrzyła na niego podejrzliwie.

Był zirytowany.

– Możesz sobie spać w ubraniu, a nawet stojąc na głowie, ale nie przy otwartym oknie ani przy drzwiach, które nie mają zamka. Chcesz, żeby znowu stało się coś takiego, jak dzisiejszego wieczoru? Wiesz przecież, że to możliwe. Oberża Rackrenta to nie forteca.

Skrzywiła się, kiedy ogarek zaskwierczał i zaczął się topić, dogasając.

– Chodźże do łóżka. – Skinął na nią. – Myślę, że wyda ci się lepsze od podłogi, a chociaż mi pewnie nie uwierzysz, potrafię panować nad sobą. No, może nie zawsze, ale tym razem nic ci z mojej strony nie grozi. Obiecuję.

Kayleigh patrzyła, jak płomień ostatecznie gaśnie. W ciemności przypomniały jej się szeptki koło wygódki. Nagle poczuła, że nawet dzielenie łóżka z St. Bride'em w oberży Rackrenta jest lepsze od zupełnej samotności. Po dłuższej chwili niezdecydowania podkrađła się do łóżka i położyła się tuż koło St. Bride'a. Łudziła się, że jakimś cudem zapadnie on w głęboki sen, na co zresztą liczyła, siedząc jeszcze w fotelu. Jednak jego cichy śmiech położył kres tym nadziejom.

– Jakież ty masz staropanieńskie nawyki, moja miła! – Z ręką pod głową wpatrywał się w niewyraźny zarys jej ciała. – Nie urazi cię zbytnio pytanie, czy przynajmniej zdjęłaś buty?

Usiadła ze złością i zrzuciła z nóg ciężkie trzewiki. Kiedy kładła się ponownie, jednym sztywnym ruchem odwróciła się do niego plecami. Gorset uwierał ją w żebra, a ciężka suknia nieznacznie uciskała, ale nie pozwoliła sobie nawet myśleć o rozebraniu się, nim St. Bride nie zaśnie.

Odczekała, aż jego oddech stanie się głęboki i regularny, co, jak się jej zdawało, trwało całą wieczność, którą przeleżała prawie bez ruchu. Potem powoli zaczęła się rozbierać. Ułożyła starannie suknię, pończochy i gorset na fotelu, zostając tylko w batystowej koszuli. Z największą ostrożnością wsunęła się pod kołdrę, uważając, żeby łóżko nie zatrzeszczało.

Mimo tych wszystkich starań poczuła nagle na sobie ramię St. Bride'a. Wymruczał coś niewyraźnie, jakby w głębokim śnie, lecz nie umiałaby powiedzieć, czy naprawdę spał. Wpadła w pułapkę, śmieszna i krępująca zarazem, gdyż nie mogła ruszyć się ze strachu, że go zbudzi, albo

– co jeszcze gorsze – że wywoła u niego zbytne podniecenie, jeśli nie spał.

Ciężkie ramię gniotło jej piersi, a serce biło tak gwałtownie, że mogłoby chyba obudzić nawet starego Rackrenta. Szybko jednak wyczerpanie wzięło nad nią górę. Sztywne, obolałe ciało żądało odpoczynku i w końcu ciężar ramienia przestał jej przeszkadzać. Zamknęła oczy i natychmiast zasnęła.



Szeroka muskularna dłoń zakryła jej usta. Przerazona Kayleigh otworzyła oczy, zmagając się w mroku z osobą, która tak brutalnie ją potraktowała.

– Cicho! – wyszeptał St. Bride tuż koło niej. Ciepło i zapach jego ciała uspokajały ją, mimo że nie mogła dojrzeć jego twarzy.

Gdy kiwnęła głową potakująco, cofnął dłoń.

– Co się dzieje? – wyszeptała słabo.

– Nie słyszysz?

Kayleigh, wstrzymując dech, zrozumiała, o co mu chodziło. Ktoś powoli wspinał się po schodach na piętro. Był to odgłos bosych stóp, a im bardziej się zbliżał, tym mocniej zaciskała palce wokół ramienia St. Bride'a.

– Co to takiego? – spytała drżącymi ustami.

– Zostań tutaj. Nie ruszaj się z łóżka. – St. Bride wstał powoli, starając się nie robić hałasu. W głuchej ciszy jego ręka sięgnęła po pistolet. Niby nawykłe do życia w nocy zwierzę, wpatrywał się w ciemność, dostrzegając to, czego ona mogła się tylko domyślać.

– Boję się... Proszę nie odchodzić, nie zostawiać mnie... – szepnęła. St. Bride ścisnął ją tylko za rękę, a potem zaczął skradać się ku drzwiom.

– Och... St. Bride... – Strach zdławił jej oddech. Był to osobliwy lęk, bo tym razem nie bała się już o siebie, ale o St. Bride'a.

Odrzuciła kołdrę i uklękła na łóżku. Nie chciała zostać sama. Pode-rwała się, chcąc biec do drzwi, lecz zatrzymał ją jednym ruchem głowy.

– Och, St. Bride! – Złożyła dłonie niemal jak do modlitwy, lecz gdy otworzył drzwi, lament zamarł jej w gardle. Wysoka postać wypadła gwałtownie z ciemności i rzuciła się na niego z furją.

Kłęczącą na łóżku Kayleigh przeraziła własna bezradność. Chciała rzucić się na pomoc St. Bride'owi, lecz obydwaj mężczyźni miotali się z taką szybkością, że nie mogła ich rozróżnić. Widziała, że St. Bride i widmowa postać walczą o pistolet, lecz wkrótce potoczyli się po podłodze i zniknęli z zasięgu jej wzroku. Wyskoczyła z łóżka, sądząc, że

teraz wreszcie zdoła przyjąć St. Bride'owi z pomocą. Ledwie jednak zdołała dotrzeć do progu, huknął strzał i usłyszała, jak czyjeś ciało pada bez życia na schody.

– *Mo chridhe!* St. Bride! – krzyknęła, wybiegając za drzwi. Nie zwracając uwagi na swój negliz, zbiegła po stopniach na dół. Musiała wiedzieć, co się stało z St. Bride'em. Musiała!

W mroku dostrzegła ciało leżące bezwładnie u podnóża schodów. Krzycząc raz po raz *Mo chridhe! Mo chridhe!*, podeszła ku niemu ze zgrozą. Zbliżyła się ostrożnie do nieruchomej postaci, lecz nim zdała sobie sprawę, co się naprawdę wydarzyło, rozbłysła świeca i stanął przed nią Rackrent z dymiącym pistoletem w rękę.

– W porządku, St. Bride! Oczywiście Pinelander, w dodatku wyjątkowo wredny! Musiał wejść do środka przez okno. Co to był za strzał! Nie narobiłem tyle hałasu, odkąd czarny niedźwiedź wlaź mi w buraki cukrowe! – Rackrent kopnął trupa w zbielełą twarz.

Oniemiała Kayleigh dopiero teraz pojęła, że nie był to St. Bride, lecz Pinelander przeżywany przez nią w myślach „szczapą”. Leżał twarzą do ziemi, na nieheblowanych deskach podłogi. Był martwy. Z rany na piersiach sączyło się nieco krwi. Jego towarzyszy, zwalisty idiota, siedział przy nim, kiwając się trwożliwie w kącie. Najokropniejszy wydał jej się jednak makabryczny uśmiech wykrzywiający wargi zabitego.

– Nie patrz tam! Nie patrz! – Dotyk St. Bride'a kazał jej przyłgnąć do niego. Czowała, że wciąż jeszcze dyszy po walce, czowała też chłód metalu. W rękę nadal trzymał pistolet, z którego nie zdołał wystrzelić.

– Myślałam, że to pan zginął!

– Czyżby cię to martwiło? – Przytulił ją do nagiej piersi, patrząc, jak Rackrent wyjaśnia trzem rozespanym braciom-baptystom, którzy mają wynieść trupa z oberży.

– Proszę tak nie mówić! – Wzdrygnęła się, kiedy najmłodszy i zarazem najmocniej zbudowany z braci zarzucił sobie zwłoki kościstego Pinelandera na plecy.

– Czyżbyś się o mnie bała? – St. Bride bacznie się w nią wpatrywał, a potem z dziwnym wyrazem twarzy dotknął jej wilgotnych od łez rzęs.

– Ja... ja... – Nie mogła znaleźć właściwych słów, lecz przyciągnęła go do siebie i zaczęła całować z niespodziewaną dla niej samą gwałtownością. Nie dbała o to, że stoi w samej bieliźnie, nie dostrzegając zgorzszonych spojrzeń baptystów. Nie oderwała się od niego, póki nie zyskała pewności, że St. Bride rozumie, jak wielką odczuła ulgę.

Kiedy ich wargi się rozdzieliły, nadal miotają ją sprzeczne uczucia. Ten pocałunek więcej znaczył dla niej niż dla niego. Wiedziała, że jeśli

nie będzie ostrożna, stanie się w nieunikniony sposób częścią prowadzonej przez niego osobliwej, niebezpiecznej gry. Nagle jednak zrozumiała, że przestało ją to zupełnie obchodzić. Przez cały ostatni rok musiała rozpaczliwie walczyć o przetrwanie. Tej nocy wszystko się zmieniło. Przetrwanie nie było już jej jedynym celem.

– Wracaj na piętro, Kayleigh. Wszyscy się na ciebie gapią. – Dotknął jej cienkiej koszuli, a potem spojrzął na baptystów.

– Kiedy mam wracać?

– Natychmiast. Pozwól mi pomówić z Rackrentem. – A więc odtrącał ją. Co prawda, przyczyną był raczej niepokój niż obojętność. Kiwnęła głową i wspięła się po schodach ze swoim własnym niepokojem. Nie obejrzała się za siebie.

Kiedy wrócił, na dworze wciąż jeszcze było ciemno. W izbie na dole panował już zupełny spokój, a krzepcy baptysty powinni byli, jej zdaniem, uporać się z pogrzebaniem Pinelanderą jeszcze przed brzaskiem. Łóżko zatrzeszczało pod ciężarem St. Bride'a. Wyciągnął ku niej rękę, a ona tym razem pozwoliła mu się objąć bez protestu.

– Moja miła, co znaczy *mo chridhe*?

– Czarny kot. Może pan wierzyć albo nie! – Zaśmiała się, choć trochę niepewnie.

– Wątpię, czy myślałaś o kocie, wykrzykując to razem z moim nazwiskiem, kiedy pędziłaś w dół po schodach. – Dotknął jej policzka. Zaniepokoiliła się. Jakże mało ich dzieliło w sensie czysto fizycznym! Tylko cienki, biały batyst i grube spodnie z kozłej skóry, zniszczone od konnej jazdy.

– Nieważne. To szkockie wyrażenie bez szczególnego znaczenia. – Poczula, że jego ręka powędrowała ku jej biodrom. Spojrzała na siebie i w szarym świetle świtu zobaczyła, że uniósł jej koszulę o wiele za wysoko.

St. Bride sporo się widocznie po niej spodziewał, bo uszczyptał ją w ucho, a potem tak pocałował w szyję, że jęknęła.

– No powiedz mi, co znaczy *mo chridhe* – dopytywał się.

– Nic nie znaczy. – Palce St. Bride'a rozsypały tasiemki jej koszuli, obnażając częściowo jedną z piersi. Dotknął językiem jej czubka.

Kiedy poczuła, że ogarnia ją gwałtowne podniecenie, uśmiechnął się szeroko i spytał:

– Powiedz mi, *mo chridhe*, chcesz jeszcze?

Odpowiedziała tylko słabym skinieniem głowy.

– Czy mam z ciebie siłą wydostać odpowiedź, dziewczyno?

Uśmiechnął się uwodzicielsko. Kiedy zaś wciągnął ją pod siebie, jej śmiech zabrzmiał dźwięczniej niż szklane dzwoneczki. Choć pragnęła

dotyku jego dłoni na piersi, on trzymał ją na jej biodrze, głaszcząc je, póki dojmująco wręcz nie zapragnęła, by posunął się jeszcze dalej. Wreszcie zrobił to, dając wyraźnie do zrozumienia, by rozchyliła uda. Chętnie mu się podporządkowała, ale jej kolejny jęk nie świadczył o satysfakcji.

– Och, nie, nie mogę... – Nagle odepchnęła go z całej siły. Za każdym razem, kiedy próbowała rozsunąć nogi, czuła dotkliwy ból. Wykluczone, nie mogli się kochać.

– W porządku. Nie musisz mi już mówić, co znaczy *mo chridhe*, lecz będę cię tak nazywał. Lubię, kiedy wymawiasz to słowo. – Chciał ją pocałować. Pokręciła głową odmownie, bojąc się bólu w razie, gdyby nastąpił jakiś dalszy ciąg.

– Nie czas teraz na udawanie dziewczęcej nieśmiałości, moja miła. – Uśmiechnął się kwaśno, sądząc, że Kayleigh tylko się z nim droczy.

– Nie mogę – jęknęła ponownie.

– Możesz, możesz. – Przycisnęła ją do siebie. – Założę się, że nie zawsze stroiłaś takie fochy.

– Nie rozumie pan! – Przygryzła wargę, tłumiąc jęk. – Jestem taka obolała... Wszystko przez tę jazdę!

Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Wszystko mnie boli! Za długo siedziałam na koniu!

– Niebywałe! – Spojrzał na nią gniewnie. – Powiedz mi, że to nieprawda!

– Nie mogę! Och, nie teraz! Boli!

Rozdrażniony uderzył pięścią w oparcie łóżka, tak głośno, że mógłby zbudzić umarłego. Zsunął się z niej natychmiast. Po kilku sekundach, kiedy wreszcie na niego spojrzała, leżał na plecach i bez słowa patrzył w belki sufitu. Dopiero po dłuższej chwili odważyła się odezwać, widząc, że i jemu nie jest lekko:

– Przepraszam. Tak mi przykro...

– Długo tego pragnąłem. Myślałem, że już nadszedł czas, Kayleigh. – Przymknął oczy, jakby nawet i teraz cierpiał.

– Od dawna nie jechałam tak długo na koniu. Nic na to nie poradzę! Przecież ja chciałam... – Głos jej się załamał. Jego udręka nie była jej wcale obojętna.

– Pewnie po jutrzejszej jeździe nie poczujesz się lepiej.

– Obawiam się, że nie. – Szukała go wzrokiem w ciemności, lecz daremnie. Poczwała nagle na ustach jeden zapierający dech pocałunek. Potem St. Bride wstał z łóżka.

– Proszę mnie nie zostawiać! – krzyknęła, nie rozumiejąc, czemu ją porzuca. – *Mo chridhe*, dokąd pan idzie?!

– Na dół – uciał. Poprawił na sobie odzienie i ruszył do drzwi.

– Czy to moja wina? Nie widzi pan, że ja... tego chciałam?

Zatrzymał się. Nawet na nią nie spojrzął, jakby i to było nieznośnym cierpieniem.

– Może mnie nie rozumiesz, ale widzieć cię i chętną, i niezdolną to udręka, której nawet ja nie umiem znieść. – Urwał. – Śpij. Ruszamy za dwie godziny. – Z tymi słowami zatrzasnął głośno drzwi. Usłyszała jego kroki na schodach.

Zgnębiona opadła na poduszki. Martwiła się i złościła, oskarżając go o wszystko; o to, że jest obolała i że tak zawiedzione zostały jej nadzieje. Kiedy jednak ułożyła się porządnie w łóżku, zatęskniła za ciepłem i wygodą, jakie dawało jej jego zgięte ramię. To, że leżała w jego objęciach było wprawdzie czymś zupełnie nowym, lecz zarazem bardziej naturalnym niż wszystkie osty i tartany z Inverness. W chwilę później zdumiało ją jeszcze coś: St. Bride nazwał ją *mo chridhe*. *Mo chridhe!*

Uśmiechnęła się z czułością. Czy wiedział, że po szkocku znaczy to „moje serce”?

22

Jazda po drogach z pni drzewnych była koszmarna. Przy każdym podskoku Diany Kayleigh krzywiła się niemiłosiernie, czując rozdzierający ból w mięśniach ud. Kiedy przejeżdżali przez porośnięte sosnami pustkowia, zdumiewało ją, że kiedykolwiek mogła uważać podróż do Wolf Island za dobry pomysł.

Pozostawał jednak St. Bride. Znów zaczęła rozpamiętywać wypadki poprzedniej nocy. Sosnowe lasy zdawały się nie mieć końca, a gorący, lipcowy wiatr szumiał w zielonych koronach nad ich głowami. Nie zauważała tego. Rozmyślała za to, z głęboką zmarszczką między brwiami, nad potęgą fizycznego uroku St. Bride’a. Należało się z nią liczyć! Bez żadnego przymusu z jego strony straciła wtedy kontrolę nad sobą. Najpierw zyskał władzę nad jej ciałem, a później coraz częściej zaczął pojawiać się w jej myślach. Czyżby potem miała przyjść kolej na duszę, a może i na serce? Och, jak mogło do tego dojść!

Spojrzała na jego plecy. Koszula była mokra od potu. Zachowywał się okropnie! Przez cały dzień zbywał jej próby nawiązania rozmowy

monosylabami, aż wreszcie dała za wygraną i wiele kilometrów przejechali w milczeniu. Westchnęła; strużki potu spływały jej między piersiami. Męczył ją upał. Była przygnębiona. Jakże tęskniła do innej ochłody niż zimna obojętność St. Bride'a!

– Zakończymy naszą jazdę w Darien. Stamtąd popłyniemy rzeką Altamahą do Sound. – Wreszcie zaczął mówić pełnymi zdaniami!

– A później? – Skręcała się z bólu. Jaka szkoda, że nie jest mężczyzną. Wtedy nie musiałyby znosić męczarni, jakich przysparzało jej wrzynające się w plecy damskie siodło.

– Później dotrzemy do Wolf Island. – Oczy mu nagle rozbłysły. – Życie jest tam o wiele łatwiejsze, Kayleigh. Zawsze byłem tego zdania.

– Oby to była prawda – westchnęła. Jednak gdy pochwyciła jego spojrzenie, a radosne, a zarazem niepokojące podniecenie, którego po raz pierwszy zaznała zeszłej nocy, poczęło w niej narastać, zwątpiła we własne słowa.



Wody Altamahy zaniósły ich do Wolf Island. Przybywali bez zapowiedzi, musieli więc dopłynąć do wyspy, na której St. Bride trzymał barkę służącą w sezonie jako skład bawełny. Puch bawełniany z Sea Island czepiał się jej włosów i sukni, lecz Kayleigh tak się cieszyła, że jazda na Dianie już się skończyła, że przestała zwracać uwagę na swój wygląd.

Po przyplnięciu na Wolf Island St. Bride wołał iść ścieżką wzdłuż piaszczystej plaży, zamiast brukowanym gościńcem wiodącym wprost do domu.

Wyczerpana Kayleigh bez słowa brnęła za nim po piasku, mając nadzieję, że wkrótce będą mogli odpocząć. Wszelkie przykre wrażenia znikły jednak bez śladu, kiedy okrążyli ostatnie piaszczyste urwisko. Mogli teraz widzieć ciemne fale Atlantyku obmywające łagodnie wybrzeże Georgii. Wąski sierp księżycy w nowiu wyglądał niczym połowa jej srebrnego naszyjnika. W jego poświęceniu podeszła do wody i zaczerpnęła jej w stuloną dłoń, pozwalając przeciekać chłodnym, pianistym strużkom między palcami.

– Pięknie tu, prawda? – rozległ się z tyłu głos St. Bride'a.

– Bardziej niż pięknie – szepnęła.

– Co teraz o tym myślisz? – Podeszedł bliżej i uniósł jej słone od morskiej wody palce do ust.

– Ten sam ocean bije o brzegi szkockiej ziemi, prawda? – Popatrzyła na mroczniejący horyzont, lecz ujrzała tylko granat przechodzący

w czerń. W dali leżała Szkocja. Nostalgia owładnęła nią z taką mocą, że chętnie uciekłyby tam wplaw, gdyby miała siłę.

- Chodźmy do domu.
- Tak. Jestem zmęczona.
- Zapewnię ci wypoczynek.

W gęstniejącym mroku objął ją łagodnie w talii. Razem szli wzdłuż plaży, póki wśród nadmorskich wydm nie zarysowała się kopuła domostwa.



Życie wydawało się jej teraz snem. Dni wypełniało morze, piasek, niebo, a noce jedwab, atlas i wino. Było to zbyt pięknie, aby mogło być prawdziwe.

Wolf Island okazała się istnym cudem, a nawet czymś więcej, balsamem, który sobie wymarzyła tamtego deszczowego wieczoru w Nowym Orleanie. Zniknął jej strach przed złowrogimi zakusami kuzyna, przestała się lękać, czy przeżyje do następnego dnia.

Ulokowano ją w sypialni o ścianach wybitych zielonym jak mięta adamaszkim. Oprócz wspaniałego łoża z wiśniowego drewna, które wspierało się na czterech kolumnach, była tam również mahoniowa toaletka. Kayleigh mogła się do woli przeglądać w stojącym na niej flamandzkim lustrze. Gdy w osłupieniu podziwiała te wspaniałości, czarna służąca imieniem Maddie dołożyła wszelkich starań, by ją wykapać, nakarmić i ułożyć do snu.

Traktowano ją zupełnie jak panią domu. Usługiwano jej, miała nawet niewolnika, który zwał się Cooper London i czuwał nad nią za każdym razem, kiedy szła nad morze, albo kiedy przyszło jej nagle do głowy, żeby, płynąc łodzią z biegiem Altamahy, obejrzeć pola bawełny. Doszła do wniosku, że pobyt na Wolf Island to nieustające święto.

Przeszkadzały jej jednak dwie rzeczy.

Pierwszą był fakt, że drugiego dnia po ich przybyciu niewolnicy hałaśliwie uczcili powrót swego pana. Spytała wtedy Maddie, czy rzeczywiście im go brakowało. Murzynka wyjaśniła, że St. Bride nie zagląda na Wolf Island przez większą część roku. Więc jej plantator z Georgii wcale nie był plantatorem z Georgii! Maddie powiedziała jej też, że St. Bride nawet stąd nie pochodzi. Gdy jednak Kayleigh chciała się dowiedzieć, skąd tu przybył, Maddie nie udzieliła jej odpowiedzi i poradziła, żeby „sama go o to spytała”.

Drugą rysą na tej wspaniałej całości okazały się suknie. Przysłano je w paru wyplatanych koszach z wikliny i wykładanych fioletowym

papierem pudłach. Maddie wyjmowała każdą z nich po kolei, otrzępywała i układała na łóżku.

– A więc tak to jest... – szepnęła do siebie Kayleigh, biorąc do ręki szczególnie kosztowne nakrycie głowy z błękitnymi piórami i patrząc na stos brokatowych sukien, czepeczków, adamaszkowych gorsetów i bastytowych koszul – kiedy się zostanie czyjąś kochanką.

– Och, ależ one są wspaniałe! – Maddie, rozpakowując szczególnie piękny strój ze srebrzystej gazy, spojrzała na nią z niesmakiem.

– Jakież mają być – rzekła Kayleigh z goryczą. St. Bride okazał się dżentelmenem w każdym calu; obdarzał ją względami, lecz po tygodniu dał jednak do zrozumienia, że oczekuje spełnienia tego, co zapowiadała noc w oberży Rackrenta. Zaczęła nawet za nim tęsknić, tym razem jednak była to tęsknota podszyta smutkiem.

Wiele o nim myślała w ciągu ostatniego tygodnia. Wiele też myślała o sobie i o tym, kim naprawdę była. Nie mogła dłużej ukrywać przed sobą, że chciałaby zostać żoną St. Bride’ea, nim mu się odda. Tylko że mężczyźni nigdy nie żenią się z kochankami. Nawet ona o tym wiedziała.

Wychodząc z pokoju, nie odwróciła się na okrzyk Maddie: „Czyż nie podobają się pani suknie?!” W holu zdecydowała, dokąd chce pójść. Przeskakując po dwa stopnie naraz, wbiegła na trzecie piętro, gdzie znajdowały się pokoje St. Bride’a. Nie zamierzała jednak stawać z nim twarzą w twarz. W każdym razie nie teraz. Odnalazła za to małe drzwiczki po prawej stronie zakratowanego świetlika na końcu holu. Otworzyła je i po kręconych schodach weszła do wnętrza kopuły, gdzie osunęła się na wyściełane krzesło. Tylko tu mogła być całkiem sama i oddawać się rozmyślaniom.

Dom na Wolf Island, o wiele większy, niż sobie wyobrażała, miał ściany oszalowane kamienną wykładziną i łamany przyczółek nad głównym wejściem. Wyglądał oryginalnie, a zarazem pięknie, zwłaszcza że stał blisko plaży. Pokoi było w nim bez liku: salon, biblioteka, jadalnia, pomieszczenia dla służby, gotownia, zielone sypialnie, błękitne sypialnie, żółte sypialnie... W żadnym jednak nie mogła być zupełnie sama z wyjątkiem kopuły, którą odkryła już pierwszego dnia, obchodząc całe domostwo.

Spojrzała na plażę. Biały piasek migotał w świetle słońca. Nadchodziło południe. Popatrzyła w dal, na błękitną wodę i zastanawiała się, jak odwlec to, co wydawało się nieuniknione, i jak uniknąć požądania, nie odsuwając nieuniknionego. Było gorąco, nie była w stanie myśleć. Skupiła uwagę na morzu, gdzie fale, nieświadome jej trosk, obojętnie rozpryskiwały się na skraju plaży.

Na dole pojawiła się jakaś postać. Był to, rzecz jasna, St. Bride, który, jak każdego dnia, szedł popływać. Kayleigh widywała już wcześniej, jak to robił, lecz obserwowała go wówczas z wygodnego miejsca przy oknie własnego pokoju, a nie z tego korzystnego, lecz może niezbyt etycznie wybranego punktu.

Zupełnie jakby poczuł sobie czyjś wzrok, St. Bride podniósł dłoń do oczu. Wiedziała wprawdzie, że nie mógł jej widzieć, ale jednak poczuła ciarki na plecach. To jej przecież zdawał się wypatrywać. Wreszcie ujrzała, jak wzrusza ramionami, rozbiera się do naga i znika w morzu.

Czas zdawał się stać w miejscu, gdy patrzyła na jego codzienne zmagania z żywiołem. Pływał tam i z powrotem, pozwalając wodzie chłodzić swoją zbrązowiałą od słońca skórę. Gdy w końcu wyszedł na brzeg, widać było, że jest wyczerpany, lecz nadal zachowywał dumną, wyprostowaną postawę. Mógłby służyć greckim rzeźbiarzom jako model. Nie był jednak zimną statua z marmuru, lecz prężnym mężczyzną o zdrowym, ogorzałym ciele.

– Hej, jest pani tam na górze? – Czar prysnął, gdy usłyszała niski głos Maddie.

– Tak, tutaj. – Kayleigh spojrzała w dół, na kręcone schody. Maddie, wspierając ręce na obfitych biodrach, mierzyła ją pogardliwym spojrzeniem.

– Nie podobają się pani stroje? Coś takiego! Co nasz pan na to powie?

– Niech sobie mówi, co chce. Nie prosiłam go o nie! – Kayleigh uniosła podbródek do góry.

– Toż pani jest jego pieścioszką. Po co dąsać się niby głupi dzieciak?

Kayleigh nie odpowiedziała. Maddie wtykała nos w nie swoje sprawy! Gwałtownie odwróciła głowę ku morzu. Nagle znalazła rozwiązanie. Trochę co prawda tchórzliwe, ale czemu nie miałyby go spróbować? A nuż okaże się skuteczne?

Maddie rzuciła jej jeszcze jedno pogardliwe spojrzenie.

– Pewnie, może się pani bez nich obyć i dalej chodzić w tej jednej starej kiece. Mnie tam wcale nie wadzi, że będę lepiej odziana niżli moja własna pani! Ani trochę mi nie wadzi!

– Maddie – rzekła z udaną nonszalancją Kayleigh, nie patrząc jej w oczy – czy mogłabyś poprosić Coopera Londona, żeby zabrał mnie do Darien?

– Po co do Darien? Toż ma pani wszystko, czego tylko...

– Doprawdy? – Kayleigh usiłowała przybrać niewinny wygląd, ale bystrości Maddie nic nie mogło umknąć.

– Zamyślasz coś złego, moja pani, widzę po tych przebiegłych niebieskich oczkach! Co to znowu za pomysł?

– Chcę tylko popłynąć do Darien z Cooperem Londonem, ale czy ty się zgodzisz? – Kayleigh z irytacją uniosła brwi.

– Owszem, lecz co nasz pan powie, jeśli mu tam jakiegoś brzydkiego figła spletasz? – Maddie zeszła po schodach, dudniąc głośno stopami i potrząsając głową.

Po jej odejściu Kayleigh pobiegła do sypialni. Chwyliła trzy najładniejsze kapelusze i stroik z błękitnymi piórami, wepchnęła je do koszyka z wikliny, a potem wypadła z pokoju, nie czesząc się nawet.

Godzinę później siedziała już w niewielkiej łodzi, którą kierował zwalisty czarnoskóry młodzieniec, Cooper London, i płynęła w górę Altamaha. Wiklinowy koszyk budził ogromną ciekawość chłopaka. Kayleigh nerwowo miętosiła w palcach materiał sukni, zastanawiając się, czy dobrze robi. Wreszcie rzekła niepewnie:

– Cooper, wiem, że pan ci o tym nie mówił, ale jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

– Tak, pani. – Cooper uśmiechnął się szeroko. Kayleigh poczuła, że po ucieczce będzie jej brakować jego uśmiechu.

– Możesz mi wierzyć, nie musisz się martwić, co pan na to powie, bo ja nie zdradzę tego nikomu. – Odkaslnęła i spojrzała na niego błagalnie, nim zaczęła mówić ponownie. – Chciałabym wiedzieć, po pierwsze, gdzie pan St. Bride kupuje wyroby modniarskie. No wiesz, kapelusze, takie dla kobiet. A po wtóre – znów odkaslnęła – gdzie w Darien płaci się za podróż statkiem. – Miała nadzieję, że skonfundowany chłopak zapomni wkrótce o rozmowie, kiedy tylko wydobędzie z niego odpowiedź.

– Myli się pani. Jego Wysokość nie dba, czy ja wiem o podobnych rzeczach. – Cooper wiosłował z całych sił, jego muskularne ramiona pokrywał pot.

– Jego Wysokość? Ja mam na myśli twego pana – powiedziała zdumiona.

– Jego Wysokość i nasz pan są tą samą osobą.

– Doprawdy? – spytała z niedowierzaniem. Nagle poczuła zawrót głowy. Dobry Boże, czyżby... nie, niemożliwe! To byłoby zbyt straszne. – Dlaczego nie nazywasz go „panem”? Nie kazał ci się właśnie tak do siebie zwracać?

– Nie.

– Ale przecież on jest twoim panem! Czemu więc nazywasz go inaczej? – Rozpaczliwie usiłowała wyjaśnić tę kwestię. Z pewnością Cooper coś poplątał. Musiał poplątać, bo choć podejrzewała St. Bride’a o posiadanie tytułu, nie miała pojęcia, że chodzi o taki tytuł!

– Proszę mi wybaczyć, ale Jego Wysokość nie jest moim panem. On jest wielkim panem, a to różnica! – Cooper zwolnił tempo wiosłowania. Dopytywali do Darien.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Może wyjaśnię to inaczej. Wie pani, że jest takie miejsce, co się nazywa Londyn? Całkiem jak ja, tyle że leży za oceanem. – Wskazał palcem na morze. – Mógłbym tam pojechać, jakby mi się tylko chciało. W tym właśnie różnica.

– Chcesz mi powiedzieć, że jesteś wolny? Czy pan St. Bride nadał ci wolność?

– Tak, pani. My tu na Wolf Island wszyscy jesteśmy wolni. Możemy sobie chodzić, gdzie tylko chcemy. – Znow przyspieszył tempo, a wiosła zdawały się śmigać w powietrzu.

– A więc czemu tego nie robisz? Na świecie jest tyle wspaniałych miejsc! Cooper wzruszył obojętnie ramionami.

– Skoro wszędzie można być wolnym, wolno też zostać tam, gdzie się było przedtem.

– Bardzo słusznie – szepnęła do siebie, czując, że srebrny naszyjnik zaczyna uciskać jej szyję, a powietrze jest duszne i wilgotne.

– Dokąd teraz pani pójdzie? Ja znam to miasteczko jak własną kieszeń. – Cooper znowu się uśmiechnął. – A Jego Wysokość rad będzie, że zabrałem jego miłą, gdzie tylko się jej podobało.

– On jest księciem, prawda, Cooper? Dlatego mówisz o nim Jego Wysokość?

– A jakże, pani, księciem.

– Księciem – powtórzyła jego słowa jak echo. Cały jej świat legł w gruzach. Co teraz pocznie?

23

W sklepie potraktowano Kayleigh z większą podejrzliwością, niż się spodziewała, lecz w końcu otrzymała zwrot pieniędzy za strojne nakrycia głowy z piórami. Ewa, tęga bawarska modystka, poszła do

pomieszczenia z tyłu sklepu i powróciła ze słowami: Oczywiście, zrobimy wszystko dla Herr St. Bride'a, po czym wcisnęła jej do ręki ciężką jedwabną kieskę, uśmiechając się dyskretnie na pożegnanie.

– A teraz chodźmy do nowej przystani, Cooper. – Odetchnęła z ulgą, gdy wreszcie opuściła pełen wstążek sklepik.

– Już załatwione, proszę pani? – spytał Cooper, pilnie bacząc, by żaden gburowaty prostak nie wszedł im przypadkiem w drogę. Doprawdy, jest wzruszający, pomyślała, kiedy szli ku niewielkiemu, nowemu nabrzeżu. Cooper był niezwykle lojalny. Kayleigh zastanawiała się, czy St. Bride należycie docenia tego pracowitego, przystojnego młodzieńca.

– Chciałabym pomówić z komendantem portu, Cooper. Wrócę niedługo. – Uśmiechnęła się, zachwycona pobrzękiwaniem monet w swojej kieszeni. Znowu czuła optymizm godny Kestrel.

– Pójdę razem z panią.

– Och nie, Cooper. Zajmij się tymczasem łodzią. To potrwa tylko chwilę.

– Pójdę z panią, żeby się upewnić, czy wszystko w porządku. – Cooper pochylił kornie głowę, i widać było, że będzie się trzymał co do joty poleceń St. Bride'a. Musiała więc ustąpić. A jeszcze przed chwilą podziwiała jego ślepa lojalność! Kręcąc głową, poszła wraz z nim do komendanta.

Nazywał się Farrell Stalwart. Wystarczył rzut okiem na tego chytrego, niedużego człowieczka, żeby zrozumieć, że natknęła się na przeszkodę. Starła się, by sprawiać wrażenie osoby godnej zaufania. Ostatecznie – rzekła sobie w duchu – kiedy już zapłacę za podróż, co na to poradzi St. Bride? Zauważyła z zadowoleniem, że Stalwart ma na sobie spodnie nie lepsze niż te, które suszyły się w cieniu siedzib robotników portowych. Wydawało się pewne, że nie odmówi przyjęcia od niej pieniędzy.

– Czy to St. Bride panią przysyła? – Ledwie zdołał wymówić te słowa, jej nadzieje gwałtownie zmalowały. Jakże małym portem był Darien! Każdy tu zdawał się doskonale wiedzieć i o niej, i o jej związku z St. Bride'em, mimo że dotąd nie wysunęła nosa poza Wolf Island.

– Nie, nie mówię w imieniu pana Ferringera – zaczęła niepewnie i zerknęła na stojącego z tyłu Coopera. Czarnoskóry młodzieniec robił, co mógł, żeby udawać obojętność, lecz oczywiste było, że zważa na każde jej słowo. – To moja własna sprawa. Czy mógłby mi pan powiedzieć, kiedy wpłynie do portu pierwszy statek ze Szkocji? – Zwilżyła językiem wargi, zastanawiając się, co powiedzieć Cooperowi w drodze powrotnej. Musiała przecież w jakiś sposób uspić jego podejrzania.

– Port jeszcze nie działa. Statki pojawiają się tu najwcześniej w przysłym tygodniu. – Komendant portu przyglądał jej się z nieufnością.

– Więc kiedy po jego otwarciu przypłynie do Darien pierwszy statek ze Szkocji? – dociekała zdenerwowana.

– Pierwszy statek z Glasgow nie zacumuje tu przed... – Stalwart poślinił brudny palec i przerzucił kilka wykazów. – Ach, mam go! „Briney Marlin”. Przybędzie w pierwszych dniach sierpnia. – Serce Kayleigh podskoczyło z radości. – A odpłynie pod koniec września. – Serce podeszło jej gwałtownie do gardła.

– Tak długo będzie stał w porcie? Aż do września? – Wyciągnęła szyję, usiłując odcyfrować nabazgraną niedbale notatkę, która zniweczyła wszystkie jej plany.

– Długo?! Niech pani spróbuje powiedzieć to tym sukin... tym biednym ludziom, co przez prawie dwa lata harowali tu na brzegu! Przykro mi, ale „Briney Marlin” nie odpłynie przed 30 września 1746 i nie ma na to rady!

Kayleigh próbowała obliczyć w myśli, na ile tygodni St. Bride będzie musiał powrócić do Belle Chasse. Czy zabawi tam aż tyle czasu? Nie miała jednak wyboru.

– Chciałabym popłynąć na nim do Szkocji. – Przeklinała siebie za drżenie głosu. Nie wolno było jej zrobić fałszywego kroku. Nigdy już nie będzie miała lepszej sposobności powrotu do Mhor. A kiedy się tam znajdzie, zdoła wreszcie dowieść, kim naprawdę jest. Wszystkie ponure myśli dotyczące St. Bride’a zeszyły na dalszy plan. Powróci do Szkocji jako zupełnie inna kobieta. Jako dama. Dama, której St. Bride mógłby się oświadczyć, obojętnie, czy jest księciem, czy nie! Pragnęła teraz tylko jednego: żeby spełniło się hołubione od dawna marzenie.

Ku jej niebywalej uldze, Farrell Stalwart bez zastanowienia przyjął od niej pieniądze. Wydał jej resztę ze złotych monet, po czym umoczył w atramencie mizerne pióro.

– Pani nazwisko?

– Nazwisko? Nazwisko... – Przygryzła wargę, nim w końcu zdołała wyjąkać: – Kayleigh Kerr.

Jakże to pięknie zabrzmiało!



Wróciła z Cooperem na Wolf Island jeszcze przed wieczorem. Po tym, co – jak uważała – było pouczającą przemową na temat złych następstw gadulstwa, pożegnała się z nim przed domem. Była zbyt podniecona, by pójść prosto do siebie. Miała ochotę wspiąć się na kopułę

i patrzeć, jak słońce chowa się za horyzontem. Tym samym horyzontem, ku któremu popłynęła za niespełna dwa miesiące. Nie było jej jednak dane dotrzeć na górę.

– Kayleigh, nie podziękowałaś mi za suknie. – St. Bride siedział przy kominku w salonie, w głębokim fotelu. Byстрыm spojrzeniem ogarnął cały hol, zatrzymując je w końcu na niej, kiedy zmierzała ku schodom. – Chodź tutaj, moja miła. Musimy porozmawiać.

Niechętnie weszła do salonu, zamykając za sobą drzwi w tej samej chwili, w której skinął jej głową. Usiadła na taborecie.

– Nie podziękowałaś mi za nowe...

– Nie prosiłam o nie. Naprawdę. – Spuściła oczy i utkwiała wzrok w dywanie. Na pewno jest francuskiej roboty, pomyślała, starając się jak najdłużej odwlec chwilę nieuniknionej wymiany zdań. Studiowała jego zielono-różowy, kwiatowy deseń.

Ten brak uwagi wyraźnie zirytował St. Bride'a.

– Czy ich chciałaś, czy nie, dostałaś je, więc teraz je noś. – Uniósł jej dłonią podbródek.

– Nie chcę być pańską faworytą, którą się stroi, a potem bawi się nią wedle woli. – Odepchnęła jego rękę.

– Masz szkaradne wyobrażenia o czymś, co samo w sobie wcale szkaradne nie jest. – Jego głos był zimny jak lód.

– Powiedziałam już, nie będę pańską kochanką. Nie mam zamiaru dzielić z panem łoża w zamian za prezenty. Zrobiłabym to po ślubie, ale nie za stroje, klejnoty ani za wszystkie złoto...

– Wiem – przerwał jej.

To szybkie i nieoczekiwane przytaknięcie zupełnie ją zaskoczyło.

– Czymże są suknie, jeśli nie zapłatą za moje... – urwała gniewnie. Po chwili ciągnęła dalej: – Czego pan ode mnie chce, jeśli nie... – Nie potrafiła się przemóc, by wymówić te słowa.

– Wiesz zatem, czego chcę. Osiągnę to, prezentami albo i bez prezentów. Mogłabyś chyba uważać mnie za bardziej inteligentnego, prawda? Zauważyłem, że gardzisz moimi darami. Nie jestem aż takim głupcem, by sądzić, że teraz zrobią na tobie wrażenie.

– A więc po co mi je pan ofiarowuje?

– Bo ich potrzebujesz. Jesteś zbyt piękna, byś chodziła obdarta jak pomywaczka.

– Przecież musi pan wiedzieć, że ja ich nadal nie chcę...

– Chcesz. – Pięknie wykrojone wargi St. Bride'a wykrzywiły się w przewrotnym uśmiechu. – Powiem ci jedno: nie będę czekał w nieskończoność.

– W jaki sposób chce mnie pan skłonić, żebym... – Niewiarygodne! Arogancja tego człowieka nie przestawała jej zdumiewać.

– Czemu nie pozwalasz mi na strojenie cię? – Wyciągnął rękę, żeby pogładzić ją po włosach. – Przebierz się teraz do obiadu. Maddie czeka na ciebie.

– Myli się pan co do jednego... – urwała i wyszła z salonu.

– Sprostuj moją omyłkę. – Wstał z fotela.

– Będzie pan czekał w nieskończoność. – Uśmiechnęła się lekko i poszła do swojego pokoju.

Kiedy weszła do sypialni, podbiegła do toaletki. Wsparła się na jej mahoniowym blacie, odsuwając gwałtownym ruchem wszystkie nietknięte kryształowe słoiczki z pudrem i emaliowane z różem. Ujęła głowę w dłonie i z rozpaczą spojrzała na swoje odbicie.

Wszelką wdzięczność względem St. Bride'a niweczyły jego agresywne żądania. Spojrzała na sterty jedwabiu, atlasu i brokatu, nadal leżące na łóżku.

Zirytowana, zapragnęła nagle umalować się i zejść na obiad w swoich nowych, wspaniałych strojach, nie dbając ani trochę, czy będzie to stosowne, czy nie.

– No i co, ubierzemy się ładnie dziś wieczór? – Maddie wsunęła się do sypialni z kilkoma wonnymi, laurowymi świecami.

– Sama to zrobię, dziękuję ci, Maddie.

Kayleigh z pewnym ociąganiem poszła do garderoby wybitej czerwonym pruskim adamaszkiem. Zaraz jednak wróciła.

– Gdzie jest moja stara suknia? Myślałam, że ją tam powiesiłaś.

– Pan kazał mi wyrzucić ten łachman. – Maddie zacisnęła usta, najwyraźniej czekając na jej wybuch złości.

– Kazał ci wyrzucić moją własność, na którą uczciwie sobie zapracowałam, nie pytając mnie o zdanie? – Kayleigh wzięła się pod boki. W jej oczach błysnął gniew. – Pięknie! Zobaczmy, jak mu się spodoba w którejś z tych sukienek!

– Którą pani wybierze? – Maddie podeszła do garderoby, Kayleigh za nią.

– Która jest według ciebie najładniejsza? – spytała w chwilę później, prawie niewidoczna spoza mnóstwa jedwabnych strojów, rozwieszonych właśnie przez Maddie w zdobionej markietery szafie.

– Najładniejsza? – powtórzyła za nią Maddie.

– Tak. – Kayleigh wynurzyła się zza tęczy atlasów i brokatów. – Chcę wybrać najpiękniejszą, najozdobniejszą z nich. Właśnie ją włożę na dzisiejszy wieczór.

– A czemu? Dzisiaj przecież nie żadne święto. – Maddie wyglądała na zaskoczoną.

– Chyba ta, prawda? – Kayleigh uśmiechnęła się i wyciągnęła spośród innych suknię z ciężkiego, bordowego brokatu, stosowną tylko na wyjątkową okazję.

Kiedy była już gotowa, przejrzała się w zwierciadło. Pociągnęła wargi różem ze słoiczka, brwi uczerniła henną, upudrowała twarz. Wyglądam wprost niesłychanie, powiedziała sobie, rzucając ostatnie spojrzenie w lustro. Włożyła sztywną, brokatową krynolinę i pasujące kolorem halki. Wielowarstwowy ubiór ciążył jej nieznośnie, lecz chciała wyglądać naprawdę efektownie i uważała, że ten właśnie strój będzie nadawać się doskonale.

Podziękowała Maddie. Służebna nie odpowiedziała, tylko przełknęła nerwowo ślinę. Potem Kayleigh, chcąc uprzedzić wszelkie jej protesty, z mściwą satysfakcją wyruszyła do jadalni.

Kiedy ukazała się w drzwiach, St. Bride już tam siedział. Najpierw spojrzął na suknię, uszytą z wielu metrów kosztownej tkaniny, potem na stanik, opinający ją ciasno w talii, a wreszcie zatrzymał przez dłuższą chwilę wzrok na dekolcie. Z mieszaniną triumfu i strachu Kayleigh czekała, kiedy popatrzy na jej twarz.

Minę miał nieprzeniknioną. Co prawda w jego źrenicach zamigotał ostrzegawczy ognik, lecz jawnie zignorowała go i odważnie usiadła za stołem.

– Jak się panu podoba? – spytała z zapartym tchem.

– Suknia? Przecież sam ją wybierałem – odezwał się w końcu, wstając, by jej towarzyszyć.

– Jakże się cieszę, że pochwała pan mój wybór. Nie mam teraz nic własnego, skoro kazał pan Maddie wyrzucić moją starą sukienkę. Chciałam wyglądać dziś pięknie. – Wzięła serwetkę, starając się okazywać taki sam chłód i opanowanie, jak on.

– Tak, pochwalam. – Jego spojrzenie prześlizgnęło się po dekolcie. Skóra Kayleigh, w kontraście z nasyconą barwą bordowego jedwabiu, nabrała teraz odcienia bladoróżowych morskich muszli. St. Bride wydawał się usatysfakcjonowany jej szczodrnie odsłoniętym dekoltem. Takie przynajmniej odniosła wrażenie.

Z makijażem było jednak inaczej. Ledwo zdołała zawiązać serwetkę na szyi, złapał ją i przejechał nią gwałtownie po jej policzkach i wargach, ścierając cały róż. Rzuciła się w tył, ale St. Bride złapał ją za kark, i dokładnie usuwał najmniejszą nawet smużkę henny z brwi. Zatrzęsła się ze złości, on natomiast wyglądał na bardzo zadowolonego. Rzucił

zabrudzoną serwetkę młodemu czarnoskóremu lokajowi i bezzwłocznie zażądał czystej.

– Co za zachowanie! Ciągłe mnie pan upokarza! – zawołała gniewnie, próbując dłonią ochłodzić piekące policzki.

– A ty mnie wciąż do tego zmuszasz – odciął się, spoglądając przełotnie na łańcuszek wokół jej szyi.

Obiad przebiegł w niewesołej atmosferze. Podano rybę z Altamahy i dzikie szparagi. Choć jedzenie było znakomite, St. Bride jadł szybko, jakby w ogóle nie czuł smaku potraw, a Kayleigh ledwie spróbowała wspaniałej ryby leżącej na przepięknym półmisku. Siedziała przygnębiona i pocieszała ją jedynie myśl o podróży na „Briney Marlinie”. O Boże, jak bardzo pragnęła popłynąć do Szkocji, a potem wrócić tu z istic królewską godnością, tak żeby musiał błagać ją o przebaczenie!

Zanim przyniesiono deser, zdecydowała, że dokona drobnej zemsty. Posłała St. Bride’owi jadowite spojrzenie i nawiązała do rozmowy z Cooperem.

– Cooper London powiedział mi, że wszyscy tutejsi czarni są wolni. Czy to prawda?

Mruknął potakująco, podnosząc do ust kieliszek wina.

– Jakie to wielkoduszne ze strony... – tu zrobiła pauzę – Jego Wysokości.

St. Bride z głośnym stuknięciem odstawił kieliszek na stół, jakby tym gestem chciał potwierdzić swój tytuł. Niejasne napomknięcia Rackrenta i pani Storrowton, podobnie jak jego władcze zachowanie na pokładzie „Balcraiga” nabrały nagle sensu. Choć przejmowało ją to lękiem, czuła też triumf z powodu odkrycia jego sekretu.

– A więc jest pan księciem. Czy mam pana tytułować Jego Wysokością? – spytała cicho.

– Zapuszczasz się na niebezpieczny teren, moja droga – odparł spokojnie.

– Nie myłę się chyba?

– Jeśli jestem księciem, to doprawdy bardzo żalonym. Przecież siedzę tu z tobą w Georgii, a nie w Londynie, jak wszyscy inni książęta.

Nie rozumiała, co ma na myśli.

– Chyba nie zawsze. W końcu nie mieszka pan tu przez okrągły rok, a zatem resztę czasu spędza pan w Londynie. – Uniosła swój kieliszek i z satysfakcją upiła z niego dwa spore łyki.

– Kayleigh, nie zajmuj się tą kwestią. – Wsparł łokcie o stół, dłonie złożył razem. Przez cały czas wpatrywał się w jej twarz pokrytą resztkami rozmazanej szminki.

- Mam jednak rację. Nie zaprzecza pan.
- Tutaj, w Georgii, nie jestem żadnym księciem.
- Znów mówi pan to samo – rzekła z irytacją.
- Powiedziałaś mi przecież, że wolałabyś kolonialnego plantatora, no i dostał ci się plantator. Powinnaś być zadowolona.
- Tak, wolę plantatora, ale prawdę jeszcze bardziej.
- Prawdę! – St. Bride rzucił serwetkę na stół. – Czy ty mi kiedykolwiek powiedziałaś prawdę o sobie? Jak śmiesz wymagać jej ode mnie?!
- Spojrzał na wchodzącą do jadalni Maddie. Kayleigh również.

Służąca podeszła do stołu:

– Wasza Wysokość ma gościa. – Rzuciła ukradkowe spojrzenie na Kayleigh i chociaż starała się nie pokazywać tego po sobie, Kayleigh domyśliła się, że ze zgrozą patrzy, jak St. Bride obszedł się z jej makijażem.

– Gdzie on jest?

– W bibliotece. – Maddie wskazała na drzwi do holu.

Po jej wyjściu St. Bride oznajmił:

– Nie przerywaj sobie, moja droga. Wróć za chwilę.

Wstał, nim jednak opuścił jadalnię, Kayleigh wybuchnęła:

– Pan jest księciem! Księciem!

Roześmiał się i pogładził ją po głowie opiekuńczym gestem.

– Jaki tam książę może być z... jakże ty mnie nazwałaś? Z dzikusa?

Długo zastanawiała się nad odpowiedzią. W końcu zdołała wydusić z siebie tylko jedno słowo:

– Groźny!

Zmarszczył czoło, lecz w końcu wzruszył ramionami i wyszedł do biblioteki, obiecując wkrótce wrócić.

Zdecydowała się nie tykać ostatniego dania, brzoskwiń w winnym sosie,wołąc poczekać na jego powrót w salonie. Nie było tam jednak ani książek, ani przyborów do haftowania. Kiedy po upływie godziny St. Bride wciąż nie wracał, skorzystała ze sposobności i udała się do sypialni.

Oświetlały ją świece w kilku srebrnych lichtarzach. Od razu uderzyła ją jakaś nieokreślona zmiana, lecz przypisywała to zniknięciu sterty sukien z łóżka. Znużona rozpięła stanik, zrzuciła buty i zaczęła rozsznurowywać suknię. Coś jednak przykuło jej wzrok i kazało zastygnąć bez ruchu. Dostrzegła złotawy błysk w pościeli, z której Maddie starannie ściągnęła kape.

– Coś podobnego! – wykrzyknęła, podchodząc bliżej. Na poduszce ujrzała złotą monetę. Przerazająca myśl przemknęła jej przez głowę. Sięgnęła pod kołdrę. Ze zgrozą przekonała się, że było ich tam więcej,

porozrzucanych po śnieżnobiałym prześcieradle niczym guziki. Rozumiała już, co wydało jej się w pokoju obce: na toaletce leżały trzy kapelusze. Wyglądały aż nazbyt znajomo, a w jednym z nich rozpoznała przybrany błękitnymi piórami stroik, zwrócony przez nią w sklepie tegoż popołudnia.

– Niech go diabli! – syknęła cicho. – Niechże go diabli! – zawołała głośniej. Z bezsilną wściekłością wybiegła z sypialni i popędziła na dół. Myślała tylko o tym, że koniecznie musi stanąć oko w oko z St. Bride'em i raz wreszcie wziąć nad nim górę, czy był księciem, czy nie!

Z rękami zaciśniętymi w pięści przekradła się chyłkiem przez hol. Ten nędznik musiał być teraz w bibliotece. Och, jak mu się udało pognać ją i tym razem!

Kiedy tam wchodziła, była zdecydowana postawić sprawę jasno. Zatrzymała się na progu szerokich drzwi i spojrzała na niego z całą wściekłością, na jaką było ją stać.

St. Bride nawet się nie poruszył. Siedział w skórzanym fotelu i obojętnie wpatrywał się w wielki, mahoniowy regał pod filarem. Pomimo burzliwego wtargnięcia Kayleigh zdawał się nie zauważać jej obecności. Bębnił tylko palcami po obiciu fotela.

– Kto panu powiedział? Cooper? – szepnęła głucho, przytrzymując obydwoma rękami rozsznurowaną suknię.

– Farrel. – St. Bride wpatrywał się w swoje palce. – To prostak, owszem, ale lubi złoto i podobnie jak inni ludzie w tym mieście wie, że najłatwiej znajdzie je u mnie. Musisz wiedzieć, że sporo mu dziś zapłaciłem, wliczając w to pieniądze dla modystki, która zwróciła kapelusze. – Jakby czując jej bezsilną wściekłość i pragnąc nadal ją dręczyć, wyciągnął brudną kartkę i wskazał wypisane na niej, nieczytelne nazwisko. – Tylko że Farrel nie przyszedł wyłącznie z powodu modystki. Nie, przyszedł po to, żeby dać mi ten świstek. Listę pasażerów statku „Briney Marlin”. Choć nie potrafię odcyfrować jego gryzmołów, mogę się domyślać, że chodzi o ciebie. – Rzucił pergaminowy zwitek na stolik do herbaty. – No i co teraz, Kayleigh?

Niezdolna powstrzymywać dłużej żalu i gniewu wskazała srebrny łańcuszek na szyi:

– Proszę to ze mnie zdjąć! Jeśli muszę być traktowana jak więźniarka, niech przynajmniej nie noszę kajdanów!

Podszedł do niej, mówiąc tonem bardziej szorstkim niż zwykle:

– To nie miały być kajdany, tylko prezent.

– Jeszcze jeden niechciany prezent!

Odparł z gryzącym sarkazmem:

– Jeśli przyjmiesz go z wdzięcznością, może ci go zdejmę. – Wziął ją za ramiona i potrząsnął gniewnie: – Czy przestaniesz wreszcie wszystko psuć? Chciałem tylko twojego dobra!

– Rzeczywiście. Świetnie mnie pan zna! A myślałam, że jesteśmy sobie niemal obcy... Wasza Wysokość! – Rzuciła mu tytuł w twarz jak wyzwisko.

– Obcy? Niech to licha, nie! – Przycisnęła ją brutalnie do swojej piersi. Guziki jego złocistej kamizelki zawadziły o jej gors. Nie otarły jednak skóry, raczej wzmogły rosnące z każdą chwilą podniecenie. Jakby wyczuwając jej skryte pragnienia, ręka St. Bride'a wsunęła się za rozsznurowany stanik sukni, ujmując jedną z piersi. Gdy Kayleigh nie mogła już dłużej wytrzymać jego dotyku, zamknęła oczy.

– Niech pan przestanie! – krzyknęła w końcu. – Tak się nie godzi!

– Nie chcę przestać! – rzucił z furją. Jego ręce nie były już delikatne. – Może się i nie godzi, ale nauczyłem się, że wolno mi zwyciężać każdym możliwym sposobem.

– Nie wolno panu! – szepnęła ochryple. Wyrwała mu się i wbiegła na schody, z całych sił starając się nie rozplakać.

24

Następnego ranka Maddie pomagała Kayleigh przy ubieraniu. Musiała rozstrzygnąć dylemat: poranny strój z bawelianej satyny, czy lekka jedwabna suknia wedle francuskiej mody? W końcu jej wybór padł na lniany adamaszek barwy lodowego błękitu.

Kayleigh, mimo irytacji, pozwoliła oddać sobie tę przysługę. Jedwabne tasiemki były już ciasno zasznurowane. Kiedy wyciągnęła rękę po fiszbiny do gorsetu, Maddie błyskawicznie podała jej coś, co okazało się kawałkiem kości, a nie używanego w gorącym klimacie srebra. Rozbawiona Kayleigh pomyślała, że jeśli nie potrafiła sprzedać w Darien własnych kapeluszy, to od kogo, zdaniem St. Bride'a, mogłaby wycyganić parę groszy za srebrny pręcik? Z zawziętością wpięła kościaną pałeczkę w gorset.

– Poradzę sobie z resztą, Maddie. Dziękuję. – Wsunęła stopy w pantofelki z różowego jedwabiu z trudem zasługujące ma miano obuwia i zapięła stanik ze zwykłego niebieskiego atlasu.

– Strasznie dzisiaj parno. – Maddie zwróciła wielkie, pełne wyrazu oczy ku oknu. Kayleigh mogła w dali dostrzec wydmy, rozpalone w porannym

słońcu. – Lepiej, żeby pani wróciła potem i rozebrała się. Zaciągnę zasłony, żeby w pokoju było ciemno.

– Dziękuję, Maddie, mnie upał nie szkodzi – odparła chłodno, choć czuła strużki potu spływające między piersiami. Spojrzała w lustro, niepewnie podciągnęła stanik wyżej i nerwowo ułożyła włosy tak, by długie pasmo opadało na gors. Westchnęła głęboko i zeszła na śniadanie.

Jego Wysokość, jak go z sarkazmem w myśli nazywała, siedział już przy stole i patrzył na nią znad filiżanki kawy. Choć wiedziała, że wciąż gniewał się z powodu jej nieudanej ucieczki na statku „Briney Marlin”, jej wygląd wzbudził w nim szczere uznanie. Pozwolił sobie nawet na nieznaczny uśmiech.

– Niektórzy byliby może zdania, że to nazbyt strojna suknia jak na tak wczesną porę. – Skierował wzrok prosto na nią. – Ja jednak uważam, że dokonałaś doskonałego wyboru.

– Cieszę się. Stanie się ona teraz moją ulubioną suknią. Obiecuję nosić ją codziennie, póki nie zacznie się panu robić mdło na jej widok. – Głos Kayleigh był słodki jak czekolada, którą właśnie nalewał lokaj. Ona też gniewała się na St. Bride’a.

– Jeden punkt dla ciebie! – Uniósł filiżankę w geście uznania. Stawiając ją głośno na spodku, pozwolił jej zacząć śniadanie.

Nie miała jednak apetytu. Ukradkiem spoglądała na niego przez długi stół, zazdroszcząc mu opanowania. Miał na sobie tylko spodnie płowego koloru, czarne buty i cienką batystową koszulę. Zjadła trochę świeżych jeżyn, lecz nie tknęła czekolady. Para unosząca się z filiżanki wydała jej się w tym upale czymś nieznośnym. Przy takiej pogodzie nawet lekka, adamaszkowa suknia była torturą.

Śniadanie ciągnęło się bez końca. Siedziała sztywno, bo każdy zbędny ruch sprawiał, że jej piersi i ramiona pokrywały się potem. Poczwała niewymowną ulgę, kiedy St. Bride odłożył serwetkę, dając tym samym znak, że śniadanie dobiegło końca.

– Czy idzie pan dzisiaj na pola ryżowe? – spytała. Miała nadzieję, że nie powiedziała tego tonem zdradzającym zbyt duże zainteresowanie, ale modliła się w duchu, żeby sobie wreszcie poszedł. Czuła, że się dusi. Pragnęła wrócić do swego pokoju i rozebrać się do koszuli.

St. Bride wymijająco wzruszył ramionami. Siadł po tej samej stronie stołu co ona i przypatrywał się jej. Upał zdawał się rosnać wraz z jego baczny spojrzeniem. Kayleigh musiała w końcu przetrzeć zwilżoną serwetką czoło i skronie. Pocałował ją lekko w szyję. Poczwała, że spróbował językiem jej słonego potu.

– Będzie ci mnie brakowało? – spytał.

– Wręcz przeciwnie, pana nieobecność sprawi mi ulgę. – Odsunęła się od niego, wachlując piersi serwetką.

– Może tak, a może nie. – Zdobył się na wymuszony uśmiech i odszedł.

Opuściła jadalnię z niesmakiem. Gdy tylko znalazła się u siebie, usiadła przy oknie i przystąpiła do żmudnej czynności zdejmowania odzienia. Zostawszy w samej koszuli, zaczęła poruszać wachlarzem zrobionym z wysuszonych liści palmy. Obyż zaczął wiać jakiś wietrzyk, pomyślała, ściągając przesiąkniętą wilgocią bieliznę znad rowka między piersiami. Spojrzała tęsknie z okna na turkusowe wody Atlantyku. Och, przecież to znakomity sposób na ochłodę, pomyślała. Czyż tylko St. Bride'owi należał się przywilej pływania?

Czy jednak mogła się na to poważyć? Potrząsnęła głową, chcąc odpedzić nawet samą myśl o pływaniu. St. Bride mógł wcześniej wrócić z pół ryżowych i wpaść na taki sam pomysł. Nie chciała kolejnej sprzeczki. Istniała też możliwość, że przeszkodzi jej jakiś służący albo robotnik, również szukający ochłody w morzu. Nikt nie powinien oglądać jej mokrej i prawie nagiej.

Rzecz jasna, umiała pływać. Koło Mhor było zbyt wiele jezior, żeby mogła wyrzec się tej dziecięcej rozrywki. Nie robiła jednak tego od dawna, odkąd skończyła dwunasty rok życia i uznano ją oficjalnie za damę.

Upał był jednak nie do wytrzymania, nawet w jej zaciemnionej sypialni. Przypomniła sobie czasy, kiedy jako dziecko uwielbiała pływanie w zimnym jeziorze. Marzyła, by choć na chwilę zanurzyć w wodzie rozpalone ciało. W końcu poniechała wszelkiej ostrożności i nałożyła ponownie adamaszkową suknię. Zasznurowała stanik na co drugą dziurkę, gotowa do podjęcia ryzyka.

Powoli ruszyła w stronę wydym. Serce biło jej gwałtownie, lecz lekko. Jeżeli ktoś ją przyłapie, będzie to zła wróżba. Jednak na widok skrzącego się, błękitnego morza poczuła, że gra jest warta świeczki.

Szybko rozebrała się do koszuli. Bała się trochę o naszyjnik, lecz jednocześnie miała nadzieję, że jeśli zgubi go w oceanie, będzie to słuszna nauczka dla St. Bride'a. Wchodząc do wody, obejrzała się za siebie, chcąc zyskać pewność, że jedyną żywą istotą poza nią jest błękitna czapla, prawie tak duża jak ona sama, która uniosła się spoza wydym niby feniks powstający z popiołów. Roześmiała się, kiedy chłodna fala niespodziewanie zrosiła jej czoło. Śmiało skoczyła w zimne wody Atlantyku.

Minęła cała godzina, nim pomyślała o powrocie. Wyłynęła w morze dalej, niż sobie zamierzyła, lecz spędziła cudowne pół godziny,

pływając na plecach. Zdała sobie wreszcie sprawę, że jej nieobecność trwa za długo i ktoś może ją spostrzec. Płynąc do brzegu, zaczęła szukać wzrokiem swojego ubrania. Z początku nie mogła go dostrzec i pojęła, że za bardzo oddaliła się od brzegu. Wreszcie znalazła właściwy kierunek. Wtedy właśnie dostrzegła St. Bride'a stojącego na pustej plaży nad jej suknią.

– *Mise-an-dhuit!* – wykrzyknęła w myśli po gaelicku, odgarniając pasmo włosów od ust. Pochyliła głowę jak najniżej i zastanawiała się, co począć.

Może pozostanę w wodzie, dopóki nie utonę, pomyślała ze złością. St. Bride mógłby ją jednak znaleźć, nim to nastąpi, a wtedy bez wątpienia sam ją utopi. Mogła też popłynąć do plaży i przemknąć się niepostrzeżenie do domu. Uznała, że to jedyny sposób, by wymknąć się St. Bride'owi, skierowała się więc do odległego zakątka plaży, gdzie nikt nie mógł jej zobaczyć.

Kiedy dopłynęła do brzegu, była zupełnie wyczerpana. Wychodząc ukradkiem z sięgającej jej do pasa wody szukała wzrokiem St. Bride'a, lecz nie ujrzała nikogo. Czyżby wrócił do domu? A może... Odwróciła się właśnie w chwili, gdy wychynął z morza i rzucił się ku niej. Na jego twarzy malowała się nieskrywana wściekłość.

Z krzykiem odskoczyła w tył, jakby był mitycznym koniem morskim i zamierzał wciągnąć ją w głąb oceanu. Zamiast tego St. Bride wyciągnął ją z wody na brzeg, a potem chwycił w pól i zaniósł, niby pakunek, jakieś sto metrów dalej, gdzie leżała jej suknia. Dopiero wtedy spostrzegła, że jest całkiem nagi. Odwróciła się, zaczerwieniona aż po korzonki włosów. Szok ujrzenia St. Bride'a, tak przerażającego nawet w ubraniu, dźwigającego ją i kompletnie gołego, był czymś więcej, niż mogła znieść. Nie chciała na niego patrzeć.

– Myślałam, że poszedł pan na pola ryżowe! – krzyknęła.

– Zabiłbym cię! Zabił! – wysapał, nie zważając na jej słowa. – Mój Boże, zobaczyłem twoją suknię i zrozumiałem, że od dawna cię tu nie ma. Wiesz, co sobie wtedy pomyślałem?

– Nnie – wyjąkała.

– Że utonęłaś! – warknął. Wycisnął wodę z włosów i przetarł twarz rękami.

– Myślałam, że poszedł pan na pola ryżowe – powtórzyła niemądrze. Wciąż jeszcze nie śmiała odwrócić głowy i spojrzeć na niego.

– Nie pójdę tam więcej. Pewnie miałaś nadzieję, że pokąsają mnie komary i dostanę febry?

– Wcale nie! – zaprotestowała, czekając, aż się uspokoi.

Kiedy się jednak uspokoił, zaczął przyglądać się jej półnagiemu ciału. Nie była, co prawda, całkiem naga, miała przecież na sobie naszyjnik i koszulę. Musiała jednak osłonić piersi rękami, bo mokry batyst był teraz niemal całkiem przezroczysty.

– Jak śmiałaś zrobić coś podobnego – wychrypiał wreszcie, wciąż rozgniewany.

– Przecież poszłam tylko popływać. Pan to robi codziennie! – broniła się.

– A jakże, moja ty świetnie ułożona damo wysokiego rodu – parsknął sarkastycznie – Pluskałaś się w wodzie prawie naga!

Chwycił ją za ramiona. Jego oczy błędziły po jej mokrej, przylegającej do ciała koszuli. Dokończył schrypniętym głosem:

– Nie... trochę lepiej niż prawie naga.

Oddychała ciężko, nie mając odwagi spojrzeć na swoje piersi. Wiedziała tylko, aż za dobrze, że może dostrzec różowe sutki prężące się pod przejrzystą tkaniną. Zdawała sobie też sprawę, jak nieprzystojnie jej koszula przylega do ud, uwidaczniając trójkąt czarnych włosów. Pełne lęku oczy nie chciały oglądać St. Bride'a. Przez chwilę szczerze pragnęła, by jej serce przestało bić tak głośno, jak głośno uderzały o plażę fale.

– Ja... – zaczęła.

– Nie – przerwał jej – nie mów nic! Absolutnie nic. – Oczy rozbłysły mu, gdy zażądał: – Przyjrzyj mi się.

Wiedziała jasno, czego chce. Nie odwróciła głowy. On jednak znów zażądał, tym razem gwałtowniej:

– Przyjrzyj mi się, mała czarownico!

Zaskoczona jego tonem, posłusznie stanęła twarzą do niego. Dostrzegła tylko opaloną skórę, czarne włosy i prężne mięśnie. Popatrzyła mu w oczy.

– To za mało. Jeszcze raz. Tylko teraz rób to wolniej. – Jego spojrzenie zmusiło ją do posłuszeństwa.

Zaczęła od szyi, odchylając głowę nieco w tył, by ogarnąć go wzrokiem całego. Szyję miał mocną, ramiona – czego się zresztą spodziewała – szerokie, masywne i smagłe. Piersi pokrywały czarne kręcone włosy. To również wiedziała. Nie przypuszczała jednak, że te pokryte kropelkami morskiej wody włosy zwięzają się w klin ku dołowi i prawie nikną w okolicy jego smukłych bioder, by pojawić się ponownie w... Szybko skierowała spojrzenie znacznie niżej, ku udom, również owłosionym i masywnym. Nogi miał długie i kształtne. Znowu spojrzała na jego twarz. Uśmiechał się szeroko.

– Czy bardzo jestem odrażający?

– Nie – przyznała.

Uniósł rękę i ściągnął wilgotną koszulę z jednego jej ramienia. Potem z drugiego. Kiedy doszedł do piersi, sprzeciwiła się gwałtownie:

– Nie tutaj... proszę. Ktoś może zobaczyć!

– Nikt nie zobaczy. Stanowczo powinnaś była pomyśleć o tym wcześniej, kiedy wybierałaś się popływać. – Zdarł jednym szarpnięciem koszulę z jej piersi i przyciągnął ją do siebie. Wilgotne włosy wciąż miał związane z tyłu. Spojrzała na jego arystokratyczny, prosty nos, który jednak na samym grzbiecie zakrzywił się nieznacznie, jakby kiedyś został złamany. Nim zdołała się powstrzymać, dotknęła szorstkiej skóry jego policzków, ogolonej bez wątpienia tego ranka przez kóregoś z licznych służących. Jej wargi rozchyliły się w nieświadomym zaproszeniu.

Uniósł ją w ramionach i powoli położył na sukni, której spódnica wyglądała jak srebrnobłękitny, adamaszkowy wachlarz.

– Mój Boże, doprowadzasz mnie do szaleństwa! Czy jestem uwodzicielem, czy uwodzonym? – spytał cicho.

Nie mogła pozwolić sobie na takie zapomnienie. Dla Kayleigh było ono czymś haniebnym, dla Kestrel – prawie niemożliwym. Postanowiła jednak, że mu zaufa, tylko ten jeden, jedyny raz.

– Co z ciebie za czarodziejka! Pachniesz piękniej niż jaśminy w Karolinie i masz słodszy smak niż brzoskwinia z Georgii!

– St. Bride – szepnęła, przytrzymując kurczowo jego muskularne ramię – ja chcę...

– Wiem, czego chcesz, wiem – nie pozwolił jej dokończyć. Wciągnął ją pod siebie. Patrząc jej prosto w twarz, rzekł z zadowoleniem:

– Ty przewrotna dziewczyno, wiedziałem, że ci się to spodoba. Lubię cię właśnie taką, uwodzicielską i piękną. Nie myśl, że pragnę anioła. Anioły za młodo umierają! – Po tych słowach jego ręce ześlizgnęły się ku jej biodrom.

Kayleigh pomyślała, że to bardzo mądre słowa. Nad nimi świeciło słońce, za nimi piętrzyły się rozpalone wydmy, a ich dzieliły od siebie tylko krople wody, pot i kruchy bastion niewinności, który miał niedługo runąć.

– To prawda. Nie jestem aniołem – szepnęła mu do ucha. Po raz pierwszy w życiu była z tego rada. Pragnęła go teraz, tutaj, nad morzem. Z turkusowymi oczami i porywczym usposobieniem przywodził jej na myśl ocean. Wszystko naokoło zdawało się sprzyjać jej pragnieniu. Nie sprzyjało jednak niewinności.

Uchwycił jeszcze mocniej jej biodra i powiedział cicho:

– Teraz cię wreszcie mam, ty moje ciemnowłose kochanie!

Skinęła głową, a on uniósł ją ku sobie i jednym potężnym ruchem wszedł w nią. Do samego końca.

Niespodziewany, przeraźliwy ból sprawił, że Kayleigh odrzuciła głowę w tył, wydając gardłowy krzyk. Odepchnęła go oszołomiona, chcąc, żeby ją natychmiast puścił. Wyczołgała się spod niego i upadła w piasek, chcąc znaleźć się jak najdalej od mężczyzny, który ją zranił.

– Jezu Chryste! – wykrzyknął St. Bride, patrząc ze zgrozą na czerwoną strużkę spływającą między jej udami. – Jezu Chryste! – Oniemiały, z pobladłą twarzą, podszedł do klęczącej na piasku Kayleigh. Ona jednak wstała chwiejnie, schwyciła mokrą, pokrytą piaskiem koszulę i zaczęła biec.

– Zraniłeś mnie! – krzyknęła. – Wiedziałeś, że mnie zranisz! Świadomie chciałeś mnie zranić!

– Nie! – Próbował do niej podejść i wziąć ją w ramiona, lecz ona cofała się przed nim w popłochu. Pospiesznie naciągnęła zabrudzoną koszulę i uciekła, wiedząc, że nie będzie próbował jej zatrzymać. Patrzył w ślad za nią, kiedy biegła do domu.

Potarł skronie, szukając ubrania. Kątem oka dostrzegł jej przepiękną, kosztowną suknię, na której również były ślady krwi. Klnąc głośno, kopnął ją, zasypując plamy piaskiem.

25

Powinna była wiedzieć, co z tego wyniknie. Powinna była wiedzieć, że coś równie cudownego skończy się w sposób równie straszny. Kayleigh, skulona przy oknie, patrzyła, jak ostatnie promienie słońca barwią na różowo obłoki nad horyzontem. Morze było spokojne, a na wieczornym niebie pojawił się już księżyc, chociaż o wiele bledszy niż w nocy. Nie płakała.

Czerpała osobliwe zadowolenie z tego, że jej serce po prostu zamieniło się w kamień. Kiedyś, dawno temu, była ufna i naiwna. Gdy dała kosza Straughtowi, podśmiewały się wraz z Morną z jego oświadczyn. Wydawało się absurdem, by Kayleigh, tak młoda i świeża, chciała poślubić podstarzałego, nieokrzesanego kuzyna ich ojca. Nie przypuszczały, że okaże się tak bezlitosny w dążeniu do celu.

Łza spłynęła jej powoli po policzku. Starła ją palcem, po czym znów zaczęła patrzeć w okno. Chciała tylko tego, co dane było Mornie

– kogoś, kogo mogłaby darzyć miłością i zaufaniem. Teraz wiedziała, że nie jest to St. Bride.

Druga ła stoczyła się po jej twarzy. Potem trzecia. Nie zadała sobie trudu, by je wycierać. Tak, nie należało mu ufać. Wciąż sobie przecież powtarzała, że łączyły go z jej kuzynem jakieś podejrżane interesy i że nic dobrego z jego strony jej nie spotka. Unikała go, jak mogła. A tam, na plaży, uwierzyła nagle, że stanie się coś wspaniałego. Każde jego dotknięcie, każdy pocałunek kazały jej sądzić, że naprawdę pragnie tego, co w końcu nastąpiło, pragnie dojmująco.

Mylili się jednak. Osłoniła piersi rękami, jakby chciała się przed czymś bronić. Ból i krew okazały się zupełnym zaskoczeniem. W Mhor niewiele wiedziała o naturze związku między mężczyzną a kobietą. Potem znalazła się nagle w Nowym Świecie. Razem z Bardolfem żyła wprawdzie z kradzieży, lecz rozumiała, co właściwie robią nierządnicę, nad rzeką spotykała ich przecież wiele. Te kobiety miewały nieraz całe tuziny klientów, lecz sądziła, że ich rzemiosło jest w najgorszym razie czymś bardzo uciążliwym, nigdy zaś tak bolesnym, jak to, czego doznała dzisiaj na plaży. Sprzedawanie się mężczyznom za pieniądze było niemoralne, ale czy było też jednym rozdzierającym bólem?

Uniosła do warg drżącą dłoń. Musi obmyślić nowy plan ucieczki. „Briney Marlin” odpłynie bez niej! Przeklinała dzień, kiedy spotkała St. Bride’a.

Obracając w palcach ogniwa srebrnego naszyjnika, zaczęła zastanawiać się gorączkowo, co robić. Chciała wrócić do Szkocji, obojętnie, w jaki sposób, i nigdy więcej nie oglądać St. Bride’a. Choć mdliło ją na myśl o tym, co się tam dziś wydarzyło, z ponurą miną wpatrywała się uparcie w wydmy. Nie kochał jej. Nie wierzył ani trochę w to, co mu o sobie mówiła. Wziął ją niby uliczną dziewczkę, dając w zamian tylko ból. Musi od niego uciec!

A jeśli serce będzie ją bolało? No to zostawi je na plaży Wolf Island i już.



– Czy Wasza Wysokość życzy sobie czegoś? – spytała w holu Maddie, gdy St. Bride przechodził koło niej. Było już późno, cała służba spała w swoich chatkach. Maddie jako jedyna służąca nocowała w domostwie. Właśnie miała udać się do swojego pokoju, gdy wzburzony St. Bride, w kosztownym szlafroku z brązowego brokatu, pospiesznie schodził na drugie piętro.

– Nie, nic mi nie trzeba – mruknął w odpowiedzi.

Maddie oniemiała ze zdumienia. Nigdy jeszcze nie widziała swego pana w takim stanie. Był zawsze taki życzliwy i zrównoważony, teraz zaś wcale na takiego nie wyglądał. Twarz miał ściągniętą, a oczy gniewne, choć widniało w nich również coś dziwnie podobnego do... skruchy. Cofnęła się ku ścianie, żeby go przepuścić. Zdumiała się jeszcze bardziej, kiedy St. Bride zatrzymał się przed drzwiami Kayleigh i bez wahania do nich zastukał.

– Przecież to nie jest... – Maddie nie zdążyła dodać „pokój Jego Wysokości”, lecz słowa zamarzyły na jej wargach. St. Bride zawahał się przez moment, stojąc na progu, lecz potem, jakby nie było odwrotu, zatrzasnął za sobą głośno drzwi.

Kayleigh przejęło lękiem jego wtargnięcie, ale udała, że go nie dostrzega. Skuliła się tylko jeszcze bardziej przy oknie.

– Musimy porozmawiać. Słyszysz, co do ciebie mówię, Kayleigh? – St. Bride zbliżył się do niej.

– Widzę, że apetyt ci służy – stwierdził, widząc puste talerze na tacy, która stała przy niej na parapecie. W jego słowach wyczuła pewną ulgę. Postanowiła sobie jednak, że go zignoruje. Zranił ją dotkliwie, więc czemu obchodził go teraz jej apetyt?

– Wziąłem kąpiel. A ty? Myślę, że dobrze by ci zrobiła. – Wyciągnął ramię, chcąc dotknąć jej czarnych loków. Jego ręki zignorować nie mogła, więc skuliła się jak wystraszona kotka.

St. Bride posmutniał.

– Co mam z tobą począć? Znowu mnie zaskoczyłaś. Jesteś jedną wielką zagadką! – Znów wyciągnął rękę, żeby pogłodzić ją po głowie, lecz tym razem cofnęła się gwałtownie.

– Proszę mnie nie dotykać! – Spojrzała na niego z wyrzutem.

– Wszystko stało się tak prędko i nieoczekiwanie. Na Boga, uwierz mi! Nie chciałem...

– Nie dbam o to. Już po wszystkim. Proszę mnie zostawić.

– Nie mogę! – W jego głosie zabrzmiało przygnębienie. – Myślałem o tym przez cały wieczór, Kayleigh. Nie mogę cię zostawić. Nie teraz.

– Dlaczego nie teraz? – Skuliła się jeszcze mocniej, a dłoń aż ją świerzbiała, by sięgnąć po mały nożyk leżący na tacy. Widziała kątem oka, jak połyskuje w blasku świecy. Nóż sprawił, że poczuła się dużo pewniej.

– Pamiętam pewną naszą rozmowę w Belle Chasse. Mówiłaś mi o mężczyźnie, którego pragnęłabyś poślubić. Przypominasz ją sobie?

– Czy to nowe okrucieństwo z pana strony? – syknęła. – Chce mnie pan prosić o rękę? Pan, možny książę... książę... – zająknęła się, zdając

sobie sprawę, że nie zna dokładnie całego jego tytułu. Jej furia wzrosła. – Co pan ze mną zrobił? Nikt mnie teraz nie zechce, a ja nawet nie wiem, jak brzmi pański przeklęty tytuł!

– Mężczyzna raczej weźmie za żonę kobietę bez dziewictwa niż taką, której posiąść nie może.

– Co pan mówi?

– Mówię, że musimy to zrobić znowu. Jeszcze dzisiejszej nocy. W przeciwnym razie nigdy nie zdołasz wybaczyć mi tego, co stało się na plaży. Gorzej, gotowaś nigdy nie wybaczyć mężczyznom. Jeśli chcesz wyjść za mąż, winnaś się nauczyć – najlepiej ode mnie – że nie wszyscy są tacy straszni, a pożycie z nimi nie zawsze sprawia ból.

– Pan oszalał, sądząc, że na to pozwolę. – W geście samoobrony oparła się z całej siły plecami o boazerię.

– Musisz się zgodzić, moja miła. – Znów ją dotknął, lecz tym razem Kayleigh była czujna. W jednej chwili porwała z tacy ostry stalowy nóż, trzymając go przed sobą niczym tarczę.

– Proszę nawet nie próbować! Ma pan piękną twarz – ostrzegła – wiele dam zmartwiłoby się szczerze, gdybym ją pokaleczyła.

Nie wiedziała, czego się po nim spodziewać. Zaskoczenia? Oszłomienia? Wydawało jej się, że dostrzega w jego oczach cień strachu. Nie oczekiwała tylko jednego: że on ją wyśmieje.

– Chcesz mnie oszpecić? Dziwne, że po tym, co się dzisiaj zdarzyło, nie celujesz trochę niżej!

– Do diabła! – Nie mogła już tego dłużej znieść. Przecież tak naprawdę nie zamierzała z nim walczyć i, być może, po chwili zastanowienia doszłaby do wniosku, że St. Bride budzi w niej pewien sentyment. Nie mogła jednak znieść myśli, że pozwoli mu, by zrobił to z nią dziś po raz wtóry. Zamachnęła się, świadoma, że zada mu ból. Zdumiała się łatwością, z jaką wykręcił jej nadgarstek i przyparł ją do boazerii, ale nie spodziewała się z jego strony pochwały. A tymczasem St. Bride rzekł:

– Świetnie! Świetnie! Wolę już widzieć cię właśnie taką, z nienawiścią w oczach, niż jako żałośnie patetyczną istotę, którą zastałem tu wcześniej. Nie mógłbym sobie darować, Kayleigh, gdybyś przeze mnie straciła hart ducha!

– Może pan spać spokojnie. Trzeba czegoś więcej, żeby mnie złamać!

Uśmiechnął się i pocałował jej wewnętrzną stronę nadgarstka, tuż poniżej noża. Trzymał jej dłoń tak mocno, że nie mogła dosięgnąć nim jego twarzy. Gorzej, gdy poczuła na skórze jego ciepłe wargi, dreszczyk,

którego wcale sobie nie życzyła, znów przebiegł jej po plecach. Och, czy świat stanął na głowie?!

– Nie dziś – błagała, gdy odgarnął szafirowy atlas jej peniuaru i obnażył jedną z piersi. Nie dotknął jej, ale zażądał twardo: – Odrzuć nóż!

– Nigdy! – krzyknęła. – Laban miał rację! Może się pan zbudzić z jego ostrzem w plecach!

– Nie zamierzam budzić się w taki sposób, ale nie z obawy przed twoim nożem. – Ścisnął jej nadgarstek jeszcze mocniej. Drugą rękę uniósł do ust i polizał palec wskazujący, a potem przytknął go powoli do jej piersi. Musiała zamknąć oczy. Nie mogła tego znieść.

– Tak, zamknij oczy. Odpręż się. Nie zranię cię teraz – szepnął, kiedy cicho jęknęła. Z bolesną wręcz precyzją krążył raz po raz wilgotnym, ciepłym palcem wokół jej sutka, aż coś w niej drgnęło. Dłoń, w której trzymała nóż, drętwiała coraz bardziej, wodziła więc głową tam i z powrotem po boazerii w niemym proteście. – Odrzuć go, Kayleigh – szepnął. – Nie potrzebujemy go wcale, prawda? – Chwycił za rękojęść, nim zdążyła mu się przeciwstawić. Trzymała wprawdzie nóż z całej siły, lecz nie potrafiła sprostać St. Bride’owi. Prawdziwą bronią przeciw niemu był jej umysł, ale gdy czuła to, co teraz, nie potrafiła przytomnie rozmawiać.

– Muszę go mieć! Koniecznie! – zaszlochała, kiedy wreszcie odebrał jej nożyk. Usiłowała go co prawda wydrzeć, lecz nadaremnie. St. Bride jednym ruchem rzucił nim tak gwałtownie, że ostrze utkwilo w zielonym adamaszku na przeciwległej ścianie, wbijając się głęboko w tynk.

Teraz, kiedy była bezbronna, wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko. Peniuar rozchylił się i nim zdążyła zaprotestować, St. Bride leżał już na niej, całując jej twarz i szyję.

– Kayleigh, chcę wszystko o tobie wiedzieć. Chcę wyzwolić tę twoją dzikość, która tak mnie pociąga. A kiedy skończymy się kochać, pragnę, żebyś mi powiedziała, kim jesteś i w jaki sposób aż do dziś zachowałaś dziewictwo.

– Nie... nie...

– Nie walcz ze mną. Nie będzie bolało, obiecuję. – Szafir na jej szyi odbijał się w jego oczach. – Moja mała czarodziejko, chcę widzieć w twoim spojrzeniu tylko dzikość i zmysłowość, nigdy smutek. – Z tymi słowami wszedł w nią. Całe jej ciało zesztyniało, czekając na przeraźliwy ból.

A jednak, jak się wkrótce przekonała, nie było bólu. Nie było krwi. Poczowała ogromną ulgę. Wnet jednak coś znacznie potężniejszego zajęło jej miejsce. Wybuchnęła niepoohamowanym śmiechem.

– Z czego się śmiejesz, łobuzico?

- Okazuje się, że to prawda. To nie jest takie straszne!
- Cieszę się. Tylko nie raduj się tym za bardzo.
- Czemu? – spytała ze zdumieniem.
- Bo chcę trochę tej radości zachować dla siebie. – Ujął w dłonie jej twarz i zaczął całować ją tak gwałtownie, aż wreszcie zaczęła błagać go rozpaczliwie, żeby przestał.

26

Kiedy się zbudziła, w sypialni panował mrok i chłód. Drewnianymi żaluzjami poruszał morski wiatr, a promienie słońca przenikały przez szpary między listewkami, kładąc się na suficie.

Okryta tylko lnianym prześcieradłem, przetarła oczy i usiłowała przypomnieć sobie, co się z nią stało ostatniej nocy.

Gdzie był St. Bride?

Rozejrzała się. Rozczarowana, dostrzegła tylko niewielkie wgłębienie na sąsiedniej poduszce. Leżąc na plecach, chłonęła mocny, męski zapach, który przylgnął do jej ciała, włosów, pościeli. Przypomniała sobie teraz wszystko z zadziwiającą dokładnością. St. Bride w ciągu nocy stawał się coraz bardziej bezwzględny, władczy, wymagający. Przypomniała też sobie, że czuła się wyczerpana i zarazem błogo odprężona, gdy głęboko usnęła w jego objęciach. Westchnęła z zadowoleniem. Miała już całkowitą pewność, że niczego nie żałuje.

Odrzuciła prześcieradło, podniosła z podłogi szafirowy peniuar i podeszła do garderoby. Rozmyślania Kayleigh przerwało wejście Maddie ze śniadaniem, a niedługo potem służąca wsunęła się za nią do wybitego czerwonym adamaszkiem pokoiku, żeby pomóc jej w wyborze sukni.

Każdą z nich pochłaniały własne myśli i dlatego zamieniły ze sobą zaledwie parę słów. Kayleigh włożyła strój z fioletowego płótna *toile de Jouy*, i bogato haftowany stanik z białego muślinu. Maddie w milczeniu podała jej harmonizujący z tym ubiorem muślinowy fartuszek.

Nie zwracając uwagi na niezwykłą małowówność Maddie, Kayleigh rozczesła włosy, które zachowały jeszcze trochę zapachu St. Bride'a. Przewiązała je pasującą do całości, prostą fioletową wstążką.

Potem, po zjedzeniu paru z przyniesionych przez Maddie biskwitów, uznała, że gotowa jest ruszyć na spotkanie z ukochanym. Z pewnością chce z nią porozmawiać, bo w nocy nie mówili ze sobą wiele. Dotknęła

dłonią gorących policzków i wtedy dostrzegła zaskoczona, że Maddie patrzy na nią tak przenikliwie, jakby czytała w jej myślach.

– Czy on się z tobą ożeni?

– Co? – Kayleigh odjęła ręce od twarzy.

– Czy Jego Wysokość uczyni cię swoją żoną? Co będzie, jeśli poczniesz dziecko?

– Maddie! Jak możesz mówić coś podobnego?

– Wiem, co się dzieje w tym domu. – Maddie dumnie uniosła głowę.

– Nie wszystko, co się tu dzieje, powinno cię obchodzić. – Głos Kayleigh był chłodny.

– Dziecko pana St. Bride Ferringera obchodzi mnie jak najbardziej.

– Nie zanosி się na żadne dziecko. Czy może mam, twoim zdaniem, za duży brzuch?

Maddie skrzyżowała energicznie ręce na piersi.

– Za dziewięć miesięcy inaczej będziesz śpiewać, dziecino. – Służebna przyglądała się jej ze szczerą troską. – Jego Wysokość jest dobrym człowiekiem, ale ja z niejednego pieca chleb jadłam i wiem, jacy potrafią być ludzie! A to wszystko przez mężczyzn.

– Pan St. Bride dobrze mnie traktuje... – Kayleigh nie zdołała dokończyć.

– Nasz pan też jest mężczyzną. Lepiej ty go raz dwa zaciągnij do ołtarza, dziecino, póki mu się nie odmieni!

Kayleigh patrzyła na nią przez dłuższą chwilę. Małżeństwo? Owszem, myślała o nim, a w gruncie rzeczy bardzo go pragnęła. Tylko czy książe ożeni się z nią, nawet jeśli ona nosi już w łonie jego dziecko?

Targały nią wątpliwości. Księżęta nie poślubiają złodziejek z rynsztoka. Oczywiście, St. Bride mógłby się ożenić z zamożną, dobrze ułożoną szkocką dziewczyną. Aby go jednak przekonać, kim naprawdę jest, musiałyby albo pojechać do Mhor, albo stanąć oko w oko z kuzynem. Nagle poczuła nieznośny ucisk w żołądku. Nadal nie rozumiała, czemu St. Bride tak się z nim spoufalił. Niewiele wiedziała o naturze ich znajomości. I, co gorsza, niewiele wiedziała o tym, kim właściwie jest St. Bride. A jeszcze mniej o jego prawdziwych uczuciach względem niej. Owszem, zeszłej nocy była to namiętność, ale nie padło żadne słowo na temat miłości.

Nadal patrzyła w zadumie na Maddie, lecz po chwili wyprostowała się dumnie i poszła poszukać St. Bride'a. Znalazła go w gabinecie. Pochylał się nad księgami rachunkowymi leżącymi na biurku. Nagle ogarnęło ją onieśmienie. Czowała, że nie potrafi wykrztusić ani słowa. On jednak wyczuł jej obecność i spojrział na nią. Z uznaniem przyjrzał się nowej sukni. Odsunął wreszcie krzesło i wstał, chcąc ją powitać.

– Pięknie dzisiaj wyglądasz, moja miła. Myślę, że wczorajsza noc ci posłużyła. – Pocałował ją w usta.

– A czy posłużyła też Waszej Wysokości? – rzekła powoli.

Uśmiechnął się szeroko. Nie potrzebowała słów, on jednak dał jej odpowiedź.

– Posłużyła mi znakomicie, ale nie nazywaj mnie „Waszą Wysokością”. „Mój kochany” brzmi znacznie przyjemniej.

– A więc mam pana nie tytułować? – Musi zadać mu kilka pytań, inaczej nigdy nie odzyska spokoju ducha. Wysunęła się z jego ramion i naląła sobie herbaty ze srebrnego dzbanka stojącego na pobliskim stole. Choć starała się za wszelką cenę zachować spokój, ręce tak jej się trzęsły, że łyżeczka, którą mieszała śmietankę, wprost dzwoniła o filiżankę, tak że była zmuszona ją odstawić. Siadła na czerwonej wyściełanej kanapce i czekała, co jej powie.

– Nie sądzisz, Kayleigh, że to raczej ja winienem ci zadawać pytania? – Zatrzymał się przed nią i widać było, że jej determinacja wcale mu się nie podoba. – Chciałbym zacząć od najbardziej palącej kwestii. Wybacz mi mój brak delikatności, ale jak to się stało, że... że wczorajszego dnia... znalazłem cię nietkniętą?

– Jestem niezamężna i mam dopiero dziewiętnaście lat, więc nic nie ma w tym dziwnego.

– Chodzi mi o co innego i ty dobrze o tym wiesz. – Uniósł jej podbródek. – Przecież przez całe lata żyłaś w rynsztoku. Czy nie było tam mężczyzn?

– Chciałam pana spytać o Belle Chasse. O te maki...

– Belle Chasse nie ma nic wspólnego z ostatnią nocą. Możemy o niej pomówić później.

– Nie. Teraz.

– Kimże w końcu jesteś?

Patrzyła na niego bezradnie. Dopiero po dłuższej chwili zdobyła się z trudem na odpowiedź.

– Proszę mnie zabrać do Szkocji, tam panu dowiodę, kim jestem.

Potrząsnął głową.

– Owszem, kiedyś tam pojedziemy, jeśli zechcesz, ale ja nie będę czekał tak długo. Powiedz teraz.

Niełatwo było walczyć z jego uporem i dociekliwością.

– Co pan chce wiedzieć?

– Chcę poznać wreszcie twoje sekrety. Chcę wiedzieć, czemu odrzuciłaś wszystko, co ci dawałem albo pragnąłem dać, a kradłaś za moimi plecami rzeczy niewarte nawet nędznej cząstki tego, co ofiarowałbym ci

z przyjemnością. Słowem, chcę wiedzieć, co cię właściwie łączyło z Quinnem.

– Co jeszcze?

– Jak to możliwe, że umiesz czytać i pięknie się wysławiasz, chociaż znalazłem cię wśród mętów, z nożem w rękę, którym w dodatku potrafiłaś posługiwać się z zadziwiającą sprawnością? – Spojrzał na nią ciepło i łagodnie powiódł palcem wzdłuż jej pięknego profilu. – Czy jesteś sierotą? Może tu kryje się wyjaśnienie?

Nie potrafiła znieść tej dobroci ani współczucia dźwięczącego w jego głosie. Cała jej stanowczość stopniała. Po wczorajszej nocy za wszelką cenę pragnęła mu zaufać i pozwolić, żeby otoczył ją opieką. Jej rodzice życzyliby sobie przecież, żeby właśnie tak się stało. Ta świadomość dodała jej nagle odwagi.

– Moi rodzice zmarli. Tak, zostałam sierotą, ale już dawno temu. – Wprost nie mogła uwierzyć, że mówi mu o swoich najbardziej osobistych sprawach!

– Masz brata lub siostrę?

Zmusiła się, żeby mówić dalej.

– Miałam siostrę. Bliźniaczkę. – Rzuciła mu szybkie spojrzenie, czekając na jego reakcję. Ku jej wielkiej uldze St. Bride zdawał się nic o niej nie wiedzieć. W jego oczach dostrzegła jedynie współczucie.

– Bliźniaczki. Całkiem prawdopodobne. To dlatego tak cię frapowały Wenus i Walentyna. – Jego głos złagodniał. – Czy ona żyje, Kayleigh? Wiem, że nieraz jedno z bliźniąt umiera przy porodzie.

– Moja siostra nie. – Zamyśliła się. – Owszem, byłam zdrowsza niż ona, choć urodziłam się jako druga. Dlatego nazwano mnie Kayleigh, po gaelicku Céilidh. Przyszłam na świat w Nowy Rok, tuż po północy.

– Urodziłaś się po północy. No, tak... – Wpatrywał się w nią z czułością. – Pora czarownic.

– Tak. Pora czarownic – powtórzyła, myśląc o swoim puzderku.

– Gdzie ona teraz jest? Chętnie bym jej pomógł, gdybym mógł.

– Nie można już jej pomóc. – Urwała. – Nie żyje.

St. Bride milczał.

– Zamordowano ją – wyrzuciła wreszcie z siebie zdławionym głosem.

– Zamordowano?

– Tak, moja siostra, moja bliźniaczka została zamordowana. – Nagle cały żal i udręka wzięły nad nią górę. Od tamtego okropnego dnia w Mhor nigdy się nikomu nie zwierzała, a teraz zaczęła mówić tak przedko, że prawie dławiła się słowami.

– Moja rodzina była bardzo zamożna. Zamożna i wpływowa. Mieliśmy wspaniały zamek w Highlands. Nie odebrano nam go nawet po tej strasznej wojnie z Anglikami. Ale wszystko się zmieniło, kiedy mój ojciec dał swemu kuzynowi zameczek myśliwski. Moja siostra została zamordowana, a ja znalazłam się w koloniach i musiałam żyć w strasznej nędzy.

– Czekaj! – Puścił jej podbródek i cofnął rękę. – Mówisz, że Bardolf porwał cię i przywiózł do Luizjany?

– Do Nowego Orleanu, tyle że ja przybyłam tu z własnej woli. Gdybym tego nie zrobiła, też zostałabym zamordowana... albo jeszcze gorzej. – Wzdrygnęła się.

St. Bride rzekł spokojnie, lecz nie bez napięcia:

– A więc zabiłaś Bardolfa w odwecie za mord na siostrze?

– Za mord na siostrze? – Ze zdumienia odebrało jej na chwilę mowę. – Bardolf nie zabił mojej siostry.

– To czemu go zamordowano? – St. Bride mówił spokojnie, lecz widać było, że zastygł w oczekiwaniu. Zdrętwiała na myśl, że znów jej nie uwierzy.

– Ja tego nie zrobiłam – zaprzeczyła szeptem jego milczącemu oskarżeniu.

– Nie rozumiem. Czemu Bardolfa zamordowano, skoro nie on zabił twoją siostrę? Któż go zabił, jeśli nie ty? – St. Bride był coraz bardziej zagniewany i zdenerwowany. – Kto w końcu ją zabił? Może ten kuzyn z myśliwskiego zameczku? Gdzież on teraz jest?

– Ja... ja... – Nagle wybuchnęła: – Tak! Mój kuzyn zabił moją siostrę! – Musiała powiedzieć mu prawdę, lecz następne pytanie zaskoczyło ją zupełnie.

– A kimże był ten kuzyn, jeśli nie Bardolfem?

Spojrzała na niego, mając nazwisko Straughta na końcu języka. Chciała raz wreszcie z tym skończyć, powiedzieć mu o wszystkim, tak żeby przekonał się o całej podłości jej kuzyna, przywrócił ład i zapewnił jej wreszcie spokój. Przypomniała sobie jednak maki i kartkę na drzwiach Labana, i czerwony gorset.

– No kimże jest ten kuzyn, Kayleigh?

Patrzyła bezradnie na St. Bride'a. Nie doceniła kiedyś złowrogiej potęgi uczuć Straughta, która położyła kres jej szczęśliwej egzystencji w Mhor. Czy miała teraz popęlić ten sam błąd?

– Musimy się pobrać – wyszeptwała. – Natychmiast. Potem będę mogła powiedzieć panu wszystko. Potem przeszłość nie będzie się liczyć, bo wiem, że otoczy mnie pan opieką.

– A cóż to znowu – St. Bride zeszytywniał cały. – Jakże mam cię poślubić, skoro nie wiem nawet, kim jesteś?

– Wie pan! Od zeszłej nocy! Nie znam dokładnie pańskiego tytułu, ale znam pana! Liczy się tylko tamta noc!

– Kayleigh! – Chwycił ją za ramiona i zmusił do wstania. – Odpowiedz mi zaraz, żądam tego! Powiedz, kto zabił Bardolfa! Powiedz, kto zabił twoją siostrę! Powiedz mi to, a ożenię się z tobą! Jeśli znów zaczniesz się wykręcać, nie wspomnę więcej o małżeństwie!

– Nie! – Upadła na wyściełaną kanapkę. Przegrała. Leżała na niej, trzymając się obiema rękami za głowę. Wszystkie jej marzenia i nadzieje przepadły, rozwiały się. Straught znów zdołał nią zawładnąć, nawet z tej strony Atlantyku.

St. Bride wybuchnął, zdesperowany:

– Mój Boże! Prawie ci uwierzyłem, ty istoto bez serca! Prawie uwierzyłem w twoją nędzną bajeczkę o bliźniaczych siostrach, zamkach i porwaniach!

– To wszystko prawda! Właśnie dlatego byłam dziewicą! Nie wyrosłam w rynsztoku! Zasłużyłam na lepszy los!

– Owszem, pewnie nie zawsze żyłaś tak jak wtedy, kiedy cię poznałem – mruknął – ale nie dziwię się, że zdołałaś zachować dziewictwo, skoro widzę, jak umiesz się bronić. Trudno mi wątpić, że mężczyźni woleli cię omijać, jeśli groził im cios nożem wymierzony prosto w pierś! – Z irytacją przesunął dłonią po podbródku. – Jak śmiesz zwodzić mnie w podobny sposób? Gdybym nie wiedział, do czego jesteś zdolna, mogłoby mnie to zaskoczyć, ale ja się nie dam okpić! – Wyglądał tak, jakby miał szczerą ochotę ją zbić.

– Wiem, że trudno uwierzyć w moją opowieść, więc niechże mnie pan zabierze do Szkocji albo ożeni się ze mną. Dowiodę, że jestem tą, za którą się podaję, i wielu innych rzeczy!

Wstała z kanapki, składając ręce w błagalnym geście, lecz zanim wyrzekła choć słowo, St. Bride oznajmił znużony.

– Nie zabiorę cię teraz do Szkocji ani gdzie indziej, Kayleigh. Dowiedz się, że musisz wrócić do Belle Chasse.

Otworzyła usta ze zdumienia. Mogła jedynie wyjąkać:

– Pan... pan nie może mi tego zrobić! Przecież tam na mnie czeka kat. Wie pan o tym. Przyrzekł pan, że...

– Owszem. Muszę tam jednak wrócić, a ty już mi kiedyś dowiodłaś, że uciekniesz, kiedy cię tylko spuszczę z oka. – Podeszedł do biurka i wziął leżący tam list. – Wczoraj rano dostałem wiadomość od Labana. Musiał ją wysłać w dzień po naszym wyjeździe. Kiedy poszedłem wczoraj

szukać cię na plaży, chciałem ci powiedzieć, że zapłaciłem za wcześniejsze ukończenie portu w Darien. Za dwa dni statek z Savannah przybije tu na moje wezwanie.

Kayleigh w głuchej ciszy, jaka zapadła po jego słowach, odczytała kartkę zapisaną wielkimi kulfonami:

Straught był w Belle Chasse. Niepokoi go pana nieobecność. Proszę wracać zaraz, bo inaczej zaczną się kłopoty. Czekam na pański statek.

Laban.

Przymknęła oczy i odłożyła list na stolik do kart. Ze zdumieniem uświadomiła sobie, że była bliska powiedzenia St. Bride'owi wszystkiego o Straughtcie. A tymczasem, z czego nie zdawała sobie sprawy, potężny i zagadkowy książę St. Bride Ferringer był tylko marionetką jej kuzyna, pionkiem, któremu mówi się, dokąd ma pójść i kiedy wrócić. Dobry Boże, jakąż potęgą musi rozporządzać Erath Straught, skoro manipuluje człowiekiem pokroju St. Bride'a! Czymże on go szachuje? Musi to być coś strasznego!

Uchwyciła się rogu stolika, czując, że za chwilę zemdleje. St. Bride podszedł do niej z gniewną twarzą.

– Gdyby nie twój głupi pomysł ucieczki na „Briney Marlinie”, nie zaryzykowałbym wystawiania cię na niebezpieczeństwo.

– A więc chce pan, żeby mnie powieszono? – Uniosła dłoń ku nazyjnikowi.

– Nie pleć głupstw. Nikt cię nie powiesi. Nie pozwolę na to.

– Nie pojedę z panem! – rzekła stanowczo. – Nie wrócę tam!

– Czy myślisz, że wyruszę stąd, zostawiając cię wyłącznie pod opieką Coopera Londona? Sądzisz, że po ostatniej nocy pozwolę ci się stąd wymknąć? No pomyśl trochę!

– Nigdy panu nie wybaczę, jeśli zaciągnie mnie pan tam z powrotem! – krzyknęła mściwie.

– Nie sądzę, żebyś wybaczyła. – Pocałował ją w czubek głowy, gładząc delikatnie jej włosy. – Tylko że nie masz wyboru.

– Naprawdę? – rzuciła buntowniczo. Uciszył jej protesty gwałtownym pocałunkiem. Chciała okazać mu wzgardę. Dowiódł przecieź, że jest tylko marionetką jej kuzyna i tańczy, jak mu Straught zagra. Im dłużej jednak trwał ten pocałunek, tym bardziej topniał jej opór i w końcu mogła pogardzać wyłącznie sobą.

Część trzecia

Belle Chasse

*Czy mam zginąć, czy ominąć
Kochanków zwodne pokusy,
Co nas łudzą i żal budzą?
Mam podtrzymać, nie żałować
Czynów swoich, co tak trudzą?
W powinności dla piękności
Chcę na wieki być jej sługą.
Gdy odrzuci, to zasmuci,
Radość zmieni w rozpacz długą.*

Przypisywane Szekspirowi

*K*iedy Kayleigh i St. Bride powrócili do Belle Chasse, dowiedzieli się, że Colette i Laban zostali małżeństwem. Poszli po prostu do parafialnego kościoła przy Placu Broni i powiedzieli księdzu, że chcą się pobrać. Podpisali odpowiednie papiery, a ksiądz zgodził się udzielić im ślubu. Wprawdzie należałoby, jak robiła większość par, dać wcześniej na zapowiedzi, lecz ksiądz odstąpił w tym wypadku od uświęconego zwyczaju. Kayleigh przypuszczała, że skłoniła go do tego rozradowana twarz Labana. Prócz rodziców i Morny oraz jej ukochanego nigdy nie widziała szczęśliwszej pary.

Z nią i St. Bride'em było inaczej. Gdy składała Colette życzenia na tylnym podwórzu, mała Mulatka wykrzyknęła:

– Ach, Kayleigh, jak ty źle wyglądasz! Jaka jesteś blada! Czyżby cię drugi raz ugryzł wąż podczas powrotu z Georgii?

Colette nie myliła się zbyt, bo jeśli walkę z niechcianą namiętnością można porównać do węża, to Kayleigh została potężnie pokąsana. Podczas podróży z Darien do Nowego Orleanu straciła apetyt, była spięta i zbuntowana za dnia, spięta i zrezygnowana w nocy. Statek okazał się równie obszerny jak „Balcraig”, ale nie miała już na nim własnej kabiny. St. Bride jasno dał jej do zrozumienia, że nie widzi żadnego powodu, by mieli sypiać oddzielnie. Niekiedy powtarzała sobie, że wcale nie pragnie jego względów. Gdy jednak rozpamiętywała wszystkie spędzone z nim noce, jej rozum nie potrafił dojść do porozumienia z jej sercem.

Teraz jednak znalazła się z powrotem w Luizjanie i patrzyła, jak Colette uwija się wieczorem po domu, zapalając świece w lichtarzach. Kolację zjadła samotnie, bo St. Bride rozmawiał z Labanem o wizycie Straughta. Kiedy nie pojawił się wcale w porze spoczynku, zaczęła podejrzewać, że coś jest nie w porządku. Miała ogromną ochotę podkraść się pod chatkę Labana i podsłuchać, o czym mówią. Wiedziała, że wtedy zaspokoiliby swoją ciekawość, lecz gdyby Laban przyłapał ją na myszkowaniu koło swojej chatki, byłoby z nią krucho. Przyjął zresztą jej powrót z jawną niechęcią, ona zaś odpłacała mu podobną antypatią. Nagle parsknęła głośnym śmiechem, zdając sobie nieoczekiwanie sprawę, że go lubi! Byli chyba bratnimi duszami!

Czekała na St. Bride'a, walcząc z narastającą sennością. Podróż była męczącą i tęskniła za łóżkiem. Przeciągnęła się znużona, wstając z fotela.

W sypialni St. Bride'a rzucił jej się w oczy zielony połysk atlasu. Niewątpliwie będzie sobie życzył, żeby i tu z nim sypiała! Musi zachować czujność. Nie wolno jej przekraczać pewnych granic. Szybko stąd umknie. Musi tylko pomyśleć, jakim sposobem uciec z Belle Chasse, kiedy St. Bride będzie miał na głowie co innego niż jej rejterada.

Nie było sposobu, żeby uniknąć powrotu do Nowego Orleanu. St. Bride podejrzewał zresztą, że będzie mu się chciała wymknąć. Przez całą drogę patrzył na nią z tym swoim drapieżnym uśmiechem godnym wilka czyhającego w zimie na łanię. Chodził też za nią wszędzie, nigdy nie spuszczać z niej oka na dłużej niż kilka minut. Wracała przecież do Belle Chasse pod przymusem.

Nie zamierzała jednak czekać, aż przydybie ją tu kuzyn. Nie zamierzała również pozwolić, by St. Bride całkowicie ją sobie podporządkował. Nie, ucieknie stąd, kiedy tylko nadarzy się okazja, i tym razem St. Bride jej nie złapie. Przedostanie się jakoś do portu i wsiądzie na pierwszy lepszy statek.

Rzuciła ostatnie spojrzenie na osłonięte atlasami łóżce, a potem, już we własnej sypialni, wślizgnęła się do swojego starego łóżka. Myślała, że wnet zaśnie, ale właśnie w tym spokojnym, cichym pokoju zaczęła obmyślać plan ucieczki.



Obudziła się następnego ranka pod jedwabną moskitierą. Odgarnęła gazę, zwisającą z haka nad baldachimem, i ujrzała zielone, atlasowe zasłony. Chridhe, zwinięta w czarny, futrzany kłębuszek, leżała u jej stóp. Otworzyła jedno oko, żeby powitać swoją panią, i spojrzała na nią z ukosa. Kayleigh pogłaskała czule kotkę, zadowolona, że znów ją widzi,

i ponownie opadła na poduszki, domyślając się, iż to St. Bride, nie budząc jej nawet, przeniósł ją tutaj w środku nocy. Dzień zapowiadał się upalnie, lecz nie obeszło jej to zbytnio. Znowu wróciła myślami do St. Bride'a.

Gdzież on się podziewa? dziwiła się, spoglądając na zmiętą pościel. Oczywiście spał tu, ale wstał wcześniej, bez wątpienia z powodu przekłętego Eratha. Zmarszczyła czoło i spuściła nogi z łóżka. Chridhe też zeskoczyła na ziemię i nim Kayleigh zdołała odnaleźć koszulę na pobliskim fotelu pobiegła szukać śniadania. Jak St. Bride'owi udało się ściągnąć ją z niej, nie budząc jej wcale, było całkowitą zagadką. Poczzerwieniła z irytacji. Coś takiego mógł zrobić tylko on! Ukradłby nawet jaja spod kury, gdyby zechciał! No i pewnie kochał się z nią, mimo że spała.

Umoczyła ręcznik w niebieskim fajansowym dzbanku i wytarła nim pot, który zdążył już pokryć jej skronie i piersi. Och, dzień naprawdę zapowiadał się upalnie. Z westchnieniem dotknęła karku.

Rozpuściła włosy, które prosiły się o uczesanie, i zamierzała przejść do swojego pokoju, żeby dokończyć porannej toalety. Spojrzała jednak na czworo otwartych francuskich drzwi od werandy. Sypialnia St. Bride'a była pokojem narożnym, stanowczo najprzewiewniejszym ze wszystkich. A ponieważ Kayleigh podczas podróży przywykła do dzielenia z St. Bride'em przyborów toaletowych, bez wahania podeszła do komody, szukając grzebienia.

Był srebrny, bogato zdobiony po brzegach. Dobrze wiedziała, jak wygląda, ale nie mogła go znaleźć w żadnej szufladzie. Już miała wrócić do siebie, kiedy jej spojrzenie padło na szkatułkę. Oczywiście, tam musiał go włożyć. Otworzyła ją. Grzebień leżał na wierzchu. Zamierzała zatrzasnąć wieczko, kiedy coś białego zwróciło jej uwagę. Była to kartka, którą Laban wysłał na Wolf Island, kartka, która spowodowała jej niechciany powrót do Belle Chasse i zmusiła ją do zabawy w chowanego z katem.

Zmięła ją w ręce. Nie, wcale nie kartka była źródłem jej utrapień, tylko St. Bride. Ściągnął ją tutaj ponownie, bo jego konszachty ze Straughtem były dla niego ważniejsze niż jej bezpieczeństwo.

Przeszedł ją dreszcz. Straught musiał mieć widocznie St. Bride'a w garści, lecz St. Bride jeszcze mocniej trzymał w garści ją. Stała się jego potulną sługą, a on bawił się nią zależnie od kaprysu... Co będzie, gdy się nią znudzi? Wytarła łzę spływającą po policzku. Cóż bowiem czynią wielcy książęta z kochankami, kiedy mają ich dosyć? Pozbywają się ich. On też się jej kiedyś pozbędzie, jeśli Erath Straught go nie uprzędzi.

Nagle w jednej chwili objawił jej się plan ucieczki. Musi uciec choćby dlatego, że nie zniesie myśli o kolejnej nocy spędzonej w łóżku St. Bride'a bez jednego choćby słowa o miłości.

– Miłość! – rzekła na głos drwiąco, lecz płacz zaczynał już dusić ją w gardle.

– Hm? – mruknął gardłowo ktoś za nią. Mocne ramię objęło ją w tali. Czowała, że ktoś delikatnie dotyka jej skóry na karku.

– Przestraszył mnie pan. – Starła się, żeby głos jej nie drżał. Nie poruszała się. Stała w miejscu bez tchu.

Zadrżała, kiedy poczuła, że pocałował ją w ramię. Zaczęła zastanawiać się, dlaczego tak go pragnie. Tkwił po uszy w podejrzanych interesach Straughta. Gdyby z nim została, stanie się ich ofiarą. Wiedziała, że kartka od Labana znalazła się na Wolf Island we właściwym momencie, a jednak ta wiedza nie czyniła jego pocałunku mniej upragnionym ani jej ciała mniej chętnym.

– Nie mogłem tego zrobić ostatniej nocy. Może teraz pora jest odpowiedniejsza? – Jego ręka prześlizgnęła się po jej piersiach i zaczęła rozwiązywać tasiemki koszuli.

– Gdzie pan był? – spytała bez tchu.

– Poszedłem obejrzeć maki, moja miła. Niedługo zakwitną. Jeszcze tylko kilka dni i będziemy mogli opuścić Belle Chasse. – Pocałował ją drugi raz i zaczął ściągać długie buty.

– Jest pan, jak widzę, bardzo rad. – Czekwała w napięciu, aż się wyprostuje i zacznie ściągać z niej koszulę.

– Maki były ulubionymi kwiatami mojej siostry. – Jego czoło zmarszczyło się i zaraz potem wygładziło. – Straught też je ceni i to niezwykle. – Zaczął ją rozbierać, mruczac coś o niedogodnościach kobiecej bielizny. Wahala się między wyzwaniem a prośbą.

– Chce się pan przypodobać Straughtowi – szepnęła. – Za wszelką cenę.

– Chcę się podobać tobie. – Uśmiechnął się; zdierał z niej koszulę powoli, metodycznie, obnażając jej piersi, brzuch i biodra cał po calu. Potem chwycił ją w pól i zaniósł na łóżko, podścielając pod nią delikatną gazę moskitiery. Klęczała na zmiętych prześcieradłach, wiedząc dobrze, że powinna powiedzieć mu, by przestał. Próbowwała myśleć o siostrze, o całym nieszczęściu, któremu winny był Straught, lecz nie mogła się na to zdobyć. Pełna poczucia winy zapragnęła znaleźć się jak najdalej od St. Bride'a. Nagle ośwładnęły ją jednak o wiele przyjemniejsze uczucia. Przypomniała sobie, jak wcześniej, na Wolf Island, kochali się wewnątrz kopuły.

Działo się to w dniu ich wyjazdu. Musieli odpłynąć z Darien możliwie wcześnie. Kayleigh była zgnębiona przymusową podróżą, a St. Bride, rozumiejąc jej nastrój, próbował ją ułagodzić. Patrzyli obydwój na mewy nad brzegiem i zielonobłękitne morze w blasku prażącego bezli-

tośnie słońca. Próbowwała tłumaczyć mu, że nie chce wracać, że nie ma potrzeby wracać. Przynęcała, że pozostanie na Wolf Island aż do jego powrotu i sądziła nawet, iż dotrzyma obietnicy, byle tylko nie musiała wyjeżdżać. St. Bride nie chciał jednak o tym słyszeć.

Powiedział tylko:

– Nie uciekniesz? – Kiedy potrząsnęła głową, uśmiechnął się: – Dowiedz mi tego, a pozwolę ci zostać.

Teraz zaś, kiedy St. Bride wsunął się nagi do łóżka, zżymała się po cichu, że nawet nie zamknął drzwi od salonu. Absolutna pewność, że nikt nie zakłóci jego prywatności, była czymś typowym dla niego. Wiedział, że służba nie ośmieli się mu przeszkadzać. Zupełnie jakby rzucił na wszystkich urok, jakby było jego przyrodzonym prawem, a nie luksusem, mieć każdego na swoje usługi. Była bezsilna wobec tego uroku. Nie mogła zaś i nie chciała się mu przeciwstawić.

– Czemu nocowałaś u siebie ostatniej nocy? Wiesz przecież, że chcę, żebyś spała tutaj. – Spojrzał na nią, ujmując jej dłonie w swoje ręce.

– Czy musimy dzielić łóżę, skoro jesteśmy kochankami?

– Ludzie dobrze urodzeni nigdy nie dzielą łóżę z małżonkami. Wiesz o tym? Sądzę, że dlatego właśnie większość mężczyzn bierze sobie kochanki.

– Nawet książę nie musi dzielić łóżę ze swoją kochanką każdej nocy.

– Kayleigh, już prawie skończyłem wszystko, co miałem zrobić w Belle Chasse. Chcę, żebyś pojechała ze mną do Anglii.

– Pojadę tylko do Szkocji.

– Jakaż z nas będzie para!

– Kochanki szybko się chyba porzuca.

– To prawda, ale z tobą będzie inaczej. Czy nie budzę w tobie żadnych cieplejszych uczuć? Absolutnie żadnych?

– Chciałabym ich w sobie nie mieć. – Była bliska płaczu.

– Dlaczego? – Ręka St. Bride'a dotknęła jej lewej piersi, gdzie biło serce. – Czy tak trudno znaleźć ci właściwe słowa?

– Znajdę je, ale pod jednym warunkiem. – Głos jej drżał.

– Pod jakim?

– Proszę zdjąć ze mnie naszyjnik, a zrobię wszystko, co pan będzie chciał. Nie jest już potrzebny. Nigdy pana nie opuszczę.

Namyślał się przez chwilę. Potem zażądał:

– Powiedz więc te słowa.

To będzie kłamstwo, przekonywała samą siebie. Skłamię, żeby uwolnić się od naszyjnika. Kłamała już przedtem z podobnych powodów, ale teraz wydało się jej to dziwne i przerażające.

– Kocham pana – szepnęła cichym, trzęsącym się głosem.

– Powiedz to jeszcze raz.

– Kocham pana – powtórzyła.

Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie zmusił jej do powtórzenia tych słów. Za drugim razem łyzy trysnęły jej z oczu. Och, przecież powiedziała tylko parę słów zupełnie bez znaczenia! Nie kochała go! Nie kochała!

Jeśli jednak St. Bride wątpił w jej szczerłość, nie okazał tego. Scałował łyzy z jej policzków, a jego ręce ostrożnie okrążyły jej szyję. Coś przekręcił, za coś pociągnął i nagle już nie miała na sobie łańcuszka. Dotrzymał obietnicy. Naszyjnik upadł w nogach łóżka.

– Moja przepiękna dziewczyno, pragnę tylko, żebyś się uśmiechała. Twój uśmiech wprost zapiera dech, a jednak widzę go tak rzadko. Jakże ulotna jest twoja radość! – Gładził ją po wilgotnym policzku i rzekł z determinacją: – Ale ja cię uszczęśliwię. Przyrzekam ci.

Pocałował ją i zaczął się z nią kochać, jakby płacz można było zastąpić namiętnością. Jego usta dotknęły bladego skrawka skóry w miejscu, gdzie przedtem był naszyjnik. Kayleigh czuła się bez niego trochę nieswojo, jakby nagle ubyla jakaś część jej samej. Wolałaby chyba nałożyć ozdobę z powrotem, by znowu poczuć się sobą.



Wiedziała, że był zmęczony. Z pewnością nie spał przez większą część nocy, a wstał wcześniej. Nie zdziwiła się więc, że teraz odsunął ją od siebie i szybko zasnął. Niełatwo przyszło jej wydostać się z łóżka. Musiała wyciągnąć włosy przygniecione jego ręką, musiała uważać, żeby nie narobić hałasu. Najtrudniej było jej jednak zostawić St. Bride'a.

Długo na niego patrzyła. Leżał na brzuchu, z twarzą zwróconą w jej stronę, oddychając głęboko.

Powinien się ogolić, chociaż nigdy tego nie zaniedbywał. Uśmiechnęła się na myśl, jak ciemny i twardy był jego zarost. Żeby wyglądać jak cywilizowany człowiek, musiał golić się dwa razy dziennie. Dziwiło ją zawsze, jak chłopięco wygląda podczas snu. Włosy miał jak zwykle związane, lecz teraz były zmierzwione i splątane. Zapragnęła nagle wyciągnąć rękę i dotknąć ich, pociągnąć, by otworzył oczy, by uśmiechnął się do niej.

Jest też jednak moim wrogiem, powiedziała sobie i odeszła od łóżka. W ciągu tych tygodni, które z nim spędziła, nie wykonał żadnego gestu ani nie wypowiedział słowa bez ukrytego zamiaru. Czyż sam kiedyś nie powiedział, że igra ze swymi wrogami? Zadrżała na samą myśl

o tym. Ona była jego wrogiem od samego początku, właśnie dlatego, że z nią igrał.

Zaczęła szukać ubrania. Nie chciała ryzykować powrotu do swego pokoju i rozpakowywania bagaży, bo mogła natknąć się na Colette. Włożyła więc na siebie jedynie odzienie, jakie miała pod ręką, czyli ubranie St. Bride'a. Była w tym i wygoda, i zarazem tortura, bo każdy szew bastykowej koszuli przesiąkł jego zapachem. Spodnie okazały się o wiele na nią za duże, wyjęła więc strzemiączka z jego butów, spięła je razem, a potem okręciła je wokół talii, jakby były skórzanym pasem. Wyglądało to całkiem dobrze. Przy akompaniamencie spokojnego oddechu śpiącego zawinęła rękawy obszernej koszuli, wepchnęła naszyjnik z szafirem za pas, a potem z bólem spojrzała na mężczyznę pod moskitierą i bosą, na palcach wyszła z pokoju.

W kilka minut była już w stajni, otwierając po kolei wszystkie boksy i okładając konie biczem. Uwolnione zwierzęta wybiegły na podwórze. Kilka ogierów ochoczo skorzystało z dostępu do licznych klaczy. Kayleigh patrzyła spod stajennych drzwi, jak pędzą całym stadem ku zagonom indygo. Zobaczyła, że z kuchni wyskakuje Mateusz, który widocznie jadł tam śniadanie. Twarz miał tak przerażoną, że ścisnęło jej się serce, miała jednak nadzieję, że uda mu się wszystkie złapać. Nie była to już jednak jej sprawa. Ponieważ Mateusz zaczął biec w jej kierunku, wpadła do boksu Canisa. Ogier St. Bride'a był podkuty i gotów do jazdy. Wskoczyła mu na grzbiet, gotowa do ucieczki, kiedy Mateusz wpadł do stajni.

– Przykro mi, doprawdy, ale teraz zejź mi z drogi! – Nie bez trudności zdołała poradzić sobie z koniem, który chciał stanąć dęba. Włosy rozsypały jej się na ramiona, w rękę mocno trzymała szpicrutę. Wiedziała, że wygląda jak anioł zemsty z chłopięcych koszmarów sennych, i skorzystała z tego. Spięła Canisa i krzyknęła: – Z drogi! Rób, co ci mówię! Chcę tylko stąd odjechać na Canisie. Nie masz się czego bać, tylko rób, co ci mówię!

– Nasz pan! Zabiłaś pana! – Mateusz patrzył z przerażeniem na jej osobliwy strój. Bez wątpienia kiedyś widział St. Bride'a w tym samym odzieniu.

– Nic mu nie jest! – krzyknęła. – Rób, co ci mówię!

– Oby tylko panu nic się nie stało! – zawołał Mateusz, nim cofnął się, by przepuścić ogiera.

Kayleigh nie traciła czasu. Strach dodał jej sił. Ściągnęła wodze i modliła się w duchu, żeby wszystko, czego nauczyła się w Mhor, jeżdżąc po męsku na narowistych kucach szetlandzkich, przydało się jej teraz.

Ścisnęła piętami boki ogiera i popędziła przez podwórze, na którego bruku podkowy Canisa trzaskały przeraźliwie.

– *Au voleur!* Złodziej!

Zaskoczona Kayleigh rozejrzała się wokoło i spostrzegła, że biegnie za nią Grand-Louis, krzycząc tak głośno, jak mu tylko pozwalały stare płuca.

– Milcz, stary niedołęgo! – mruknęła do siebie raczej niż do niego, lecz Grand-Louis nadal wykrzykiwał wrzaskliwie swoje oskarżenie. Była pewna, że zbudzi tymi krzykami St. Bride’a. Ten jednak wstał już, bo kiedy obejrzała się za siebie, ujrzała, jak zbiega po cyprysowych schodach loggii ubrany jedynie w rozpięte spodnie.

Nie czekała, aż ją złapie galopującą na Canisie – choć to raczej Canis galopował z nią na grzbiecie – ku alei drzew pekanowych, która prowadziła do River Road. Obejrzała się jednak jeszcze raz, tylko po to, żeby ujrzeć, jak zaszokowany jej zdradą St. Bride bezradnie zatrzymał się na podwórzcu, nie mogąc jej w żaden sposób przeszkodzić.

Ściskając kurczowo Canisa łydkami i zmuszając go do galopu, gnała spaloną słońcem, pełną kolein drogą, i cieszyła się, że już nigdy więcej nie ujrzy St. Bride’a. Sądząc po morderczym spojrzeniu, jakie jej posłał, lepiej było uciekać jak najdalej. Jednak wspomnienie jego twarzy, na której malowała się niewysłowiona udręka, wciąż ją nawiedzało i czuła się jak ostatnia nędznica.

28

Papo, St. Bride wrócił! Chcę, żebyś z nim pomówił – lady Katarzyna weszła za ojcem do wielkiej sali pałacu i wdzięcznym ruchem usiadła na wyściełanym foteliku.

– Dobrze, dobrze, ma *chère*. Czemu jednak chcesz złowić koniecznie jego? St. Bride Ferringer przyprawia mnie o ciężką niestrawność!

– Chcę go złowić, bo nie potrafi owinać go sobie wokół małego paluszka, jak czyni z każdym ugrzeczniwym fircykiem w kolonii – przewał mu Straught, wchodząc za nimi do sali i z jawną niechęcią mierząc wzrokiem lady Katarzynę. Ona odpłaciła mu, również nie patrząc na niego życzliwie.

– Czy mam owinać pana wokół paluszka wraz z innymi ugrzeczniwymi fircykami?! – Lady Katarzyna wzburzona wstała z fotelika,

wyładowując zły humor na ojcu. – Chcę dzisiaj pojechać do Belle Chasse, papo! Przecież dobrze wiem, że wrócił. Muszę go zobaczyć!

– Doprawdy, Katarzyno, nie można w ten sposób mówić do naszych najbliższych znajomych. – Thionville zrobił się niemal tak czerwony, jak popijany przez niego burgund. – Erath to przecież przyjaciel! – beształ ją z irytacją. – Nie pozwolę na traktowanie go w podobny sposób. Przeprós pana Straughta, Katarzyno!

– Mam go przepraszać?! – Lady Katarzyna, w bladożółtej sukni z atłasu, obróciła się i stanęła twarzą do Straughta. Wyglądała tak, jakby miała zamiar roześmiać mu się prosto w nos, lecz nim zdołała to zrobić, dostrzegła czerwonawe ogniki gniewu w jego oczach. Cofnęła się gwałtownie, jakby wreszcie uwierzyła w opowieści jej ojca o niesamowitym spojrzeniu Szkota, po czym opadła na wyściełane zielonym aksamitem krzeselko i ograniczyła się do nadąsanego milczenia.

– Katarzyno! – skarcił ją ojciec.

– Dosyć, Thionville. Jeżeli lady Katarzyna ma swoje zdanie, po cóż ją za to strofować? – Straught przyjrzał się jej przenikliwie; nie usłyszy jego uwagi nieskazitelna, brzoskwiniowa cera, pełne wargi i zimne zielone oczy. Dodał zgryźliwie: – Niechże pańska córka mówi, co chce. St. Bride zna jej zdanie i da jej to odczuć aż nazbyt wyraźnie.

Lady Katarzyna ostentacyjnie zignorowała tę uwagę i rzuciła gniewnie:

– Papo, zaraz wyjeżdżam! St. Bride powinien rzucić tę czarnowłosą *prostituée* i poślubić mnie! Nie mam innego wyboru. Nie chcę w tym okropnym kraju zostać starą panną!

– No, no, moja córko, staropanieństwo na pewno ci nie grozi – pocieszał ją Thionville. – Kiedy tylko odbiorę pieniądze za maki, wrócimy do Francji, a będzie to powrót w wielkim stylu! Znajdziesz sobie lepszego męża niż St. Bride, a także bogatszego! Obiecuję!

– Papo, nie! Chcę tylko jego! Żaden dworak Ludwika XV nie może się z nim równać! Nienawidzę tej czarnowłosej czarownicy! Czemu on jej nie przepędzi?

Zawziętość lady Katarzyny nie uszła uwagi Straughta.

– Nic pani na to nie poradzi. – Zwrócił się do hrabiego: – Pański człowiek mówił, że przyplłynęli oboje wczorajszego wieczoru?

– Tak, tak. Ale ona wracała niezbyt chętnie, jeśli wierzyć komendantowi portu. Powiedział mi, że St. Bride musiał niemal siłą wsadzić ją do powozu. Nie oczekiwałem ich szybkiego powrotu po tym, jak zniknęli w noc po balu! Nie mówiłem ci, Erath, że wielu gości rozpoznało w kochance St. Bride’a tę Kestrel, której wszędzie szukamy? Odkąd zdjęła

maskę, wszyscy mówili tylko o niej! To piękność. Najbliżkitniejsze pod słońcem oczy, najczarniejsze włosy! A w dodatku wygląda jak czarownica. Ach, te jej intrygujące brwi! Katarzyna wcale nie przesadza.

– Pewnie, że czarownica – parsknął Straught. – No i na pewno Kestrel!

– Doprawdy? Kestrel? – Thionville w podnieceniu pluł śliną. – To czemu jej nie aresztowaliśmy? Trzeba tak było zrobić całe tygodnie temu! Mogliśmy schwytać ją tuż po ich zejściu z pokładu!

– Nie, bo coś ją łączy z Ferringerem. Chciałbyś, by zwrócił się przeciwko nam? On nie może się dowiedzieć, że to nasza robota! Musimy tak wszystko urządzić, żeby wina spadła na kogoś innego.

– Skoro jest morderczynią... – Thionville wyglądał na urażonego. – Jeżeli rzeczywiście chodzi o Kestrel, St. Bride nie może mnie o nic obwiniać. Cóż ja w końcu zrobiłem? Kazałem tylko wywiesić list gończy.

– Na moje żądanie! – warknął Straught. – No i co teraz pocniemy?

– Nic. Ona z pewnością jest kimś innym. Podobna trochę do Kestrel, ale bardzo powierzchownie. Kochanka St. Bride’a ani trochę nie przypomina prymitywnej ulicznicy z niewyparzoną gębą, o nie! To najpiękniejszy kwiat Luizjany. Z wyjątkiem Katarzyny, rzecz jasna! – dodał pospiesznie hrabia, widząc gniewną minę córki.

– Nie dbam o to, co pan o niej myśli. Powiadam, mamy do czynienia z Kestrel! Cały czas kryła się u Ferringera! Mój Boże, on teraz musi wszystko o mnie wiedzieć! – Straught pobladł.

– Czemu tak się na nią zawiąłeś, Erath? Nigdy o niej nie wspominałeś.

– Może z tego samego powodu pan chce ją dopaść? – słowa Straughta zabrzmiały fałszywie.

– Colette jest kochanką St. Bride’a, Erath. Może lepiej będzie się pogodzić z tym, że...

– Co pan mówi?

– Powiedziałem, że Colette... – próbował dokończyć hrabia.

– Colette? Czemu nazywa pan Kestrel Colette?

– Bo to jej prawdziwe imię. Przynajmniej tak mi powiedziała, kiedy byłem z wizytą w Belle Chasse. O co chodzi, Erath? – zaniepokoił się Thionville.

– No jasne! – Straught odetchnął z ulgą. – Posługuje się fałszywym imieniem. Dlatego St. Bride jej nie wydał. Pewnie nie ufa mu tak samo, jak mnie! Mamy szczęście! Może ją nawet zbije do nieprzytomności, kiedy się o wszystkim dowie. Przecież zraniła go nożem, próbując skraść mu sakiewkę!

– Erath, mówisz bez sensu. Dziewczyna jest kochanką St. Bride’a. Zabrał ją nawet ze sobą do Georgii. Colette to z pewnością nie jakaś pospolita złodziejka, powtarzam ci jeszcze raz! Sądzę, że się mylisz. – Thionville otarł zroszone potem czoło. Nie podobało mu się podniecenie gościa. Oczy Straughta błyszczały, a igrające w nich czerwone ogniki przypominały odłamki bursztynu.

– Chodźmy, Thionville! Musimy jechać do Belle Chasse. Nigdy nie zdołamy wydusić z tego czarnego sługi St. Bride’a, co się właściwie stało z Quinnem. To będzie świetny pretekst by go odwiedzić, a jeśli szczęście nam dopisze, złapiemy Kestrel. – Straught przemocą ściągnął Thionville’a z połączanego fotelika.

– Tak, musimy tam jechać. Kwiaty pewnie już zakwitły. *Vite!* – Hrabia był gotów do odjazdu, lecz lady Katarzyna wstrzymała go.

– Chcę pojechać razem z tobą, papo! – zażądała. – Chcę być przy pojmaniu Kestrel. St. Bride może potrzebować pociechy.

– Nie. Nie pojedzie pani! Nie lubię, kiedy kobiety wtrącają się do moich spraw! – parsknął z pogardą Straught.

– Pojadę i już, papo! – Katarzyna spojrzała na ojca.

– Nie dzisiaj, *ma chère*. Może jutro, kiedy załatwimy tę nieprzyjemną sprawę.

– Papo, ja muszę przy tym być!

Wymianę zdań przerwał głos lokaja.

– Panie hrabio, ma pan gości.

– Później! – rzucił niecierpliwie Thionville.

– Mówią, że to coś pilnego – upierał się lokaj.

– Musimy natychmiast jechać do Belle Chasse – odparł Thionville.

– Nie mam czasu dla gości, bo wreszcie wiemy, gdzie się ukryła Kestrel. Powiedz im, żeby sobie poszli!

– Tak, panie hrabio. – Lokaj zamierzał odejść. – Tylko że oni właśnie w tej sprawie przyszli.

– Kim są? – spytał Thionville.

– Powiedzieli, że nazywają się Lina i Wolfbane i chcą mówić o Kestrel.

– Co o niej wiedzą? – spytał ostro Straught.

– Panie hrabio – lokaj zwrócił się do swego pana, a nie do aroganckiego, rudawego cudzoziemca – mówią, że ją schwytali.

– Co takiego?! – wykrzyknęli jednocześnie lady Katarzyna, Thionville i Straught. Thionville oprzytomniał najszybciej i rozkazał związać:

– No to wpuśćcie ich, durniu! *Mon Dieu*, czemu nie powiedziałaś tego wcześniej?

– Wedle życzenia, panie hrabio. – Lokaj skłonił się, chcąc ukryć irytację, i wyszedł. Spojrzenie Straughta odprowadziło go aż do drzwi.



St. Bride chodził tam i z powrotem po galerii, czekając na wieści o Kayleigh, lecz żadne nie nadchodziły. Spojrzał ku wschodniemu krańcowi moczarów. Kwiaty zakwitły, malując północne pola barwą zachodu słońca. St. Bride patrzył na nie, lecz jego myśli krążyły tylko wokół Kayleigh.

Rzucił okiem na drogę, wijącą się w blasku sierpniowego słońca. Nie jechał nią żaden posłaniec. Zaklął pod nosem i zmarszczył gniewnie brwi. Obiema rękami objął jeden z filarów galerii.

– Kwiaty zakwitły, St. Bride. Pisałem ci, że Straughtowi bardzo nie w smak była twoja nieobecność. Nie możemy dłużej odwlekać jego przyjazdu. – Obok St. Bride’a stanął Laban.

– Dopiero gdy znajdę Kayleigh.

Laban spodziewał się takiej odpowiedzi

– Wynajęci przez nas ludzie znajdą ją szybko, przyjacielu. Nie może opuścić miasta, bo uprzedziliśmy komendanta portu o jej planie zapłaćenia za podróż naszymi. Pozostaje nam tylko czekać, ale kwiaty nie poczekają. Już czas wezwać Straughta.

– Muszę znaleźć Kayleigh.

– Nic jej się nie stanie. Przecież żyła wśród mętów przez większą część życia, a może i zawsze. No i uciekła od ciebie, pamiętaj! Z własnej woli – przypomniał mu łagodnie Laban.

– Muszę ją znaleźć, nawet gdybym miał ją udusić, kiedy ją dopadnę. – Ręce St. Bride’a jeszcze mocniej uchwyciły filar.

– Powiedziała, że mnie kocha, Labanie. A ja jej uwierzyłem. Chciałem ją prosić o rękę, wyobrażasz sobie? Chciałem tę nędzną złodziejkę uczynić księżną! I zrobiłbym to, powiadam ci! Nikt by się nie domyślił, skąd pochodzi. Mimo całego swego znieprawienia Kayleigh czasami wydawała mi się osobą wysokiego rodu. Mój Boże, jakże ja jej pragnąłem!

– Przyjacielu... – Laban próbował pocieszyć St. Bride’a, lecz bez skutku. Mógł tylko stać koło niego z ręką na jego ramieniu.

– Różniła się od wszystkich kobiet, jakie znałem – ciągnął St. Bride. – Wydawało mi się, że niczego ode mnie nie chce. Odrzucała moje dary, szydziła z tej nędznej plantacji. Nie dbała o to, co wielbi większość kobiet. A gdy wreszcie czegoś zapragnęła, to tylko mnie. – Oczy St. Bride’a zamglily się i powtórzył raz jeszcze, jakby chciał ukarać siebie samego: – Powiedziała, że mnie kocha, Labanie. A ja jej uwierzyłem.

– Jest sprytna, wiesz przecież. Może chodziło jej o naszyjnik?
– Owszem. Tylko że powiedziała to znowu, kiedy już go z niej zdjąłem. – St. Bride odwrócił się do Labana. – Ona była dziewczicą, czy uwierzysz? Wzięłam ją wreszcie w Georgii; okazała się być nietknięta jak mniszka.

– Niektóre kobiety potrafią upozorować krwawienie, St. Bride.

– Widziałem krew płynącą prosto z jej ciała.

Wobec tak niepodważalnego dowodu Laban zamilkł.

St. Bride przeciągnął ręką po włosach.

– Gdzie ona teraz jest? Chciałem jej tylko pomóc, chronić ją, kochać ją. Dlaczego to zrobiła? Czego się lękała?

– Znajdziemy ją, St. Bride. Masz po temu środki i potęgę – zapewniał go Laban. – Tymczasem musimy jednak zająć się Straughtem. Kwiaty nie będą kwitły w nieskończoność.

St. Bride westchnął głęboko.

– W porządku, skończmy więc nasze piękne łowy, czyli *belle chasse*. Poślij po tego nędznika. Uwolnijmy się wreszcie od niego, a jeśli Kayleigh wpadnie w ręce sędziego, zrobimy to, co w tej sytuacji uczyniłby każdy szanujący się mieszkaniec Luizjany.

– Co?

– Przekupimy go – odparł krótko St. Bride.

29

Byla to jej pierwsza noc na wolności, ale Kayleigh wcale nie czuła się wolna. Stojąc przed drzwiami siedziby hrabiego de Cassel, rozpamiętywała wszystko, co przydarzyło się od jej ucieczki z Belle Chasse.

Zostawiła Canisa na drodze, a potem poszła do portu, lecz żaden statek nie płynął do Szkocji. Pokazała swój klejnot kapitanowi okrętu z Hawru, którego portem docelowym był Rotterdam. Rzucił tylko okiem na łańcuszek, uznał, że jest kradziony i przepowiedział jej, że zawiśnie na szubienicy. Przerażona wyrwała naszyjnik i uciekła.

Tej nocy próbowała znaleźć sobie nocleg w rozmaitych miejscach, lecz nie odważyła się wrócić do chatki Bardolfa. Wreszcie wczołgała się pod magazyn na palach, we wschodniej części Placu Broni. Pomiedzy jego podłogą a wilgotną ziemią umościła sobie posłanie z zeschniętych liści palmy.

Wyjęła naszyjnik i przetarła srebro rękawem koszuli St. Bride'a. Wprawdzie niewiele widziała w skąpej poświacie księżycy, lecz srebro i tak lśniło zimnym blaskiem. Naszyjnik przypominał mężczyznę, który go jej ofiarował: z pozoru szlachetnego, a w rzeczywistości podstępnego i niegodnego zaufania.

Nierada, że w jej myślach wciąż pojawia się St. Bride, wsunęła szafir za koszulę. Nie założyła go na szyję, bo nie była w stanie otworzyć jego zameczka. Położyła się więc z zimnym srebrem na piersi i usiłowała zasnąć, choć zbierało jej się na płacz.



– Kestrel! Patrzcie no, Kestrel! Och, wypcham sobie kieszenie złotem! – Na te słowa Kayleigh poderwała się z posłania. Pod magazynem było tak ciasno, że ledwie mogła usiąść. Ukłękła, usiłując oprzytomnieć. Ktoś ją znalazł!

Słońce już weszło i połyskiwało na nierównościach chodnika. Koło magazynu stała kobieta, przedwcześnie postarzała nędzarka, która patrzyła na nią tak chciwie, jakby Kayleigh była złotą monetą. Poznała ją natychmiast.

Miała na imię Lina. Było to zdrobnienie od Angeliny, lecz ludzie znad rzeki przezywali ją Deviliną*, nie w oczy jednak, gdyż z Liną nie należało zadzierać.

– Wynoś się stąd, Lino! Nie chcę cię znać! – krzyknęła.

– Nie chcesz? Toż ty jesteś Kestrel! – Lina zarechotała głośno. – Oj, czuję już to złoto w kieszeni! Mam ja dzisiaj szczęście nie lada! Wyłaż, wyłaż, ślicznotko! Hrabia sobie z tobą na pewno pogada, a mnie da trochę pieniążków!

– Nigdzie z tobą nie pójde! – Kayleigh cofała się wzdłuż magazynu. Biegała znacznie szybciej od starej wiedźmy, nie bała się więc zanadto. Wsunęła cenny naszyjnik za pas spodni, zacisnęła strzemiączka i wypełzła spod składu po drugiej stronie. Zamierzała udać się do portu, ale nie zaszła daleko.

Devilina miała syna noszącego bardzo pasujące do niego imię Wolfbane**, ten zaś czatował na Kayleigh przy drugim krańcu magazynu.

– Wolfbanie, ty nędzniku, nie podchodź do mnie! – Zdołała mu się wymknąć i pobiegła chodnikiem. Nieliczni o tej porze przechodnie nie

* Nieprzetłumaczalna gra słów; *angel* – po angielsku znaczy anioł, *devil* – diabeł (przyp. tłum.).

**Podobna gra słów; *wolf* – wilk, *bane* – plaga (przyp. tłum.).

zwracali uwagi na dziewczynę w zabrudzonym ubraniu i ścigającego ją młodzieńca. Nikt nie udzielił jej pomocy. Złapana, desperacko usiłowała się wyswobodzić:

– Puść mnie! Nigdzie z wami nie pójdę! Słyszysz?! – wrzasnęła Wolfbane’owi w twarz, lecz on nie zważał na to ani trochę. Jego matka, która wkrótce nadbiegła, przywiązała jej ręce do starej laski z cyprysowego drewna. Kayleigh musiała się poddać.



Rzucono ją na stary jedwabny kobieriec z Tabryzu. Upadek pozbawił ją tchu i oto leżała pośrodku pokoju, tracąc cenne sekundy na zaczerpnięcie powietrza. Gdy płuca już się nim wypełniły, spojrzała w górę i zobaczyła człowieka, którego lękała się najbardziej ze wszystkich ludzi na świecie, siedzącego na wyściełanym zielonym aksamitem foteliku naprzeciw niej.

Przez chwilę przyglądał się uważnie jej brudnemu i mokremu ubraniu. Jego niesamowite oczy spostrzegły, że ma na sobie strój męski i że jest to niewątpliwie odzienie St. Bride’a.

– Kayleigh, czy ty się nie kąpiesz? – zaczął z typową dla niego ironią. Spoglądał kolejno to na Linę, to na Wolfbane’a, a na jego wargach gościł niemiły uśmieszek.

– No, ale zważywszy towarzystwo, jakie sobie dobierasz, chyba nie musisz tego robić...

– Będziesz się smażył w piekle za swoje czyny, Erath! – Zerwała się na nogi i chciała uciec, lecz na widok lokaja i Wolfbane’a zrezygnowała.

– Erath, czy to właśnie ta dziewczyna, której szukałeś? – Hrabia wstał z kanapki. Słodki zapach jego pomady wisiał w powietrzu, lecz w pokoju czuło się też nieco słabszą woń lawendy. Dostrzegła lady Katarzynę.

– Niech ją pan stąd zabierze, kimkolwiek jest! To brudna *prostituée*, nie chcę jej tu widzieć! Jeszcze przywlecze nam jakąś zarazę! Papo, *maman* nie może zobaczyć tej kreatury w swoim domu! – Lady Katarzyna spojrzała na nią i uśmiechnęła się z zadowoleniem. Kayleigh miała jednak większe zmartwienia niż obraźliwe słowa córki Thionville’a. Zwróciła się do kuzyna:

– Erath, czy ośmielisz się zamordować mnie w obecności tych wszystkich ludzi?

– Zamordować? Mówisz o morderstwie?! – Thionville spojrzał na nią nie bez pewnej życzliwości. Nie zwracał uwagi na to, że jest brudna i zabłocona. Pod warstwą brudu widział piękną dziewczynę, której tak

gorąco zapragnął w Belle Chasse. Kayleigh postanowiła z tego skorzystać. Pożądanie Thionville'a mogło jej ocalić życie.

Posłała mu więc błagalne spojrzenie i szepnęła z desperacją:

– Erath chce mnie zamordować! To nie ja zabiłam Bardolfa Ogilvie, tylko on!

– Cóż to ma znaczyć? – Hrabia obrócił się ku Straughtowi. – Naprawdę chcesz ją powiesić? Gdyby była stara i szpetna jak tamta – ruchem głowy wskazał Linę – mógłbym cię zrozumieć. Ale dlaczego Collette? Co za szkoda!

– Papo! – krzyknęła z oburzeniem lady Katarzyna.

– Milcz! – uciszył ją Thionville, czekając na odpowiedź Straughta, lecz ten tylko się roześmiał.

– Myśli pan, że chcę ją zabić? Ja, kochanicę Ferringera? Doprawdy jesteście głupcami!

– Chcemy złota! Chcemy naszego złota, matka i ja! – Wolfbane wysunął się nagle do przodu.

– Ach, jeszcze więcej głupców! – Straught pogrzebał w kieszeni. Rzucił pojedynczą miedzianą monetę i patrzył, jak toczy się powoli po dywanie. Wolfbane chwycił ją, gdy tylko dotoczyła się do drzwi. Wydawał się całkiem zadowolony, ale jego matka ani trochę.

– Przyprowadziliśmy wam Kestrel! To ona! Tylko tyle dostaniemy w nagrodę za złapanie morderczyni Bardolfa Ogilvie?! – zaskrzeczała.

– Wyrzuć ich! – rozkazał Thionville, a lokaj wypełnił polecenie.

– I to ma być nagroda! Tyle dostajemy za Kestrel?! – Jej skrzekliwy głos słychać było jeszcze zza drzwi. Wolfbane nie protestował.

– Nie zabiłam Bardolfa, dobrze o tym wiesz! – Kayleigh usiłowała przekrzyczeć jazgot Liny.

– Mam cię jednak z powrotem, los tak chciał. – Straught wychylił się ze swego fotela i skinął na Thionville'a. – Zamknę ją w kwaterze Quinna, za stajniami.

– Nie chciałbym jej krzywdzić, Erath. Mówiłem już, że...

– Tak, tak, ty stary capie. Chcesz ją mieć tylko dla siebie. Zrozum, teraz musimy uporać się z Ferringerem! Mam przecucie, że wystawi nas do wiatru! Zapewniam cię, że do tego czasu Kayleigh musi być zdrowa i cała! Może być naszą jedyną szansą na wykaraskanie się z tej opresji! – Straught wstał.

– Chyba możemy posłużyć się pokojem Quinna – rozstrzygnął wreszcie sprawę hrabia.

– Tak. Założę się, że nigdy już o nim nie usłyszymy – dodał Straught i wywłókł Kayleigh za drzwi.

Byli już w połowie drogi do stajni, kiedy wreszcie zdała sobie sprawę, co się z nią dzieje. Odkąd Straught zawołał „wystawi nas do wiatru”, ogarnęło ją jakieś odrętwienie. Te kilka słów sprawiło, że cały jej świat legł w gruzach. Czyżby myliła się co do St. Bride’a?

– Erath, Erath, posłuchaj! – zawołała histerycznie – Muszę wiedzieć, czy St. Bride jest twoim wrogiem, czy przyjacielem?

– Co tam mamrociesz? – Straught wepchnął ją do pokoju na pięterku wypełnionego przedziwną mieszaniną srebra, porcelany i męskich ubrań.

– Muszę to wiedzieć! Czy St. Bride jest twoim przyjacielem, czy wrogiem?

– Myślę, że wkrótce upewnię się co do tego. – Jego usta zacisnęły się w wąską, groźną linię.

Była przerażona. A jeśli uciekła z Belle Chasse jako zdrajczyni, a nie zdradzona? Z trwogą spojrzała na kuzyna. Nigdy jeszcze nie widziała Straughta tak zgnębionego.

Zrobiło jej się słabo i musiała oprzeć się o ścianę. Czy St. Bride oszukał tamtych? Wszystko pasowało do siebie aż za dobrze! A zatem St. Bride byłby owym arystokratą, o którym niegdyś wspomniał jej Quinn, człowiekiem, który zawziął się na Straughta, albowiem ten uwiódł... Mary.

Zamknęła oczy. Gdzież ona miała rozum?! Uciekła od ukochanego, żeby wpaść w łapy Straughta! Teraz zapłaci za swoją głupotę życiem.

– Jazda! – Straught chciał związać jej ręce, lecz kiedy przyparł ją do ściany, wymacał naszyjnik, który wciąż jeszcze tkwił za pasem.

– O, cóż my tu mamy?! – zawołał, wyciągając go na wierzch. Szafir załśnił błękitnym ogniem.

– Nie! – krzyknęła, wrywając mu go i cofając się do kąta.

– Skąd to masz? – Straught był wyraźnie zaintrygowany. Znał ten szafir. Podszedł bliżej, żeby mu się dokładniej przyjrzeć.

– Nigdy nie będzie twój! – Schowała naszyjnik za siebie, żeby nie mógł przyglądać mu się tak badawczo.

– Niewiarygodne! – Straught złapał ją za rękę, w której trzymała naszyjnik. Wpatrywał się w kamień, jakby nie dowierzając świadectwu własnych oczu. Mruknął jeszcze raz: – Niewiarygodne! Czyżby to był czwarty szafir Lansdowne’a? Czyżby ten sukinsyn nosił go przez cały czas na „Bonawenturze” i w śmiał mi się w nos, bo go nie rozpoznałem?! – Nagle, jakby nie mógł tego dłużej znieść, wrzasnął: – Dobry Boże, okpiono mnie! – Zwrócił się ku niej. – Daj mi ten naszyjnik – zażądał.

– Nie. St. Bride mi go podarował – szepnęła.

– Nie wątpię, moja ślicznotko! Miał do ciebie słabość, co? – Straught próbował chwycić naszyjnik, lecz tym razem nie pokpiła sprawy.

– Nie dostaniesz go! – zawołała, nim zdołał po niego sięgnąć. Jednym zręcznym ruchem założyła go sobie na szyję i zatrzasnęła. Odechnęła z ulgą. Żeby zdobyć klejnot, będzie ją teraz musiał zabić.

– Zdejmij go zaraz!

– Tylko St. Bride zna sekret zamka. Ja nie umiem go otworzyć.

– Dostanę go, Kayleigh, tak czy owak – rzekł Straught z udawanym spokojem.

– Być może – odparła. – Tylko że później, kiedy St. Bride dowie się o mojej śmierci, zrozumie, że go kochałam i że go nie okłamałam. A przynajmniej, że nie skłamałam na samym końcu!

– Czy miłość ocali ci życie?! – Ze złością związał jej ręce sznurem, który przyniósł ze sobą. Próbowwała odtrącić go kopnięciem i uciec, lecz z całej siły przyparł ją do ściany. Zabrakło jej tchu i poddała się. Nie miała jednak skrępowanych nóg, co budziło w niej pewne nadzieje. Może zdoła się w jakiś sposób oswobodzić?

Nie wzięła pod uwagę jednej rzeczy: buteleczki z mlecznobiałym, przezroczystym płynem, którą Straught wyciągnął zza kamizelki. Nalał wina z przyniesionej przez siebie flaszki do zakurzonego srebrnego kubka stojącego na komodzie Quinna, a potem wpuścił do niego kilka kropel tego płynu.

– Zażyjesz laudanum? – spytał.

– Nie pozwolę się otruć!

– Przeciwnie, chcę ci pomóc. Pojedziemy teraz pogadać sobie z twoim kochaniem. Nie chcę, żebyś podczas naszej rozmowy zrobiła jakieś głupstwo. No, wypij! – podsunął jej kubek pod same usta i zmusił do zacerpięcia jednego łyku. Wypluła go jednak, odtrącając kubek związanymi rękami. Upadł z trzaskiem na ziemię. Wino wylało się na podłogę.

– Świetnie. – Straught podniósł naczynie, stawiając je z powrotem na obskurnej komodzie. – St. Bride zapłaci za twoje nieposłuszeństwo.

– Czemu mnie od razu nie zabijesz? Na pewno oglądanie mojej śmierci sprawi ci przyjemność – syknęła i przywarła do ściany.

– Jesteś nieokiełznana jak twoja matka.

– To nieprawda! Ona była dobra, łagodna i...

– I stała się utrapieniem twojego ojca! – Zajrzał jej w oczy, ciągnąc dalej: – Chciałem ją raz pocałować, wiesz? Nie, chyba nie wiesz. Nikomu nie pisnęła ani słówka. – Zaśmiał się. – O mało mi wtedy nie rozwaliła głowy jednym z mieczy wiszących w wielkim holu! Zostawiłem ją

twojemu ojcu i dobrze zrobiłem! – Zamyślił się nagle. – Ale potem przyszedłaś ty.

– Jeśli pragnąłeś mnie, to czemu zabiłeś Mornę? Kochałam ją! – Głos drżał jej od powstrzymywanego płaczu.

– Nie chciałem zabijać Morny. Nie chcę też zabić ciebie. – Spojrzał na nią uważnie. – Ale może będę musiał. Nigdy przecież za mnie nie wyjdiesz. – Sposepniał nagle. – Obiecuję ci, że obejdę się z tobą łagodnie. Wsiądziemy dziś wieczorem na statek, uspię cię, kiedy wypłyniemy już w morze, a potem wyrzucę za burtę. Bezkrwawo, bezboleśnie.

– Rzeczywiście, wielka mi łaska!

– Muszę przeżyć ja. Bo ja jestem Kerr, moja miła. Tak czynią ludzie nazwiskiem Kerr!

– Nie! Mój ojciec był inny, a ja, chociaż mam co nieco na sumieniu, nigdy bym nikogo nie zabiła! – Uniosła związane ręce w błagalnym geście: – Chcę tylko wrócić do Belle Chasse, już nie do Mhor. Nigdy więcej nie wejdę ci w drogę. Puść mnie! Oddaj mnie St. Bride'owi.

– Nie, musisz umrzeć. Zdecyduję tylko, czy St. Bride ma umrzeć razem z tobą, czy nie.

– Chcę, żeby on żył. – Tylko tyle mogła wyjąkać.

– A więc zrób, co ci powiem. Mam pewien plan.

Po czym wyjawiał go jej i wyszedł. Kiedy usłyszała szcęk zamka, podbiegła do drzwi, targając z całej siły za klamkę. Drzwi były jednak zamknięte. Osunęła się na podłogę.

Powoli dotarło do niej, że otaczają ją przedmioty skradzione przez nią w Belle Chasse. Półprzyciemnie spojrzała na srebrną solniczkę i półmiski z Bristolu. Gdy jednak na ziemi przy łóżku dostrzegła granatową kamizelkę ze złotymi guzikami, jęknęła rozpaczliwie. Należała do St. Bride'a.

30

Daliśmy się nabrać! – syknął gniewnie Straught do Thionville'a. Po wóz, trząsał się i podskakiwał na nierównościach gruntu.

– Przecież widzieliśmy, jak kwiaty wschodziły i to całkiem niedawno. Gdzież tu oszustwo? Prawda, że jeszcze wtedy nie kwitły, ale przecież St. Bride nie powyrywa ich z korzeniami, żeby nam zrobić na złość! Chyba się mylisz co do niego – mitygował go hrabia.

– Mówię ci, że to Lansdowne! Cały czas na mnie dybał! Kayleigh ma jego szafir! Coś mi mówi, że niewiele nam przyjdzie z Belle Chasse.
– Erath wyprostował się. – Mamy jednak Kayleigh. Spodziewam się, że ona sporo dla niego znaczy. Oby tak właśnie było! Niech mi przynajmniej odda szafiry, kiedy mu zagrozę jej śmiercią!

– Kestrel nie może zginąć. Protestuję! – obstawał przy swoim Thionville.

– Stul gębę! – rzucił pogardliwie Straught.

Po szaleńczej jeździe dojechali wreszcie do Belle Chasse. Wyskoczyli spiesznie z powozu, pragnąc jak najszybciej ujrzeć kwiaty na odległych polach. Prędko przeszli przez dziwnie opustoszałe podwórze i wspięli się na schody.

Z loggi można było dojrzeć najbliższe zagony maków. Straught dotarł tam pierwszy i z niepokojem spojrział w dal. Pola lśniły co prawda ognistą barwą, lecz on zakrył twarz rękami.

– Niemożliwe! – wyjąkał stojący za nim Thionville. W osłupieniu powtórzył: – Niemożliwe!

– Możliwe, durniu! – wrzasnął z furią Straught. – Do diabła! Pola są pomarańczowe, nie czerwone! Łajdak zasiał rudbekię!

– A nasiona? Te cenne nasiona? Co z nimi zrobił?

– Pewnie wrzucił je do rzeki! Boże, zabiję nędznika! Zabiję i jego kochankę, i jego samego! – Straught wpadł do salonu. Podobnie jak loggia, podwórze i cała reszta plantacji, był on zupełnie pusty. Znikąd nie dobiegał śmiech praczek ani głosy służby. Dom był tak cichy, jakby był nawiedzony.

– Ferringer! Ferringer! – krzyczał Straught, a jego głos odbijał się echem w pustych pokojach. – Gdzie jesteś! Przeklęty nędzniku, zabiję cię!

– Erath, poczekaj! – Thionville postępował jego śladem, zerkając trwożliwie na boki, jakby spodziewał się ujrzeć ducha.

– Gdzie jesteś, Lansdowne?! – Straught przebiegał pokoje jeden po drugim. Gdy jednak dotarł do sypialni St. Bride’a, stanął jak wryty.

– Ach... a więc Żniwiarz Śmierci przybył po swój plon.

St. Bride siedział w fotelu, opierając skrzyżowane nogi na łóżku. Na kolanach trzymał dwa ciężkie pistolety używane do pojedynków. Za nim stał potężny Murzyn, dzierżąc francuski muszkiet, niewątpliwie kupiony od kogoś z żołnierzy w koszarach Nowego Orleanu. Jednak ani broń, ani obydwaj mężczyźni nie byli tak przerażający jak to, co widniało ponad głową St. Bride’a. Z haka, na którym niegdyś powiesił się Laignier, zwisał potężnych rozmiarów stryczek. Pętla huśtała się na wieją-

cym od Missisipi wietrze. St. Bride spojrział na nią, a potem posłał Thionville'owi wymuszony uśmiech.

– Serdecznie przepraszam, milordzie. Powinna tu być jeszcze druga, specjalnie dla pana, lecz, jak widać, mam tylko jeden hak!

– Lansdowne! – zawołał Straught. – Na Boga, zabiję cię! Zabiję! Jesteś księciem!

– W końcu na to wpadłeś. – St. Bride, nadal zachowując lodowaty spokój, jakby od niechcienia przesunął dłonią po czarnej rękojeści jednego z pistoletów. – Owszem. Jestem dziewiątym księciem Lansdowne i bratem Mary Greenling. Nie potrzebowałem nawet zmieniać nazwiska, żeby cię okpić.

– Powinieneś nosić nazwisko Greenling!

– Mary Greenling była moją przyrodnią siostrą. Sądziłem, że okazesz się nieco bystrzejszy. Nie wyobrażasz sobie, jak się ucieszyłem, kiedy pewien twój „przyjaciel” ze Szkocji zdradził mi, że wybierasz się do kolonii, chcąc tam za wszelką cenę zbić majątek. Kupiłem więc Belle Chasse, bo wiedziałem, że wówczas połkniesz haczyk.

St. Bride przerwał, spojrział na pętlę i dodał:

– No i teraz oskubałem cię do ostatniego grosza. Klejnoty Mary znów powróciły do mnie i już u mnie pozostaną. Masz tylko jedno honorowe wyjście: powiesić się. Zostałeś bankrutem!

– Zmarnował pan jednak i moje pieniądze! – jęknął Thionville. – A przecież nie byłem zamieszany w spór między wami!

– Słusznie, milordzie – St. Bride spojrział na niego z ukosa, dostrzegając, że hrabia obficie spocił się. Potem znów zwrócił się do Straughta: – Maki, tak czy owak, to brudny interes.

Ręka Straughta poruszyła się, jakby chciał sięgnąć ku wypukłości na kamizelce, gdzie bez wątpienia ukrył pistolet. St. Bride zignorował tę próbę samoobrony.

– Nie zabiłem twojej siostry, Lansdowne, przecież dobrze wiesz! A ja też mam ci coś do powiedzenia!

– Wiem, że jej nie zabiłeś – odparł posepnie St. Bride. – Gdyby tak było, dawno byś już nie żył.

– Po co więc to wszystko? – przerwał im płaczkliwie Thionville. – Po cóż się pan posunął do pozbawienia Eratha klejnotów i to jeszcze za moim pośrednictwem?

– Wszystko za Mary.

– Mary! – wykrzyknął Thionville. – Przecież Erath jej nie zabił, sam pan przyznaje! *Mon Dieu!* Skoro ograbił mnie pan ze wszystkiego, proszę przynajmniej wyjaśnić, dlaczego!

St. Bride odparł krótko, jakby mówienie o tym sprawiało mu ból:

– Nikomu nie muszę nic wyjaśniać.

– A więc ja to zrobię! – warknął Straught. – Osierocona i zaniedbywana przyrodnia siostra Ferringera cierpiała na epilepsję! Nikt z londyńskiej socjety nie chciał z nią przestawać, bo jej ataki wystraszyłyby każdego. Tylko nie mnie!

St. Bride spojrział na niego z nienawiścią.

– Mary była aniołem, bezbronny i osamotniony. Wykorzystałeś ją!

– Kiepsko jej pilnowałeś, Ferringer. Za bardzo byłeś zajęty swoją głupią plantacją, żeby dotrzymać jej towarzystwa, a teraz obwiniasz mnie, bo ja to robiłem!

– Na Boga, wina jest po twojej stronie! – St. Bride zdjął nogi z łóżka i stał wyprostowany, z pistoletami zatkniętymi za pas. – Podczas mojej nieobecności wkradłeś się w jej łaski, a potem rozkochałeś ją w sobie, nadszkwiliłeś jej...

– Czysta prawda, Ferringer! – wrzasnął Straught. – Ale to ty powinieneś nosić brzemień winy. A tymczasem robisz ze mnie kozła ofiarnego. Mój jedyny błąd do darzenie Mary atencją, na którą zasługiwała!

– A jakże, szczerą atencją! – W głosie St. Bride’a zabrzmiał sarkazm. – Robiłeś tak, bo uważałeś ją za siostrę księcia Lansdowne. Kiedy zacząłeś się do niej zalecać, myślałeś, że ożenisz się z posagiem. Kiedy jednak okazało się, że ja zarządzam jej majątkiem, rzuciłeś ją! Złamałeś jej serce i... – jego głos zaczął drżeć – ...zabiła się.

– Tak, zginęła z własnej ręki! Nie wsadziłem jej tego laudanum przymocą w usta!

– Istotnie – rzekł St. Bride z pogardą – i właśnie dlatego się tu znalazłeś. Żeby wszystko powiedzieć.

– Mary bardzo mało mówiła o swoim księżęcym bracie, ale ja i tak sporo się o tobie dowiedziałem! Byłeś utracjuszem, hulaką, ojcowskim utrapieniem, a gdy rodzice zmarli, chciałeś odpokutować za błędy i rzuciłeś się w wir pracy! Zostawiłeś Mary samą! – wychrypiął. – Była taka wyrozumiała, mówiła, że jesteś cudowny. Jakże była głupia!

– Była słodka i niewinna – odparował St. Bride. – Bardzo cię kochała. Ciebie! – prychnął z obrzydzeniem. – Nawet gdy ją rzuciłeś, wierzyła – powiedziano mi o tym – że ją kochasz, naprawdę kochasz, mimo jej ataków i nie dla jej bogactwa. Obiecałeś przecież zawieźć ją do Gretna Green i ożenić się z nią, obojętnie, z moją zgodą czy nie.

St. Bride zbliżył się do Straughta, przypierając niższego od siebie Szkota do wielkiej szafy przy przeciwległej ścianie.

– Służąca Mary powiedziała mi, jak szczęśliwa była jej pani tamtej nocy. Gdybyś się z nią ożenił, pogodziłbym się z twoją obmierzłą obecnością w moim domu, jeśli miałoby to uszczęśliwić Mary. Ale ty nie przyszedłeś. Czekala na ciebie przez pięć nocy! Przez pięć nocy siedziała w holu, czekając na twój powóz. – Głos uwiązał mu w gardle. Dokończył przemowę śmiertelnie blady: – A szóstej nocy zażyła dostatecznie dużo laudanum, żeby usnąć na zawsze.

– To nie było moje laudanum! – Straught uderzył plecami o podwójne drzwi szafy.

– Tak, zażyła laudanum. Obwiniam się o to. Jak jednak ukarać ciebie? Wielokrotnie dowiodłeś, że nie masz z tego powodu wyrzutów sumienia. Ani trochę nie wzrusza cię, że młoda, niewinna dziewczyna umarła przez ciebie. – Wskazał na pętlę. – Odpokutujesz za Mary Greenling. Nie masz już zresztą po co żyć, Straught. Zostałeś nędzarzem. Będziesz musiał poniewierać się wśród motłochu, a ludzie będą szydzić z ciebie i twojego pecha. Inni żebracy będą pluć na ciebie i nienawidzić cię za to, że nawykłeś do wytwornych manier i pięknych ubrań. Widzisz, co cię czeka? Skończ z tym zatem w mniej bolesny sposób. Wejdź tylko na to krzesło i wsuń głowę w pętlę. Laban i ja zajmiemy się resztą.

– Mówisz, że nie mam po co żyć? – Straught zaśmiał się szydlerczo. – Wprost przeciwnie! Mam wcale miły powód: chędożenie twojej kochanicy!

Widząc, że St. Bride drgnął gwałtownie, ciągnął z coraz większą pewnością siebie:

– Dorwałem Kestrel, a jakże! Podawała się tu za jakąś Colette, tak mi przynajmniej mówił Thionville. Ładny z niej kasek, całkiem zawróciła mi w głowie! Nietrudno jej przyjdzie żyć wśród motłochu, nawet z takim nędzarzem jak ja! Przywykła przecież do tego, chyba żeś ty ją tutaj rozpuścił, co, Ferringer?

Widząc, że na twarzy St. Bride'a wściekłość ustąpiła miejsca zgrozie, Straught zachichotał.

– Wspaniale! Widzę, że ci na niej naprawdę zależy! No, ile byś za nią dał? Powiedzmy... dziesięć tysięcy funtów?

– Wydałeś ją sędziemu? – spytał St. Bride głuchym szeptem.

Straught wyszczerzył zęby:

– Nie, zrobiłem coś lepszego. Jest u mnie.

– Jeśli choć włos spadł jej z głowy, zginiesz. Sam założę ci stryczek na szyję.

– Ani jej palcem nie tknąłem. Wprost przeciwnie!

– Wzięłaś ją może gwałtem? Nie pozwoliłaby ci na to.

– A z tobą rzecz się miała inaczej, co, Ferringer? – Straught uśmiechał się jeszcze, kiedy uderzył całym ciałem o szafę. St. Bride schwytał go za kamizelkę i unióśł do góry.

– Owszem, w moim przypadku było inaczej! Jeśli ośmieliłeś się ją tknąć, jeśli poznam po twojej gębie, że ją zgwałciłeś, koniec z tobą!

– Jeśli chcesz jeszcze zobaczyć Kayleigh Kerr, puść mnie!

St. Bride, dusząc się z wściekłości, usłuchał.

Straught rzucił się do tyłu i oznajmił:

– W porcie stoi mała, francuska fregata „Détente”. Odpływa dziś na Korsykę. Chcę się znaleźć na jej pokładzie z dziesięcioma tysiącami funtów w czystym złocie. Jeśli będziesz tam punkt ósma, możesz ode mnie wykupić swoją kochanicę.

– Zawieźcie mnie do niej obydwaj! – St. Bride wskazał na hrabiego. – W tej chwili!

– Zobaczysz ją o ósmej. – Straught drgnął nerwowo.

– Teraz! – W każdej z rąk St. Bride’a pojawił się pistolet.

– Chcesz mnie zmusić? – Straught uśmiechnął się szyderczo: – No to nigdy jej nie zobaczysz, obiecuję!

– Zawieź mnie do niej... – St. Bride nagle urwał, zaintrygowany. – Skąd znasz jej nazwisko?

– Mnie nie mogła skłamać. – Straught spojrział prosto w pełną zgromy twarz St. Bride’a i znów zachichotał, cofając się krok za krokiem. Thionville niczym pies postępował tuż za nim.

– Zabieramy się stąd. Do zobaczenia na „Détente”!

St. Bride nareszcie zrozumiał. Krzyknął z wściekłością:

– Jesteś jej krewnym, nędzniku!

– Co to ma do... – Straught nie zdążył dokończyć. St. Bride znów bowiem przyparł go do ściany, lecz tym razem przystawił mu do głowy pistolet.

– Jesteś jej kuzynem! Przybyłeś do Luizjany za nią!

– Co to ma do rzeczy? – Straught usiłował odepchnąć od siebie broń.

– Owszem, ma. Zamordowałaś jej siostrę! – St. Bride jeszcze mocniej przycisnął lufę do rudawej skroni Szkota. – Kiedy ją tu wyśledziłeś, zabiłeś Bardolfa Ogilvie, a ona uciekła na moczary. Wiedziała, że wpadłeś na jej trop, dlatego nie mogłem wydobyć z niej ani słowa prawdy. Sądziła przecież, że jesteśmy przyjaciółmi! Na Boga, lepiej zawieź mnie do niej zaraz, bo jak nie, to rozwałę ci głowę i każe się tam zabrać Thionville’owi!

– Zgoda, Wasza Wysokość – parsknął z sarkazmem Straught – ale chcę mieć z powrotem klejnoty Mary.

– Zabierz mnie do Kayleigh, a o zapłacie pogadamy, kiedy będzie bezpieczna.

– Dawaj szafiry albo nigdy nie ujrzysz jej żywej! – Straught nie miał nic do stracenia.

St. Bride spiorunował go wzrokiem, lecz bez skutku. Wreszcie mruknął z rezygnacją do Labana:

– Przynieś je i ruszamy.

Thionville po powrocie Murzyna krzyknął z kąta:

– A co ze mną?! Musi mnie pan wciągać w tę okropną intrygę?!

– Ach, racja. Wynagrodzę to panu.

Zostawiając Straughta pod strażą Labana, St. Bride wyjął ze skórzanego kuferka jedwabną sakiewkę i rzucił ją hrabiemu.

– Serdeczne dzięki Waszej Wysokości! – wyszeptał oniemiały Thionville.

– Wystarczy tych pieniędzy na podróż do Francji. Jest pan zrujnowany, ale nie widzę powodu, żeby cierpiała przez to lady Katarzyna. Niech ją pan jako dobry ojciec zawiezie do Paryża i tam znajdzie jej męża.

– Rozumiem. – Thionville, najwyraźniej usatysfakcjonowany ciężarem kieski, schował ją szybko w zanadrze i westchnął z rezygnacją.

– Ruszamy! – Ku zaskoczeniu Straughta, St. Bride wyrwał mu pistolet zza kamizelki i wskazał drogę do loggii, wymachując własną bronią. Straught i Thionville wyszli pierwsi. Po odejściu hrabiego St. Bride szepnął: – Przyjacielu, ona znalazła się w strasznych opałach. Pomożesz mi?

Laban, który słyszał każde słowo Straughta, mruknął ze skrucą tylko jedno słowo:

– Tak.

31

Gdzieś daleko rozległ się sześciokrotnie dźwięk dzwonu. Wysiłki Kayleigh, żeby uciec z mrocznego pokoju Quinna, okazały się daremne. Siedziała teraz w kącie, złożywszy związane ręce na podolku. Straciła nadzieję, że ktokolwiek przybędzie jej na ratunek, gdy usłyszała męskie kroki. Zatrzymały się przy drzwiach. Serce podskoczyło jej z radości.

– St. Bride! – krzyknęła i podbiegła do drzwi. Jej kuzyn wszedł jednak jako pierwszy i rzucił ją brutalnie na nędzny, wypchany słomą sienik Quinna.

Za nim ukazał się St. Bride. Patrzyła na niego bez słowa. Wyglądał na zmęczonego i znękanego, lecz w jego oczach błyskał gniew.

– Zamknij za sobą drzwi, Ferringer. – Głos Straughta przerwał jej domysły.

– Zostaną otwarte – mruknął ze złością St. Bride. Straught już miał zamiar wszcząć kłótnię, gdy w drzwiach zamajaczyła czarna sylwetka Labana. Niósł ciężką torbę cynobrowego koloru.

– Mówiłem, żeby został na dole! Nikt tu nie zapraszał pańskiego czarnucha!

– Nie będę sam dźwigał klejnotów siostry. Powinieneś wiedzieć, że to niegodne kogoś z moją pozycją. – St. Bride z kamienną twarzą spojrział na Kayleigh.

Patrzył na nią bardzo długo, nie pomijając żadnego szczegółu jej żalosego wyglądu. Przyglądał się uważnie jej, a raczej temu, co miała na sobie, jego własnej, szarganej teraz odzieży, a potem burzy potarganych włosów i naszyjnikowi z szafirem. Wreszcie przeniósł spojrzenie na jej twarz. Zdawał się domyślać co do joty wszystkich wydarzeń ostatnich dwóch dni. Wreszcie popatrzył jej w oczy. Nie wiedziała jednak, czy zdoła w nich dojrzeć całą rozpacz, nadzieję i skrucę, jakie ją przepełniały.

– Ferringer przyszedł tu po ciebie, Kayleigh – rozległ się z tyłu za nimi głos Straughta.

– Myślę, że masz mu coś do powiedzenia, prawda?

Wierchem dłoni wytarła pot z czoła. Nadszedł czas na odegranie roli zdrajczyń. Rzekła głucho:

– On ma słuszność, St. Bride. Teraz, kiedy odzyskał pan klejnoty, wrócę z Erathem do Szkocji.

St. Bride uśmiechnął się lekko.

– Ach, więc kłamałaś, mówiąc, że mnie kochasz?

– Tak. – Zrezygnowała z dalszych słów, widząc wyraz twarzy Straughta. To właśnie był ów plan, o którym powiedział jej wcześniej. Chciała ocalić St. Bride'a, choćby za cenę własnego życia, choćby ze świadomością, że będzie nią gardził. Szczerze pragnęła, żeby dowiedział się prawdy o kuzynie, a także o tym, że ona nienawidzi Eratha Straughta z całej duszy i że to, co teraz mówi, jest kłamstwem. Milczała jednak. Musiała działać zgodnie z planem.

– Chodź, Kayleigh. Musimy wracać do Belle Chasse. – St. Bride stanął nad nią z wyciągniętą dłonią.

– Nie. – Ze zdumienia zabrakło jej tchu. A więc nie uwierzył jej! Sądził, że go kocha! Tylko że zginą teraz obydwoje!

– Musi pan odjechać beze mnie. Tak, odjechać. Wszystko... już... skończone. – Zaszlochała. Odjedzie bez niej. To było ponad jej siły.

– Mówi, żeby pan się stąd zabierał, Ferringer. Musimy być na statku o północy. – Straught wszedł między nich.

– Nie weźmiesz jej ze sobą! – St. Bride bez trudu odsunął go, przeciągając Kayleigh na swoją stronę.

– Wezmę, na Boga! Po tym wszystkim ona jest moja, powiadam! – Kayleigh poczuła nagle, że Straught chwyta ją za kark i przykłada wyciągnięty zza pasa nóż do gardła, wciskając ją w kąt. Potem sięgnął błyskawicznie do komody, gdzie za srebrnymi czarkami stała mała buteleczka. Otworzył ją jednym szybkim ruchem kciuka i przytknął siłą do ust. Nie była w stanie jej odepchnąć, wypila więc parę łyków płynu.

– Wyoście się obydwaj! – wrzasnął do St. Bride'a i Labana. – Precz mi stąd, bo inaczej otruję ją na waszych oczach!

W oczach St. Bride'a błysnęła furia.

– Ośmielasz się grozić jej śmiercią w mojej obecności?!

– Ośmielam się! – Straught śledził, jak St. Bride wyciąga pistolet. Parsknął śmiechem. – A jakże, naciśnij teraz spust, Ferringer! Uśmiercisz swoją lubą, nim uda ci się uśmiercić mnie! Tylko spróbuj, a wleję jej wszystko do gardła!

St. Bride zawahał się.

– Nie chcę umrzeć od jego laudanum! – krzyknęła Kayleigh.

– Milcz! – Straught brutalnie przycisnął ją do siebie, usiłując wlać w nią resztę trucizny.

– Zabij mnie! – zawołała wyzywająco. – Tak, wlej mi wszystko w gardło! Rób, co mówię! St. Bride zemści się na tobie za moją śmierć! – Desperacko sięgnęła do komody, strącając na ziemię figurkę Arlekina z Kolombiną. Statuetka roztrzaskała się, choć Arlekin do końca nie wypuścił z objęć okaleczonej ukochanej.

St. Bride, korzystając z chwili nieuwagi Straughta, sięgnął natychmiast po buteleczkę. Kayleigh, uwolniona od noża, rzuciła się ku drzwiom, wpadając tam w ramiona Labana, podczas gdy St. Bride zmagał się z jej kuzynem. Kayleigh wrywała się, chcąc mu przyjść z pomocą, lecz stałowy uścisk Labana osadził ją w miejscu. Mogła tylko patrzeć na zacieklą walkę. Raz górę brał St. Bride, a raz jej kuzyn.

Straught był niższy, lecz dobrze zbudowany i muskularny. Opierał się St. Bride'owi, jak długo mógł, lecz powoli zaczynało brakować mu sił. Kayleighomal nie zemdląła, gdy nóż upadł na podłogę, ale z niewypowiedzianą ulgą ujrzała, że St. Bride zdołał go odrzucić jednym kopnięciem daleko na podłogę. A potem zadał Straughtowi potężny cios w szczękę.

– Chciałbym oglądać twoją śmierć. Będziesz wisiał, na Boga, za wszystkie swoje sprawy!

– Nie zabiłem Mary!

– Nie chodzi już o Mary, tylko o nią! – St. Bride wskazał Kayleigh. Spójrz na nią, nędzniku! Na jej ręce, na blizny, jakie jej zostały po życiu, na które ją skazałeś!

Do Kayleigh zaczęło nagle docierać, że St. Bride jej wierzy.

– Skąd wiesz? Skarzyła ci się?

– Spójrz jej w oczy! – St. Bride popchnął Straughta ku niej. – Widzisz w nich smutek? To twoja wina! Próbowałem rozproszyć go wszelkimi sposobami, ale nie potrafiłem. Za to właśnie zapłacisz, nikczemniku. Zabiłeś jej siostrę! Zamordowałeś z zimną krwią niewinną dziewczynę! Kayleigh zaświadczy! Będziesz wisiał!

– Umknę katowi! – Straught zdołał się wyrwać St. Bride’owi, uderzając go silnie w głowę. Ten jednak szybko zapanował nad sytuacją. Wyciągnął pistolet i wymierzył go w Straughta, który musiał stanąć bez ruchu. Po chwili jednak spokojnie odwrócił się tyłem.

– Umknę katowi, Ferringer. No jazda, zabij mnie. Strzel teraz do mnie!

St. Bride zawahał się. Straught najwyraźniej na to właśnie czekał. Zaczął się szaleńczo śmiać.

– Nie możesz, co? Musisz albo pozwolić mi uciec, albo niehonorowo strzelić mi w plecy! A skoro nie potrafisz, myślę, że czas już stąd odejść!

Ciągle odwrócony plecami do St. Bride’a, cofał się do drzwi. Kayleigh nigdy jeszcze nie widziała go tak spokojnego i pewnego siebie.

– Prosisz się o położenie kresu twej nędznej egzystencji. Lepiej nie nadużywaj mojej cierpliwości. – St. Bride głośno odwiódł kurek i Kayleigh zrozumiała, że raczej zastrzeli Straughta, niż pozwoli mu odejść.

– No jazda, wielki książe! Wpakuj kulę prosto w plecy bezbronnego! – Straught roześmiał się, stojąc w progu, poza zasięgiem Labana.

– Nie wyjdiesz stąd żywy – uprzedził go St. Bride.

– Rzeczywiście? Został mi tylko jeden krok!

– Chcesz zostawić klejnoty, bez których nie zdołasz przeżyć? – St. Bride pchnął nogą torbę.

Straughtem, jak zawsze, zawładnęła chciwość. Odruchowo odwrócił się, żeby sięgnąć po szafiry. St. Bride posłał mu ostrzegawcze spojrzenie ze słowami:

– Nie ruszaj się!

Tracąc głowę, Straught chwycił własną kieskę i rzucił ją w swego przeciwnika.

Był to fatalny błąd. St. Bride uchylił się przed gradem monet, a potem zrobił jedyną rzecz, która mogła zatrzymać Straughta w tych czterech ścianach. Strzelił, trafiając go dokładnie między oczy. Ciało kuzyna Kayleigh osunęło się bezwładnie na torbę z klejnotami.

32

Nawet kandelabry Placu Broni nie mogły rozproszyć ciemności nad Missisipi. Nowy Orlean tonął w wilgotnej nocy pełnej zabaw i hulanek, lecz tu, na nabrzeżu, panowała cisza. Słyszać było tylko szmer rzeki i słowa wypowiedziane energicznym, choć pełnym czułości głosem:

– Postaraj się iść.

– Och, ależ ja jestem... taka śpiąca... tak bardzo śpiąca! Musisz mi potem wszystko opowiedzieć, skąd się tu wziąłeś i całą resztę, ale teraz... teraz chcę spać!

– Nie. Nie pozwolę, żeby wzięło nad tobą górę przekłete laudanum Straughta. – Ramię St. Bride'a jeszcze mocniej objęło ją w pasie. Przyciągnął do siebie jej ślaniające się ciało, lecz kiedy sądziła, że chodzi o kolejny pocałunek, on rzekł znowu:

– Proszę, postaraj się iść.

– Zrobię to, jeśli powtórzysz to, co mówiłeś przedtem. – Głowa jej opadła, lecz podtrzymał ją.

– Co chcesz usłyszeć? Czy prośbę, żebyś została moją żoną i księżną, czy to, jak bardzo cię kocham?

Uśmiechnęła się słabo:

– Jedno i drugie, *mo chridhe*... ale później... chcę słyszeć je codziennie, przez całe życie. – Westchnęła, wtulając się mocniej w jego ramiona. Jakże bezpiecznie się w nich czuła, jak pewnie, jak ufnie! Chciała pozostać w nich już na zawsze i spać. Spać.

– Jakże ja cię kocham – szepnął. Uniosła ku niemu twarz.

– I ja... ciebie... też. – Zdołała się jeszcze uśmiechnąć, nim ją pocałował. Wiedziała, że nie musi już przebijać się przez życie samotnie. Kiedy skończył ją całować, spytała:

– Jak się domyśliłeś, że cię naprawdę kocham? Postąpiłam przecież tak niegodziwie! Nie rozumiem, czemu nie zostawiłeś mnie Erathowi!

– Laban powiedział mi, żebym tego nie robił – odparł z łagodnym uśmiechem.

– Laban? Niemożliwe!

– Laban całkiem inaczej teraz o tobie myśli. Chyba zostaniecie przyjaciółmi! – Klasnął nagle językiem o policzek. – Zabiłem z twego powodu dwóch ludzi. Pewnie będę się za to po wieczne czasy smażył w piekle. Mogłabyś przynajmniej udowodnić, że warto było. – Zmusił ją jeszcze raz do zrobienia kilku kroków.

– No to pójdę się w nim smażyć razem z tobą. Ani myślę iść do nieba, jeżeli ciebie tam nie wpuszczą! – zapewniła go, kiedy powoli zbliżali się do portu.

– A jeśli jesteś przebrany aniołem i powinnaś znaleźć się za rajskimi wrotami? Co wtedy?

– Och – próbowała się chytrze uśmiechnąć – w takim razie zrobię coś niegodziwego i na zawsze mnie stamtąd wygnają! Czy rozumiesz, o jakich postępkach mówię?

St. Bride rzekł tylko:

– Domyślam się!

*Cóż to za serce, które niebo prosi w gości,
A samo stoi drżące u wrót szczęśliwości?*

Richard Crashaw *Do hrabiny Denbigh*

Epilog

*M*oray Firth Road wiła się, niby pokryta lodem wstęga, pomiędzy ośnieżonymi szczytami Highlands aż do samego Mhor. Sunął po niej powoli powóz z książęcym herbem. Konie potykały się wprawdzie na skalistym gruncie i ślizgały na płatach śniegu, lecz pojazd mimo to wytrwale dążył do celu. Kiedy zatrzymał się przed zamkiem, najpierw wysiadł z niego książę, który odwrócił się, żeby podać dłoń żonie.

Znów była w domu. Po prawie dwóch latach w końcu do niego powróciła. Ta myśl uparcie towarzyszyła Kayleigh, kiedy przechodziła po zwodzonym moście. Rosła w niej radość. Radość rosła w niej coraz mocniej. Oczy wypełniły się jej łzami. Podeszła bliżej.

Zamek Mhor stał przed nią, w blasku słońca odbijającego się od śniegu, mroczny i niepokojący. Był opuszczoną fortecą, lecz ona widziała w nim tylko swój dom. Na zamkowym dziedzińcu śnieg trzeszczał pod jej butami, a ona napawała się tak dobrze znanym jej widokiem. Książę wydawał w tym czasie polecenia woźnicy. Gdy do niej dołączył, z trudem udało jej się ukryć emocje. Mąż otworzył przed nią, nie bez trudu, rzeźbione, poczerniałe drzwi wielkiego holu.

Nic się tu nie zmieniło, a jednak nie było takie samo. Poczwała drgnienie żalu, gdy ze wzruszeniem wstępowała do sieni. Na widok mieczy, toporów wojennych i pałaszów, nadal wiszących na granitowych ścianach pod gotyckimi oknami, oładnęły ją wspomnienia, pogodne i smutne zarazem. Średniowieczne gobeliny wisały po obu stronach

wielkiego kominka i nawet szafa z grubymi, kręconymi kolumnami, stała wciąż w tym samym kącie.

Wszystko jednak było szare, pokryte wieloletnim kurzem. Za bytności Straughta nikt ze służby nie trzepał widocznie tkanin ściennych, nie woskował mebli, nie polerował broni. Wielomiesięczna warstwa kurzu osiadła, niby skorupa, w całym holu. Kayleigh serce zabolalo na ten widok.

Odruchowo podbiegła do szafy i otworzyła drzwi. Ze smutkiem przekonała się, że nie gnieździ się w niej żaden szpetny, mały troll. Nigdy zresztą nie istniał, wymyśliła go sobie, kiedy była mała. Wspomniała Mornę i oczy zaszklily jej się łzami.

– Czy w środku było coś wartościowego, moja miła? – Mąż podszedł do niej i objął ją. Wsparła plecy o jego pierś. Musnął przelotnie ustami jej włosy.

– Nie, nic, co miałoby jakkolwiek wartość pieniężną. Myślę, że wszystko inne Straught posprzedawał. – Zamknęła cicho szafę i odwróciła się do St. Bride’a.

– Odkupię ci te rzeczy – obiecał.

– Mam wszystko, czego mi trzeba. Ciebie, Mhor i wspomnienia. Tego nie mógł mi zabrać.

– Chodźmy. Rozpalę ogień. – St. Bride wziął ją za rękę.

Kiedy na palenisku zamigotały płomienie, St. Bride usiadł wraz z Kayleigh na przyniesionej z powozu niedźwiedziej skórce. Obydwoje długo milczeli, wpatrzeni w ogień i zatopieni we własnych myślach. Kayleigh odezwała się pierwsza.

– Dziękuję ci za to, że mnie przywiozłeś do Mhor. Tęskniłam za nim każdego dnia, odkąd musiałam go rzucić.

– To smutny powrót. Nie przypuszczałem, że Straught tak zanieedba zamek. – Objął ją i przyciągnął do siebie.

– Nie, wcale nie smutny. Wróciłam tu w końcu. Przeszłam ciężką próbę, ale wszystko już za mną.

– Tak. To minęło.

– Chciałabym zostać tu na zawsze. – Przymknęła oczy i westchnęła.

– Dziecko musi urodzić się w Scion, Kayleigh. Obiecuję ci jednak, że przyślę tu wkrótce służbę i że będziemy wracać do Mhor każdego lata. – St. Bride przesunął dłonią po jej brzuchu.

– Nie spodziewałam się, że będzie rosło tak szybko. – Zaczepnęła głęboko tchu przed następnym zdaniem: – Myślę, że należy spodziewać się dwojga.

– Dwojga dzieci?

– Tak. Będziemy mieli bliźnięta. – Otworzyła jedno oko i zerknęła na męża.

– Dzięki jakim czarom zdołałaś się tego dowiedzieć? – spytał z udawaną srogością.

– Nie jestem czarownicą, ale w Scion żyje jedna z nich! To stara kobieta, która mieszka niedaleko naszego parku. Widziałam podczas jednej z moich przechadzek jej kryty słomianą strzechą domek. Zaprosiła mnie do środka, poczęstowała herbatą, a potem popatrzyła na fusy w filiżance i przepowiedziała, że będę miała bliźnięta. Dwie dziewczynki. Więcej nie chciała mi zdradzić.

– Gdzie stał ten domek, Kayleigh? – spytał żartem St. Bride.

– Na wschód od parku, za kępą głógów.

– Przecież tam nie ma żadnego domku, moja miła. – St. Bride spoważniał.

– Ależ jest, jest. – W jej błękitnych oczach błysnęło rozbawienie. – Byłam w nim, mówię ci. Widziałam staruszkę. Musisz wiedzieć, o czym mówię, przecież się tam urodziłeś! Nikt lepiej od ciebie nie zna okolic Scion!

– Tylko że tam nie ma żadnej chatki za głógami i nigdy nie było. – Przyjrzał się jej uważnie i w końcu rzekł: – Nie pozwolę ci więcej na żadne samotne przechadzki, nawet po parku. Możesz znów napytać sobie biedy.

– Och, ależ chatka tam była! Pokażę ci ją po powrocie.

– No dobrze. Obawiam się, że to, co napisano o tobie, jest szczerą prawdą.

– Cóż takiego?

– Spójrz. – Położył na jej kolanach mały jedwabny woreczek, który widziała, nim opuścili wieś pod Mhor. Chciała go wtedy spytać, co jest w środku, lecz cięża i podróż uczyniły ją senną. Zapomniała w końcu o nim.

– Co to?

– Otwórz i zobacz.

Ostrożnie zanurzyła rękę w woreczku i natrafiła na coś dobrze jej znanego. Wyciągnęła to szybko. Zdumiona ujrzała, że trzyma swoje puzzle.

– Och, dziękuję! Gdzie je znalazłeś?

– Rozesłałem swoich ludzi z poleceniem, by go szukali, gdzie się tylko da. Dosyć łatwo znaleźli kapitana „Deepwater”, ale musieliśmy je odkupić od kolejnego właściciela. Był nim stary arystokrata z Glasgow. Nie chciał zresztą o tym słyszeć, póki nie powiedziałem, że jestem

twoim mężem. Podarował ci je wtedy jako prezent ślubny. W woreczku jest jeszcze coś. Poszukaj głębiej.

Wytrzymała jego zawartość na swoją brokatową suknię. Zaparło jej dech. Zupełnie jakby ujrzała ducha. To było puzderko Morny. Kiedy po nie sięgała, ręka jej drżała.

– Gdzie znalazłeś drugie?

– W Londynie. Bez wątpienia Straught chciał się go jak najprędzej pozbyć, zaraz po wydłubaniu drogich kamieni. Dałem ogłoszenie do gazet, że zapłacę za nie każdą cenę. Znalazło się na tydzień przed naszym wyjazdem do Szkocji.

– Och... – Kayleigh nie mogła dokończyć. Spojrzała na nie i łzy napłynęły jej do oczu. Z tym małym przedmiotem leżącym na jej kolanach wiązało się tyle uczuć, że nie śmiała go dotknąć. W końcu jednak przemogła się. Uniosła wieczko i popatrzyła na portrecik siostry. Ujrzała jasnowłosą, nadaśaną dziewczynkę. Psozny uśmieszek zdawał się czaić w rysach jej twarzy. Poniżej widniało imię Morny i napis.

Położyła obydwie puzderka obok siebie. Różniły się ogromnie. Pierwsze było poobijane i zniszczone, na brzegu drugiego połyskiwała girlanda z szafirów i diamentów.

Pod wizerunkiem anielskiej blondynki widniały słowa „Morna – Ukochana”, a poniżej podobizny jej czarnowłosej siostry – „Kayleigh – Urzeczona”.

– Tak, to prawda – szepnął St. Bride.

– Nie. Nie wierzę!

– A jednak Straught uwierzył. A ja się o tym przekonałem w dniu, kiedy cię spotkałem. Kiedy spojrzałem w twoje piękne, świetliste oczy. Wiem, że właśnie wtedy.

– Och, mógłbyś być Szkotem z Highlands, taki jesteś przesądny. – Roześmiała się.

– Podoba ci się to?

– Bardzo. – Uniosła ku niemu twarz. Położył ją ostrożnie na niedźwiedziej skórze i ucałował.

– Zostaniemy tutaj tylko dziś. Jutro wracamy do Anglii. Pozwolę ci spędzić w Mhor tylko jedną noc.

– Tu jest mój dom. Zapraszam cię do niego. – W jej oczach rozbłysło odbicie płomieni na kominku. I jeszcze coś. Uśmiechnęła się, pociągając go za rękaw koszuli.

– Nie przeziębisz się? – spytał z obawą.

– Nie. Ty mnie rozgrzejesz. – Jej ręka rozchyliła koszulę męża. Kayleigh uniosła głowę i pocałowała jego pierś.

– Czy to ci wystarczy?

– Wystarczy mi wszystko, co od ciebie pochodzi, mój miły. – Spojrzała na niego. Nie potrafiła wyrazić swoich uczuć słowami. Kiedy czuła się tak jak teraz, musiał jej przychodzić z pomocą dotyk. Przyciągnęła więc męża do siebie i złożyła na jego ustach gorący pocałunek.

– Moja niegodziwa czarodziejko, kochasz mnie? – spytał, gdy pocałunek się skończył.

– Z całej duszy.

Teraz to była prawda. Dał jej wszystko, czego pragnęło jej serce, a nawet więcej: zwrócił jej własną tożsamość. Mogła na powrót zostać sobą.

Znowu była Kayleigh.